

DAVID EDDINGS

NAJDROŻSZA

MARZYCIELE: KSIĘGA DRUGA

(THE TREASURED ONE: BOOK TWO OF THE DREAMERS)

PRZEŁOŻYŁA AGNIESZKA BARBARA CIEPŁOWSKA

Przedmowa

I nastał czas niepewności w gnieździe Vlagha, gdyż nie pojawiały się wieści o zwycięstwie sług-wojowników, którzy podążyli podziemnymi norami w stronę wielkiej wody leżącej pod zachodem słońca.

Z początku wszystko szło jak należy. Słudzy-wojownicy ruszyli podziemnymi norami na zachodnie ziemie, zabijali człowieka, których tam żyje dużo, a radość naszego drogiego Vlagha nie znała granic, gdyż roztaczając panowanie nad ziemią zachodzącego słońca, zyskalibyśmy obfitość pożywienia i Vlagh, który stworzył nas wszystkich, miał powołać do istnienia kolejne swoje sługi, aż byłyby nas nieprzeliczone zastępy, a wówczas wszechpotężny mózg, utworzony z nas wszystkich, stałby się jeszcze bardziej sprawny, albowiem rośnie w siłę z każdym wylęgiem.

Niecierpliwił się nasz Vlagh, gdy żadne z jego dzieci nie wracało z wieścią o zwycięstwie, gdyż bez tych pożądanых nowin nie mógł tworzyć nowych sług. A gdy sięgał zmysłami w stronę ziemi zachodzącego słońca, by wypytać wszechpotężny mózg o powodzenie misji wojowników obcych kształtów, mózg nie odpowiadał, co było niezwykle.

Dni mijały, a nasz Vlagh gorączkował się coraz bardziej, gdyż czuł potrzebę tworzenia, a brak mu było jakiegokolwiek pewności.

- Idźcie! - rozkazał wreszcie sługom-wojownikom, którzy chronili ukryte gniazdo. - Idźcie i dowiedzcie się, a potem wróćcie i powiedzcie mi, co muszę wiedzieć.

Wiele sług-wojowników o jadowitych zębach pośpieszyło w drogę. Byli między nimi prawdziwi słudzy, co dbają o naszego Vlagha, i ci nowo zrodzeni, pragnący go upewnić, że wszystko jest jak należy.

Niestety.

Jadowici wojownicy obcych kształtów nie napotkali ani jednego spośród tych, którzy podążyli norami pod powierzchnią ziemi zachodzącego słońca. Nawet po norach nie został ślad. A co najgorsze, nie zdołali wyczuć obecności wszechpotężnego mózgu.

Ból naszego ukochanego Vlagha nie znał granic, gdyż wszechpotężny umysł ucierpiał ogromnie i miał pozostać okaleczony, aż zostaną odnalezieni norownicy i wojownicy o jadowitych zębach, a ich świadomość połączy się ze świadomością innych.

Aż kiedyś pojawił się w gnieździe Vlagha norownik, któremu brakowało członków i skorupę miał głęboko przepaloną. Opowiedział o gorącym świetle wylewającym się z wnętrza góry i o czerwonej palącej cieczy, gorętszej niż ogień, pędzącej norami pod powierzchnią ziemi, niszczącej wszystko, co napotkała na swojej drodze. Na koniec wypowiedział słowa,

które nie powinny były nigdy zabrzmieć.

- Nie ma już nikogo. Wszyscy, którzy ukrytym szlakiem nor podążyli do ziemi zachodzącego słońca, zostali unicestwieni przez purpurową ciecz gorętszą niż ogień i wszystkich nas jest mniej, ponieważ oni przestali istnieć.

Wykonawszy swoje zadanie posłańca, norownik zmarł.

A nasz ukochany Vlagh zawył z rozpaczy, gdyż słowa posłańca zabiły w nim potrzebę i chęć tworzenia. I wszyscy ucierpieliśmy od słów posłańca, ponieważ było nas teraz mniej i ziemi pod zachodem słońca znalazły się na zawsze poza naszym zasięgiem. A żal i ból Vlagha nie miał granic i zrodził w nas wściekłość i gniew.

Wówczas stało się tak, iż słudzy obcych kształtów i z jadowitymi zębami, którzy ruszyli szukać wieści na ziemiach człowieka, zaczęli się naradzać między sobą. Poszukiwacze wiedzy nie są tacy jak prawdziwi słudzy, gdyż ich misja ich odmieniła. Wypuszczają się poza granice ziemi Vlagha, mają wiedzę i niekiedy nawet podsuwają radę, gdy z nową wiedzą wracają do gniazda.

I tak poszukiwacze wiedzy zgodzili się, każdy ze wszystkimi, że ziemia zachodzącego słońca teraz i już zawsze pozostanie dla norowników niezdołana z powodu płynnego ognia, który wydobywał się z wnętrza gór, i podsunęli pomysł zrodzony z wiedzy, którą posiadli. Czy nie lepiej będzie, spytali, podążyć w inną stronę aniżeli uprzednio? Góry nad ziemią dłuższej pory letniej są spokojne, nie kipi w nich przymus płucia płynnym ogniem, a jest tam o wiele więcej pożywienia niż na ziemi zachodzącego słońca. Przy tym, skoro obfitość pożywienia budzi w naszym Vlaghu potrzebę płodzenia i wydawania na świat, czy nie powinniśmy dążyć ku łądom, gdzie nasz apetyt zostanie zaspokojony? Wówczas nasza liczba szybko się zwiększy i wkrótce będzie nas więcej, niżli było wówczas, gdy norownicy otworzyli przejścia prowadzące do ziemi zachodzącego słońca. A wtedy świadomość wszechpotężnego mózgu, stanowionego przez nas wszystkich, osiągnie granice dotąd niespotykane.

I tak nasz ukochany Vlagh połączył się z wszechpotężnym mózgiem, i wspólnie rozważyli rzecz podsunętą przez poszukiwaczy wiedzy, i znaleźli w niej wiele słuszności, gdyż mózg nauczył się niemało podczas naszej próby opanowania ziemi zachodzącego słońca. Wojownicy obcych kształtów, posuwając się w stronę zachodu słońca, napotkali wiele najróżniejszych stworzeń, a wszechmózg zauważył, iż mogą się one okazać bardzo przydatne w czasie naszych spotkań z ludźmi w ziemi dłuższej pory letniej, gdyż gatunek ludzki jest najwytrwalszy i najtrudniej go usunąć z drogi prowadzącej ku naszemu celowi. Wszechmózg jednakowoż ostrzegł naszego ukochanego Vlagha przed największym

niebezpieczeństwem, jakiemu będziemy musieli stawić czoło na ziemi dłuższej pory letniej. Zagrożenie to większe jest od tego, jakie niosą ludzie. To śpiące dzieci i osobliwe klejnoty.

I tak odwróciliśmy się od ziemi zachodzącego słońca, by skupić naszą uwagę na ziemi dłuższej pory letniej, gdzie jest pod dostatkiem przestrzeni i pożywienia, gdzie nasz ukochany Vlagh z pewnością na nowo odczuje konieczność płodzenia i wydawania na świat, a wszechpotężny mózg wzrośnie w siłę i stanie się większy, niż był, zanim spalił go ogień z gór ziemi zachodzącego słońca, i przyniesie radość nam wszystkim, gdyż wszyscy odnosimy korzyści ze wzrastania mózgu w potęgę.

Aż kiedyś nadejdzie czas, gdy wszystkie ziemie ludzi staną się naszą własnością, a nas będzie liczba trudna do przeliczenia i wszechpotężny mózg będzie wzrastał w siłę dopóty, dopóki nie posiadziemy całej wiedzy - i całego świata.

Dopiero wówczas będziemy zaspokojeni.

Marzenie senne Ashada

Z cyklu na cykl coraz mocniej kochałem góry swojej krainy. Mają niepowtarzalny urok. Zelana równie mocno kocha morze, ale moim zdaniem nie sposób go porównywać z górami. Górskie powietrze, rześkie i krystaliczne, wieczny śnieg na szczytach, zawsze dziewiczo czysty... to doprawdy urzekające.

Niezliczone wieki raz po raz przekonywałem się, że górski wschód słońca przynosi najsmaczniejsze światło, więc gdy tylko mogę, wspinam się na zbocze Rekiniej Góry, by pić urodę pierwszych promieni. I na cały dzień, choćby był najtrudniejszy, smak górskiego wschodu słońca daje mi spokój oraz jasność.

Tamtej wiosny, gdy istoty zamieszkujące Pustkowie napadły na krainę Zelany, gdy zwyciężyła je powódź sprowadzona przez Elerię i wybuch bliźniaczego wulkanu spowodowany przez Yaltara, pewnego ranka wyszedłem z jaskini, która jest moim domem, by powitać promienne słońce.

Gdy dotarłem do miejsca, gdzie zwykle uczuję, ujrzałem na wschodzie smużkę chmur - cudowną przyprawę do wspaniałego dania. Rozejrzałem się po najbliższych szczytach. Do mojej krainy wkraczało lato. Chyba nieco wolniej niż zwykle, bo śnieg ciągle jeszcze zalegał na niższych zboczach. Mógł to być zwiastun cyklicznej zmiany klimatu, a zdarzały się one znacznie częściej, niż przypuszczali ludzie. Temperatury na powierzchni naszego Ojca, Łądu, nigdy nie były stałe. Zależą od kaprysów Matki Wody: jeśli ona jest chłodna, jego pokrywa śnieg. I stan taki może trwać całe stulecia.

Po chwili zastanowienia odsunąłem tę myśl. Zelana opóźniła nadejście wiosny, by

powstrzymać atak sług Vlagha do chwili przybycia najmniejszej armii z Maagsu, więc świat potrzebował czasu, by odzyskać równowagę.

Wiosna, choć trudna, dobrze się kończyła. Im dłużej myślałem, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że podjąłem słuszną decyzję, przedwcześnie budząc młodszych bogów. Ich powrót do dzieciństwa wypełnił pradawne proroctwo. Eleria sprowadziła powódź, Yaltar obudził wulkany i w ten sposób kraina Zelany stała się po wsze czasy niedostępna dla istot z Pustkowie.

Słońce wstawało w pełnej krasie, powlekając obłoki purpurą. Rozkoszna uczta. Blask wczesnego lata zawsze dawał mi więcej energii niż blade światło zimy lub przykurzony połysk jesieni. Nic dziwnego więc, że schodziłem ze zbocza żwawym krokiem.

Moja własna kula słoneczna czekała na mnie u wlotu jaskini. Jak zwykle błysnęła tym samym pytaniem.

- Tylko sprawdziłem pogodę, słoneczko - skłamałem gładko. Zawsze się nabzdyczała i burmuszyła, gdy podejrzewała, że wołałem światło prawdziwego słońca. Ulubieńcy bogów bywają nieznośni.

- Czy Ashad nadal śpi?

W odpowiedzi leciutko zakołysała się w górę i w dół.

- Świetnie - uznałem. - Ostatnio nie sypiał dobrze. Chyba się przestraszył wydarzeń w krainie Zelany. Może troszkę przygasisz blask? Powinien spać jak najdłużej. Potrzebuje odpoczynku.

Pokiwała się zgodnie i pociemniała. Z początku nie była zachwycona przybyciem Ashada, lecz z czasem polubiła złotowłosego chłopca. Nigdy nie pojęła jego upodobania do konkretnego pożywienia, nie rozumiała, dlaczego nie zadowala się światłem, więc ciągle była w pobliżu, ot, na wszelki wypadek, gdyby jednak potrzebował jej blasku.

Szedłem długim krętym korytarzem, schylając głowę pod stalaktytami. Urosły od początku mojego cyklu, zaczynały zagradzać mi drogę. Budowała je bogata w minerały woda spływająca wewnątrz Rekiniej Góry, stawały się z każdym stuleciem dłuższe. Zanotowałem sobie w pamięci, by je poobtrącać któregoś dnia, gdy znajdę wolną chwilę.

Ashad spał zakryty skórą. Dobrze mu było w tej obszernej jaskini, w naszym wspólnym domu.

Byłem zdania, że uczyniłem właściwie, sprowadzając zmienników pod koniec naszego cyklu, ale też coraz wyraźniej spostrzegałem, iż zjawili się razem ze wspomnieniami. Usiadłem przy stole, gdzie Ashad jadał swoje „prawdziwe jedzenie”. Nadszedł czas, by się zastanowić nad kilkoma sprawami, których nie przewidziałem. Niechętnie przyznawałem, że

powiniennem był nieco uważniej przyrzeć się zmiennikom, zanim ich obudziłem. Dzieci miały chronić przed niebezpieczeństwem krainy własnych przybranych rodziców, więc byłem zdumiony, gdy dowiedziałem się od Veltana, że Yaltar miał proroczy sen, w którym ujrzał wojnę na ziemiach Zelany. Według mnie powinna była nas ostrzec Eleria. A potem, gdy wróg zagroził naszym ziemiom, Yaltar, nie zważając na wróżbę, wykorzystał siłę bliźniaczych wulkanów. Najwyraźniej w czasie poprzedniego cyklu był mocno zżyty z Eleria. Czasem nawet zwracał się do niej prawdziwym imieniem, Balacenia. A ona niekiedy nazywała go „Vash”.

- Zdaje się, że jest parę luk w tym moim wielkim planie - mruknąłem.

Im dłużej myślałem, tym bardziej przekonująca wydawała mi się teoria, że u źródła naszych kłopotów leży fakt, iż Vlagh stale i świadomie modyfikuje swoje sługi przez kilkaset wieków. Ewolucja form życia zachodzi bez ustanku, lecz zwykle jej przyczyną są zmiany otoczenia. Czasem powoduje ona skutki właściwe, a czasem nie. Gatunki, które dokonują odpowiedniego wyboru, przeżywają, pozostałe skazane są na zagładę. W większości wypadków przetrwanie to kwestia szczęścia i przypadku.

Przed nastaniem włochatych przodków stworzeń, które teraz nazywamy ludźmi, istniało na Dhrallu wiele różnych gatunków, lecz większość z nich obrała złą drogę i wyginęła.

Vlagh, niestety, znalazł się między tymi, które przetrwały. Z początku był tylko robakiem, dziwnym insektem zagnieżdżonym nad brzegiem śródlądowego morza, jakim niegdyś było Pustkowie. Zmiany klimatu spowodowały stopniowe wyparowanie wody, a Vlagh, z konieczności, zmieniał swoje sługi. Musiał unikać palących promieni słońca. O ile mi wiadomo, nie ograniczył się do szukania ratunku, zaczął obserwować, zaczął się uczyć. Najprawdopodobniej wtedy powstał wszechpotężny mózg. Zdolność przekazywania informacji dała sługom Vlagha ogromną przewagę nad innymi stworzeniami. Cokolwiek zobaczyło któreś z podporządkowanych mu stworzeń, widziały wszystkie. Plemię Vlagha żyło wtedy jeszcze na powierzchni ziemi, najpewniej między gałęziami drzew. Ale nie całe. Niektórzy jego słudzy upodobali sobie chłód podziemnych korytarzy, a poszukiwacze wiedzy śledzili sąsiadów, donosząc o każdej nowej formie, o każdym nowym sposobie kopania nor. Wszechpotężny mózg zebrał te wieści, Vlagh powielił najprzydatniejsze cechy i wraz z następnym wylęgiem pojawili się na świecie norownicy.

Obszerna siatka tuneli chroniła sługi Vlagha przed spiekotą i żarem, ale w ten sposób rozwiązano zaledwie jeden z licznych problemów. Z upływem lat nieprzyjazny klimat wyniszczył bogatą roślinność, istotom zamieszkującym tę ziemię zaczęło brakować

pożywienia.

Vlagh nadal składał jaja, lecz każdy wylęg był coraz mniej liczny, aż wreszcie powstała realna groźba, że gatunek ulegnie zagładzie.

Norownicy dotarli do gór. Przez zwarty kamień nie mogli posuwać się dalej. Wkrótce jednak odkryli jaskinie i w ten sposób istoty, które powinny były wyginąć, przetrwały.

Lubię swoje górskie jaskinie. Natomiast tamtych, opanowanych przez norowników - nie.

Tak czy inaczej słudzy Vlagha napotkali pod kamienną skorupą różne istoty, jakich dotąd nie znali, a wówczas wszechpotężny mózg najwyraźniej uświadomił sobie, że pewne ich cechy mogłyby się okazać ogromnie przydatne. I tak rozpoczęły się kolejne eksperymenty, w ten sposób zaistniały nowe, dziwaczne, nienaturalne formy życia.

Niestety, próby się powiodły. Zaowocowały powstaniem bytów, które Sorgan Orli Nos ochrzcił wiele mówiącym mianem „ludzie-węże”. I nie ma tu większego znaczenia fakt, że nie pojmuję, jakim sposobem udało się Vlaghowi powołać do życia stwory, które miały w sobie coś z owada, coś z gada, a jednocześnie były ciepłokrwistymi ssakami bardzo przypominającymi ludzi.

Takie biologiczne zagadki irytują mnie ogromnie.

Muszę też przyznać, że gdyby nie wiedza szamana Uzdrowiciela, mieszkańcy Pustkowiec mogliby wygrać wojnę o krainę mojej siostry.

Ashad wydał dziwny dźwięk. Wstałem, w półmroku cicho zbliżyłem się do kamiennej półki, gdzie spał. Oczy miał zamknięte, więc nic złego się nie działo.

Gdy odkryliśmy, że młodszy bogowie nie mogą żyć samym światłem, byliśmy szczerze zdumieni. Tego nie braliśmy pod uwagę. W następnej kolejności objawiła się kwestia oddychania. Ponieważ Veltan spędził dziesięć tysięcy lat na księżycu, zyskaliśmy pewność, że nie musimy oddychać. W przeciwieństwie do ludzi. Wielu z nich parało się rybołówstwem, nierzadko tonęli. Wiedzieliśmy, iż powietrze jest im niezbędne do życia. Tymczasem nasze śniące dzieci, choć były bogami, w obecnej postaci musiały oddychać powietrzem i żywić się jak ludzie, a żadne z nas nie zamierzało im odmawiać ani jednego, ani drugiego.

Skoro Ashad oddychał spokojnie, usiadłem i wróciłem myślami do pierwszych godzin mojego Marzyciela w jaskini. Gdyby jakiś okrutnik chciał zobaczyć przerażonego boga, miałby wtedy niepowtarzalną szansę. Tamtego dnia całą moją rodzinę ogarnęła panika. Gdy Ashad zaczął krzyczeć, nie wiedziałem, co robić. Szybko jednak przypomniałem sobie o niedźwiedziach zamieszkujących moją krainę wraz z płową zwierzyną, ludźmi i dzikimi krowami. Małe niedźwiedziątka przychodzą na świat zimą i żywią się mlekiem matki. Otóż

jedna z niedźwiedzi, ta z ułamanym zębem, akurat urodziła. Spała mocnym snem zimowym, a jej syn Długi Pazur dawał sobie radę sam.

Chwyliłem wyjącego Marzyciela pod pachę i gnany przerażeniem pobiegłem do jaskini niedźwiedzi. Nie miałem daleko. Na szczęście Długi Pazur zrobił miejsce mojemu podopiecznemu, Ashad zaczął ssać niedźwiedzie mleko.

Natychmiast ucichł.

Co dziwne - a może nie? - Ashad i Długi Pazur uznali, że są braćmi. Najedzeni, zadowoleni, zaczęli się razem bawić.

Zostałem w jaskini, aż niedźwiedzica się przebudziła. Obwąchała krótko dwa malce, nie zwróciła najmniejszej uwagi na to, że jeden wcale nie przypomina niedźwiedzia, delikatnie przygarnęła ich do siebie i zaczęła karmić, jakby nie stało się nic dziwnego. Owszem, niedźwiedzie mają słaby wzrok, dlatego polegają raczej na węchu, a po dwóch tygodniach kotłowania się w jaskini mojego malca z pewnością czuć było niedźwiedziem.

*

Ashad spał prawie do południa, lecz mimo to po obudzeniu nadal wyglądał na zmęczonego. Wstał, włożył skórzaną tunikę i podszedł do stołu.

- Dzień dobry, wujku. - Osunął się na krzesło. Bezmyślnie przyciągnął do siebie misę z borówkami zebranymi poprzedniego wieczoru i zaczął je pojedynczo wkładać do ust. Stanowczo nie miał apetytu, nie wiedzieć dlaczego.

- Czy coś cię martwi, Ashadzie? - spytałem.

- Śniły mi się koszmary. - Chłopiec odruchowo gładził błyszczący czarny kamień dwukrotnie większy od orlego jaja. - Wydawało mi się, że stoję w powietrzu, spoglądam z góry na krainę Vasha. Tamta ziemia jest całkiem inna od naszej, prawda?

No proszę. Najwyraźniej Ashad, podobnie jak Eleria, znał prawdziwe imię Yaltara.

- Na południu mieszkają rolnicy - powiedziałem. - Żyją z upra wy roli, nie z polowania, jak nasz lud. Wycinają drzewa, by zyskać ziemię pod zasiewy, więc tamta kraina wygląda całkiem inaczej niż nasza. Co się stało w twoim śnie?

Ashad odgarnął z oczu złote włosy.

- Do krainy Vasha ściągało mnóstwo potworów... takich jak te, które niedawno napadły na ziemię Balacanii. - Odłożył kamień na stół, włożył do ust kolejną borówkę.

Znowu to samo. Nie miałem już wątpliwości, że Marzyciele, zapewne nieświadomie, przekraczają barierę, którą tak starannie wzniosłem pomiędzy nimi a ich przeszłością.

- Byli tam także inni przybysze - podjął Ashad - walczyli z potworami, tak jak w krainie Balacanii. Tym razem jednak to nie wszystko. Zza Matki Wody zjawili jeszcze inni

obcy, lecz ci nie walczyli, a tylko wypytywali rolników o jakiegoś Amara. Ci, którzy pytali, ubrani byli w czarne suknie, a inni, w czerwonych strojach, zbierali mieszkańców w jednym miejscu i kazali im słuchać. W końcu, najwyraźniej zadowoleni, podążyli spiesznie do wielkiego wodospadu. A ci przybysze, którzy zjawili się w krainie Balaceniei pierwsi, poszli w ich ślady. Chyba wszyscy chcieli się wzajemnie powybijać, nie mogłem pojąć, co się właściwie dzieje.

- Słyszałem, że w snach tak bywa. Sam nie śpiam, więc nie do końca rozumiem, co to jest senne marzenie. - Umilkłem na chwilę. - Gdzie znalazłeś ten kamień? - spytałem, by zmienić temat.

- W jaskini, gdzie mama niedźwiedzica zasypia na zimę - odpowiedział Ashad. - Tej zimy wydała na świat trzy niedźwiedziątka. Skoro byłeś zajęty pomocą swojej siostrze, Zelanie, poszedłem do nich, w końcu to moi mleczni bracia.

- W jakimś sensie to racja.

- Niedźwiedziątka ciągle jadły, a matka zajmowała się nimi tak samo jak mną i Długim Pazurem, kiedy byliśmy mali. - Ujął w dłoń błyszczący kamień. - To agat, prawda? - Podał mi czarną bryłę.

Wziąłem od niego kamień i o mało nie upuściłem, zaskoczony bijącą z niego mocą.

- Tak sądzę. Czarny agat jest wielką rzadkością.

- Od razu mi się spodobał. Matka niedźwiedzica pozwoliła mi go wziąć. Nosilem go stale przy sobie, aż któregoś dnia gdzieś mi się zawieruszył. A dzisiaj znalazłem go zaraz po obudzeniu. Dziwne, prawda?

- Dziwny może być cały ten rok, Ashadzie. Co chwila zdarza się coś dziwnego. Jak niedźwiedzie zniosły zimę?

- Bardzo dobrze. Dużo młodych przyszło na świat. - Uśmiechnął się szeroko. - Cudowne są małe niedźwiadki. Brykają i dokazują, aż matki muszą je przywoływać do porządku... W zeszłym tygodniu mama niedźwiedzica łapała ryby w strumieniu, wiesz, wyrzucała je na brzeg, a jej młode sądziły, że to rodzaj zabawy i wrzucały ryby z powrotem do wody. Gdy zobaczyła, co się dzieje, wyskoczyła z rzeki jak oparzona, rozdzieliła młodym po parę klapsów, a potem kazała im wejść na drzewo i zostać tam do końca dnia. Ja się śmiałem w głos, ale jej nie było do śmiechu. Warknęła na mnie.

- Zostaniesz sam jeszcze na kilka dni, Ashadzie? Muszę porozmawiać z bratem i siostrami.

- Dobrze, wujku. Zajrzę do wioski Asmie. Tlingar kiedyś obiecał nauczyć mnie rzucać włócznią za pomocą takiego długiego giętkiego narzędzia. A on jest w tym najlepszy,

prawda?

- Z całą pewnością dzięki niemu mieszkańcy Asmie regularnie jadają mięso - zgodziłem się. - Powinienem niedługo wrócić. Jak cię znuży rzucanie włócznią, możesz się pobawić z niedźwiadkami. Skoro są takie swawolne, mama niedźwiedzica pewnie chętnie skorzysta z twojej pomocy. Nigdy nie zaszkodzi utrzymywać dobre stosunki z sąsiadami. - Wstałem. - No, będę się zbierał. Chcę porozmawiać z Aracją, zanim jej mnisi rozpoczną te swoje nedorzeczne ceremonie.

- Pozdrów ode mnie Enallę, wujku.

Znowu to samo. Użył prawdziwego imienia Lillabeth, Marzycielki mojej siostry. Mimo wszystkich zachowanych przeze mnie środków ostrożności Marzyciele przechwytywali strzępki rzeczywistości spoza bariery, jaką wzniosłem pomiędzy nimi a przeszłością. Zadrzałem na myśl, co może się zdarzyć, jeśli odkryją szczegóły istotniejsze niż własne imiona.

Pożegnałem się z moim złotowłosym chłopcem i długim krętym korytarzem ruszyłem na zbrocze.

Powitało mnie jasne światło wczesnego lata. Dosiadłem błyskawicy i ruszyłem na południowy wschód, do krainy mojej starszej siostry, Aracii.

Królestwo Aracii przypomina ziemie Veltana, naszego młodszego brata. Rozległe pola pszenicy ciągną się po horyzont niczym miękki kobierzec połyskujący w promieniach słońca. Choć z pewnymi oporami, jednak muszę przyznać, że uprawa zbóż i sztuka pieczenia chleba zapewniły ludziom z terenów Veltana i Aracii spokojniejsze i bardziej ustabilizowane życie, niż wiedli mieszkańcy u mnie i u Zelany, parający się głównie myślistwem i rybołówstwem. Z drugiej strony, życie przecież nie może zasadzać się na przeżuwanie kawałka spleśniałego chleba. Aracia i Veltan z pewnością mają mnie za nieokrzesanego prostaka, ale ja tam swoje wiem. Ludzie w ich krainach niewiele się różnią od bydła, przemieszczają się stadami, a wcale nie byłbym zdziwiony, gdyby wyszło na jaw, że muczą.

Na moich ziemiach żyją istoty niezależne. I u Zelany też. Nikt im nie mówi, co mają robić. Moim zdaniem rolnicy bardziej przypominają sługi Vlagha niż prawdziwe istoty ludzkie.

Oczywiście nie ma potrzeby zawiadamiać Aracii czy Veltana, co właśnie powiedziałem.

*

Przy czym to ja byłem? Ach, tak. Jestem przekonany, iż właśnie uprawa roli legła u źródła powstania religii w krainie Aracii. Po wiosennych zasiewach taki rolnik aż do jesieni

nie ma żadnego zajęcia, wobec czego zostaje mu dużo czasu na rozmyślania. Natomiast ludzie, którzy muszą skupić się na tym, co włożą do garnka następnego dnia albo jak się uchronić zimą przed zamarznięciem, podchodzą do życia praktycznie. Nie mają czasu, by zadawać sobie pytania takie jak „kim jestem?”, „skąd się wziąłem?”.

Systematycznie wypuszczałem się poza Dhrall obserwować rozwój zamorskich ludów i zauważyłem pewną prawidłowość: najinteligentniejsze spędzały wiele czasu na rozważaniach dotyczących ewentualnego istnienia różnych tajemniczych bóstw. U nas, na Dhrallu, takie dumanie jest pozbawione sensu, gdyż tutaj można spotkać boga choćby za najbliższym wzgórzem.

Niektórzy mieszkańcy krainy Aracii dostrzegli w tym niespotykaną okazję. Skoro bogini potrafi ujarzmić pogodę, można dzięki niej zyskać obfite plony. Za łaskawość poddani mojej siostry dziękują w sposób przekraczający wszelkie granice przyzwoitości. Gdyby któryś z mieszkańców mojej krainy zachował się w podobny sposób, roześmiałbym mu się prosto w twarz.

Tymczasem moja siostrzyczka rozsmakowała się w przyjmowaniu wyrazów uwielbienia i przesadnych dowodów wdzięczności. Najwyraźniej w głębi serca kocha być adorowana. W tym cyklu ja obudziłem się pierwszy, a co za tym idzie, byłem odpowiedzialny za bieg wypadków. Aracia przestała śnić jako druga i bardzo jej to nie w smak. Pewnie dlatego też pozwala się hołubić, a co sprytniejsi spośród jej poddanych, wyczuwając w niej pragnienie uwielbienia, wyrażają podziękowania w sposób graniczący z absurdem, wznosząc jej świątynie i ołtarze czy rzucając się plackiem na ziemię za każdym razem, gdy przejdzie obok.

A ona twierdzi, że to bardzo miłe z ich strony!

Przez lata ściągali do niej mniej przedsiębiorczy mieszkańcy krainy, wokół świątyni przybywało domostw. Zaczęli napływać kupcy. Teraz stoją tam murowane domy o ścianach pokrytych białym tynkiem i dachach z czerwonej cegły. Wąskie ulice wybrukowano wielkimi płaskimi kamieniami. Miejscowość ma przynajmniej dwa kilometry szerokości! To właściwie miasto.

Oczywiście w samym środku wznosi się ogromna świątynia, kłuje niebo lśnącymi białymi iglicami. Tak z ręką na sercu, moim zdaniem wygląda to wszystko razem cokolwiek głupawo.

Gdy zsiadłem z błyskawicy w sali tronowej mojej siostry, jej tłusci pochlebcy rozbiegli się w popłochu... nie wszyscy. Niektórzy zostali, ponieważ z wrażenia stracili przytomność. Chyba nie ma lepszego sposobu ściągnięcia na siebie uwagi niż porządna

błyskawica.

Aracia siedziała na złotym tronie wyniesionym na marmurowy piedestał. Za plecami miała szkarłatne draperie.

- Czy byłbyś uprzejmy zawiadamić mnie o swoim przybyciu, drogi Dahlainie? - spytała lodowatym tonem.

- Właśnie to zrobiłem. Czyżbyś miała kłopoty ze słuchem? Przecież jeśli słyszeć grzmot, wiadomo, że nadciągam. - Rozejrzałem się po sali tronowej. Grupa duchownych kryła się lękliwie za filarami. - Porozmawiajmy w cztery oczy.

- Zachowujesz się skandalicznie, Dahlainie.

- Taki już jestem. Dawno doszedłem do wniosku, że wszelkie tak zwane uprzejmości to zwykła strata czasu, a ja jestem dość zajęty. Idziemy? - Musiałem przejąć inicjatywę, w przeciwnym razie pół dnia spędzilibyśmy na różnych ceremoniach.

Aracia wydeła usta, ale wstała ze złotego siedziska i zstąpiła z piedestału, by wyprowadzić mnie z sali tronowej.

- Cóż cię tak dzisiaj poruszyło? - spytała, prowadząc mnie długim holem.

- Powiem ci, jak zostaniemy sami. Kłopoty wiszą w powietrzu, a nie powinniśmy jeszcze alarmować mieszkańców twojej krainy.

Znaleźliśmy się w dość skromnym i niezbyt dużym pomieszczeniu, Aracia zamknęła za nami drzwi. Usiedliśmy na wielkich drewnianych krzesłach po dwóch stronach bogato rzeźbionego stołu.

- Jesteś pewna, że tutaj nikt nas nie usłyszy?

- Zupełnie pewna. Ta komnata to szczególne miejsce. Nie znajduje się tutaj.

- Jak to zrobiłaś?

- Wystarczyło odrobinę dostosować czas. Komnata jest dwa dni starsza niż reszta świątyni, więc rozmawiamy przed dwoma dniami.

- Sprytnie - przyznałem.

- Miło mi, że ci się spodobał mój pomysł. A teraz bądź łaskaw powiedzieć, co cię sprowadza.

- Ashad miał dziś w nocy proroczy sen. Wynika z niego jasno, że Vlagh niewiele się nauczył z porażki na ziemi Zelany i wysłał sługi do krainy Veltana. Mój Marzyciel widział we śnie więcej niż Yaltar, gdy senny koszmar zdradził mu plany inwazji na Krainę Zachodnią. Opowiedział mi swoje wizje dokładnie, niestety, nie wszystko zrozumiałem. Najwyraźniej śnił o dwóch różnych siłach atakujących całkowicie niezależnie, przedstawił mi bitwę między kilkoma stronami stoczoną przy Wodospadzie Vasha. A skoro już o tym mowa,

nazwał Yaltara jego prawdziwym imieniem.

- Mówiłam ci, że nie powinieneś być ich ściągać przed czasem. Jeśli nasi Marzyciele obudzą się na dobre i poznają rzeczywistość, może dojść do katastrofy.

- Rzeczywiście, najwyraźniej omijają moje bariery - przyznałem - ale teraz już nic na to nie poradzimy. Jedno jest pewne: Vlagh zaatakuje znów, a my nie mamy czasu budzić następnych Marzycieli. Czy Lillabeth także już ma sny o wojnie?

- Nic mi o tym nie wiadomo - stwierdziła Aracia. - Chociaż... ostatnio byłam dość zajęta...

- Za dużo czasu marnujesz na odbieranie dowodów uwielbienia.

- Przesadzasz. Podróżuję na Akallę, negocjuję z Trenicią. Nie jest zainteresowana złotem, więc szukam czegoś, czym dałoby się ją skusić.

- A jakie to interesy robisz na tej wyspie? I kto to jest Trenicią?

- Królowa tamtejszych wojowniczek.

- Kobiety potrafią walczyć?

- I to jak! Trenicią prawie dorównuje wzrostem Sorganowi, a mieczem włada znacznie lepiej.

- Imponujące - przyznałem. - Skoro jednak nie chce złota, czym jej zapłacisz?

- Diamentami, rubinami, szmaragdami i szafirami. Jej poddane, choć walczą jak mężczyźni, uwielbiają błyskotki. Za przywoity brylantowy naszyjnik wojowniczek z Akalli zabije, kogo zechcesz.

- Skoro na tej wyspie rządzą kobiety, to co robią mężczyźni?

- Odgrywają rolę domowych pieszczošków. Jeśli dobrze zrozumiałam słowa Trenicii, przekształcili lenistwo w prawdziwą sztukę. Na Akalli wszystkim zajmują się kobiety.

- Wojną też?

- Zwłaszcza wojną. Mężczyźni z tej wyspy nie nadają się do żadnych prac, umieją jedynie wypasać bydło.

Postanowiłem nie drażnić tematu.

- Powinniśmy chyba namówić królową Trenicię i konnych wojowników Ekiala do udziału w starciach na ziemiach Veltana - uznałem. - I tak pewnie wkrótce zetrą się ze sługami Vlagha, więc nie zaszkodzi, jeśli poznają przeciwnika wcześniej.

- Trudno ci odmówić racji... - Aracia się zamyśliła. - O ile dobrze pamiętam, Maagsowie i Trogici mieli niezbyt tęgie miny, gdy Zelana wyjawiała im pewne szczególne cechy wroga. Może faktycznie tym razem pozwolić sobie od początku na szczerłość?

- Uszom własnym nie wierzę! Takie słowa z twoich ust!

- Och, dajże spokój!

I oboje się roześmieliśmy.

*

W drodze powrotnej przeleciałem nad skrajem Pustkowie, wypatrując w piasku między skałami, czy słudzy Vlagha podążają w stronę krainy mojego młodszego brata. Nie dostrzegłem żadnych objawów życia.

Skierowałem się ku ziemiom Zelany. Bliźniaczy wulkan strzegący wejścia do wąwozu, przy którym leżało Lattash, nadal pluł ogniem. Zapewne potrwa to jeszcze ładnych kilka lat. Chyba powinienem był ograniczyć możliwości Marzycieli. W końcu to przecież dzieci. Nie wiedziałem tylko, jak miałbym tego dokonać. Najwyraźniej dysponowały nieograniczoną władzą nad siłami natury, a przy tym potrafiły pokonać chyba każdą barierę, jaką zdołałbym wznieść im na drodze. Mój pierwotny pomysł wydawał się zapewniać doskonale rozwiązanie poważnego problemu, ale - kto wie? - może powinienem był się nad nim zastanowić dłużej...?

Mniej więcej w połowie drogi nad północnym ramieniem zatoki wyczułem obecność Zelany. Skierowałem błyskawicę w odpowiednią stronę. Moja siostra rozmawiała z Rudobrodym i Długą Strzałą.

Wokół nich powstawała wioska, nowe miejsce dla mieszkańców Lattash zniszczonego przez wodę i ogień. Tutaj horyzont zamykały łagodne wzgórza, a nie jak tam, strome skaliste zbocza. Od północy jęzor gęstego lasu oddzielał wioskę od soczystych łąk ciągnących się aż po horyzont.

- Dahlainie! - Zelana była wyraźnie zirytowana. - Czy ty inaczej nie potrafisz? Nie można jakoś wygłuszyć tego huku?

- Raczej nie. Błyskawica jest najszybszym środkiem transportu, ale nie potrafi obejść się bez grzmotu. Siostrzyczko, Ashad miał proroczy sen. Chyba sprawdzą się nasze podejrzenia. Śniło mu się, że istoty z Pustkowie zaatakują krainę Veltana.

- Czy widział we śnie, gdzie spotkamy sługi Vlagha? - odezwał się łucznik, Długa Strzała.

- Gdzieś w pobliżu Wodospadu Vasha. - Przeniosłem na Zelaną pytające spojrzenie. - Chciałem się dowiedzieć, czy może przypadkiem zmieniłaś zdanie i gotowa jesteś pomóc w obronie krainy brata.

- Dhrall jest jedną ziemią, drogi bracie. Jeśli Vlagh podbije którąkolwiek z krain, wszyscy znajdziemy się w niebezpieczeństwie.

- Czujesz się lepiej? - Nie byłem do końca przekonany, czy moja siostra wie, na co się

waży. - Martwiliśmy się o ciebie, gdy zniemacka zaszyłaś się w swojej grocie.

- Nie. Prawdę mówiąc, nie czuję się lepiej, lecz Eleria zmusiła mnie do powrotu na ten świat pełen chaosu.

- Zmusiła? Jakim sposobem? Zelano, przecież to jeszcze dziecko.

- Zagroziła, że jeśli ja nie pomogę Veltanowi, ona to zrobi. Z pozoru słodka z niej istotka, ale pozory mylą. Potrafi być okrutna. Nie zostawiła mi wyboru. Podejrzewam, że ta jej perła też miała w tym jakiś udział.

- Możliwe, możliwe... - mruknąłem. - Klejnoty są mocno powiązane ze snami Marzycieli. Ashad też już ma swój.

- Jaki? - spytała Zelana, wyraźnie zaciekawiona.

- Czarny agat. Wyjątkowa rzadkość. Ashad jest do niego bardzo przywiązany.

- Chyba nigdy nie widziałam czarnego agatu. Gdzie go znalazł?

- W jaskini matki niedźwiedzicy.

- To jakaś szczególna niedźwiedzica?

- Wykarmiła mojego Marzyciela.

- Oddałeś maleńkie dziecko pod opiekę niedźwiedzica?! Pokręciłem głową.

- Nie miałem czym go nakarmić. Zresztą niedźwiedzica uznała go za swoje młode, więc nie było żadnego niebezpieczeństwa. Faktycznie, brykał z mlecznym bratem, Długim Pazurem, jak prawdziwe niedźwiedziątko. - Rozejrzałem się dookoła. - A gdzie jest Eleria? - spytałem przyciszonym głosem.

- Poszła z Yaltarem na łąki - odrzekł Rudobrody. - Sadzonka ma na nich oko.

- Sadzonka?

- Mądra z niej kobieta. Uczy całe plemię, jak hodować rośliny. Wszyscy do niej chodzą po radę i pomoc. Potrafi czasem przygadać człowiekowi, ale wiedzę ma, bez dwóch zdań.

- Dahlainie - odezwała się Zelana. - Czy ty przede mną czegoś nie ukrywasz?

- Właśnie miałem przejść do sedna. Ashad wyraźnie widział we śnie stwory z Pustkowiec napadające krainę Veltana, lecz wspomniał także o innej grupie najeźdźców. I nie byli to słudzy Vlagha. Nadciągnęli od morza.

- Niemożliwe. Vlagh nie sprzymierzy się z królową ryb.

- Ja tylko powtarzam to, co usłyszałem od Ashada. Czy wiesz, gdzie szukać Veltana? Trzeba go zawiadomić, co się kroi.

- Jest w zatoce - odezwał się Rudobrody. - Na trogickim statku, u komandora Narasana. Długa Strzała zabierze cię tam kanoe, jeśli zechcesz, panie. Chętnie zrobiłbym to

sam, ale już nie wiem, w co najpierw ręce włożyć.

- Jakieś kłopoty?

- Nie, nie. Po prostu, skoro ognista góra zniszczyła Lattash, budujemy nową osadę. Może nie będzie taka ładna jak poprzednia, ale potrzebny nam dach nad głową. No i miejsce jest bezpieczniejsze.

Przesunąłem wzrokiem po chatach stawianych niedaleko plaży.

- Wyglądają zupełnie inaczej niż wasze domy w Lattash - zauważyłem. - Ale wydają mi się jakby znajome...

- Nic dziwnego - stwierdził Długa Strzała. - Są budowane na wzór domów z twojej krainy, panie.

- To część podstępного planu, bracie - powiedziała Zelana z nikłym uśmiechem. - Ludzie z plemienia Rudobrodego uważają, że zaopatrzenie w żywność to kobiece zajęcie, niegodne mężczyzny. Kobiety potrzebowały pomocy w przygotowaniu ziemi pod uprawy, ale żaden z mężczyzn nie miał ochoty zakasać rękawów. Postawili szałas, jak w Lattash, a potem próżnowali, zabawiając się wojennymi opowieściami. Nie trwało to długo. Którejś wietrznej nocy Długa Strzała i Rudobrody odrobinę pomogli naturze, szałas nie wytrzymał porywów wichru. Gdy wstało słońce, moi dwaj ulubieńcy przeszli się po osadzie, przekonując mężczyzn, że tutaj, blisko morza, potrzebne będą domy zbudowane znacznie solidniej. Opowiedzieli o wioskach w twojej krainie, stawianych z darni, nie z drzew. I tak mężczyźni poszli na łąki wycinać darń. Na odsłoniętej w ten sposób żyznej ziemi kobiety sadzą i sieją. Dzięki temu plemię Rudobrodego będzie miało na zimę ciepłe chaty i obfite zapasy. No i nikomu nie stała się krzywda. Nikt nie został poniżony i nie stracił honoru.

- Bardzo mądry wybieg - przyznałem szczerze. - A co się dzieje z wodzem Białym Warkoczem? - spytałem.

- Jego serce nie zdołało się pogodzić ze zniszczeniem Lattash - powiedział Rudobrody ze smutkiem. - Wiedział, że jego plemię musi znaleźć nowe miejsce do życia, ale tak się zapamiętał w żałobie, że nie potrafił już o niczym decydować. Widział to, więc złożył odpowiedzialność na kogoś innego. Na mnie. Nie chciałem jej, ale Biały Warkocz nie pozostawił mi wyboru.

- Z pewnością dasz sobie radę, Rudobrody. Wodzu. Dawno już zauważyłem, że ludzie, którzy nie zabiegają o władzę, rządzą lepiej niż ci, którzy pragną zaszczytów. - Odwróciłem się do siostry. - Zelano, porozmawiajmy z Veltanem. Trudno przewidzieć, ile mamy czasu.

*

Długa Strzała poprowadził nas na plażę, do swojej łódki wyciągniętej na piach.

Było w łuczniku coś przerażającego. Na jego twarzy zwykle malował się ponury smutek. Ten człowiek walczył z potworami Pustkowiec od młodości. Zabijanie sług Vlagha stało się celem i sensem jego życia. Miał niewielu przyjaciół i nigdy nie tracił panowania nad sobą, przez co wydawał się osobliwie nieludzki.

Uświadomiłem sobie, że trudno o lepszego obrońcę plemienia. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, odeprzemy ten i kolejne ataki Vlagha, bo on przecież nie zrezygnuje. Każda zatruta strzała pozbawia życia jedno parszywe stworzenie z Pustkowiec. A im mniej tych kreatur, tym lepiej.

Długa Strzała ściągnął kanoe do wody, przytrzymał, kiedyśmy z Zelaną do niego wsiadali, odepchnął od dna i wskoczył na rufę. Wkrótce zbliżyliśmy się do wielkiego trogickiego statku komandorskiego. Przy relingu czekał na nas młody żołnierz Keselo.

- Co się stało?! - zawołał, gdy Długa Strzała przybijał do burty.

- Jeszcze nic - odparła Zelana. - Chcemy tylko uświadomić bratu, że czas się wziąć do pracy.

- Eleria znów miała sen?

- Nie, młody człowieku - odparłem. - Tym razem śnił mój Marzyciel, Ashad. Jego sen trudno objaśnić, mamy nadzieję, że Veltan okaże się w tym pomocny. - Spojrzałem badawczo na młodego Trogitę. - Po namyśle dochodzę do wniosku, że ty także okażesz się pomocny przy tej rozmowie. Pójdiesz z nami.

- Tak, panie. Pan Veltan znajduje się w kajucie komandora Narasana.

- Narasan też tam jest? - spytała Zelana.

- Nie, pani. Komandor udał się na „Mewę”, chciał coś omówić z kapitanem Sorgenem.

- Rozumiem. Raczej nie uszczęśliwią go wieści, jakie zastanie po powrocie. Czy jest człowiekiem bardzo religijnym?

- Niespecjalnie - stwierdził Keselo krótko. - Czy to w czymś przeszkodzi?

- Wrócimy do tego tematu za kilka chwil. Chodźmy do Veltana.

- Jak sobie życzysz, panie.

Młody człowiek poprowadził nas na rufę, w stronę bogato zdobionej konstrukcji rozmiarów całkiem przyzwoitego domu. Zastukał do drzwi.

- Proszę - usłyszeliśmy głos Veltana.

Keselo otworzył drzwi i stanął w progu, przepuszczając nas przodem.

Wnętrze mnie zaskoczyło. Kabina przypominała komfortową komnatę. Niewysoki sufit, który stanowił jednocześnie część tylnego pokładu, wzmocniono dodatkowo i

wygłuszono, żeby śpiącym nie przeszkadzała bieżąca marynarka. Przez szerokie okno wpadało dużo światła. Całość wydała mi się cokolwiek przesadzona, ale postanowiłem zachować swoje zdanie dla siebie.

Veltan siedział przy dużym stole, nad rozłożoną mapą.

- Stało się coś? - zapytał.

- Jeszcze nie - odpowiedziałem. - Ale mój Marzyciel miał zeszłej nocy proroczy sen. Jedno wiemy z niego na pewno: mieliśmy rację, słudzy Vlagha nadchodzą.

- Wiadomo, kiedy się pojawią?

- Czas nigdy się w snach nie objawia. Powinieneś już o tym wiedzieć. Więc tu nie ma o czym dyskutować. Pojawiły się natomiast pewne komplikacje. Oprócz sług Vlagha Ashad widział jeszcze drugą armię najeźdźców, którzy nie mieli nic wspólnego z Pustkowiem.

- Kim byli wobec tego?

- O ile zdołałem się zorientować, Trogitami. Rozmawiali z naszym ludem o Amarze, swoim bogu. Co o nim wiesz?

- Cóż... Niewiele. Narasan darzy głęboką pogardą kler tej wiary.

- Nie on jeden, panie - odezwał się Keselo. - Każdy mieszkaniec Imperium Trogickiego, jeśli tylko ma odrobinę przyzwoitości, a przynajmniej nie jest ostatnim draniem, gardzi Kościołem amarickim. Duchowni są skorumpowani i niewiarygodnie chciwi, nie znają pojęcia honoru. Wiadomo powszechnie, że ten „Kościół” to wymysł kleru, przykrywka, pod którą drapieżcy w sutannach pozbawiają lud imperium wszelkiej własności.

- Coś mi to brzmi dziwnie znajomo. - Zelana uśmiechnęła się krzywo. - Zakonnicy wielbiący naszą siostrę zachowują się bardzo podobnie.

- Chyba tego jej potrzeba do szczęścia. - Wzruszyłem lekko ramionami. Przeniosłem wzrok na Veltana. - Gdzie znajduje się teraz armia Narasana? O ile dobrze zrozumiałem, ludzie, z którymi przybył pod Lattash, stanowili jedynie forpocztę?

- Stacjonuje w porcie Castano, na północnym wybrzeżu imperium. Dlaczego pytasz, bracie?

- Skoro słowo „Amar” trzeba odnieść do trogickiej wiary, należy przyjąć, iż druga grupa najeźdźców to Trogici.

- Pewnie tak. Do czego nas to prowadzi? Spojrzałem pytająco na Kesela.

- Zakładam, że większość żołnierzy z armii Narasana podziela moje odczucia na temat tej tak zwanej religii - powiedziałem. - Czy jest możliwe, by niektórzy podchodzili do niej inaczej, ale ukrywali to odmienne podejście?

- Jeszcze niedawno mogłoby się tak zdarzyć, ale w zeszłym roku na południowym

krańcu imperium straciliśmy tuzin kohort w wyniku zdrady wysokich dostojników Kościoła amarickiego. Właśnie z tego powodu komandor Narasan odrzucił miecz i został żebrakiem. Gdyby dzisiaj ktoś w armii chociaż pomyślał, że ta wiara ma cokolwiek wspólnego z przyzwoitością, zginąłby marnie z ręki własnych kompanów.

- Nie można jednak całkiem wykluczyć takiej możliwości, Keselo - powiedział Veltan z zasepioną twarzą. - Jak słyszałem, słowo „złoto” budzi w członkach tego Kościoła gorączkę, a w obozie w Kaldacinie mówiło się o złocie często i głośno. Musimy założyć, że ten czy ów żołnierz trafił do tawerny w Castano, i wieść o złotym kruszcu rozeszła się szeroko, i usłyszał ją ktoś z Kościoła amarickiego. To by chyba w pewnym stopniu wyjaśniało drugą napaść ze snu Ashada.

- Niezupełnie, panie - sprzeciwił się Keselo. - Amariccy duchowni mogliby chcieć przybyć na Dhrall po złoto i niewolników, ale musieliby wiedzieć, jak pokonać pływający lód. A tylko Gunda i Padan mają odpowiednie mapy.

- To prawda - przyznał Veltan. - Tymczasem jednak, skoro w armii Narasana są setki tysięcy żołnierzy, wystarczy między nimi jeden wróg, a sekret przestanie być sekretem. Moim zdaniem, bracie, znalazłeś właściwą odpowiedź na pytanie o drugą napaść ze snu Ashada.

- I mnie się tak zdaje - przytaknąłem. Spojrzałem na Kesela. - Co to takiego: niewolnicy? Chyba nie znam tego słowa.

- Wobec tego miałeś, panie, wiele szczęścia. We wczesnych latach istnienia imperium nasza armia brała w niewolę prymitywne ludy. Mieszkańców podbitych ziem sprzedawaliśmy farmerom, a oni najmowali na służbę ludzi, którzy z batami pilnowali, by niewolnicy robili to, co im nakazano. Nie ma u nas niewolnictwa od ponad wieku, lecz kilkadziesiąt lat temu Kościół się zorientował, że to doskonały sposób oszczędzania i zarabiania pieniędzy, więc znów pojawili się handlarze niewolników, a połowa z nich to amariccy duchowni.

Veltan pobladł.

- Jeśli te potwory choćby zbliżą się do granic mojej krainy, poznają, co to gniew boży! Zgładzę ich z powierzchni ziemi!

- Nie, Veltanie - sprzeciwiłem się stanowczo. - Nie będziesz ich zabijał. To zabronione, doskonale wiesz. Zostałbyś wygnany na zawsze i to raczej nie na księżyc tym razem. Spędziłbyś resztę wieczności w miejscu ciemnym i głuchym, gdzie jedynym dźwiękiem byłby twój własny krzyk bezdennej rozpacz. Na pewno znajdziemy jakieś inne wyjście. Ale pamiętaj, jeżeli chociaż spróbujesz kogokolwiek zabić, związę cię w supeł tak ciasny, że cztery cykle zabierze ci rozwiązanie samych palców u nóg!

- Ach, wreszcie rozumiem, dlaczego musicie wynajmować ludzkie armie! -

wykrzyknął Keselo. - Nigdy do końca nie pojmowałem, czemu po prostu nie unicestwicie wroga jednym skinieniem dłoni. A to dlatego że nie możecie odbierać życia!

- Zapomnij o tym, co właśnie usłyszałeś, człowieku - nakazałem. - Rozumiesz?

- Tak, panie. Rozumiem.

- Doskonale. - Przeniosłem wzrok na brata. - Przekaż Narasanowi, żeby zaczął przemieszczać flotę. Tu, w krainie Zelany, nie mamy już nic do roboty. Nie znamy czasu następnego ataku, jak to zwykle bywa przy proroczych snach. Marzyciele śnią o tym, co się zdarzy, ale nie wiedzą, kiedy to nastąpi.

- Czy Ashad wspomniał, gdzie ma się rozegrać główne starcie? - zapytał Veltan.

- W pobliżu Wodospadu Vasha. Nie umiał określić miejsca dokładniej, a ja nie chciałem naciskać.

Veltan skrzywił się niemiłosiernie.

- Fatalne miejsce. Trudny teren. Trogiom się nie spodoba myśl o walce w takich warunkach.

- Chyba nie jest gorzej niż w wąwozie pod Lattash? - spytała Zelana.

- Przy tym kanionie twój wąwóz wygląda jak łąka porośnięta soczystą murawą - odparł Veltan ponuro. - Jest bardzo stromy, całkiem młody. Nie było go pod koniec mojego cyklu. Nie do końca wiem, po co Vash stworzył tam wodospad, ale ludziom bardzo się to podoba. Rzeczywiście, jest na czym oko zahaczyć, ale co innego podziwiać, a co innego tam walczyć. Nie byłbym zdziwiony, gdyby się okazało, że plujące lawą wulkany Yaltara to już tylko kwestia rozpędu po tym, jak stworzył wodospad, jeszcze pod imieniem Vash. Rzeka tryska gejzerem na trzydzieści metrów w górę, w powietrzu unosi się odór trzęsienia ziemi i wulkanicznych erupcji. Na południe od niego pojawił się uskok. Ma ze sto metrów szerokości i najmarniej dwa kilometry wysokości. Oczywiście nie sposób wdrapać się na szczyt, trzeba wędrować dookoła. - Veltan przerwał nagle. Pstryknął palcami. - Powinienem był się domyślić! - krzyknął. - Zeszłej wiosny Omago powiedział mi, że jacyś obcy wypytyują o Wodospad Vasha. Zajęty byłem innymi sprawami, więc nie zwróciłem na to szczególnej uwagi. Najwyraźniej Vlagh już od jakiegoś czasu posyłał zwiadowców na moje ziemie.

- Kto to jest Omago? - chciała wiedzieć Zelana.

- Mój najbliższy sąsiad. Solidny człowiek, godny zaufania. Ma piękne sady. Wie o uprawie i hodowli więcej niż ktokolwiek inny w tej krainie, na dodatek potrafi słuchać. Okoliczni mieszkańcy ściągają do niego po radę, on wysłuchuje ich uważnie, a potem wszystko mnie powtarza.

- Wobec tego jest wodzem - zauważył Długa Strzała.

- Niezupełnie. Służy radą i pomocą, a nie wydaje rozkazy.

- Tylko zły wódz zyskuje posłuch rozkazami. Na szczęście zwykle nie rządzi długo. Dobry cieszy się wśród swoich posłuchem. Wystarczy, że poprosi.

- Trudno się z nim nie zgodzić, Veltanie - stwierdziłem. - Może prześlij wiadomość do Omaga? Zawiadom go, co się szykuje, niech przygotuje innych. Twój lud powinien wiedzieć, że nadciągają mieszkańcy Pustkowie, czas się sposobić do wojny.

- To czysty absurd! - prychnął Veltan. - Mój lud nawet nie wie, co oznacza słowo „wojna”. Dlatego muszę wynająć armię Narasana. Omago pewnie zdoła zorganizować ludzi tak, żeby zapewnili najemnikom wyżywienie, ale to ich jedyna umiejętność przydatna na wojnie. - Uśmiechnął się blade. - Chociaż z drugiej strony, jeśli Ara będzie gotowała, potem ciężko będzie wyprawić przybyszów do domu.

- Kto to jest Ara? - spytała Zelana.

- Żona Omaga. Jest niesłychanie piękna i na dodatek nie ma lepszej od niej kucharki. Zapachy dochodzące z jej chaty potrafią niekiedy skusić nawet mnie.

- Ach, jeszcze jedno, Veltanie - przerwałem mu gastronomiczny wywód. - Ustaliliśmy z Aracją, że komandorzy wynajętych armii powinni się jak najszybciej znaleźć w twojej krainie. Nie zaszkodzi, jeśli zobaczą, z czym będą mieli do czynienia.

- Oczywiście - zgodził się Veltan. - Powiem Narasanowi i Sorganowi, żeby ruszali na południe. A potem wracam do domu porozmawiać z Omagiem. Na razie nie można zrobić nic więcej. Będziemy improwizować w miarę rozwoju wypadków.

- Nic nowego - uznałem kwaśno. - Tak się toczą nasze losy od samego początku.

- Mówisz o wojnie? - upewniła się Zelana.

- Nie tylko. Improwizujemy od początku czasu.

- Dzięki czemu życie jest interesujące - odparła z psotnym uśmiechem. - Kiedy się zna całą przyszłość, pozostaje tylko nuda.

Postanowiłem na tym zakończyć temat.

Kraina Południowa

Ojciec Omaga był właścicielem pól i sadów ciągnących się na północ od domu Veltana, toteż Omago widział w Veltanie poniekąd sąsiada, a nie tylko władcę czy boga. Zwłaszcza że ten z boskością się nie obnosił. Lud zawsze czuł się swojsko w jego towarzystwie.

Od dziecięcych lat Omago wolał pracować w sadzie niż na polu. Lubił cień, a w dodatku wiosną, gdy drzewa owocowe kwitły, ich uroda zapierała dech w piersiach.

Wkrótce się okazało, iż nie on jeden docenia piękno natury. Podczas kwitnienia drzew

Veltan nieomal przeprowadzał się do sadu, nic dziwnego zatem, że Omago zaprzyjaźnił się z bogiem. Wiele godzin spędzili na pogaduszkach, a ponieważ rozmawiali o wszystkim, człowiek, nawet nie wiedząc kiedy, odbierał edukację daleko wykraczającą poza sprawy kopania, sadzenia i zbiorów.

Dowiedział się na przykład, że kraina Veltana, położona w południowej części Dhrallu, jest zaledwie jedną z części kontynentu. Trzema innymi krainami władało rodzeństwo boga. Veltan opisywał siostry i brata wyjątkowo barwnie, Omago chwilami zaśmiewał się do rozpuku. Natomiast przy opowieściach o ludach krain Zachodniej i Północnej niekiedy przechodził go dreszcz. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak można spędzać całe życie na polowaniu. Sam próbował szczęścia w rybołówstwie, ale nie szło mu dobrze. Jego zdaniem jedno i drugie nie mogło zapewnić regularnych posiłków. Opisy nieprzebytych puszczy, pięknej zwierzyny płowej w koronie poroża, myśliwych odzianych w skóry poruszyły jednak w młodym Omagu tęskną strunę. Na rolniczych ziemiach południa próżno by szukać przygód i awantur. Tutejsi mieszkańcy nade wszystko cenili sobie stabilizację i kochali święty spokój, gdyż stanowił on najlepszą gwarancję dobrych zbiorów. Niestety, nie był specjalnie ekscytujący.

Nad własnymi dziwactwami Veltan nie miał zwyczaju się rozwodzić, lecz z czasem Omago większość z nich poznał. Z początku opowieści chłopów zdawały mu się mocno przesadzone, ale w miarę jak coraz lepiej poznawał boga, musiał się z nimi zgodzić. Nigdy nie widział, by Veltan skosztował choćby kęs pożywienia. I nigdy nie zastał go śpiącego.

Wkrótce po dziewiątych urodzinach Omaga wypłynęła kwestia innych bogów. Akurat siedzieli w sadzie we dwóch, wiatr obsypywał ich deszczem płatków z kwiatów jabłoni.

- Pragnę o coś spytać - odezwał się w pewnej chwili Omago trochę nieswój. - Może nie zechcesz odpowiedzieć, panie. Enkar powiedział mi, że nie zawsze ty byłeś władcą tej części Dhrallu. Przed tobą ktoś inny opiekował się naszym światem. Czy to prawda?

- Owszem, w zasadzie tak. Na pewno zauważyłeś, że nie sypiam. Cóż, to nie do końca prawda. Moje istnienie to cykle snu i czuwania. Z czasem zaczynam być skołowany, tracę pamięć, zachowuję się coraz bardziej dziwacznie. To wyraźny sygnał, że pora iść spać. Mniej więcej w tym samym czasie budzi się moja rodzina, która podczas naszego snu zajmuje się światem.

- No tak... - Omago się zamyślił. - To chyba ma sens. Czy dobrze znacie kuzynów?

- Co to jest „kuzynów”?

- Kuzyni to dzieci siostr i braci rodziców - wyjaśnił Omago bez zmrużenia oka. - Zrozumiałem, że właśnie o nich mówiłeś jako o rodzinie.

- W zasadzie chyba by pasowało... Muszę zapamiętać to słowo.

- Poznałeś ich kiedyś? Rozmawiałeś z nimi?

- E, nie gadam przez sen. Wiem o nich niewiele. Na przykład... znam imię mojego zmiennika, ale tylko dlatego że ludzie ochrzcili nim wodospad. Na pewno słyszałeś o Wodospadzie Vasha.

- Słyszałem, ale go nie widziałem. Czy Vash go stworzył?

- Nie mógłbym przysiąc. Gdy obudziłem się ostatnim razem, tutejsi mieszkańcy jeszcze nie znali dobrze ludzkiej mowy, więc niełatwo było ich zrozumieć. Dało się rozróżnić imię mojego kuzyna. - Spojrzał badawczo w twarz chłopca. - Chyba na dzisiaj wystarczy nowych wieści. Przemyśl sobie, czego się dowiedziałeś i o co chciałbyś spytać następnym razem.

- Mam o czym myśleć - przyznał Omago. - I będę starannie dobierał pytania. Odpowiedzi bywają przerażające.

- Oswoisz się z nimi, chłopcze. Ciekawość to pierwszy stopień do wiedzy, ale schody bywają bardzo strome.

- Zauważyłem.

- Wiem - rzekł Veltan bez uśmiechu.

Omago dorastał. Sąsiedzi wiedzieli o jego zażyłości z Veltanem, toteż gdy mieli do boga jakąś sprawę, chętnie korzystali z pośrednictwa młodzieńca. Z jednej strony, nie każdemu chciało się wspinać na wzgórze, gdzie stał dom opiekuna, z drugiej, choć Veltan nie obnosił się ze swoją boskością, ludzie o niej stale pamiętali.

Z czasem taki stan rzeczy zmienił się w tradycję. Nieomal co dnia Omago musiał jakieś wieści przekazać Veltanowi podczas wieczornych spotkań. Nie traktował go jak wyniosłą istotę nadprzyrodzoną, ale jak bliskiego przyjaciela. Polubił codzienne spotkania do tego stopnia, że zaglądał do domu Veltana również wtedy, gdy nie miał mu nic do przekazania.

Lata mijały, świat żył w rytmie pór roku. Omago wiedział, że gdzieś są miasta, wielkie skupiska domów ustawionych blisko siebie, lecz mieszkanie w takiej ciasnocie wydawało mu się pozbawione sensu. Ziemia jego ojca ciągnęły się jak okiem sięgnąć, obejmowały niewysokie pagórki, gdzie każda uprawa miała swoje najwłaściwsze miejsce: pszenica na południu, warzywa na północy, a sady na wschodzie, tuż za dobrze ocienionym domem. Niektórzy uważali cieniodajne drzewa za coś w rodzaju chwastów, lecz w środku lata, gdy na ziemię służył skwar, okazywały się bardzo przydatne.

W tej krainie dom kryty strzechą budowano pośrodku swojej ziemi. Tak było

praktycznie. W dzień należało pracować, a nie spacerować.

Zanim Omago skończył dwadzieścia jeden lat, doskonale poznał okolicznych mieszkańców, bo od wszystkich zanosił wieści Veltanowi.

- Tego, co mówi Selga, nie trzeba brać poważnie - rzekł do boga któregoś wieczoru.

- Tak?

- Selga jest niski, ludzie go lekceważą. A on bardzo chce być poważany i doceniany, więc przychodzi do mnie prawie codziennie, ciągle o czymś opowiada i chce, żebym ci, panie, przekazywał wieści. Nietrudno go uszczęśliwić. Wystarczy udawać, że się słucha z uwagą, że jego wiadomości są najistotniejsze na świecie i że przekażę ci je przy pierwszej okazji. Oczywiście muszę podkreślić, od kogo pochodzą.

- To smutne.

Omago wzruszył ramionami.

- Każdy ma jakieś problemy. Wszystko zależy od tego, jak sobie człowiek z nimi radzi.

- Potrafisz być okrutny.

- Nie ja ustanawiam reguły życia. Ja ich tylko przestrzegam. Pan Veltan w milczeniu pokiwał głową.

- Jak się czuje twój ojciec? - zapytał po chwili.

Omago był wyraźnie zaskoczony. Choć w zasadzie powinien już przywyknąć, że młody bóg czyta w nim jak w otwartej księdze.

- Niestety, stale mu się pogarsza - przyznał ze smutkiem. - Czasami nie pamięta nawet swojego imienia. I ciągle pyta o mamę, chociaż zmarła w zeszłym roku.

- Bardzo mi przykro - westchnął pan Veltan. - Żałuję, że nie potrafię mu pomóc.

- Nawet gdybyś mógł, chyba nie powinieneś tego robić, panie. Mój ojciec jest już bardzo zmęczony życiem. Gdybyś go zatrzymał, byłby jeszcze smutniejszy. Czas pozwolić mu odejść.

Nastała kolejna wiosna. Omago jak zwykle pracował w sadzie, gdy za jego plecami odezwał się dziewczęcy głos.

- Co robisz? Drgnął zaskoczony.

- Przepraszam, nie chciałam cię wystraszyć. Dlaczego zbierasz zielone jabłka? - Dziewczyna była w niebieskiej lnianej sukience, wysoka, miała długie ciemne włosy i zielone oczy.

Omago odzyskał zdolność mówienia.

- Jabłonie szaleją na wiosnę. Chcą rodić jak najwięcej owo ców. Gdybym jabłek nie

przerzedził, dojrzewałyby maleńkie jak żo łądzie. Staralem się to drzewom wytłumaczyć, ale mnie nie słucha ją. Trudno zyskać uwagę drzewa, zwłaszcza wiosną.

- Masz na imię Omago, prawda? - Tak.

- Jesteś młodszy, niż myślałam. To ty zanosisz Veltanowi wieści od ludu?

Pokiwał głową.

- Chcesz, żebym coś mu powtórzył?

- Nie, na razie nie. Chciałam się upewnić, do kogo mam trafić w razie potrzeby.

- Możesz pójść do niego sama.

- Wiem, ale ludzie mówią, że najchętniej słucha ciebie. Jak się zaprzyjaźniliście?

- Lubi tutaj przychodzić, gdy kwitną jabłonie. Drzewa w kwiatkach są piękniejsze od każdego ogrodu. Gdy sad był jeszcze własnością ojca, a ja, malec, ledwo mu pomagałem, pan Veltan zaczął tu przychodzić coraz częściej. Rozmawialiśmy długie godziny. Pewnie rzeczywiście znam go lepiej niż większość miejscowych. I chyba dlatego wszyscy wykorzystują mnie jako chłopca na posyłki. Ty nie mieszkasz w pobliżu, prawda?

- Nie. Przybyłam z daleka. - Zamilkła na chwilę. - Omago, przyjmij kondolencje z powodu śmierci ojca.

- Długo odchodził - rzekł chłopak cicho. - Chorował już od kilku lat.

- Tak, słyszałam. - Na jakiś czas zapadło milczenie. - Czas na mnie - stwierdziła nieznajoma. - Nie chcę ci przeszkadzać w pracy. - Odwróciła się i ruszyła, skąd przyszła.

- Jak się nazywasz? - zawołał za nią Omago.

- Ara - rzuciła przez ramię.

*

Nie wiedzieć czemu, Omago nie umiał zapomnieć o nieznajomej. Tak niewiele o niej wiedział... Dobrze chociaż, że spytał ją, jak ma na imię.

Na pewno była od niego młodsza, ale zachowywała się i wysławiała jak osoba w pełni dojrzała. Wyciągnęła z niego mnóstwo informacji, a sama powiedziała mu tyle co nic.

Usiłował skwitować to spotkanie wzruszeniem ramion, lecz wspomnienie krótkiej rozmowy wracało bezustannie. W życiu nie widział piękniejszej istoty. Jej połyskliwe włosy przywodziły mu na myśl złotą jesień, dźwięczny głos ciągle brzmiał w uszach. Chciał się o niej dowiedzieć więcej. Chociaż wiosną zawsze miał dużo pracy, jakoś nie mógł się na niczym skupić.

- Myślę wyłącznie o niej - zwierzył się Veltanowi kilka dni póź niej.

Bóg tylko się uśmiechnął.

- Czy zamieszkała gdzieś w pobliżu? - zapytał po chwili.

- Ludzie tak gadają. Ja jej więcej nie widziałem, ale ten i ów ją spotkał. Wszyscy opowiadają, że zadaje dużo pytań, głównie na mój temat. Mam nadzieję, że nie wyjedzie bez pożegnania. Nawet mi nie powiedziała, skąd pochodzi. Jeśli zniknie, nigdy jej nie znajdę.

- Nie masz się czego obawiać, Omago. Ona się nigdzie nie wybiera.

- Skąd masz tę pewność, panie?

Veltan uśmiechnął się szeroko, lecz nic nie odpowiedział.

*

- Najwyższy czas uporządkować sprawy - usłyszał Omago za plecami. Upuścił motykę, odwrócił się gwałtownie.

- Ara, gdzieś ty się podziewała? Wszędzie cię szukałem!

- Tak, tak, wiem. Niczego nie osiągniemy, póki się z tym nie uporamy. Jak wiesz, nazywam się Ara. Mam szesnaście lat i chcę żyć z tobą.

Mało się nie zakrztusił.

- Czy w twojej wiosce wszyscy są tak bezpośredni?

- Nie, skąd. Ale ja nie lubię tracić czasu. Odpowiada ci taki układ?

- O niczym innym nie marzę - stwierdził zgodnie z prawdą.

- To dobrze. Co trzeba zrobić, żebyśmy mogła się wprowadzić pod twój dach?

- Nie jestem całkiem pewien... Nigdy dotąd się tym nie interesowałem.

- To miłe, to miłe - mruknęła z uśmiechem. - Chodź, zapytamy pana Veltana. Jeśli powinniśmy odprawić jaką ceremonię, zrobmy to jak najszybciej. Będę potrzebowała trochę czasu na przygotowanie kolacji.

I tak Omago oraz Ara pobrali się wiosną. Życie chłopaka odmieniło się od tamtej chwili. Niewiele wiedział o swojej żonie, lecz z upływem lat coraz mniej go to obchodziło. Cudowne zapachy rozchodzące się z kuchni usypiały ciekawość, za to budziły istic wilczy apetyt.

Właśnie wybuchła dziesiąta wiosna po ślubie Ary i Omaga, gdy w progu ich domu stanął pan Veltan. Wyglądał na przerażonego.

- Pomocy! - szepnął pobladłymi ustami.

- Co się stało? - zapytał gospodarz.

- To się stało. - Bóg podał mu futrzane zawiniątko. - Brat mi to wetknął i zniknął, a ja nie mam bladego pojęcia, co z tym robić. - Odchylił brzeg okrycia, odsłaniając maleńką twarzyczkę. - Chyba trzeba toto nakarmić, a ja nie umiem.

Ara wzięła dziecko na ręce, przytuliła.

- Zajmę się nim - oznajmiła. - Kilka kobiet w okolicy akurat karmi, na pewno nie

odmówią mleka małemu.

- Karmi? - nie zrozumiał pan Veltan. - Jakiego mleka?

- Mniejsza o szczegóły. - Ara wzniosła oczy do nieba. - Wracaj do domu, panie Veltanie. Już ja o wszystko zadbam.

- Czy dzieci zawsze są takie małe? Nigdy nie widziałem człowieka w takim stadium rozwoju.

- Panie Veltanie, możesz spokojnie iść do domu. Małemu nie stanie się nic złego.

- Czuję się jak ostatni ignorant - wyznał bóg. - Brat stanął mi na progu, powiedział, że ten mały będzie jednym z Marzycieli, i zniknął. A ja nigdy nie zajmowałem się dziećmi, więc nic o nich nie wiem. Będzie miało zęby?

- Będzie miało zęby i wszystko jak trzeba. Czas ci już do domu, panie Veltanie.

*

Przez jakiś miesiąc Omago nie sypiał najlepiej. Odkrył, że dzieci bywają hałaśliwe. Postanowił dobudować do chaty izbę albo nawet dwie. Zaczął suszyć na słońcu cegły z gliny zmieszanej ze słomą. Uświadomił sobie, że trzeba będzie też powiększyć strzechę. Materiału nie brakowało. Jego pola ciągnęły się daleko na południe, więc po zbiorach będzie się mógł wziąć i do dachu.

Veltan przez ten miesiąc z okładem stale był dziwnie zajęty. Raz tylko zajrzał do przyjaciela, a właściwie do jego żony, i po krótkiej dyskusji ustalili, iż najwłaściwszym imieniem dla młodego Marzyciela będzie Yaltar. Omago nie wiedział, skąd się wzięło określenie „Marzyciel”, ale też nie miał czasu zajmować się takimi drobiazgami.

Niespełna roczny Yaltar żwawo raczkował, lecz mówił nadal niewiele. Dlatego Ara długo tłumaczyła Veltanowi naturalny bieg rzeczy.

- Nauka mówienia jest najtrudniejszym zadaniem dla dziecka w ciągu pierwszych lat jego życia.

- Myślałem, że tego nie trzeba się uczyć - odparł Veltan zdziwiony. - Czy każde dziecko na świecie musi uczyć się mówić?

- Jeszcze nie słyszałam, żeby się ktoś urodził z tą umiejętnością - stwierdziła Ara.

- Ptak umie ćwierkać od razu po wykluciu się z jaja.

- Ludzka mowa jest bardziej złożona niż ptasie trele - przypomniała mu. - Niewiele byśmy sobie wyjaśnili, ćwierkając i popiskując.

- Rzeczywiście... - Zamyślił się na dłuższą chwilę. - Nie pojmuję, dlaczego Dahlaine podrzucił mi go w takim dziwnym stanie. Nie można było poczekać, aż podrośnie?

- Potraktuj to, panie Veltanie, jako interesujące doświadczenie. Jeśli wychowasz

Yaltara od wczesnego dzieciństwa, lepiej zrozumiesz swój lud. - Ara uśmiechnęła się do boga. - To naprawdę przemiły czas.

- Mnie tam wcale nie jest miło.

- Docenisz swoje przeżycia później, drogi Veltanie. Jeszcze nie jutro i nie za miesiąc.

*

Yaltar miał mniej więcej trzy latka, gdy Veltan zaczął go zabierać na wzgórze, do swojego wielkiego kamiennego domu, na kilka godzin dziennie. Jednak nadal Ara dbała o higienę chłopca i ona go żywiła.

- Czy on koniecznie musi jadać tak często? - spytał Veltan któregoś wieczoru.

- Ty jadasz światło, prawda, panie Veltanie?

- Nie mam pewności, czy można to nazwać jedzeniem...

- Wobec tego żywisz się światłem, ujmijmy to w ten sposób. Słońce oblewa cię blaskiem przez większą część dnia, prawda? Więc nasiąkasz światłem znacznie dłużej, niż Yaltar je.

- No tak... Nie popatrzyłem na to od tej strony.

- Czy nie czujesz potrzeby, drogi panie Veltanie, by wchłaniać nieco mniej światła? Jeśli będziesz nadal robił to tak często, wkrótce zaczniesz tyć. A czy twojemu ludowi spодoba się gruby bóg? Nikt nie będzie go traktował poważnie.

Veltan, lekko spłoszony, odruchowo przesunął dłonią po brzuchu.

- Żartowałam! - Ara wybuchnęła śmiechem. - Gdybyś zaczął tyć, drogi panie Veltanie, wejdź w cień, to wszystko. - Przeniosła wzrok na Yaltara, który z apetytem zajadał kolację. - Czy już śni? - zapytała cicho.

- O ile wiem, jeszcze nie - odpowiedział Veltan. Po czym spojrzał na Arę zdumiony. - Skąd wiesz o snach?

- Legendy są wieczne, drogi panie Veltanie, a starzy ludzie z chęcią wracają do dawnych czasów. Ci z mojej rodzinnej osady potrafią bez końca prawić o Marzycielach. Jeżeli w ich opowieściach jest choćby ziarno prawdy, Yaltar powinien wkrótce mieć prorocze sny. A to z kolei będzie oznaczało, że zbliżają się kłopoty. Moim zdaniem trzeba wtedy traktować chłopca wyjątkowo łagodnie, bo jeśli się czegoś wystraszy, będzie miał kłopoty z zaśnięciem. Jeśli nie zaśnie, nie będzie śnił. A takiej sytuacji z pewnością chcemy uniknąć.

- Z pewnością - przytaknął Veltan. - Zaskakująco dobrze radzisz sobie z tymi niełatwymi sprawami.

- Taki mam dar - stwierdziła Ara, po czym roześmiała się głośno, choć Omago całkiem nie widział powodu.

*

Tego roku Yaltar coraz więcej czasu spędzał z Veltanem w jego domu; Ara nosiła mu posiłki na wzgórze.

- Tęskno ci do niego, co? - zagadnął ją kiedyś Omago.

- Ano, tęskno. Sprawy toczą się swoją koleją, chłopiec robi, co do niego należy, więc nie mam nic do powiedzenia. Co chcesz dziś na kolację?

- Co? Najchętniej niespodziankę. - Uśmiechnął się szeroko.

- Ale się zrobiłeś dowcipny! - ofuknęła go żona.

*

Wkrótce po szóstych urodzinach Yaltara Veltan zajrzał do chaty Omaga i Ary z wiadomością, że musi zniknąć na jakiś czas.

- Zaopiekujemy się Yaltarem - obiecał gospodarz od razu.

- Wiedziałem, że mogę na was liczyć - ucieszył się Veltan i już go nie było.

Ara zmarszczyła brwi, lecz nie odezwała się słowem.

*

Nanton był roslym, brodatym właścicielem dużego stada, które wypasał nad Wodospadem Vasha. Nieczęsto schodził na nizinne pola, bo wilczy apetyt jego owiec denerwował rolników.

- Widzisz, Omago - ciągnął pasterz zniżonym głosem - oni zadają mnóstwo pytań na tematy, które nie powinny ich wcale interesować. Twierdzą, że są kupcami z krainy pani Aracii, ale ja nie widziałem, żeby mieli coś na sprzedaż.

- A czego by kupcy szukali w górach? - zdziwił się Omago.

- Też prawda. Tam przecież tylko pasterze, a nam niepotrzebne błyskotki, które handlarze ze wschodu ciągle podtykają żonom rolników. Ale to nie wszystko.

- Co jeszcze?

- Oni nawet nie wyglądają jak ludzie. Są bardzo mali, wszyscy ubrani na szaro, twarze chowają pod kapturami... i mamrocą.

- Jak to?

- Mówią niewyraźnie, seplenią.

- Dziwne. O co pytają?

- Chcą wiedzieć, ilu nas mieszka w pobliżu Wodospadu Vasha. Uznałem, że to nie ich sprawa, więc im nakłamałem.

- Nantonie! - oburzy! się Omago.

- E, dajże spokój. Z pewnością nie są przyjaźnie nastawieni, więc chciałem, żeby mieli

się o co martwić. Powiedziałem im, że po wzgórzach wędrują tysiące pasterzy i wszyscy jesteśmy uzbrojeni. Zamierzałem nawet pokazać im, co może dziać proca, ale się rozmyśliłem. Im mniej o nas wiedzą, tym lepiej.

- Trudno się z tym sprzeczać. Pytali o coś jeszcze?

- Chcieli się upewnić, że nasz pan Veltan jest skłócony ze swoją siostrą, Zelaną, a między ich ludami toczy się wojna. Odpowiedziałem im najbardziej wymijająco, jak umiałem. Pochwaliłem im się, że przez lata pokonałem całe dziesiątki wrogów. Oczywiście mówiłem o wilkach, a czego oni się domyślali, to ich sprawa. Czy pan Veltan zamierza wrócić niedługo?

- Nie wiem. Nie powiedział, kiedy się go spodziewać. - Omago umilkł na chwilę. - A gdzie teraz jest twoje stado?

- Na wzgórzach. Zostawiłem je pod opieką siostrzeńca.

- Pewnie nieprędko wrócisz z owcami w góry?

- Dopiero kiedy stopnieje śnieg. No i trzeba je ostrzyć. Bardzo zarosły tej zimy.

- To dobrze. Zwykle wypasasz je w okolicy Wodospadu Vasha, prawda?

- Prawie zawsze. Trawa tam soczysta i wody pod dostatkiem.

- Miej oko na tych obcych, dobrze? I jeśli znów się pokażą, przyślij do mnie siostrzeńca, niech mi o wszystkim opowie. Pan Veltan powinien znać każdy szczegół.

- Oczywiście. - Nanton podciągnął pas. - Pora wracać - stwierdził. - Na sąsiednich łąkach wypasa owce hoża pastereczka, a z mojego siostrzeńca chłopak jeszcze nierozważny, będzie się bardziej zajmował dziewczyną niż inwentarzem.

- Taka już kolej rzeczy - rzekł Omago z lekkim uśmiechem.

- Ech, ta wiosna! - Nanton pokręcił głową. - No, w każdym razie dzięki niej przybywa młodych.

- Mówisz o ludziach czy owcach?

- O jednych i drugich. Póki pastwiska bogate, nic złego się nie stanie. Dzieci są prawie takie śliczne jak owieczki, a jak już podrosną, pomagają przy robocie. No, będę się zbierał. Miłego dnia, Omago. - Odwrócił się i odszedł.

*

Od wizyty Nantona minął tydzień.

- Omago, moim zdaniem powinieneś o nich zawiadomić pana Veltana - przekonywał Selga podniecony. - To są obcy, przybyli z daleka, nawet mówią jakoś dziwnie.

- Tak? Co to znaczy „dziwnie”?

- Brzmi to tak, jakby im język zawadzał o zęby. Seplenia i posykują. Chwilami trudno

ich zrozumieć. No i są bardzo niscy. Ja sam nie należę do kolosów, a oni sięgają mi do ramienia. Wszyscy są poubierani w szare kitle z kapturami. Nie wiem, co to za tkanina, ale nie wełna ani płótno. Czegoś takiego dotąd nie widziałem. Zadawali najdziwniejsze pytania, na szczęście od razu ich przejrzałem i nie powiedziałem nic. Powtórz to panu Vel tanowi. Jeśli ci obcy zamierzają sprawiać nam kłopoty, ja do tego ręki nie przyłożę.

- Powtórzę, Selga, powtórzę. Dowiedziałeś się, skąd przyszli?

- Wydaje mi się, że z za gór, w pobliżu Wodospadu Vasha. Jeżeli jeszcze ich spotkam, zapytam o to na pewno. Powiedz panu Veltanowi, że oczy mam otwarte i dowiem się, ile zdołam.

- Pan Veltan z pewnością będzie ci wdzięczny.

*

Tego samego wieczoru, jeszcze przed kolacją, Omago wybrał się na wzgórze boga. W domu wspiął się po stromych stopniach i zastukał do drzwi pokoju chłopca.

- To ja! - zawołał.

Yaltar zaprosił go do środka.

- Czy wiesz, kiedy można się spodziewać pana Yeltana? - spytał Omago. Z dezaprobatą ogarnął spojrzeniem bałagan i niepościelone łóżko, ale nic nie dał po sobie znać.

- Nie wiem, nic o tym nie mówił - odpowiedział chłopiec. - Pewnie załatwia jakieś ważne sprawy.

- Jak tylko się pojawi, powtórz mu, że mam dla niego ważne wieści, dobrze? Ostatnio dzieją się tu dziwne rzeczy, powinien się o nich dowiedzieć.

- Powtórzę - obiecał Yaltar. Bawił się niezwykłym kamieniem zawieszonym na szyi na rzemieniu.

- Skąd masz ten opal? - spytał Omago.

- Znalazłem go przed drzwiami domu. Bardzo ładny, prawda?

- Piękny. Ciekawe, skąd się tutaj wziął. O ile wiem, nie ma u nas opali.

- Może się zgubił i trafił tu przypadkiem. A może czuł się samotny i szukał towarzystwa.

- Kamienie rzadko odczuwają samotność, Yaltarze. - Omago zamilkł na dłuższą chwilę. - Wiesz, kiedy wychodziłem z domu, Ara właśnie kończyła gotować kolację. Dasz się zaprosić?

- Z przyjemnością.

*

Veltan wrócił do domu mniej więcej tydzień później. Wczesnym rankiem pojawił się

u Omago.

- Yaltar powiedział, że masz dla mnie ważne wieści.

- Tak. - I Omago powtórzył, co usłyszał od Nantona i od Selgi. Wszystko o obcych zadających zbyt wiele pytań.

- Muszę zawiadomić brata - zdecydował bóg. - Miej oczy i uszy otwarte, jak tylko wrócę, przekażesz mi, co się stało nowego.

- Będę czujny - obiecał Omago.

*

Wiosenne podtopy tamtego roku zmieniły się w prawdziwą powódź. Wyjątkowo grube pokłady śniegu w górach stopniały szybciej niż zwykle, bo wiatr zwiastujący zmianę pór roku był bardzo ciepły, nawet gorący. W jedną noc wszystkie strumienie wystąpiły z brzegów. Na domiar złego pan Veltan i Yaltar zniknęli, więc nie było kogo prosić o pomoc. Rolnicy mogli tylko beczynnie patrzeć, jak woda zalewa pola.

Pasterze z okolic Wodospadu Vasha przynosili wieści o strasznych wydarzeniach w krainie Zelany, lecz w ich opowieściach wiele było luk i nieścisłości.

Gdy woda zaczęła opadać, schodzili ze swoimi sensacjami do wioski, ale nadal w ich słowach więcej było emocji niż faktów, toteż Omago przyjmował je z dużą rezerwą.

Aż którejs nocy, gdy jabłonie ubrały się już w wonne kwiaty, wyrwał go ze snu suchy trzask błyskawicy.

- Pan Veltan wrócił - powiedziała Ara. - Chodźmy do niego.

- Chodźmy - zgodził się Omago. - Chętnie się dowiem, na czym stoimy.

- Jestem tak samo ciekawa jak ty.

Omago zdziwił się nieco, ale niczego po sobie nie pokazał. Wstali, ubrali się i powędrowali na wzgórze. Veltan powitał ich w drzwiach.

- Cieszę się, że was widzę. Wejdźcie, wejdźcie. Mam wam wiele do powiedzenia, a czasu jak na lekarstwo.

- I my się cieszymy z twojego powrotu, panie Veltanie - powiedział Omago, gdy szli za bogiem do pokoju, w którym Yaltar spędzał większość czasu. - Pasterze spod granicy z krainą twojej siostry opowiadają różne niestworzone historie. Chcielibyśmy wiedzieć, co tam się dzieje.

- Nie spodobają wam się te wieści - stwierdził Veltan ponuro.

Znaleźli się w pokoju chłopca, gdzie jak zwykle panował okropny bałagan.

- Gdzie jest Yaltar? - spytała Ara.

- Został u mojej siostry - odpowiedział bóg. - Uznałem, że jeszcze nie powinien

dosiadać błyskawicy.

- Bardzo słusznie - zawyrokowała. Veltan usiadł.

- Okazało się, że Yaltar rzeczywiście jest jednym z Marzycieli. Jego proroczy sen odsłonił przed nami fragment przyszłości, uprzedził o ataku mieszkańców Pustkowie na krainę Zelany. Dzięki niemu zyskaliśmy czas na przygotowania. Zelana udała się na zachód i tam najęła armię piratów z Maagsu, ja natomiast na południu zyskałem pomoc zawodowych żołnierzy. Będą walczyć w obronie naszej ziemi. Dołączy do nich spory oddział trogickich najemników, którzy pomagali Zelanie.

- Mówili o tym pasterze - przyznał Omago. - Sądziłem, że zmyślają.

- Nie zmyślali. Taka jest prawda. Przybysze zza morza żyją w innym świecie, mają narzędzia, o jakich tu się nikomu nie śniło, broń wykuwają z żelaza albo z brązu, podczas gdy my robimy ją z drewna, kamienia i zwierzęcych kości. Metalowa broń jest znacznie lepsza. - Wyjął zza pasa błyszczący nóż. - Zobacz, Omago, zrobiony jest z żelaza. Dużo mocniejszy niż kość czy krzemień.

Rolnik wziął w dłoń dziwaczne narzędzie, ostrożnie wypróbował kciukiem ostrze.

- O ho ho! Bardzo ostre.

- To prawda. - Veltan zamyślił się na chwilę. - Czy powódź wyrządziła duże straty?

- Pewnie mogło być gorzej - odparł Omago z lekkim wzruszeniem ramion. - Wielu ludzi straciło dach nad głową, na południu ponoć kilku zabrała woda. Teraz już opada, niedługo będzie wiadomo, kto stracił życie.

- Przetrwaliście prawdziwy potop... Nie było innego wyjścia. Słudzy Vlagha, stworzenia podobne do owadów, napadły krainę mojej siostry Zelany. Jej Marzycielka wywołała powódź i zdołała powstrzymać wroga do czasu, gdy armie najemników były gotowe stawić mu czoło. Utonęły tysiące sług Vlagha, potwór z Pustkowie musiał przysłać nowe siły. Szli górskim wąwozem, zdołaliśmy ich zatrzymać. Nie wiemy, jak długo będą próbowali się przebijać. Nie są zbyt lotni, ale wcześniej czy później z pewnością uznają, iż warto zmienić kierunek natarcia. Jeżeli zwrócą się na południe... musimy im zgotować odpowiednie przyjęcie. Najprawdopodobniej w okolicy Wodospadu Vasha.

- Czy armia najemników zdąży tu na czas? - zapytał Omago.

- Tak, zdąży na pewno. Mają potężne statki, więc będą podróżować morzem. Poproszę siostrę, by i ona przysłała jakąś pomoc. Jej lud to myśliwi, doskonali łucznicy. Komandor armii najemników jest uzdolnionym strategiem, gdy rozmieści swoich ludzi na wybranych pozycjach, żaden wróg się nie prześlizgnie.

- Z nas nie będą mieli wielkiej pomocy - zasmucił się Omago.

- Zapewnimy wyżywienie dla wszystkich, ale broni nie mamy właściwie żadnej. Tylko proce, których pasterze używają do odstraszenia wilków...

- Nie ma co się martwić na zapas. Porozmawiaj z ludźmi, wybadaj nastroje. Najważniejsza rzecz teraz to zacząć gromadzić zapasy. Trogicka armia liczy sto tysięcy żołnierzy, więc będziemy potrzebowali naprawdę dużo jedzenia.

- Rozpuszczę wieści, panie Veltanie.

- Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć - rzekł bóg z uśmiechem.

- Cóż, czas na mnie. Zajrzałem na chwilę, żeby was ostrzec, ale muszę wracać toczyć wojnę na ziemiach Zelany.

Omago zaczął się bać. Nie miał żadnego pojęcia o wojnie, więc nie wiedział też, czego się spodziewać.

We dwoje z żoną ruszyli z powrotem do własnej chaty.

- Nie martw się, kochanie - powiedziała Ara. - To rola Veltana. A my musimy robić, co w ludzkiej mocy.

- Na razie potrafię jedynie pomóc mu się martwić - odparł Omago ponuro.

*

Metalowy nóż okazał się wszechstronnie użytecznym narzędziem, ale nie taka miała być jego rola. Na razie musiał służyć jako broń. A broń, o ile wiedział Omago, powinna odgrywać podwójną rolę: ranić wroga i chronić przed jego atakiem.

Metalowe ostrze pozwalało zranić każdego nieprzyjaciela, który by podszedł odpowiednio blisko, ale gdyby on także dysponował jakimś uzbrojeniem, sprawa mogła nie być taka łatwa.

- Szkoda, że ma taki krótki uchwyt - mruknął Omago pod nosem. I w tej samej chwili poczuł się jak ostatni głupiec. Przecież od zawsze używał narzędzi, które doskonale nadawały się na przedłużenie uchwytu - choćby tyczek służących do przyciągania gałęzi, dzięki którym można było zbierać owoce, nie wchodząc na drzewo.

Postanowił spróbować. Solidnie przymocował nóż do tyczki. W ten oto sposób narzędzie sadownika przekształciło się w groźną broń. Dźgnął kilka razy powietrze, wyszło mu niezgorzej. Jeśli zdoła pchnąć atakującego wroga w brzuch albo w twarz, z pewnością zada mu poważną ranę, a może nawet zabije. Ostrze na długim kijku powinno też utrzymać przeciwnika na dystans.

- No, no - uśmiechnął się do siebie. - Interesujące. Pozostał inny kłopot. Rolnikom żyjącym na ziemi Veltana obca była wszelka myśl o zabijaniu ludzi. Jednak, jak słyszał Omago, napastnicy nie do końca będą ludźmi. Raczej owadami. Robakami. Jeśli któryś

będzie wyglądem przypominał człowieka, to tylko dzięki przebraniu i oszustwu. Z ziem pani Zelany przyszło określenie „ludzie-owady”. Gdyby tak, tłumacząc współziomkom, co ich czeka, używać słowa „robaki”? W takim wypadku każdy rolnik ochoczo ruszy do walki, bez najmniejszego poczucia winy. Szarańczę tępili ogniem, a słowo „robak” mogło się okazać lepszą bronią w walce z najeżdżcą niż metalowe ostrza. O tak, rolnicy byli bardzo wyczuleni na to słowo.

Do kolacji siadł Omago w bardzo dobrym nastroju.

- Coś taki uśmiechnięty? - zapytała Ara. - Aż blask od ciebie bije.

- Chyba nie będziemy tacy bezbronni, jak się panu Veltanowi zdawało. Nietrudno zmienić narzędzie w broń, a przy okazji znalazłem wyjście ze znacznie większego kłopotu.

- Tak?

- Każdy rolnik będzie do ostatniego tchu bronił pola przed robakami, prawda? A od pana Veltana wiemy, że najeźdźcy są, przynajmniej częściowo, owadami. Czyli wystarczy, że ktoś stanie na wzgórzu i krzyknie „uwaga, robactwo!”, a wszyscy chwycą za broń.

- Bardzo interesujący koncept, kochanie - uznała Ara. - A teraz jedz, bo wystygnie.

*

Omago rozgłosił najnowsze wieści na prawo i lewo. Jeszcze tego samego wieczoru zjawilo się w jego chacie kilku przyjaciół. Poszli razem do szopy, gdzie gospodarz pokazał im nową broń. Wszyscy byli pod wrażeniem.

- Czy pan Veltan mógłby dać takie ostrze każdemu z nas? - zapytał wysoki, zwalisty Benkar. - Moglibyśmy wszyscy przytroczyć noże do tyczek i pomóc najemnym wojskom bronić naszej ziemi.

- Tego nie wiem - przyznał Omago. - Nie wiem też, czy najemnicy życzyliby sobie naszej pomocy. Może woleliby, żebyśmy im nie zawadzali. Poza tym nie mam pojęcia, jak dalece przydatna jest taka broń.

- Mimo wszystko pomysł jest wart rozważenia - włączył się brodaty Nanton. - Gdybyśmy wszyscy mieli takie tyczki z nożami, moglibyśmy spowolnić marsz nieprzyjacielskiej armii, a potem zasypać ją kamieniami z procy. Niewielu przeciwników wyjdzie żywych z takiego spotkania. W opowieściach o walce w krainie pani Zelany słyhać, że najemnicy patrzyli na jej lud z góry, póki jej łucznicy nie zaczęli zabijać robaków całymi setkami.

- Jeżeli ktoś na mnie popatrzy z góry - zapalił się Selga - to mu zęby powybijam!

- Na razie musimy potrenować, nabrać wprawy - stwierdził Eknor trzeźwo.

- Jak mamy trenować, skoro w całej krainie Veltana jest jeden metalowy nóż? -

zapytał Benkar.

- Prawie wszystko zależy od tyczki - uświadomił mu Enkor. - Możemy się wprawiać w walce samymi drągami. A potem, gdy dotrą tutaj najeźdźcy, może uda nam się zdobyć metalowe ostrza. I będziemy gotowi do walki. Przecież taka bitwa niewiele się będzie różniła od zbiorów pszenicy. Wystarczy iść rzędem, jeden obok drugiego - i ciąć robactwo zamiast zboża.

Omago z ledwością skrył uśmiech. Poszło lepiej, niż oczekiwał. Dzięki słowu „robactwo” natychmiast zyskał poklask współziomków, obudził w nich bojowy nastrój. Czyżby nie byli tak bezbronni, jak sądził Veltan? Nanton i Eknor zareagowali na wieść o zagrożeniu w najlepszy możliwy sposób. Stanowczo wszystko układało się doskonale.

*

W miarę jak mijały dni, wieść o ludziach-robakach zataczała coraz szersze kręgi i do Omago przybywali kolejni rolnicy chcący przyłączyć się do zaimprovizowanej armii. Eknor uczył ich posługiwania się tyczkami oraz utrzymywania linii natarcia, podczas gdy Nanton szkolił pasterzy w coraz celniejszych i coraz dalszych strzałach z procy.

Trenowali już dobre dwa tygodnie, gdy któregoś popołudnia powietrze przeszył suchy trzask grzmotu. Zjawił się pan Veltan.

- Co tu się dzieje, Omago?

- Przyszło mi do głowy, że do noża lepsza byłaby długa rękojeść, więc przywiązałem go do tyczki, a wtedy zmienił się z narzędzia w broń. Ludzie uznali to za dobry pomysł, zwłaszcza jeśli przybysze dadzą nam więcej noży. - Omago rozejrzał się bacznie dookoła, sprawdził, czy nikt postronny nie słucha. - Trochę nagiąłem prawdę - wyznał cicho. - Ponieważ wiedziałem, że nasi wrogowie są po części owadami, zacząłem ich nazywać ludzie-robaki. W rolnikach, którzy żyją z uprawy ziemi, samo wspomnienie o jakimkolwiek robactwie burzy krew, więc gdy wiadomość się rozeszła, zaczęli tu ściągać, chcą szykować się do walki. Nanton i pasterze doskonalą się w strzelaniu z procy. Może się jeszcze okazać, że najemna armia będzie z nas miała jakiś pożytek.

- Wspaniałe wieści - ocenił Veltan. - Jak tylko dotrze tu Zajączek, poproszę go, żeby narobił dla was specjalnych grotów na tyczki. Sprawdzają się w walce znacznie lepiej niż nóż przywiązany do patyka.

- Jaki zajączek?

- Takie imię nosi jeden z mieszkańców Maagsu. Jest biegły w sztuce obróbki metalu. Gdy twoi ludzie będą mieli dość broni z prawdziwego zdarzenia, z metalowymi zatrutymi grotami, żaden wróg was nie pokona.

- Czym się zatruwa groty?

- Jadem. Potwory z Pustkowie są po części węzami, mają zęby jadowe. W czasie walki w krainie Zelany wszyscy jej żołnierze nurzali groty w jadu. Trucizna zabiła setki sług Vlagha. - Veltan przerwał. - Marzyciel Dahlaine'a, Ashad, miał proroczy sen. Wiemy już z całą pewnością, że wróg zaatakuje właśnie tutaj. Moim zdaniem jednak nie mamy się czego obawiać. Nie tylko sami nie jesteśmy bezbronni, ale też dysponujemy armią najemników.

- Oby zdążyła przybyć na czas. Robimy co w naszej mocy, ale własnymi siłami wojny raczej nie wygramy.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił Veltan przyjaciela. - Zajrzę do Maagsów, zaniosę im wieść, że czas się pośpieszyć.

*

Gdy skończył się okres zasiewów i sadzenia, rolnicy ściągali wciąż liczniej i liczniej. Najwyraźniej wieści przekazywane z ust do ust zataczały coraz szersze kręgi. Wszyscy ciekawi byli metalowego noża, każdy chciał mieć taki dla siebie. Niektórzy wrócili do domu, gdy wyszło na jaw, iż najpewniej nic podobnego nie dostaną, ale takich było niewielu. Armia Omaga rosła z dnia na dzień, szkolenie rekrutów było żmudne, lecz rolnik miał pewność, iż gra jest warta świeczki, więc przez kilka tygodni nie robił właściwie nic innego.

Aż któregoś ranka znajomy trzask pioruna oznajmił o powrocie pana Veltana.

Omago ubrał się i - jak wtedy wieczorem - poszedł razem z Arą na wzgórze, do domu boga, zapytać go, jak przebiega wojna na zachodzie.

- Wypadki potoczyły się lepiej, niż oczekiwaliśmy - zawiadomił ich Veltan. - Co prawda straciliśmy Lattash, ale to niewygórowana cena za tak wspaniałe zwycięstwo. Maagsowie i Trogici już zdążają nam na pomoc. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, jeśli równie mądrze rozegramy walkę tutaj, na południu, wygramy całą wojnę. Może przekonamy potwory z Pustkowie do powrotu tam, skąd przyszły.

- Obawiam się, drogi panie Veltanie, że owady nie są tak inteligentne - stwierdziła Ara.

- Kiedy zjawi się armia najemników? - chciał wiedzieć Omago.

- Jutro, najdalej pojutrze. Zelana pomaga im w drodze, mają silne, sprzyjające wiatry.

- Veltan lekko zmarszczył brwi. - Aro, przypomniała mi się ważna sprawa. Powinnaś chyba uprzedzić ludzi, że Maagsowie są hałaśliwi i nieokrzesani. Narasan swych żołnierzy trzyma w karchach, lecz ci z oddziałów Sorgana potrafią nawet zaczepiać młode kobiety.

- Uprzedzę wszystkich - obiecała Ara.

- Kiedy dostaniemy groty i noże? - niecierpliwił się Omago.

- Porozmawiam z Zajączkiem, jak tylko się tu zjawi - obiecał Veltan. - Swoją drogą na waszym miejscu nie upierałbym się przy określeniu „nóż”. Zajączek jest wyjątkowo zdolnym rzemieślnikiem. Warto mu wytłumaczyć, czego potrzebujecie. On może mieć jakiś pomysł, który nikomu innemu nie przyszedłby do głowy. To on wymyślił metalowe groty do strzał. Wcześniej łucznicy z krainy Zelany używali krzemiennych.

- Będę o tym pamiętał - powiedział Omago.

- Mam zaprowadzić rodaków na plażę, zanim zjawią się tam najemni żołnierze? - spytał Omago z powątpiewaniem.

- Nie podoba ci się ten pomysł - zauważył Veltan.

- Rzeczywiście, niespecjalnie. Przybysze są zawodowcami, a moi pobratymcy to ciągle jeszcze zbieranina ochotników. Prawdopodobnie zostaną wyśmiani, wtedy połowa z nich natychmiast odejdzie. Nie lepiej by było, gdybyś najpierw porozmawiał z najemnikami, panie? Uprzedził ich, co zastaną?

- Zgoda. Wobec tego pójdziemy na plażę we dwóch.

- Ara też na pewno chętnie się wybierze. Tęskni za Yaltarem.

- Doskonale. Przy okazji pozna moją siostrę.

- Kiedy powinniśmy wyruszyć?

- Zdążysz jeszcze spokojnie zjeść śniadanie. Flota zjawi się przed południem, a na brzeg nie mamy daleko. - Veltan skrzywił się lekko. - Wolałbym nie sprowadzać najemników na ląd... Tak. Oficerów trzeba będzie zaprosić, ale reszta niech zostanie na statkach, zwłaszcza że wkrótce ruszymy do Wodospadu Vasha. Im mniej przykrych konfrontacji, tym lepiej.

- Trudno się z tym nie zgodzić.

Najpierw na horyzoncie rozkwitły białe żagle. Ich liczba wprawiła Omaga w zdumienie. Natomiast Ara nie wydawała się szczególnie zaskoczona.

Niekiedy zachowywała się dziwnie.

W miarę jak ozłocona promieniami słońca flota zbliżała się do brzegu, Omago dostrzegał coraz więcej szczegółów. Jedne statki były pękate, przypominały beczki, drugie - smukłe niczym młode drzewka.

- Całkiem różne! - dziwił się rolnik.

- Są przeznaczone do różnych celów - objaśnił Veltan. - W wielkich, wolniejszych, przewozi się najróżniejsze towary, a mniejsze, szybsze, doganiają je i rabują.

- Wobec tego pływający na nich ludzie są wrogami? - upewniła się Ara.

- Z początku nie potrafili działać razem - przyznał bóg - lecz zjednoczyli się wobec

zagrożenia ze strony mieszkańców Pustkowie.

W pewnej chwili flotę wyprzedził niewielki statek jednożaglowy. Szybko zbliżał się ku plaży.

- To moja łódź - powiedział Veltan. - Zgrabniutka, prawda?

- Do czego służy, drogi panie Veltanie? - zapytała Ara. - Jest zupełnie inna niż pozostałe.

- Największą jej zaletą jest szybkość - wyjaśnił bóg z nieskrywaną dumą. - Korzystam z tego statku, gdy mi się śpieszy.

- Czy błyskawicą nie byłoby szybciej?

- O tak, ale ona jest bardzo hałaśliwa, a czasami zależy mi na dyskrecji.

W łodzi znajdowało się czterech mężczyzn. Jeden niewielkiego wzrostu, jeden przeciętnej budowy oraz dwóch potężnych, odzianych w skóry.

- Ten najmniejszy to Zajączek, mieszkaniec Maagsu, o którym ci opowiadałem - powiedział Veltan. - Keselo jest Trogitą, a ci dwaj giganci to Długa Strzała i Rudobrody, łucznicy z krainy Zelany.

- Są myśliwymi? - zapytał Omago.

- Bardzo dobrymi myśliwymi - podkreślił Veltan. - Rudobrody szyje z łuku tylko nieco gorzej niż Długa Strzała, który nigdy nie chybia.

Omago uśmiechnął się niepewnie.

- Jako dziecko chciałem być myśliwym. Tacy ludzie mają życie pełne przygód.

- Długa Strzała nie jest zwykłym myśliwym. Od lat prowadzi wojnę z potworami z Pustkowie. Nienawidzi ich z całego serca i zabija każdego, jakiego napotka. Teraz można by pewnie powiedzieć, że jest najemnikiem Zelany, ale nie umie podporządkować się rozkazom. Słucha tylko Elerii, a i jej nie zawsze.

- Czy to nie złości pani Zelany? - spytała Ara.

- Nie, nie, wcale. Długa Strzała służy jej z oddaniem i zrobi wszystko, by jej pomóc, tyle że woli działać własnymi metodami.

- Veltan lekko wzruszył ramionami. - Liczą się efekty. Sposób ich osiągnięcia nie ma wielkiego znaczenia.

- A gdzie jest Yaltar? - zapytał Omago.

- Płynie z Zelaną i Elerią na „Mewie”, flagowym statku Maagsów. Dowodzi nim komandor Sorgan Orli Nos. W swoim czasie chłopiec zacznie podróżować ze mną na błyskawicy, ale na razie chyba na to za wcześnie.

- O wiele za wcześnie - stwierdziła Ara stanowczo. Niewielki smukły żaglowiec

przybił do brzegu, znacznie wyprze dziwny flotę. Wszyscy czterej pasażerowie wysiedli.

- Omago, to jest Zajączek - powiedział Veltan, kładąc dłoń na ramieniu niepozornego przybysza. - Jeśli mu wyjaśnicie, co wam jest potrzebne, z pewnością okaże się nieoceniony.

- Liczymy na twoją pomoc - rzekł Omago do nieznanego.

- Pan Veltan opowiedział nam o wydarzeniach, jakie zaszły w krainie jego siostry, i dał mi nóż, bym zrozumiał, co to jest metal. Uznałem, że będzie lepszym narzędziem do ataku i obrony, jeśli go przytwierdzą na końcu długiej tyczki.

- U nas taki instrument nazywa się włócznią - stwierdził Zajączek. - Używamy go od bardzo dawna.

- Naprawdę? - zdziwił się Omago. - A ja myślałem, że dokonałem wynalazku. No, ale też muszę przyznać, że w ogóle o wojnie pojęcie mam niewielkie.

- Zmyślny człowiek z tego Omaga - odezwał się młody Trogita, Keselo. - Nie widział włóczni na oczy, w życiu o niej nie słyszał, więc ją sobie wynalazł.

- Na to wygląda - rzekł Zajączek. - Jak wymyślisz coś jeszcze, Omago, przyjdź do mnie i opowiedz. A ja to wykuję w żelazie i sprawdzimy, jak działa. Teraz mi powiedz, jak wymyśliłeś włócznię.

- Mam duży sad, więc żeby nie wspinać się na każde drzewo, używam tyczek do ściągania gałęzi. Stałem pod jabłonią z nożem w jednym ręku, a patykiem w drugim i wtedy wpadła mi do głowy myśl, żeby połączyć oba te przedmioty.

- Jak ci wpadnie do głowy coś jeszcze, przyjdź z tym do mnie.

- Statki są już blisko - oznajmił nagle Długa Strzała. - Zaraz do nas dołączą Sorgan i Narasan.

- Bardzo dobrze - ucieszył się Veltan. - Mamy dużo pracy, a czas ucieka.

*

Omago z wielką ciekawością przyglądał się schodzącym z „Mewy”. Potężni mieszkańcy Maagsu, każdy z bronią przy pasie, niewątpliwie budzili respekt. Trogici mieli nieco ciemniejszą karnację i byli trochę niżsi, ale także uzbrojeni po zęby.

Nagle rolnik dostrzegł Yaltara. Chłopiec szedł bliżej końca grupy, w towarzystwie pięknej damy, najpewniej pani Zelany, oraz ślicznej dziewczuszki. To z pewnością była Marzycielka Zelany, Eleria.

Ara na ten widok pobiegła ku wodzie i chwyciła chłopca w objęcia. Mały przyłgnął do niej, niepewny i jakby wystraszony.

- Piękna kraina, panie Veltanie - odezwał się Trogita o ciemnych włosach przeplatanych nitkami siwizny na skroniach.

- Tak, Narasanie, to piękny kraj - zgodził się Veltan. - Gdzie jest Gunda?

- Wysłałem go do Castano, ma sprowadzić resztę armii - wyjaśnił Trogita. - Oby przejście w barierze lodowej nadal było otwarte.

- Jest otwarte - zapewnił go Veltan. - Czy miałeś w drodze jakieś przygody?

- Nie. Jedyne kłopoty pojawiły się, zanim jeszcze postawiliśmy żagle. Plemię Rudobrodego nie chciało go puścić. Został wodzem całkiem niedawno i nie krył, jak mu nie na rękę ta rola, więc jego ludzie się obawiali, że podróż to raczej ucieczka. Pewna kobieta z jego plemienia, Sadzonka, określiła go tak niepocholebnie, że szkoda było słuchać.

- Zostawmy ten temat, komandorze - burknął człowiek z ognistą brodą.

- Powinniśmy wszyscy być zorientowani w sytuacji - rzucił Narasan. - Mój pracodawca ma prawo wiedzieć także o tej sprzeczce.

Rudobrody odwrócił się i odszedł, mrużąc coś pod nosem.

- Komandorze - odezwał się Veltan - to jest Omago. Znam go od lat dziecięcych. Tutejsi rolnicy i pasterze mają zwyczaj przychodzić do niego ze swoimi sprawami.

- I w dodatku ma głowę nie od parady - dorzucił Keselo. - Wystarczyło, że dostał do ręki nóż, a wymyślił włócznię.

- Przecież włócznia jest znana od wieków - wtrącił się jakiś chudy Trogita.

- Owszem, Jalkanie, jest znana od wieków, tyle że nie tutaj. Tutejsi chłopcy nie znają nawet znaczenia słowa „wojna”, nigdy nie potrzebowali żadnej broni. Omago odnosi się do swojej włóczni jak do narzędzia. Innymi słowy, ma do tych spraw zupełnie inne podejście od naszego.

- Dodam, że rolnicy byli pod wielkim wrażeniem, komandorze - odezwał się Veltan. - Teraz każdy chce mieć swoją włócznię.

- A na co chłopu włócznia? - prychnął chudzielec.

- Dostyc, Jalkanie! - uciszył go Narasan.

- Pytanie jest zasadne - sprzeciwił się Veltan. - Dlatego odpowiem. Jak wspomniałem, nasi przeciwnicy są po części owadami. Wieści o zdarzeniach w krainie mojej siostry oczywiście przekroczyły granicę, więc i Omago usłyszał historie o ludziach-owadach czy ludziach-robakach. A słowo „robactwo” w każdym rolniku wyzwała mordercze instynkty. Rój szarańczy potrafi w jeden dzień zniszczyć roczne zbiory. Dlatego zobaczywszy wynalazek Omago, farmerzy postanowili przyłączyć się do walki.

- Gdyby ich nauczyć formowania zwartej falangi, mogliby się okazać przydatni, prawda, komandorze? - podsunął Keselo.

- Dobra myśl. Potrzebne im będą również tarcze.

- Co to jest tarcza? - zapytał Omago.

- Metalowy talerz przytroczony do lewego przedramienia. Pozwala obronić się przed ciosami przeciwnika.

- Panie komandorze - odezwał się Keselo - kapitan Sorgan nadchodzi.

- Doskonale. - Narasan przeniósł wzrok na Veltana. - Gdzie rozbijamy obóz?

- Cóż, chciałbym zaproponować inne rozwiązanie, komandorze. Mam nadzieję, że nikt nie poczuje się obrażony. Wydaje mi się sensowne pozostawienie obu armii, twojej i kapitana Sorgana, na statkach. Twoi żołnierze są zdyscyplinowani, to prawda, ale Maagsowie... Rozumiemy się, jak sądzę.

- Owszem. Doskonale. Czas pokoju budzi w Maagsach najgorsze instynkty.

- W dodatku niedługo ruszamy do Wodospadu Vasha - podjął Veltan - toteż budowa obozu tutaj byłaby tylko marnotrawieniem czasu i sił. Mój lud już zgromadził żywność dla żołnierzy, przyniesie ją na plażę. Ciebie, komandorze, kapitana Sorgana i kilku oficerów zapraszam do siebie. Skorzystałem z pomysłu Zajączka i sporządziłem mapę okolic wodospadu, na pewno warto na nią zerknąć. Według słów Marzyciela mojego brata bitwa rozegra się właśnie tam, więc powinniśmy wszyscy mieć pojęcie o ukształtowaniu terenu. Zbliżył się do nich potężny Maags.

- Płasko tutaj, Narasanie - zauważył. - I drzew o wiele mniej niż na zachodzie.

- Mnie to wcale nie przeszkadza, Sorganie - odparł komandor.

- Nie lubię walczyć w lesie. - Gestem dłoni wskazał rolnika. - To jest Omago. Poniekąd on tutaj rządzi.

- Jest wodzem?

- Nie mamy tutaj hierarchii - odezwał się Veltan. - Omago nie wydaje rozkazów, jedynie podsuwa sugestie.

- Pan Veltan uznał, że powinniśmy zostawić wojsko na statkach - zaczął Narasan z innej beczki. - Za kilka dni ruszamy w góry, więc nie ma sensu budować obozu.

- Trudno ci odmówić słuszności.

- Wy, panowie - uzupełnił Veltan - wraz z oficerami pójdziecie do mnie na wzgórze. Przyjrzymy się mapie okolicy, w której będzie toczyła się bitwa. Nasze góry są znacznie bardziej strome niż wąwóz nad Lattash.

- Ze mną pójdzie Wól i Wielka Pięść - zdecydował Sorgan, lekko wzruszając ramionami. - W końcu to wojna Narasana, my tu jesteśmy tylko na wycieczce.

- Doskonale wiesz, że to nieprawda - odparował komandor.

- Może nieprawda, może prawda... - Kapitan uśmiechnął się cokolwiek złośliwie. - Ale tym razem słuchamy twoich rozkazów. Więc jeśli coś pójdzie nie tak, ty będziesz winny.

- Umiesz podnosić na duchu - stwierdził Narasan kwaśno.

- Wiedziałem, że docenisz mój talent. - Sorgan wyszczerzył w uśmiechu wszystkie zęby.

Omago przyglądał się dowódcom z dużym zainteresowaniem. Widział, że łączyła ich silna więź przyjaźni, najpewniej zadzierzgnięta w czasie wojny na zachodzie. A to był bardzo dobry znak w obliczu kłopotów.

*

- Jak tutaj na Dhrallu jest zorganizowany Kościół? - zapytał odziany w skóry chudy Trogita o imieniu Jalkan.

W drodze na wzgórze trzymał się boku Omago i zadawał mu mnóstwo pytań.

- Nie bardzo rozumiem, czego chciałbyś się dowiedzieć - odpowiedział rolnik. - Co masz na myśli?

- Księży. Duchownych. Pośredników między bogiem a jego ludem. Sługów bożych, którzy przewodzą ludziom w modlitwie i troszczą się, by nikt nie łamał zasad wiary.

- Nie mamy tu nic takiego - stwierdził Omago. - Raczej w krainie pani Aracii... Pan Veltan chyba nie uważa, by Kościół był potrzebny na jego ziemiach. Jeśli ktoś chce o coś go zapytać, może zwyczajnie zadać pytanie. Najczęściej jednak ludzie wolą korzystać z mojego pośrednictwa.

- Chcesz powiedzieć, że tutaj wszyscy mogą bezpośrednio rozmawiać z samym bogiem? - Jalkan był wyraźnie wstrząśnięty.

- Przecież po to on tu jest, tak?

- Ale... - Jalkanowi zabrakło słów.

- Co kraj to obyczaj - podsumował Omago zwięźle. - My tutaj żyjemy powolutku i bez większych ceregieli.

- A gdzie są kopalnie złota? - Trogita gwałtownie zmienił temat. - Musimy to wiedzieć, bo przecież o nie będzie toczyła się wojna. Napastnicy chcą zagarnąć wasze złoto.

- Nie przypuszczam. Moim zdaniem słudzy Vlagha nie są zainteresowani złotym metalem, z którego ludzie robią ozdoby. Vlagh chce naszej ziemi i naszej żywności.

Jalkan, z miną pełną powątpiewania, przyspieszył kroku, zostawiając rolnika samego.

- Lepiej uważać, co się przy nim mówi - rzekł cicho Długa Strzała, zrównawszy się z rolnikiem. - Inni Trogici nie darzą go sympatią, jest chciwy, fałszywy i źle traktuje swoich ludzi.

- Dziwni ci przybysze. Łucznik uśmiechnął się lekko.

- Oni uważają, że my jesteśmy dziwni. Miotają się w gąszczu różnych spraw, podczas gdy my kochamy prostotę. Nie wiedzieć czemu, wydają się tym oburzeni.

- Będę szczęśliwy, kiedy to się wszystko skończy, a obcy wrócą do siebie.

- Nie ty jeden, przyjacielu, nie ty jeden.

*

- Nieprawdopodobne! - wykrzyknął wysoki Trogita Padan. Zdumionym spojrzeniem mierzył dom Veltana. - Z litej skały!

- Chroni przed kaprysmi pogody - rzucił bóg lekko. - Zwróciłem na to uwagę w Kaldacinie.

- Ale jak to się robi?

- Na pewno chcesz wiedzieć, Padanie? - uśmiechnął się Veltan. Padan zerknął na niego z lekkim przestraszaniem.

- Nie, chyba nie - zdecydował po chwili. - Podejrzewam, że potem miałbym kłopoty z zaśnięciem.

- Zapraszam do środka, przyjaciele. - Veltan zamasztył gestem otworzył drzwi. - Szczegółowa mapa terenu, na którym rozegra się bitwa, czeka. Przyjrzyjmy się jej i zastanówmy, co może się tam zdarzyć.

Omago zaczekał przed drzwiami na żonę.

- Jak się czuje Yaltar? - zapytał cicho.

- Niezbyt dobrze, kochanie. Z tego, co zrozumiałam, musiał w krainie Zelany dokonać jakiegoś straszliwego czynu, nie potrafi się z tego otrząsnąć. Pani Zelana stara się go uspokoić, ale on chce tylko trzymać za rękę Elerię.

- Zostaniesz z nimi?

- Tak chyba będzie lepiej. Posadzę ich w kuchni. Muszę uwarzyć kolację dla przybyszów, a zapach jadła zwykle wpływał na Yaltara kojąco.

- Gdy ty gotujesz, wszyscy się zachwycają, serduszko ty moje - uśmiechnął się Omago.

- Nie będę się z tobą sprzeczać. Idź już, kochany. Veltan może cię potrzebować.

Omago dogonił pozostałych, razem weszli do obszernego pomieszczenia, którego sobie wcale nie przypominał. Nic w tym nie było szczególnie dziwnego, bóg stale przebudowywał dom, zmieniając położenie różnych pokoi bez widocznej przyczyny.

- Oto nasza sala odpraw - oznajmił Veltan z nieskrywaną dumą.

- Wzorowałem się na twojej, komandorze Narasanie, tej z Kaldacinu, ale

wprowadziłem kilka zmian.

- Tak, rzeczywiście. - W głosie trogickiego komandora brzmiał podziw.

Pomieszczenie było okrągłe, wejście prowadziło na galerię usytuowaną jakieś trzy metry nad podłogą. W dole widać było mapę - miniaturę górzystego krajobrazu wokół Wodospadu Vasha. Choć Omago wiedział, że Veltan jest utalentowany plastycznie, to, co zobaczył, sprawiło go w zdumienie.

- Skąd wydobywa się woda? - zapytał Sorgan Orli Nos. - Na trawiastej równinie nad wodospadem nie widzę żadnych strumieni, które by zasiliły rzekę.

- Spod ziemi - objaśnił Veltan. - Bucha w niebo gejzerem wyso kim na trzydzieści metrów.

- Czy to twój pomysł, panie Veltanie? - spytał Keselo. Bóg pokręcił głową.

- Podejrzewam, że to skutek trzęsienia ziemi. Góry są jeszcze młode, niespokojne.

- Zbocza wokół wodospadu są znacznie bardziej strome niż w wąwozie nad Lattash - zauważył Sorgan. - Trudniej w podobnym terenie toczyć walki.

- Panie Veltanie - odezwał się Narasan - czy wiemy, kiedy się spodziewać przeciwnika?

- Nie wiemy. Mamy z tym taki sam kłopot jak w wypadku bitwy pod Lattash. Marzyciel mojego brata powiedział mu, gdzie dojdzie do starcia, ale nie określił czasu.

- Skoro nasi wrogowie potrafią ryć tunele pod ziemią, nie możemy wykluczyć, że już na nas czekają - stwierdził Padan.

- Niekoniecznie - sprzeciwił się Keselo. - Całe wieki zajęło im przyszykowanie drogi od kamiennych schodów do jaskiń, u których wylotu leżały starożytne miasta w wąwozie. Raczej nie zdążyli jeszcze dotrzeć do Wodospadu Vasha.

- Też jestem tego zdania - oznajmił Narasan. - Gdyby wróg miał gotowe tunele w obu miejscach, najprawdopodobniej zaatakowałby obie krainy równocześnie. Wydaje mi się, że tym razem nie będą się przemieszczali podziemnymi korytarzami. Ta inwazja jest aktem desperacji. Wybuch wulkanów na zawsze zamknął drogę przez wąwóz, a skoro nasz wróg z jakichś powodów musi zdobywać nowe ziemie, jest mu obojętne, które zaatakuje. Co ty na to, Sorganie?

- Nie zastanawiałem się nad tym szczególnie, ale twoja opinia wydaje mi się sensowna - zgodził się Orli Nos. - Jeżeli masz rację, powinniśmy ruszać w góry, budować forty i umocnienia. Potrzebna nam jakaś osłona przed ludźmi-wężami.

- Zgadzam się z tobą, Sorganie - oznajmił Narasan. - Główny korpus mojej armii wkrótce się tu zjawi, ale nie zaszkodzi wysłać forpoczty na szczyt wodospadu możliwie

najszybciej. Nie mam ochoty na niespodziewane spotkania z wrogiem, za stary jestem na niespodzianki.

*

Mniej więcej godzinę później w okrągłym pokoju zjawiała się Ara.

- Kolacja gotowa - oznajmiła. - Zapraszam. Warto zjeść, zanim wystygnie.

- Doskonała myśl, panowie - poparł ją Veltan. - Ara jest najlepszą kucharką na świecie.

- W takim razie marnuje swój prawdziwy talent - stwierdził Jalkan, szacując kobietę sprośnym spojrzeniem. - Z takim ciałem zarobiłaby w Kaldacinie fortunę.

Omago zeszywniał.

- Nie rozumiem, o czym mówisz - odezwał się głuchym głosem.

- Ślepy jesteś, człowieku? Na jej widok w każdym zdrowym mężczyźnie gotuje się krew. Zapłaciłbym dobrą cenę złotem, żeby znalazła się w moim łóżu.

Omago, nie wiedząc jak ani kiedy, wyrznął go pięścią w twarz. Trogita padł na wznak, lecz od razu zaczął się gramolić na kolana. Pluł krwią, zębami i przeklinał na czym świat stoi. Dłonią szukał noża u pasa.

Keselo okazał się szybszy. Błyskawicznie wyciągnął miecz z pochwy, przystawił klęczącemu czubek ostrza do gardła.

- Zostaw - rozkazał. - Rzuć nóż, bo cię zabiję.

- Ten wieśniak mnie uderzył! - wrzasnął Jalkan. - Ta zniewaga krwi wymaga! Jestem oficerem!

- I tu się mylisz - zabrzmiał beznamiętny głos Narasana. - Stanowczo za długo się z tobą cackałem. Twoja kariera wojskowa właśnie dobiegła końca.

- Nie masz prawa! - wrzasnął Jalkan. - Zapłaciłem za mój patent oficerski! Zapłaciłem złotem!

- Cóż, przepadło. Koniec dyskusji. - Narasan odwrócił się od chudego współziomka. - Padanie, skuj tego łajdaka i zabierz na statek. Później zdecyduję, co z nim zrobić. Jak się uspokoję. - Odwrócił się do Omaga. - Chcesz sam zdecydować o jego losie czy wolisz, żebym ja to zrobił? Nie jestem obeznany z prawami Dhrallu. Obrażona została twoja żona, więc skłonny jestem zostawić tę sprawę w twoich rękach.

- Niech on mi po prostu zniknie z oczu, komandorze - wycodził rolnik przez zaciśnięte zęby.

- Dobrze. Wobec tego ja go ukarzę. - Narasan podniósł wzrok na Padana. - Zabierz stąd tego zboreźnika - rozkazał.

- Z przyjemnością, panie komandorze - powiedział Padan z szerokim uśmiechem na twarzy. - Pójdiesz sam, zboreźniku? Czy wolisz na kopniakach?

- Dobra myśl - zawyrokował Rudobrody.

- Zawsze miałem dobre pomysły - stwierdził Padan nieskromnie.

*

Następnego ranka Omago zastał u Veltana w sali odpraw kilku obcych.

- A, jesteś - powitał go bóg. - Chciałbym ci przedstawić parę osób. - Najpierw wskazał potężną, srebrnobrodą postać, ubraną w skóry i futra. - To jest mój starszy brat, Dahlaine z Krainy Północnej.

- Witam - rzekł brodac, krótko skinąwszy głową.

- Miło mi cię poznać, panie - odezwał się rolnik onieśmielony. Nie wiedzieć czemu, brat zaprzyjaźnionego boga budził w nim niepokój.

- Moją siostrę Zelanę już znasz - podjął Veltan. - A to moja druga siostra, Aracia.

Omago skłonił się nisko. Bogini, odziana w piękne szaty, obrzuciła go nieuważnym spojrzeniem.

- A to wodzowie armii wynajętych przez moje rodzeństwo. Oni także powinni się jak najlepiej zapoznać z sytuacją.

- Veltan twierdzi - odezwał się Dahlaine - że ty dowodzisz tutejszym wojskiem.

- Nie jestem pewien, czy można określić nas tym mianem, nie umiemy jeszcze dobrze walczyć, ale komandor Narasan obiecał nam pomoc w szkoleniu.

- Słyszałeś kiedyś o koniu? Omago w skupieniu ściągnął brwi.

- Nie, nie przypominam sobie - wyznał po chwili.

- Koń to zwierzę podobne do krowy, ale nie ma rogów i porusza się znacznie szybciej niż ona. - Dahlaine położył dłoń na ramieniu stojącego przy nim szczupłego człowieka z blizną na twarzy. - To jest książę Ekial, wódz jeźdźców. Jego lud przed wiekami oswoił konie. Najpierw używano ich jako zwierzęta juczne, potem ktoś wpadł na pomysł, że skoro potrafią przenosić z miejsca na miejsce ciężkie worki ziarna czy drewno na opał, to zapewne może na nich podróżować człowiek. Okazały się wygodnym i szybkim środkiem transportu. A w czasie wojny łatwiej walczyć, siedząc na końskim grzbiecie. Ponieważ na Dhrallu koń nie jest znany, słudzy Vlagha nie będą wiedzieli, z czym mają do czynienia. Jestem pewien, że ani zwierzęta, ani jeźdźcy nie przypadną im do gustu. Ci, którzy przeżyją, będą mieli o nich jak najgorsze zdanie. I nie będzie ich wielu.

- Naprawdę podróżujesz na grzbiecie zwierzęcia? - spytał księcia Omago.

- Tak jest szybciej i wygodniej niż na piechotę - odrzekł Ekial.

- Konie lubią biegać, a my dzięki nim docieramy na miejsce z pięć razy szybciej niż na własnych nogach.

- Czy możecie skończyć te pogaduszki? - odezwała się Aracia.

- Obowiązki czekają. - Odwróciła się do Omaga. - Ja także mam dla ciebie wieści. - Wskazała wysoką kobietę z długim ostrzem u pasa. - To jest Trenicia, królowa wojowniczek z wyspy Akalla. Jak wiadomo, co kraj, to obyczaj. Na wyspie Akalla rządzą i walczą kobiety.

- A co robią mężczyźni? - zainteresował się Ekial.

- Migają się - odparła wojowniczka kpiącym tonem. - Wyrobili w sobie niedoścignioną umiejętność spychania wszystkiego na kobiety. My uprawiamy ziemię, polujemy i walczymy. Oni siedzą, tyją i sprzecząją się na temat czegoś, co nazywają „filozofią”, nie ma w tym żadnego sensu.

- Przyglądam się twojemu smukłemu mieczowi - wyznał Ekial - i mam wątpliwość, czy zdoła on przeciąć jakąkolwiek zbroję.

- Po co miałby ciąć zbroję? Przecież to strata czasu. Najważniejszą częścią mojej broni jest czubek, tak ostry, że gładko prowadzi ostrze w ciało. Nietrudno trafić wroga w głowę albo w brzuch. Każda kobieta straci po takim ciosie ducha walki.

- Walczycie z innymi kobietami? - spytała Zelana zaskoczona.

- Oczywiście. Nasi mężczyźni nie wiedzą nawet, który koniec miecza jest ostry. Parę lat temu wybuchła na wyspie awantura o to, kto jest prawdziwą królową... już wiadomo. Wszystkie, które przeżyły, całym sercem zgadzają się, że ja nią jestem i ja wydaję rozkazy.

- Uśmiechnęła się promiennie. - Wspaniale, prawda?

Królowa wojowniczek budziła w Omagu strach. Przerazająca była jej dzikość.

Dahlaine ruchem głowy odwołał brata na bok, lecz stanęli na tyle blisko, że rolnik słyszał ich cichą rozmowę.

- Powiedziałeś najemnikom o drugiej inwazji ze snu Ashada? - zapytał Dahlaine.

- Jeszcze nie. Nie mam pojęcia, w jaki sposób zawiadomić o niej Narasana, tak żeby go nie urazić. Obym dał sobie z nią radę sam. Może poproszę o pomoc Zelanę. Świetnie kieruje wiatrami i pływami, pewnie mogłaby uwięzić flotę w mrozie na kilka stuleci.

- Na to bym nie liczył, Veltanie. We śnie Ashada nieprzyjazna flota przybija do południowych wybrzeży twojej krainy.

- Może się to sprawdzić, ale nie musi. We śnie Elerii zginął Sorgan i wszyscy jego ludzie, tymczasem Długa Strzała zmienił bieg przewidzianych wypadków. W moim przekonaniu prorocze sny są ostrzeżeniem, a nie obrazem rzeczywistości.

- Cóż... być może - ustąpił Dahlaine. - Ale miej oczy otwarte.

*

Następnego dnia Zajączek wprowadzał Omaga w tajniki swojej sztuki.

- Ta obejma pasuje dokładnie do czubka włóczni. Wystarczy kilka uderzeń młotkiem, żeby obie części solidnie połączyć.

- Rzeczywiście, lepsze to niż przywiązywanie noża do tyczki - zgodził się rolnik. - A wiesz, w nocy coś mi przyszło do głowy.

- Kolejny świetny pomysł? - uśmiechnął się Zajączek.

- Możliwe. Uświadomiłem sobie, że włócznia z kilkoma czubkami byłaby skuteczniejsza.

- Jeszcze o takiej nie słyszałem.

Omago zniknął w szopie. Po chwili wrócił z grabiami w dłoniach.

- Tym narzędziem zbieramy słomę z pola - rzekł, podając je Trogicie. - Gdyby zęby były proste, zyskalibyśmy groźną broń.

Zajączek w zamyśleniu postukał młotem w kowadło.

- Nie jest to zły pomysł - przyznał po chwili. - Zwykła włócznia ma jeden czubek, bo próbujemy nią zabijać tylko jednego wroga naraz, ale gdybyśmy mieli jad, którego używaliśmy w wąwozie, można by jednym ciosem zabić trzech albo i czterech ludzi-węży. Dobrze, spróbujmy - zdecydował. - Pokażemy ten wynalazek kapitanowi Sorgenowi i komandorowi Narasanowi. Gdyby twoich ludzi ustawić rzędem, tak jak proponowałeś, trudno byłoby ich sforsować.

- Kto wymyślił maczanie ostrzy i grotów w jadzie?

- Długa Strzała. A może Uzdrowiciel, szaman z jego plemienia, nie pamiętam. Długa Strzała zabijał ludzi-węży już jako młody chłopak. Nie do wiary, jak doskonale strzela.

- Czy wiesz, dlaczego ich tak bardzo nienawidzi?

- On mi tego nie powiedział, ale od ludzi z jego plemienia się dowiedziałem, że człowiek-wąż odebrał życie dziewczynie, którą miał poślubić. Od tamtej pory jedynym celem w życiu łuczника jest zabijanie wroga. - Mocniej chwycił młot. - No to już, bierzmy się do roboty. Zobaczmy, czy te grabiowate włócznie spodobają się komandorowi i kapitanowi. A ty, Omago, myśl dalej. Rolnik uśmiechnął się blado.

- Moje pomysły to skutek lenistwa. Może kiedyś wynajdę urządzenie, które będzie wykonywało całą moją pracę. A ja wtedy będę się wylegiwał do południa.

- Świetny pomysł - zgodził się Zajączek z szerokim uśmiechem. - A drugie takie wymyśl dla mnie.

*

Keselo obrócił wielką metalową tarczę.

- Widzisz, Omago, tutaj wsuwasz ramię, pod ten skórzany pas, i mocno trzymasz za uchwyt. Dzięki temu tarcza staje się w pewnym sensie przedłużeniem ramienia, możesz nią blokować ciosy przeciwnika. Jeśli nabierzesz wprawy, niestraszny ci miecz ani włócznia. A potwory, z którymi starliśmy się w wąwozie, nie miały innej broni, tylko kły i pazury, więc za tarczami nie mogły nas dosięgnąć. Rano rozmawiałem z Zajączkiem. Zgodziliśmy się, że drewniane tarcze będą równie dobre jak metalowe. Nie starczyłoby nam metalu na tarcze dla wszystkich twoich ludzi, a przy tym drewno jest lżejsze, łatwiejsze w użyciu niż brąz czy żelazo.

- Czy do takiej drewnianej tarczy Zajączek mógłby przyczepić na środku długi kolec?

Keselo zamrugnął zaskoczony.

- O tym nie pomyślałem. Skąd u ciebie takie pomysły?

- Skojarzyły mi się dwie sprawy. Skoro można umoczyć w jądzie czubek włóczni, dobrze byłoby mieć trochę jadu także na tarczy, na wypadek gdyby wróg zdołał umknąć przed grotem.

- Omago, jesteś geniuszem!

- Nie przesadzajmy. - Entuzjazm młodego Trogity zawstydził rolnika. - Jeśli mamy iść zwartą falangą, jak wspomniał wasz komandor, nie zaszkodzi nam trochę praktyki, jak myślisz?

- Powinniście ćwiczyć co najmniej kilka tygodni - zgodził się Keselo. - Przy takiej formacji tarcze utworzą ruchomą ścianę. Włócznię wtyka się pod prawą pachę, tak żeby drzewce znajdowało się tuż przy tarczy trzymanej lewym ramieniem. Po kilku pierwszych dniach prób będą was bolały wszystkie mięśnie, ale to minie. Najważniejsze, żeby twoi ludzie byli zgraną grupą. Muszą trzymać włócznie niewzruszenie i iść w jednakowym tempie. Przy takiej formacji nie dźga się wroga, tylko się na niego nachodzi z nastawionymi włóczniami.

- Powinniśmy nabrać wprawy - stwierdził Omago bez wielkiego przekonania.

- Na pewno wam się uda. Zaczniemy od ćwiczenia marszu. Chodzenia całą grupą. Wszyscy stawiają lewą nogę w tym samym momencie. Szybko staje się to drugą naturą, można to robić nawet przez sen... no, prawie.

- Zadania żołnierza są nieco bardziej skomplikowane, niż przypuszczałem - stwierdził Omago.

- Trzeba się przyłożyć do roboty - zgodził się Keselo z lekkim uśmiechem.

- Moje statki są dużo szybsze od twoich, Narasanie - stwierdził Sorgan Orli Nos przy kolacji. - Przywiozę łuczników pani Zelany dwa razy prędzej niż te twoje barki.

- Aha! Tyle że nie weźmiesz wszystkich, najwyżej połowę - wytknął mu Narasan. - Możemy przez całą noc dyskutować, co ważniejsze: szybkość czy ładowność.

- Masz spazzone poczucie humoru, Narasanie.

- Nikt nie jest doskonały.

- Panie Veltanie - włączył się Długa Strzała - gdzie dokładnie przebiega granica pomiędzy krainą twoją a ziemią twojej siostry?

- Nie bardzo wiem - przyznał bóg. - Dlaczego pytasz?

- Większość łuczników to myśliwi, często biegają i robią to szybciej niż ludzie, którzy prowadzą siedzący tryb życia. Każda łódź, czy to kapitana Sorgana, czy komandora Narasana, będzie musiała pokonać długą drogę. A łucznicy mogą pieszo wybrać się lądem. Jeśli dobrze pamiętam ze szkiców, drogę będą mieli mniej więcej o połowę krótszą niż morzem. - Obdarzył Sorgana bladym uśmiechem. - Możemy się założyć, że łucznicy najprędzej dotrą do domu pana Veltana na piechotę.

- Ja stawiam na Długą Strzałę - stwierdził Narasan.

- Ja się nie będę zakładał - oznajmił Sorgan kwaśno. - Już się nauczyłem nie walczyć z Długą Strzałą. Na żadnym polu.

Kolejnego ranka na plaży zjawił się łysiejący Trogita Gunda. Chciał rozmawiać z komandorem Narasanem.

- Kazałem urzędnikowi zrobić kopię mojej mapy dla Andara - odraportował - żeby twój zastępca przeprowadził armię przez kanał w barierze lodowej. Kupiłem chyży stateczek, bo chciałem dostać się tu pierwszy i sprawdzić, w którym miejscu armia ma przybić do brzegu. Powiniennem zaraz wrócić na morze, po Andara.

- Ile ci zajmie sprowadzenie tu armii? - zapytał Narasan.

- Jakieś dwa tygodnie. A co, zaczęło się robić gorąco?

- O ile mi wiadomo, jeszcze nie. Oczywiście, skoro mamy do czynienia z ludźmi-wężami, trudno mieć jakkolwiek pewność. Dlaczego nie wzięłeś ze sobą Padana?

- Trochę się zrobił ostatnio nerwowy. Zwleka z przyjściem, bo ma parę nieciekawych wiadomości do przekazania.

- Na przykład?

- Czy mam to rozumieć jako rozkaz do przekazania tych wiadomości, komandorze? Bo nie chciałbym, żeby Padan miał mnie za kapusia.

- Tak, Gunda, to rozkaz. Co tam się dzieje?

- No więc tak... Kiedy Padan obudził się dzisiaj rano, zauważyliśmy, że zniknęła łódź pana Veltana.

- Co takiego?! - krzyknął Veltan.

- Zniknęła - powtórzył Gunda. - Ale to nie wszystko. Padan powiedział mi, że Jalkan został zdegradowany i zakuty w łańcuchy. Szybko dodał dwa do dwóch i pognął do kajuty, w której ta tyka została przykuta do ściany. Oczywiście dawnego kleryka już tam nie było. Może to przypadek, że łódź i Jalkan zniknęły tej samej nocy, ale ja bym na to swojego żołądka nie stawiał.

- Gunda, czy ty sobie ze mnie żartujesz? - sapnął Narasan.

- Ja tylko mówię, jak jest, panie komandorze. Dostałem rozkaz mówić, a dobry żołnierz słucha rozkazów. - Uniósł brwi, wcielenie niewinności.

I wybuchnął gromkim śmiechem.

*

Omago doszedł do wniosku, że choć przybysze dysponowali wysoko rozwiniętą techniką, ich organizacja społeczna pozostawiała wiele do życzenia. Przypominali w tej kwestii dzieci, tyle że wszyscy nosili śmiertelnie ostrą broń i byle pretekst wystarczał im do walki.

Pierwotna agresja tych ludzi działała stanowczo na korzyść mieszkańców Dhrallu. Do obrony tego łądu trzeba było niezliczonych rzesz wojowników, więc wszystko wskazywało na to, iż pan Veltan oraz jego siostra dokonali trafnego wyboru i najęli do walki ze sługami Vlagha najbardziej kompetentne osoby.

Uśmiechnął się lekko. Przybysze wydawali się zaskoczeni jego wynalazkami. Najwyraźniej traktowali miejscowych jako prymitywnych dzikusów, dlatego każdy przejaw myślenia budził w nich zdumienie. Możliwość, iż ktoś z Dhrallu mógłby usprawnić broń, nie mieściła im się w głowie.

Cóż, nie było to aż tak dziwne, ponieważ nie wiedzieli o naukach, jakie Omago w dzieciństwie pobierał u Veltana. Najpewniej żaden mieszkaniec Imperium Trogickiego czy Maagsu nie mógł się pochwalić tak wspaniałym nauczycielem. „Wynalazki” miały też inne źródło. Otóż Omago zwykle myślał o skutku, jaki chciałby osiągnąć, a dopiero później starał się spowodować zaistnienie odpowiednich przyczyn. Taki sposób myślenia wydawał się przybyszom obcy. Zawsze rozumowali odwrotnie. Najwyraźniej nie mieli pojęcia, iż u podstaw większości wynalazków leży uświadomienie sobie, że człowiek potrzebuje konkretnego narzędzia do wykonania określonego zadania, a nie zastanawianie się, do czego można by wykorzystać jakiś bliżej nieokreślony przedmiot.

Rolnik musiał jednak przyznać, że sam także popełnił gruby błąd.

- Powiniennem był od razu zabić Jalkana za zniewagę - mruknął pod nosem. - Drugą

szansę dał mi komandor Narasan i jej też nie wykorzystałem. Może nie chciałem Trogitów obrazić...? Pewnie jeszcze usłyszymy o tym starym lubieżniku.

Nagle pojawiła mu się w głowie niespodziewana myśl. Czy to możliwe, żeby Ara celowo omamiła Jalkana swoimi wdziękami? Bo mogła to zrobić z pewnością. Przecież jego samego oczarowała, zjawiwszy się w sadzie. Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Jeżeli zbałamuciła Jalkana, zrobiła to, wiedząc doskonale, do czego doprowadzi gwałtowna scena. O mago przeklął własną głupotę. Zawiódł swoją żonę. Powinien był zachować się jak na prawdziwego prymitywa przystało: huknąć głową Trogity o posadzkę i rozplatać go żelaznym nożem.

- Jeśli tego właśnie chciała, powinna mi była powiedzieć. - Wzruszył ramionami. - No cóż - westchnął. - Może następnym razem.

Zdrada

Jalkan z Kaldacinu był ostatnim członkiem jednej z najznamienitszych niegdyś rodzin Imperium Trogickiego. Wielu jego przodków służyło swoją wiedzą jako Palvani, inni doradzali wielkim imperatorom. Rodzina cieszyła się bogactwem i szacunkiem, stawiano jej pomniki.

Niestety, w ostatnim stuleciu jej losy się odmieniły. Kolejni nieudacznicy roztrwonili majątek, nie stroniąc od rozpusty, hazardu i nadmiernego picia. Wkrótce zaczęli ich prześladować wierzyciele i spora część męskich przodków Jalkana spędziła ostatnie lata życia w więzieniu, odsiadując karę za długi.

Zanim Jalkan osiągnął pełnoletność, reputacja jego rodu została kompletnie zrujnowana, a on sam niewielkie miał perspektywy na zrobienie jakiegokolwiek kariery.

Rozważał przyłączenie się do któregoś z licznych trogickich syndykatów zbijających fortunę na ziemiach Shaanu. Perspektywa okradania ze złota naiwnych tubylców wydawała mu się pociągająca, lecz szybko przestała być realna. Do Kaldacinu dotarła wieść, że jakiś idiota, najpewniej pijany, przechwalał się swoimi sukcesami w niewłaściwym miejscu i towarzystwie, bo mieszkańcy Shaanu oszaleli z wściekłości wybili Trogity na swoim terytorium do nogi i wszystkich zjedli.

Jalkanowi pozostało do wyboru podjąć ciężką uczciwą pracę za marne wynagrodzenie albo spróbować łotrostwa. Wobec czego włożył na siebie stonowane szaty, przybrał pobożny wyraz twarzy i trzy, cztery razy dziennie pojawiał się na mszy w miejscowym convenient.

Nie minęło wiele czasu, gdy jeden z niższych hierasów zwrócił na niego uwagę i przedstawił go swojemu oranowi jako ewentualnego kandydata na członka duchowieństwa.

Oran porozmawiał z Jalkanem i przyjął go na nowicjusza, żądając jako dowodu wiary i dobrej woli zaledwie jednej trzeciej jego majątku.

Jalkan poskromił chciwość i przystał na propozycję.

Pierwszych kilka miesięcy w roli młodszego członka kleru nie należało do najprzyjemniejszych, ponieważ hierarchia Kościoła amarickiego została skonstruowana w taki sposób, by w tym właśnie czasie oddzielić ziarno od plew, a więc pozbyć się kandydatów niegodnych stanu duchownego. Jalkan miał dość rozumu, by nie kraść za dużo i nie kompromitować tych, którzy byli uczciwsi albo mądrzejsi.

Jego spryt został dostrzeżony przez zwierzchników i spotkał się z aprobatą.

Pierwszym celem Jalkana było osiągnięcie pozycji hierasa. Funkcja ta gwarantowała w Kościele amarickim dość wygodne życie, nie wymagała szczególnie ciężkiej pracy, a w dodatku premiowano ją własnym, oddzielnym pokojem. Takie pomieszczenie nazywało się celą, było niewielkie, ale tak czy inaczej o niebo lepsze niż miejsce w cuchnącej zjelczałym tłuszczem sypialni na parterze, gdzie nowicjusze spali stłoczeni jak bydło.

Ponieważ odebrał podstawowe wykształcenie, potrafił czytać i pisać, otrzymał obowiązki związane z administracją. Szybko odkrył ku swemu ogromnemu zaskoczeniu, że nieomal połowa imperium jest własnością wspólnoty amarickiej. Ogromne majątki kościelne produkowały lwią część żywności dla mieszkańców kraju - i sprzedawały ją za całkiem niemałe pieniądze, a roczne czynsze z wynajmu najróżniejszych budynków w samej tylko stolicy przynosiły krocie.

Któregoś ponurego zimowego popołudnia natknął się na bardzo stary dokument dotyczący zamknięcia jakiegoś zniszczonego convenium w jednej z biedniejszych dzielnic imperialnej stolicy. Jeżeli prawda była zgodna z tym, co zapisano na pożółkłym papierze, budynek stał zamknięty już blisko sto lat i przez cały ten czas nie przyniósł złamanego grosza zysku. Jalkan uświadomił sobie, że najprawdopodobniej właśnie stał się jedynym człowiekiem świadomym istnienia tego dawnego domu bożego.

Wiedziony ciekawością narzucił na ramiona ciężki płaszcz i ruszył szukać convenium. Znalazł kruszący się kamienny mur otaczający zniszczoną konstrukcję, niemal całkowicie porośniętą krzewami i drzewami. Poczuł rozczarowanie. Żywił nadzieję, iż opuszczone convenium będzie miało jakąś wartość, tymczasem rzeczywistość okazała się okrutna. Nie sposób zrobić pieniędzy na czymś, co można zmieść z powierzchni ziemi jednym kichnięciem.

Już miał odejść, gdy kątem oka pochwycił słaby błysk światła zza jednej z nadgniłych desek, którymi zabito okna. Jeśli to nie pożar, budynek nie był taki opustoszały, jak się mogło

wydawać na pierwszy rzut oka. Oto nasuwała się wymarzona okazja zarobku... Jalkan przeszedł przez mur w miejscu, gdzie niewiele już z niego zostało, i podkradł się do okna. Z bliska usłyszał niegłośną rozmowę. Wspiął się na palce, zajrzał przez szparę.

Przy topornym stole, w świetle kopczącej lampki siedział grubas z piękną metalową tacą w rękach.

- Esagu - odezwał się do drugiego mężczyzny. - To jest lite srebro. Warte o wiele więcej niż jedna korona.

- Może dałbym półtorej, gdyby nie było na niej herbu. A tak? Rabellu, sam powiedz, jak mam ją postawić w witrynie? Przejdzie obok sklepu ten arystokrata, coście go obrobili, i nie wyjdę z mamra do końca życia.

Jalkan mało się nie zadławił. Kryjówka złodziei! - pomyślał. I nie płacą Kościołowi ani grosza!

- Oddam ci ją za dwie korony - zdecydował Rabell.

- Łotr z ciebie. - Esag pokręcił głową. - Zdierca i krwiopijca.

- Nie musisz kupować - przypomniał mu grubas. - Mam innych klientów.

Esag wyjął z sakiewki dwie złote monety, przycisnął je wielką dłońią do stołu i wyszedł - ze srebrną tacą pod pachą.

Wtedy z cienia w kącie pomieszczenia wyłonił się krzepki mężczyzna z dziewczynką u boku.

- Umiesz się targować - wychrypiał.

- Takie naiwniaki jak on z ręki mi jadają - prychnął grubas. Pchnął w stronę złodzieja złotą koronę. - Masz, Grolu, twoja działka.

- Właśnie miałem z tobą o tym pogadać - odezwał się łotr, przeciągając słowa. - Coś mi się zdaje, że nasza umowa nie jest sprawiedliwa. Bo przecież mała i ja jesteśmy partnerami, a ona nie dostaje tyle, ile jej się należy.

- To już wasza sprawa. My się umawialiśmy po połowie. Wy kradniecie, ja sprzedaję.

Grol burknął coś pod nosem, ale monetę wziął.

- Nie wiem, jak długo jeszcze mała będzie mogła dla nas kraść - powiedział. - Ostatnio tyje bez umiaru, coraz trudniej jej się precisnąć przez wąskie okna czy między kratami. Jeszcze trochę i będę musiał się rozejrzeć za następnym dzieciakiem.

- To już wasza sprawa - powtórzył Rabell. - Ruszaj stąd, przyjacielu. Nie ty jeden chcesz mi pokazać łup.

*

Jalkan nie spał całą noc. Jako członek kleru miał obowiązek przedstawić sprawę

swojemu oranowi, ale też znał zwierzchnika na tyle dobrze, by wiedzieć z całą pewnością, że oran Paldor zażąda od grubego pasera udziału w zyskach. Oczywiście nikomu więcej o tym układzie nie opowie. I będzie Jalkanowi ogromnie wdzięczny, rzecz jasna, ale nie aż tak bardzo, by się z nim dzielić gotówką.

Istniała jednak alternatywa znacznie bardziej kusząca niż wykonanie obowiązku.

- Ten budynek jest własnością Kościoła - oznajmił Jalkan grubasowi następnego popołudnia. - Nie możesz wejść tutaj prosto z ulicy i zarządzać nim jak swoim, bez pozwolenia prawowitego właściciela. Wygląda na to, że będziesz miał kłopoty, przyjacielu.

- Nie ma o co kopii kruszyć - odezwał się Rabell z rezygnacją. - Do zachodu słońca już mnie tu nie będzie.

- Nie powiedziałem, że masz się wynosić - pohamował go Jalkan. - Musisz natomiast zapłacić za użytkowanie tego wspaniałego convenium. To się nazywa opłata czynszowa. Jeśli chcesz zostać, musisz płacić.

- Przejdź pan do sedna. Ile chcesz?

- Czy ja wiem...? Połowa wydaje się odpowiednią sumą.

- Nie ma mowy. Przenoszę się gdzie indziej.

- Co się tak śpieszysz? To była tylko sugestia, propozycja. Jestem gotów do negocjacji.

- Najpierw przestań mnie pan okłamywać. Ustalmy, że tak naprawdę Kościół nie ma z tym interesem nic wspólnego, co? Moje pieniądze weźmiesz do własnej sakiewki. Dobrze zgadłem, co?

- No cóż...

- Tak myślałem. A teraz nie mrugnij pan przypadkiem, bo kiedy znowu otworzysz oczy, mnie tu już nie będzie.

- Czekaj, czekaj - mitygował go Jalkan. - Na pewno się dogadamy.

- Ciekaw jestem.

- Jako hieras Kościoła amarickiego często bywam w domach wyższych duchownych. Mogę ci podpowiadać, gdzie w nich są cenne przedmioty. A taka informacja jest coś warta, zgadzamy się?

- Może i warta. Muszę też wiedzieć, jak są strzeżone te domy. Dzieciaki, które kradną, są dla nas bardzo cenne, nie możemy ryzykować.

- A skąd wam w ogóle przyszedł do głowy taki pomysł? - zainteresował się Jalkan.

- Coś pan, z księżycą spadł, czy co? - zdziwił się z kolei Rabell. - Przecież ta metoda skutkuje od pokoleń. Ja sam, jeszcze jako chłopak, byłem najlepszym złodziejem w całym

Kaldacinie. Potrafiłem się przecisnąć przez każdą kratę w mieście, a jeśli nie było okien, wpelzałem przez mysią dziurę. - Położył ręce na brzuszysku. - No, od tego czasu trochę się przytyło...

- Tak, to się da zauważyć. Więc jak, przyjacielu, czy moje informacje warte są połowy łupu?

- Możemy spróbować. Ale dostajesz pan połowę tylko z tego, co ukradniemy w domach, jakie pan pokażesz. U mnie pracuje parę zespołów, one to już inna kasa.

- Dobrze. Powiedz mi jeszcze jedno - poprosił Jalkan. - Koniecznie musisz pracować z tymi łotrami, co to mówią dzieciom, które domy obrabować?

- A co, mam sam sterczeć na czujce? Na głowę pan upadłeś?

- Ach, teraz rozumiem...

- No to pogadajmy o interesach. Muszę wiedzieć coś więcej, zanim wyślę dzieciaka na robotę.

- Tak, tak. Już wiem, co weźmiemy na pierwszy ogień - stwierdził Jalkan, zacierając ręce.

*

- Jak idą interesy? - zapytał Jalkan kilka dni później.

- Lepiej, niż się spodziewałem - przyznał Rabell. - Ten dom, coś nam go pan wystawił, to prawdziwa kopalnia złota. Zleciłem go Grolowi z tą jego małą. Biegała osiem razy w tę i we w tę, zanim wszystko wyniosła. Za komplet talerzy i srebra stołowe dostałem niezły grosz.

- Poszukam następnych domów, do których warto zajrzeć - obiecał Jalkan. - Najpierw się rozliczymy, potem ustalimy, co dalej.

- Chyba obraziłem czymś mojego orana - poskarżył się Jalkan staruteńkiemu służącemu w domu adnari Radana. - Kazał mi wymierzyć każdy budynek należący do Kościoła w Kaldacinie. To najbardziej nużące polecenie, jakie otrzymałem, odkąd przystałem do duchowieństwa. Osiwieję, zanim wykonam połowę tego zadania.

- Żyjemy, by służyć - odpowiedział starszek.

- Oczywiście - przytaknął Jalkan ironicznie. - Czy to gabinet adnari? - wskazał zdobione drzwi. - Nie chciałbym mu przeszkadzać...

- Wyszedł do convenium.

- Uwinę się w parę minut - obiecał Jalkan. - Ty pewnie masz co robić, nie będę ci zajmował czasu. Możesz mnie zostawić samego. Nic nie będę ruszał, a po wyjściu zamknę za sobą drzwi.

- Rzeczywiście, obowiązki mnie wzywają, hierasie - przyznał sługa. - Na pewno nie będziesz mnie potrzebował?

- Spisuję miary już kilka tygodni, przyjacielu - odparł Jalkan. - Jeszcze trochę, a będę to mógł robić nawet przez sen.

Staruszek uśmiechnął się i powoli oddalił, a Jalkan wszedł do gabinetu adnari Radana. Było tu na czym zawiesić oko. Kościelny dostojnik dysponował imponującym zbiorem cennych przedmiotów. A na biurku leżały notatki na temat następnych kolekcjonerskich cudeniak. Wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na to, że adnari Radan miał wyrafinowany gust. Stanowczo należało umieścić jego dom na liście dla Rabella.

W drodze do domu Jalkan pogwizdywał wesoło, na piętro wchodził, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Raptem stanął jak wryty. Pod drzwiami jego celi stało trzech potężnych mężczyzn o kamiennych twarzach, odzianych w charakterystyczne mundury kościelnych regulatorów - wewnętrznej amarickiej policji.

Błyskawicznie zawrócił i ruszył biegiem w dół, ale byli szybsi. Chwycili go pod ramiona, przycisnęli do ściany.

- Hierasie Jalkanie, jesteś aresztowany - oznajmił jeden z nich znudzonym tonem.

- Nic nie zrobiłem!

Któryś z osiłków mimochodem wyrznął go pięścią w brzuch, pozbawiając oddechu. Potem zakuli go w łańcuchy.

- Hierasie Jalkanie - odezwał się inny - zostałeś aresztowany.

Pójdiesz z nami, a jeśli będziesz sprawiał kłopoty, pobijemy cię do nieprzytomności.

- O co jestem oskarżony?!

- To nie nasza sprawa. Mamy cię doprowadzić do adnari Estarga, na tym nasza rola się kończy.

Adnari Estarg był najpotężniejszym, najbardziej wpływowym członkiem Kościoła amarickiego i cieszył się reputacją człowieka, który nie cofnie się przed niczym. Kościelne prawo zabraniało stosowania kary śmierci wobec duchownych, nawet nowicjuszy, ale cały Kaldacin wiedział, że adnari Estarg potrafił zastosować tak wyszukane tortury, iż śmierć była przy nich wybawieniem.

Regulatorzy powlekli dygoczącego więźnia ulicami miasta do bogatego pałacu połączonego z ogromnym, wymyślnie zdobionym convenium. Pięknymi marmurowymi schodami zaciągnęli go na piętro. Tam, w przepysznie umeblowanym gabinecie, rzucili go na kolana przed tronem, na którym siedział tęgi mężczyzna odziany w purpurową szatę adnari.

- Więzień Jalkan, wasza łaskawość - zameldował ten, który odzywał się najczęściej.

- Doskonale. - Pucowałowy dostojnik zatarł dłonie. - To wszystko, panowie. Dalej dam sobie radę z tym łotrem sam.

- Jak sobie życzysz, wasza łaskawość. - Regulator się skłonił, pozostali dwaj powtórzyli jego ruch i wszyscy trzej opuścili gabinet.

- Wstyd, hierasie Jalkanie, wstyd! - zagrział adnari Estarg. - Co ja mam z tobą zrobić, nieposłuszny chłopcze? - Zmienił ton, jakby był rozbawiony. - Przecież zdajesz sobie sprawę, że sprofanowałeś święte miejsce, przystając na istnienie w nim złodziejskiej kryjówki.

- Convenium było od dawna opuszczone, wasza łaskawość - zaskomlał Jalkan.

- Co nie znaczy, że przestało być święte - stwierdził Estarg nieustępliwie.

- Wasza łaskawość, pomysł nie był mój. Stare convenium tak długo stało opustoszałe, że herszt bandy złodziei wprowadził się tam bez niczyjego pozwolenia.

- Czy powiedziałeś o tym swojemu oranowi?

- W zasadzie... - Jalkan desperacko szukał jakiegoś wyjaśnienia, które by go nie pogrzyżyło jeszcze głębiej w kłopotach.

- Czekam, Jalkanie.

- Straciłem głowę, wasza łaskawość - wyznał hieras. - Złodzieje robią na tym interesie fortunę, więc... - umilkł.

- Dostrzegłeś szansę, by wykroić dla siebie solidny kawałek tortu?

- Tylko ćwiartkę, wasza łaskawość - sprostował Jalkan. - Z początku sądziłem, że zdołam uzyskać więcej, ale Rabell był nieustępliwy.

- Rabell?

- Grubas, który najmuje złodziei. Oni kradną, on sprzedaje kradzione towary. A wszystko kręci się za sprawą dzieci.

- Jak to? - zainteresował się adnari Estarg. - Co te słodkie istotki mają z tym wspólnego?

- Właśnie one kradną, wasza łaskawość. O ile mi wiadomo, ten proceder trwa od lat. Właściciele domów zwykle okratowują okna, dlatego Rabell zatrudnia dzieci, które potrafią się przecisnąć między prętami. On sam był swego czasu najlepszym złodziejem w Kaldacinie.

- A jaka jest twoja rola w tym procederze, hierasie?

- Ech... wolałbym zmilczeć, wasza łaskawość - zająknął się Jalkan zdenerwowany.

- Jestem pewien, że regulatorzy znajdą sposób, żeby uzyskać od ciebie odpowiedź. - Adnari Estarg złowieszczo zawiesił głos.

- No tak... Znajdowałem domy, które warto obrabować.

- Jak zyskiwałeś do nich wstęp? - naciskał adnari.

- W większości wypadków były to domy... i pałace bogatych członków kleru, wasza łaskawość. Mówiłem, że kościelni uczeni wydali mi polecenie dokładnego wymierzenia każdego pomieszczenia stanowiącego własność Kościoła, że wszystkie budynki muszą być wciągnięte do rejestru. Ta opowiastka otworzyła przede mną wiele drzwi, mogłem swobodnie rozejrzeć się po wnętrzu. Gdy trafiałem na dom bogato wyposażony, mówiłem o tym Rabellowi, a on organizował kradzież. Dostawałem czwartą część pieniędzy ze sprzedaży zrabowanych przedmiotów. Tylko z tych domów, które ja wskazałem.

- Ach, zaczynam rozumieć. Zmyślny z ciebie człowiek, hierasie. Ale oczywiście zdajesz sobie sprawę, że popełniłeś przestępstwo.

Jalkan ponownie zaczął dygotać.

- Nie bój się, chłopcze - rzekł adnari Estarg. - Wiem, jak możesz odkupić swoje winy. Jaką cenę zapłacisz za grzech. Bo przecież wszystko ma swoją cenę, na pewno to już zauważyłeś.

- Zapłacę każdą cenę, wasza łaskawość - przysięgł Jalkan drżącym głosem.

- Oczywiście, oczywiście. A teraz przejdźmy do rzeczy. Ile dzieci wykorzystuje ten łajdak Rabell?

- Nie mam pewności wasza łaskawość. Właściwie nie miałem styczności z opiekunami.

- A cóż to znowu za opiekunowie?

- To... można powiedzieć, właściciele dzieci. Oni decydują, który dom trzeba okraść, oni stoją na straży, gdy dziecko wykonuje zadanie.

- Nasz interes wydaje się doskonale zorganizowany.

- Nasz interes?

- Moim zdaniem powinieneś zawiadomić Rabella, że wasza spółka zyskała starszego partnera. Wydam rozkaz obmierzenia wszystkich budynków kościelnych i opatrzę go własną pieczęcią. Dzięki niemu dostaniesz się do domów i pałaców, których istnienia nawet nie podejrzewasz. Nasz ukochany naos, Parok VII, jest już tak stary, że nie odróżnia dnia od nocy. Co oznacza, że Kościołem zarządza najstarszy adnari - ja. Moje słowo jest prawem. Na początek powinniśmy tych „opiekunów”, o których wspomniałeś, ubrać w mundury regulatorów. Z regulatorami nikt nie dyskutuje... No idź już, idź, zawiadom swojego przyjaciela o zmianie sytuacji.

- Wasza łaskawość, nie mogę iść. Jestem skuty łańcuchami.

- Ach, rzeczywiście! - wykrzyknął adnari Estarg z udanym zaskoczeniem. - Dziwne, nie zauważyłem.

*

- Nasza sytuacja uległa zmianie, przyjacielu - powiedział Jalkan Rabellowi, dotarłszy do starego convenium.

- Taaak? - spytał podejrzliwie grubas.

- Po wizycie w domu adnari Radana wróciłem do siebie, by uporządkować notatki, ale pod drzwiami czekało na mnie trzech regulatorów.

- Jak to?! - wykrzyknął Rabell. - I jeszcze pan żyjesz?

- Dajże spokój, przyjacielu, nie są tacy straszni. Ale owszem, skuli mnie łańcuchami. I powlekli przez miasto do pałacu adnari Estarga.

Rabell pobladł i zaczął się trząść.

- Adnari najwyraźniej usłyszał o naszej działalności - podjął Jalkan. - Wydobył ze mnie całą prawdę.

- Jeśli się pośpieszymy, do zachodu słońca nie będzie po nas śladu w Kaldacinie - zaskrzeczał złodziej.

- Nie ma powodu do pośpiechu, przyjacielu. Adnari, poznawszy szczegóły, uznał, iż teraz od niego będziemy przyjmowali rozkazy.

- Żartujesz pan sobie? Ja tam się na takich żartach nie znam.

- Słuchaj mnie uważnie. Adnari wyda rozkaz obmierzenia wszystkich pomieszczeń kościelnych wymienionych w oficjalnych dokumentach. Każdego lokalu z osobna. Opatrzy ten rozkaz swoją pieczęcią. I da go mnie. Nikt mi się nie sprzeciwi, każdy będzie musiał mnie wpuścić do domu. Za tydzień twoi ludzie będą okradali budynki, których istnienia nawet nie podejrzewają, a opiekunowie dostaną mundury regulatorów, żeby nikomu nie przyszło do głowy wchodzić im w drogę.

Na twarzy Rabella pojawił się wyraz niedowierzania.

- Będziemy bogaci! Będziemy naprawdę bogaci! - zarechotał. - Będę spał na pieniądzach! A jeśli wszystko to mi się tylko śni, nie budź pan mnie!

- Nie śniłoby mi się, przyjacielu - odparł Jalkan i obaj gruchnęli śmiechem.

*

Ten sam regulator, który kilka miesięcy wcześniej aresztował Jalkana, zapukał grzecznie do drzwi jego celi. Tym razem był znacznie bardziej uprzejmy.

- Adnari Estarg chce z tobą mówić, hierasie - oznajmił głosem bez wyrazu.

- Już idę. - Jalkan zerwał się na równe nogi.

Szybko dotarli do pałacu, Jalkan został natychmiast wpuszczony do gabinetu Estarga.

- Ach, jesteś, Jalkanie - powitał go kościelny dostojnik. - Mam dla ciebie dobre wieści.

- Tak?

- Jak wiesz, najświętszy naos, Parok VII, ma poważne kłopoty ze zdrowiem. Wszyscy jego medycy zgodnie twierdzą, że nie zostanie już z nami długo.

- Modłę się o jego uzdrowienie, wasza łaskawość - zapewnił Jalkan pobożnie.

- Tak, tak, oczywiście. Jak wszyscy. Jednak nadzieja jest niewielka. Boski Amar jest teraz bardzo zajęty, musi pilnować zmiany pór roku, upewniać się, że słońce wschodzi i zachodzi, i tak dalej. Parok VII żył długo i szczęśliwie. Kościołowi będzie go bardzo brakowało, ale czas spojrzeć prawdzie w oczy i jak tylko stary głupiec zejdzie z tego świata, ktoś musi zająć jego miejsce.

- Wasza łaskawość, z wielką przyjemnością będziemy cię widzieli na świętym tronie - zadeklarował Jalkan.

*

Sprawy jednak wcale nie potoczyły się tak, jak przewidywali adnari Estarg i hieras Jalkan. Wszyscy prawomyślni mieszkańcy imperium zdawali sobie sprawę, że Kaldacin jest prawdziwym centrum wszechświata, ponieważ boski Amar zdecydował o tym na początku czasu.

Istnieli jednak także heretycy, w przeważającej części na południowych krańcach imperium, którzy z uporem odmawiali zaakceptowania woli boga. Choć wszyscy wiedzieli, że boski Amar w swej nieskończonej mądrości wybrał na następcę świętego Paroka VII adnari Estarga, że właśnie adnari Estarg miał zasiąść na tronie na oczach całego świata, to heretycy z południa bez żadnych konsultacji wysunęli kandydaturę ledwo znanego orana Udara.

Dostojnicy Kaldacinu uznali ich postępowanie za niefortunny żart i skwitowali je śmiechem, który jednak zamilkł, gdy z południa nadciągnęło dwanaście potężnych armii i okrążyło stolicę imperium.

Mieszkańcy Kaldacinu w odpowiedzi zaciągnęli się do różnych wojsk stacjonujących w murach miasta, tyle że te wojska posłuchały rady komandora Narasana, który zadeklarował, iż lepiej nie mieszać się w spory religijne.

- Co wobec tego robić? - zapytały władze cywilne i kościelne.

- Doradzam kapitulację - odpowiedział Narasan. - Ale decyzja oczywiście należy do was. - Odwrócił się i odszedł.

Rząd imperium postanowił poddać miasto, armie południa przekroczyły bramy

stolicy, praktycznie nie napotkawszy oporu. Zajęły pałac imperatora oraz najświętsze *convenium* Kościoła amarickiego. Heretycy z południa przedstawili hierarchom ultimatum, a nawet kilka. Zostały one ubrane w piękne słowa, lecz odarte z upiększeń brzmiały w zasadzie tak: „Jeśli nie zrobicie, co wam każemy, stracie życie”.

Ceremonia powierzenia Udarowi funkcji naosa trwała niecałe pół godziny, a jego mowa tronowa - wygłoszona już przez naosa Udarę IV - jeszcze krócej. Nowy zwierzchnik Kościoła powiedział: „Boski Amar wysłał mnie, bym oczyścił Kościół z wszelkiego plugastwa. Jeżeli ktoś stanie mi na drodze, zetnę go w proch i pył”.

Jalkanowi przeszły ciarki po grzbiecie.

*

- Czy ktokolwiek przemówi w obronie tego nikczemnego łotra? - zapytał amaricki sędzia odziany w zdobną togę, mierząc Jalkana spojrzeniem pełnym najgłębszej pogardy.

Hieras nowicjusz skulił się i zerknął na swego niedawnego przyjaciela, adnari Estarga, lecz ten odwrócił wzrok. Jalkan stracił resztki nadziei.

- Tak jak sądziłem - podjął dostojnik - nikt. Niestety, prawo kościelne zabrania wymierzenia kary śmierci członkowi kleru, nawet tak niskiemu jak oskarżony. Wobec tego sąd postanawia, że winny zostanie zaprowadzony na rynek i tam otrzyma pięćdziesiąt batów. Usuwasz go z szeregów duchowieństwa. Zarządzam również podanie do publicznej wiadomości, że żaden wyznawca amarickiej wiary nie będzie pomagał tej dzikiej bestii, nie udzieli jej schronienia, nie nakarmi i nie napoi. A teraz... zabierzcie mi sprzed oczu tego niegodziwca.

*

Regulatorzy obnażyli Jalkana do pasa, przykuli łańcuchami do pręgierza na środku placu, a potem skrupulatnie wychłostali długimi batami, ignorując jego wrzaski pełne bólu i błagania o litość.

Spuchnięty od płaczu, zakrwawiony, został wreszcie uwolniony z okowów. Chwył ubranie i uciekł, ścigany szyderczym śmiechem gapiów.

Skrył się w bocznej uliczce, tam naciągnął na siebie ubranie, klnąc na czym świat stoi. Tak dobrze się wszystko składało, póki ten przeklęty Udar nie zawłaszczył tronu naosa. Wtedy Jalkanowi świat się zawalił.

Adnari Estarg zdradził go, broniąc siebie samego, i nie było się czemu dziwić, trudno. Teraz nastał czas, by zająć się znacznie ważniejszą kwestią. Jalkan musiał dotrzeć do swojej celi i zabrać stamtąd ubrania oraz inne przedmioty, na których mu zależało, zanim wieść o usunięciu z Kościoła zatoczy szersze kręgi. Najważniejsza była sakiewka ukryta pod pryczą.

Zwłaszcza w tych okolicznościach bez pieniędzy ani rusz. Zostałby żebrakiem bez żadnych perspektyw.

Szczęście się do niego uśmiechnęło: nowicjusz pilnujący wejścia do budynku był nieźle wstawiony, przepuścił Jalkana bez żadnych pytań. Hieras, kiwnąwszy młodzikowi głową, ruszył prosto do swojej celi.

Wszedł - i odetchnął z ulgą. Jak na razie nikt tu niczego nie ruszył. Prędejj, prędejj! Gdy tylko wieść się rozejdzie, ludzie staną w kolejce do plądrowania jego celi. Skrzywiony z bólu wpełzł pod pryczę i z samego rogu wyciągnął stary but. Jego ciężar, wielce obiecujący, od razu poprawił Jalkanowi nastrój.

Hieras zrzucił suknię duchownego i włożył na siebie najlepsze ubranie. Ciężką sakwę wcisnął do cholewy nowego buta. Ogarnął celę ostatnim spojrzeniem. Trudno zaprzeczać, kariera w hierarchii kościelnej okazała się zyskowna, niestety, właśnie się skończyła.

Tymczasem, skoro komandor Narasan odmówił udziału w sprzeczkach natury religijnej, może z tej strony otwierały się interesujące możliwości? Jalkan wierzył niezbitcie, iż jego sakwa wypełniona złotymi monetami przyciągnie uwagę dowódcy, a kariera oficera armii mogła się okazać znacznie bardziej ekscytująca niż kościelna.

- Warto spróbować - mruknął do siebie były hieras, opuszczając mniszą celę. - Kościół nie ma mi już nic do zaoferowania. Zresztą znudziły mi się te ciągłe modły i padanie na twarz.

*

Przywykanie do żołnierskiego drylu okazało się cokolwiek problematyczne. Ponieważ w czasie służby Kościołowi nie dbał o tężyznę fizyczną, był w kiepskim stanie. Po kilku tygodniach ćwiczeń, w skład których wchodziło między innymi przebiegnięcie dwóch kilometrów jeszcze przed śniadaniem, zaczął nabierać sił, ale w dalszym ciągu nie oswoił się z nowym stylem życia.

Następnie zaczął się trening we władaniu mieczem. Po krótkim czasie Jalkan z głębi serca znienawidził swojego instruktora, łysiejącego Gundy. Wychodził z założenia, że sowita opłata za przyjęcie do armii w charakterze oficera zapewni mu przynajmniej podstawowy szacunek, tymczasem Gunda najwyraźniej w ogóle nie znał tego słowa. Za każdym razem, gdy Jalkan popełnił najmniejszy choćby błąd, obsypywał go stekiem barwnych wyzwisk.

Z czasem były hieras nabierał wprawy, ale ciągle nie rozumiał, dlaczego musi poznawać sztukę walki. W końcu przecież nie był szeregowcem, tylko oficerem. Miał wydawać rozkazy, a nie zabijać ludzi.

Jakiś miesiąc po tym, gdy się zaciągnął, armia Narasana została wynajęta do udziału w

podrzędnej wojence na wschód od imperium. Jeden z oficerów, Padan, określił ją jako „drobną niewygodę”. Tu Jalkan nie potrafił się z nim zgodzić. Najwyraźniej mieli bardzo różne pojęcie o niewygodach.

*

Mniej więcej rok zabrało Jalkanowi przywyknienie do żołnierskiego losu. W zasadzie zaczął nawet znajdować w nim uciechę. Ponieważ komandor Narasan był najślawniejszym i najbardziej utalentowanym strategiem w całym imperium, liczne wojny, do których prowadzenia wynajmowano jego armię, zwykle trwały krótko, a wynik był łatwy do przewidzenia. W zasadzie nawet tak łatwy, że nie należało do rzadkości, iż wroga armia, dowiedziawszy się, z kim przyjdzie jej walczyć, na dzień dobry składała broń.

Jalkanowi bardzo się to podobało. Żołd był przyzwoity, a zagrożenie żadne. Przychodziło mu nawet do głowy, że czas spędzony w strukturach Kościoła należałoby uznać za stracony. Bo przecież wyraźnie urodził się żołnierzem.

W trzecim roku służby u Narasana poznał młodego Kesela, któremu ojciec kupił powołanie do wojska. Z początku Jalkan był przekonany, że uda mu się zaprzyjaźnić z młodym arystokratą, lecz Keselo pozostał wyniosły i oschły. Najwyraźniej lata spędzone na uniwersytecie zaowocowały u niego przesadną opinią na własny temat. Jalkan spotkał się już z taką postawą wśród nowicjuszy i hierasów. Niektórzy ludzie po prostu nie rozumieją, że sama edukacja w żaden sposób ich nie nobilituje. Odwrócił się do Kesela plecami. Nie to nie. Nie potrzebował przyjaciół.

*

Wiosną piątego roku służby Jalkana pewien książę z południa przedstawił komandorowi Narasanowi kuszącą ofertę. Zmarł jakiś stary baron, nie pozostawiający dziedzica, więc władcy dwóch sąsiadujących księstw sprzeczekali się o protektorat nad ziemiami pozostałymi po nieboszczyku.

Księżciu, który zwrócił się o pomoc do Narasana, wyraźnie znudziły się wieczne utarczki, więc postanowił rozwiązać problem raz na zawsze. Oferował dobrą stawkę, toteż komandor nie zwlekał długo z podjęciem decyzji.

Jalkan natomiast miał niejakie wątpliwości. Południowe krańce imperium stanowiły kolebkę herezji, która wyniosła na święty tron naosa uzurpatora, Udera IV. Dlatego też nie należało wierzyć nikomu pochodzącemu z tamtych regionów.

I miał rację. Nawet się nie spodziewał do jakiego stopnia. Wrogi książę w tajemnicy najął nie jedną, lecz trzy armie, więc starcie zakończyło się katastrofą.

Jalkan nigdy do końca nie zrozumiał reakcji Narasana. Owszem, w bitwie wyrżnięto

dwanaście kohort, ale mało który oficer stracił życie. W zasadzie polegli wyłącznie szeregowi żołnierze, więc nie miało to większego znaczenia. Tymczasem Narasan pogrążył się w żałobie. Złamał swój miecz i opuścił armię. Wiódł żywot żebraka w jakiejś parszywej dzielnicy Kaldacinu.

Taka sytuacja zrodziła całkiem nowe możliwości. Rzecz jasna kilku oficerów przewyższało Jalkana rangą, ale nie była to wielka przeszkoda. Dawny hieras miał niemałe pojęcie o profesji skrytobójcy, bo tacy byli zatrudniani przez wyższych dostojników kościelnych. W chwili gdy Gunda, Padan oraz oczywiście Keselo zostaną usunięci z tego świata, on pozostanie jedynym następcą Narasana.

Myśl ta była droga jego sercu, więc zaczął szkicować konkretny plan. Oczywiście szeregowi żołnierze byli stanowczo prześlęciani. Po dojściu do władzy zamierzał natychmiast obciąć im żołd co najmniej o połowę. Z pewnością trzeba będzie przykładowo uciszyć kilku niepokornych, wtedy pozostali pogodzą się z cięciami wprowadzonymi przez nowego komandora. Jeżeli wszystko pójdzie jak trzeba, komandor Jalkan będzie wkrótce zarabiał tyle co adnari Estarg albo nawet więcej.

Tak miało być. Tak powinno było być. Przed Jalkanem rysowała się świetlana przyszłość.

Pół roku później zjawił się przeklęty obcy, niejaki Veltan. Wystarczył mu tydzień na kompletne zrujnowanie planów Jalkana. Komandor Narasan wrócił do armii.

Jego niedoszły następca skrywał rozczarowanie przed ludźmi, lecz w samotności dużo czasu poświęcał na wymyślanie coraz to nowych przekleństw.

Jalkan miał absolutną pewność, że Veltan, ten przybłąda, oszukał komandora Narasana w trakcie negocjacji, ale gdy forpoczta po długim marszu z Kaldacinu dotarła do Castano, w przystani rzeczywiście pojawił się zleceniodawca. W rozchwierutanej łodzi rybackiej przywiózł dziesięć cegieł z czystego złota.

Były hieras postanowił za wszelką cenę znaleźć się w kabinie Narasana na pokładzie trogickiego statku, w czasie gdy będą tam wnoszone sztaby złota. Bardzo chciał wiedzieć, gdzie dokładnie zostaną złożone.

Komandor Narasan obojętnie wrzucił je do kufra u nóg swojej koi, a potem wręczył Jalkanowi wielką mapę.

- Zanieś ją Gundzie - polecił. - Będzie wiedział, jak przeprowadzić flotę przez lodową barierę między nami a Dhrallem.

- Tak jest! - odpowiedział Jalkan zwięźle, wsparłszy słowa postawą na baczność i prężnym salutem. Było to najwłaściwsze w danej sytuacji zachowanie. Właśnie otworzyły się

przed nim nowe, obiecujące możliwości. Przyrzekł sobie nie zdradzać się ze swoim zainteresowaniem złotem.

*

Gdy komandor Narasan i Veltan odpłynęli łodzią rybacką na północ, dowodzenie przejął Gunda. Wojsko zaczęło się przygotowywać do wypłynięcia z Castano.

Jalkan walczył z pokusą. Wiedział, gdzie zostały złożone sztaby złota, a komandor nie pofatygował się nawet, by zamknąć kufer na klucz. Jednak ten przybłęda Veltan powiedział, że na Dhrallu są całe góry złota, wystarczy tylko brać. Jalkan mógł ukraść dziesięć sztab i zniknąć, tyle że wówczas góry złota na Dhrallu znalazłyby się poza jego zasięgiem. Długo nie mógł podjąć decyzji.

Wreszcie flota wyruszyła w drogę i możliwość zdobycia dziesięciu sztab przepadła.

Ambitny oficer zaczął żałować swojego niezdecydowania, gdy statki dotarły do bariery lodowej oddzielającej imperium od Dhrallu. Rzeczywiście była to prawdziwa bariera, łańcuch potężnych gór lodowych. Statki przeciskały się w wąskich kanałach między sięgającymi nieba błękitnobiałymi klifami. Niebezpieczna podróż ciągnęła się w nieskończoność. Podróżnicy obawiali się zmiany prądów i kaprysów wiatru, a Jalkan słusznie uznał, że niezależnie od przyczyny skutek byłby ten sam - lodowe góry zamknęłyby w śmiertelnym uścisku statki wraz z załogami, zmieniając ludzi w krwawą miazgę.

Mniej więcej na tym etapie podróży zszedł pod pokład, żeby nie widzieć lodowych ścian otaczających flotę.

*

Do przystani w pobliżu wioski Lattash wpłynęli przy pięknej pogodzie, choć w górach za osadą najwyraźniej trzymał mróz, bo całe były skute lodem i przysypane śniegiem.

Komandor Narasan witał swoich oficerów na plaży.

Jalkanowi osada wydała się tak prymitywna, że oczekiwał widoku tubylców biegających na czterech kończynach, jak psy. Piraci z Maagsu nie byli dużo lepsi. Ale tutaj także były hieras dostrzegał pewne możliwości. Bo przecież regularna armia potrafi odebrać takim dzikusom, co zechce, bez specjalnego wysiłku. Innymi słowy, dobrze się stało, że nie uciekł z dziesięcioma złotymi sztabami w Castano. Tutaj miał o wiele większe pole do popisu.

Musiał z całej siły hamować radosny rechot, gdy komandor Narasan zaprowadził oficerów do jaskini, w której mieli poznać siostrę Veltana. Przyjęcie w jaskini! Szczyt prymitywizmu.

A potem ujrzał Zelanę i serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi. Nigdy dotąd nie

widział tak pięknej kobiety.

Nigdy też nie widział mężczyzny tak potężnego jak Sorgan. A przecież Wól i Wielka Pięść byli jeszcze roślejsi. No i ciągle trzymał się przy nich mały, żylasty Maags, Zajączek, którego komandor Narasan, nie wiedząc czemu, traktował ze szczególnymi względami.

Po krótkiej rozmowie komandor i piracki kapitan postanowili zostawić załogi na pokładzie statków, co Jalkanowi z pewnością nie przeszkadzało. Im mniej kontaktów z morskimi rozbójnikami czy tubylczymi dzikusami, tym lepiej.

Czas płynął wolno, wszyscy czekali, aż stopnieje śnieg w górach. Jalkanowi też się nie śpieszyło.

Aż któregoś dnia staruszek z miejscowego plemienia opowiedział im niewiarygodną historię o ludziach-wężach. Jalkan nie uwierzył w ani jedno słowo. I jak tylko mógł, unikał dzikich tubylców.

*

Gdy odkrył prawdziwe oblicze wroga, z którym toczyła się ta wojna, o mało nie postradał zmysłów. Większość czasu spędzał na pobożnych błaganiach kierowanych ku Amarowi, by zechciał go chronić - i to nie tylko przed straszliwymi ludźmi-wężami, ale co ważniejsze, przed wiedźmą Zelaną. Znał kilka gestów chroniących przed złem, więc gdy armia wracała do osady nad zatoką, stale poruszał palcami w wyuczonym geście.

Wieczność minęła, nim armia znów się zaokrętowała i ruszyła na południe, ku innej ziemi Dhrallu, by toczyć wojnę, za którą jej płacono. Niedoszły komandor najchętniej płynąłby na południe bez ustanku. Był dalej od Dhrallu. Ponieważ wszystko na tym lądzie wydawało mu się ohydnie nienaturalne.

Kraina Veltana okazała się znacznie bardziej atrakcyjna niż ziemie Zelany. Tam pierwotne lasy budziły w Jalkanie przerażenie, nieokrzesani myśliwi najwyraźniej nie wiedzieli co to szacunek dla osób wyższych rangą, umykał im całkowicie fakt, że dawny hieras był aktualnie oficerem i szlachcicem. Tutaj przynajmniej tubylcy wydawali się znać swoje miejsce.

Starannie wypytał wieśniaka Omega o miejscowe wierzenia i z ogromnym zaskoczeniem odkrył, iż dzicy tubylcy nie znali nic, co by choć w przybliżeniu przypominało strukturę kościelną, mało tego, najwyraźniej porozumiewali się ze swoim bogiem bez dobroczynnego pośrednictwa kleru.

Zapytał także, tym razem chytrze i dyskretnie, o lokalizację kopalni złota. Tępy wieśniak udał, że nic nie wie, toteż w końcu Jalkan dał za wygraną. Miał pewność, że we właściwym czasie zdoła się porozumieć z jakimś innym tubylcem, bardziej skłonnym do

współpracy. Dhrall otwierał przed przybyszem nieograniczone możliwości, ale zanim uda się je wykorzystać, trzeba zdobyć więcej informacji.

Dotarli do zamku Veltana. Tam gospodarz zawiódł ich do swojego „pokoju odpraw”.

Komandor Narasan i pirat Sorgan pograżyli się w długiej i nudnej dyskusji na temat ukształtowania terenu oraz taktyk bitewnych, które można wykorzystać w tej wojnie, natomiast Jalkan zwrócił uwagę na coś zupełnie innego. Teraz, gdy okolica Wodospadu Vasha stanęła mu przed oczami w całej okazałości, pojął, gdzie jest złoto. Oczywiście, właśnie tam. Bo w przeciwnym razie po co bronić górzystego, niedostępnego terenu? Zresztą dlaczego ktokolwiek miałby te góry atakować? Sprawa była jasna. Erupcja wulkanów u wylotu kanionu odcięła dostęp do pokładów złota w krainie Zelany, toteż trzeba za wszelką cenę bronić złoża na ziemiach Veltana.

A skoro już wiedział, co się tu naprawdę dzieje, wystarczyło przemyśleć, jak z tej wiedzy wyciągnąć korzyści.

Jakiś czas później pojawiła się w zamku Veltana wyjątkowo atrakcyjna kobieta. Zaprosiła obecnych na kolację, toteż Jalkan z przyjemnością zrewanżował jej się kilkoma pochlebnymi uwagami. Każda chłopka w imperium byłaby zaszczycona jego komplementami, ale tutaj wszystko szło na opak. Omago zareagował w sposób wprost niesłychany: bez najmniejszego ostrzeżenia wyrzwał oficera najemnych wojsk pięścią w twarz, powalając go jednym ciosem.

Ledwo się Jalkan pozbierał, ledwo wymacał nóż u pasa, a tu ten młodzik Keselo zagroził mu mieczem.

Były hieras odwołał się do osądu komandora, jakżeby inaczej. Prawo stanowiło całkiem jasno, co słuszne, a co nie. Wieśniak atakujący osobę wyższą w hierarchii, a zwłaszcza oficera, powinien zostać stracony na miejscu.

Tymczasem komandor Narasan, nie dość że wykazał obojętność na literę prawa, posunął się do tego, iż usunął Jalkana z wojska.

Zdegradowany protestował, oczywiście, lecz komandor głuchy był na wszelkie argumenty. Więcej - nakazał Padanowi zakuć go w kajdany i zaprowadzić do przystani, gdzie miał oczekiwać ostatecznych decyzji.

Co najdziwniejsze, najwyraźniej nikt nie odebrał szczerych słów Jalkana jak prawdziwego komplementu!

*

Jawna niesprawiedliwość obudziła w Jalkanie gniew. Jego prawa i przywileje jako oficera armii komandora Narasana zostały pogwałcone i to więcej niż raz, a mimo to żaden z

oficerów nie złożył protestu.

W tej sytuacji trudno było mieć wątpliwości co do intencji Narasana - komandor najwyraźniej postanowił pozbyć się podwładnego, by samemu położyć ręce na złocie, dlatego skwapliwie wykorzystał okazję, jaka nadarzyła się w zamku Veltana. A w Jalkanie narastała złość i oburzenie - oraz pragnienie zemsty.

Rozważywszy sprawę dokładnie, uświadomił sobie istnienie bardzo prostego rozwiązania. Ponieważ był zaprzyjaźniony z niektórymi wysoko postawionymi członkami amarickiego kleru, a jednocześnie miał pewność, iż dzięki słowu „złoto” zyska ich natychmiastową uwagę, jedyna trudność leżała w tym, że w którymś momencie będzie musiał pokazać im cenny kruszec, by zyskać ich wsparcie. Chociaż... może to nie był taki znowu wielki kłopot? Przecież wiedział, skąd wziąć złoto w takiej ilości, jakiej nie widział żaden z kościelnych dostojników.

Na razie tkwił skuty łańcuchami w ładowni statku, który służył Narasanowi za pływający sztab, ale tym się akurat nie martwił. W czasie nowicjatu w amarickim kościele często dawał sobie radę z różnymi zamknięciami, a kłódka na jego okowach nie była szczególnie skomplikowana. Został wprawdzie przeszukany, lecz nadal miał przy sobie to i owo, na przykład poręczny sztylecik wetknięty w cholewę buta. Innymi słowy, wolność była w zasięgu ręki.

Tyle że wolność tutaj, na Dhrallu, nie miała większego sensu. Na szczęście rozwiązanie tego problemu stało przycumowane nieopodal. Była jednak na tym świecie jakaś sprawiedliwość. Skoro Veltan nie stanął w jego obronie, straci swoją ukochaną łódeczkę.

Jalkan odczekał kilka dni, po czym któregoś wieczoru wyciągnął z buta sztylet i pozbył się łańcuchów. Z uchem przy ścianie z desek czekał, aż ucichnie krzątania na statku. Gdy wszyscy prócz straży ułożyli się do snu, otworzył drzwi i wspiął się po drabince na wyższy pokład. Tam przycupnął w cieniu. Dopiero gdy zyskał pewność, że nikt nie zauważył jego ucieczki, przekradł się na rufę, do kabiny komandora Narasana. Dzięki sztyletowi bez trudu sforsował zamek.

Skrzynia u nóg łóżka nadal była niczym niezabezpieczona, w środku Jalkan wymacał jedną ze złotych cegieł.

Musiał teraz podjąć dramatyczną decyzję. Wiedział, że będzie trzeba dopłynąć do łodzi Veltana, a złoto było ciężkie, bardzo ciężkie. Oczywiście nie mógł zabrać ze sobą wszystkiego, taki balast ściągnąłby go na dno. Wziąć jedną sztabę czy dwie? A może trzy? Ze łzami w oczach zdecydował się tylko na dwie.

Klnąc z bezsilnej rozpacz, wyszedł z kajuty komandora, rozwinął jedną ze

sznurowych drabinek przymocowanych u burty i po cichu opuścił statek.

Woda była bardzo zimna, dwie złote sztaby ważyły tyle, że z trudem utrzymywał głowę nad powierzchnią, dygotał z chłodu i wyczerpania, ale jakoś dotarł do jachtu. Ostatkiem sił wspiął się na pokład, padł nieomal bez życia i długą chwilę walczył o oddech. Wreszcie wstał. Przepiłował sztyletem linę kotwiczną, co nie było łatwe. W końcu jednak mu się udało. Był wolny.

Usiadł na ławce, włożył wiosła w dulki i powiosłował na otwarte morze. Dopiero gdy pierwsze blaski świtu rozjaśniły noc, poczuł się na tyle bezpiecznie, że odważył się podnieść żagiel.

Imperium leżało na południu. Usiadł przy rumplu, sterując w stronę szansy na nieprzebrane bogactwa.

Adnari Estarg oniemiał. Siedział ze złotą sztabą w dłoni i po raz pierwszy od wieków nie wiedział, co powiedzieć.

- Po co oni odlewają ze złota takie cegły? - spytał w końcu.

- Przecież monety są bardziej praktyczne.

- Nie używają złota jako środka płatniczego, wasza łaskawość - wyjaśnił Jalkan. - Tamtejsi mieszkańcy są tak prymitywni, że aż trudno to opisać. Nie zdają sobie sprawy z wartości tego kruszcu. A na dodatek byłiby doskonałymi niewolnikami.

- Nawróconymi, Jalkanie, nawróconymi - poprawił go adnari.

- Przecież to jedno i to samo.

- Ale brzmi znacznie lepiej, przyjacielu, znacznie lepiej. Poza tym słowo „nawróceni” usprawiedliwi nasze działania w oczach świętego Uudara W.

- To on ciągle żyje? - zdziwił się Jalkan. - Jeszcze przed wypłynięciem armii Narasana słyszałem, że kler postanowił się go pozbyć.

- Jest otoczony fanatykami. Nasi skrytobójcy nie potrafią się do niego zbliżyć. - Adnari pogrążył się w smutnych myślach. - Wydaje mi się - podjął po chwili - że ów Dhrall, który opisujesz, to dla nas okazja, która sama pcha się w ręce. Jest tam złoto i tysiące kandydatów na niewolników... No tak... Wszystko wspaniale i jeszcze ta odległość...

- Nie rozumiem, wasza łaskawość.

- Naos decyduje o wszystkich wydatkach z kościelnej szkatuły, nie ma dla nas żadnej litości. Podejrzewam, że chce być sprawiedliwy, ale ma zupełnie inne pojęcie o sprawiedliwości niż to, z czym dotąd mieliśmy do czynienia. Co gorsza, jego szpiedzy kręcą się wszędzie, toteż nie sposób ukryć przed nim dochodów. A sądząc z twojego opisu, ten nowy łąd, Dhrall, leży wystarczająco daleko od naszej ziemi, żeby donosiciele naosa przestali

być skuteczni. Jeszcze zobaczymy, co z tego wyniknie, lecz wcale bym się nie zdziwił, gdyby doszło do rozłamu w łonie Kościoła. Och, oczywiście będziemy nadal czcili Amara, lecz nie ma mowy o odsyłaniu wpływów do Kaldacinu. Kupcy będą na nowym lądzie mile widziani, w przeciwieństwie do agentów przenajświętszego Udar. Im będą się przytrafiały bardzo przykre wypadki. Moim zdaniem za parę lat przetniemy wszelkie związki z Kościołem w imperium i będziemy na swoim.

- Zostaniesz ekskomunikowany, wasza łaskawość - zauważył Jalkan.

- Och, oczywiście, naos Udar może rzucić na nas klątwę, tylko jeszcze my musielibyśmy się nią przejąć. Zabijemy każdego regulatora, jaki pojawi się w naszej części świata i będzie usiłował wcielić w życie rozkazy zwierzchnika. Naos z pewnością zrozumie nasze przesłanie. Wcześniej czy później. Jak sądzisz, ilu żołnierzy będziemy potrzebowali?

- Długo się nad tym zastanawiałem, płynąc do imperium, wasza łaskawość - przyznał Jalkan - i moim zdaniem powinniśmy dysponować przynajmniej pięcioma armiami. Pięćset tysięcy ludzi powinno dać sobie radę z okupacją południowej części krainy Veltana. Na początek tyle wystarczy. Veltan będzie skupiony na odpieraniu inwazji z północy, więc raczej nie wyśle nam na spotkanie dużych sił.

- Dobrze, wobec tego zaczniemy od pięciu - przystał adnari. - Zawsze możemy w razie potrzeby wynająć następne.

- Sądziłem, że naos Udar strzeże kościelnego skarbcza jak oka...

- Tak właśnie jest - potwierdził adnari Estarg z krzywym uśmiechem. - Niestety, gdy wstąpił na tron, w kościelnej szkatule było już niewiele. Osobiście o to zadbałem, gdy ujrzałem dwanaście armii maszerujących z południa. Przeniosłem kościelne bogactwa w bezpieczne miejsce. - Przerwał, pograżył się w zamyśleniu. - Nie potraktowaliśmy cię najlepiej - rzekł po chwili zbolalym tonem.

- W zasadzie nie mieliście wyboru, wasza łaskawość - przyznał Jalkan wielkodusznie - skoro nowy naos postanowił oczyścić Kościół z wszystkich duchownych, którzy nie pochodzą z jego części imperium. Ktokolwiek stanąłby w mojej obronie, skończyłby jak ja, przykuty do pręgierza.

- Możesz się spodziewać sowitego wynagrodzenia, Jalkanie. Za twoje wiekopomne odkrycie i za przeszłe cierpienia.

- Tak, wasza łaskawość, spodziewam się sowitego wynagrodzenia - podjął Jalkan ochotczo. - Oczywiście. Ponieważ tylko ja jeden wiem, jak dotrzeć do Dhrallu, jestem wyjątkowo cenny.

Pulchny adnari podniósł na dawnego hierasa zaskoczone spojrzenie.

- Tak, tak, wasza łaskawość - ciągnął Jalkan. - Bo chyba nie spodziewasz się, że jak wierny pies wykonam wszystkie rozkazy i zadowolę się ochłapami? - Zrobił przerwę dla efektu. - Dostanę dwadzieścia procent.

- Dwadzieścia procent czego?

- Wszystkiego, wasza łaskawość. Złota, niewolników, ziemi - wszystkiego.

- To skandal! - krzyknął Estarg.

- Taka jest moja cena, wasza łaskawość - powiedział Jalkan.

- Możecie się na nią zgodzić lub nie. Jeśli wam nie odpowiada, zapomnę drogę do Dhrallu. A poza wszystkim, wasza łaskawość, nie jestem już członkiem Kościoła, więc nie mam w nim zwierzchników, których rozkazów musiałbym słuchać. Co oznacza, że tym razem ja ustalam reguły. - Na widok zaskoczenia Estarga zrobiło mu się ciepło na sercu.

*

Jalkan podróżował na północ, do portu w Castano, rozparty w zdobionej lektyce niesionej przez ośmiu niewolników. Przez całą drogę rozważał kwestie swojego osobistego bezpieczeństwa. Miał absolutną pewność, że wysoko postawieni członkowie duchowieństwa, których zwerbował adnari Estarg, uznają go za zbyt cenny element układanki natychmiast po przybyciu na Dhrall. A on chciał zachować życie.

Rozwiązanie wydawało się stosunkowo proste. Tylko on jeden widział stworzoną przez Veltana mapę okolic Wodospadu Vasha, a ponieważ nie ulegało wątpliwości, iż kopalnie złota południowego Dhrallu zlokalizowane są właśnie tam, znajomość terenu gwarantowała mu bezpieczeństwo. Trzeba będzie uświadomić to wszystkim zainteresowanym głośno i wyraźnie, jak tylko dobiją do brzegów nowego lądu.

Sytuacja zmieni się na gorsze, gdy dotrą do kopalni. Jalkan łamał sobie głowę nad znalezieniem odpowiedniego wyjścia. Odpowiedź nasuwała się zawsze ta sama, ale perspektywa ta była nieszczególnie pociągająca. Musi wynająć - i dobrze opłacić - liczną grupę zawodowych żołnierzy, którzy będą strzegli jego bezpieczeństwa. Opłacać ich trzeba hojnie, bo w przeciwnym razie albo będą go oszukiwali, albo nie będą chronili należycie, albo sami zabiją. Najwyraźniej zapewnienie nietykalności osobistej oraz ochrona bogactwa miały go kosztować fortunę.

Westchnął zrezygnowany. Zamożność była niewygodna.

- Trudno - mruknął pod nosem. - Taka jest cena sławy i dobrobytu. - Wzruszył lekko ramionami. - Lepsze to niż być pogardzanym nędzarzem.

Interludium Na Ziemi Marzeń Sennych

Tej nocy Eleria źle spała. Najukochańsza pani nieomal doszła już do siebie, ciągle

jednak pewne drobiazgi wskazywały na to, że owo coś, co wyprowadziło ją z równowagi i kazało uciec po wybuchu bliźniaczych wulkanów, nadal nie dawało jej spokoju. Tak czy inaczej jej cykl dobiegał końca i sen wyraźnie otulał mgłą jej myśli.

W zwykłych okolicznościach taki stan rzeczy nie miałby najmniejszego znaczenia, lecz sytuacja na Dhrallu daleka była od normalnej, więc nastał czas najwyższy, by poczynić odpowiednie kroki. Eleria nie bez żalu uznała, że czas zabaw się skończył i nadeszła pora wypełniania obowiązków.

Bariery, jakie Dahlaine wznosił przed młodszymi bogami, nie były trudne do pokonania, dlatego też Balacenia szybko przeszła na drugą stronę i zanurzyła się w realnym świecie. Z początku odrobinę niepokojące było poczucie dwoistości, ale ponieważ nigdy dotąd nie miała dzieciństwa, chętnie cieszyła się wspomnieniami Elerii, a jej miłość i oddanie najukochańszej pani wyciskały Balaceni łzy z oczu. Czas jakiś zwlekała właśnie tam, lecz w końcu odsunęła na bok marzenia i sięgnęła ku rodzeństwu.

Pierwszy odpowiedział Vash, oczywiście. Z nim Balacenia była najbliżej od samych narodzin świata.

- Wzywałaś mnie, Elerio? - spytał zasnym głosem.

- Daj spokój z tą Eleria, przecież równie łatwo jak ja pokonujesz bariery wzniesione przez Dahlaine'a. Przejdź na drugą stronę, tam znajdziesz własne wspomnienia i prawdziwą tożsamość. Musimy porozmawiać o ważnych sprawach, a możemy dokonać tego tylko w sennych marzeniach. Inaczej usłyszą nas starsi bogowie.

Vash odetchnął głębiej, przyjął na siebie rzeczywistość.

- Szybko ci poszło - stwierdziła bogini.

- Niesamowite! - wykrzyknął Vash zachwycony.

- Nie odsuwaj Yaltara zupełnie. Jego wspomnienia należą teraz do ciebie, nie masz innego dzieciństwa. I chodź, spotkamy się w naszym wymyślonym miejscu. Przyprowadzę Dakasa i Enallę, jak tylko otworzę im oczy.

- Będę na ciebie czekał - obiecał.

Balacenia sięgnęła ku Dakasowi. Z niejakim zdziwieniem stwierdziła, że już odnalazł własną rzeczywistość. Oczywiście był bliżej Dahlaine'a niż którekolwiek z pozostałej trójki rodzeństwa swojego opiekuna, więc najprędzej uświadomił sobie, jak zwodniczy potrafi być najstarszy ze zmienników.

- Gdzie się spotykamy? - zapytał bez wstępów.

- To miejsce istnieje tylko w wyobraźni. Zbudowaliśmy je wspólnie z Vashem. Jest dużo ładniejsze niż prawdziwy świat. Sięgnij do Vasha, on cię poprowadzi.

- Dobrze.

Z Enallą poszło nieco trudniej. Kurczowo trzymała się dzieciennych wspomnień Lillabeth. Nic dziwnego. Skoro Aracia rozpieszczała swoją Marzycielkę do granic możliwości, dziewczynka nie miała najmniejszej ochoty dorosnąć i przyjąć swoją prawdziwą tożsamość. Balacenia podparła się autorytetem najstarszej w cyklu i wreszcie nadąsana Enalla dołączyła do reszty rodzeństwa.

Miejsce, gdzie Balacenia i Vash często spotykali się w czasie poprzedniego cyklu, istniało jedynie w ich połączonej wyobraźni. W prawdziwym świecie próżno by szukać czegoś równie pięknego. Nad ciemnym lasem, na tle rozgwieżdżonego nieba połyskiwała Aurora. Marzyciele unosili się swobodnie, sycąc zmysły rozkosznym blaskiem.

- Jak wście tego dokonali? - spytał Dakas pełen podziwu.

- Dzięki połączeniu wyobraźni - wyjaśniła Balacenia. - Nie poszło łatwo i zabrało nam to sporo czasu, ale warto się było potrudzić. - Rozejrzała się wokół, westchnęła. - Cóż, czas przystąpić do sprawy. Wszyscy się chyba zgodzimy, że Dahlaine podjął niemałe ryzyko, ale na to już teraz nic nie poradzimy.

- To prawda - przytaknął Vash. Jego dziecienną twarzyczkę opromieniała migotliwa Aurora. - Ponieważ będziesz w następnym cyklu najstarsza, do ciebie należy decyzja, co robić. - Przeniósł spojrzenie kolejno na Dakasa i Enallę. - Zgadza się ze mną?

- Z wielką chęcią złożę to brzemię na ramiona mojej ukochanej siostry - oznajmił Dakas. - Poprzednim razem o mało nie załamałem się pod jego ciężarem.

- Ja też nie mam nic przeciw temu - rzuciła Enalla obojętnie. Wpatrywała się w wir światła na kruczoczarowym niebie. - Prześliczne! - stwierdziła z uznaniem.

- To jeszcze nic, zobaczysz, jak wygląda o świcie - powiedział Vash nie bez dumy.

- Musimy działać wyjątkowo rozważnie - podjęła Balacenia - żeby nie zakłócić równowagi świata, gdy jesteśmy przebudzeni wszyscy ośmioro. Przekonaliśmy się już, że śpiąc, możemy wpływać na siły natury, nie szkodząc światu, ale raczej nie powinniśmy kusić losu poza marzeniami sennymi.

- Moim zdaniem Dahlaine podjął zbyt duże ryzyko - upierała się Enalla. - Przez taki dodatkowy ciężar świat może spaść na słońce.

- Alternatywa nie była szczególnie obiecująca, siostrzyczko - przypomniał jej Dakas. - Vlagh... ta nieokreślona istota przewodząca stworom z Pustkowiec zmienia naturalny porządek rzeczy już od długiego czasu, więc i my możemy podjąć pewne ryzyko.

- Kochani, czas nagli - odezwała się Balacenia. - Pewnie lada moment któreś z nas się obudzi. Mam uzasadnione podejrzenia, że jeśli zaczniemy otwarcie ingerować w porządek

świata, skutki mogą okazać się katastrofalne. Natomiast prawie wszystko możemy powodować marzeniami sennymi. Wobec tego przynajmniej jedno z nas musi spać.

- Doskonale rozwiązanie, droga siostró - ocenił Vash z szerokim uśmiechem. - Wystarczy, że stale któreś z nas będzie spało. Przybysze nazywają to „spaniem na warcie” i uważają za grzech śmiertelny. A dla nas będzie odwrotnie. Ustalmy warty, na przykład sześciogodzinne.

- Świetna myśl - przyznała Enalla. - Proszę, nawet Vash miewa dobre pomysły. - Posłała bogu krzywy uśmiech.

- Enallo, bądź grzeczna dla brata - przywołała ją do porządku Balacenia.

- Zawsze jestem grzeczna. Chociaż to strasznie nudne.

- Na twoim miejscu nie informowałbym o tym Aracii - przestrzegł Dakas. - Ma na każde skinienie tych tłustych kapłanów, więc jeśli uzna, że i ją znudziła grzeczność, jej Kościół może zadrzeć w posadach.

- Jak pójdzie spać, będzie jeszcze gorzej - odparła Enalla. - Całe to duchowieństwo przyprawia mnie o mdłości, więc kiedy się obudzę, od razu zniszczę wszystkie te idiotyczne świątynie. A potem powiem kapłanom, że nie chcę ich więcej widzieć. Niech sobie poszukają jakiejś uczciwej pracy.

- Vash znalazł wyjście z większości naszych kłopotów. - Balacenia uparcie wracała do tematu spotkania. - Jeżeli przez cały czas któreś z nas będzie spało, zdołamy szybko zareagować na każde posunięcie Vlagha. Możemy chyba założyć, że rozmyślnie czeka z wszelkimi działaniami, aż nasi zmiennicy zdziecinieją. Ja już muszę niekiedy naciskać na panią Zelanę, by skłonić ją do działania, chociaż wcale mi się to nie podoba. Czy zauważyliście podobne zachowanie u swoich opiekunów?

- Dahlaine rzeczywiście jest ostatnio jakiś rozkojarzony - przyznał Dakas. - Czasami zapomina, że Długi Pazur i ja poniekąd jesteśmy braćmi, niekiedy gubi wątek, słuchając wodzów...

- Veltan jest w dobrej formie - stwierdził Vash. - Chociaż, z drugiej strony, nigdy nie był całkiem poważny. Mam już dosyć słuchania w kółko o jego wygnaniu na księżyc, ale Ara mi powtarza, żebym był grzeczny i się nie buntował.

- Lubisz Arę, prawda? - zauważyła Enalla.

- Wszyscy ją lubią. Omago jest pewnie najszczęśliwszym mężczyzną na świecie.

- Ara fantastycznie gotuje - rozmarzył się Dakas. - A nasi starsi nie mają bladego pojęcia o jedzeniu! Nie wiedzą, co tracą.

- My też jeszcze do niedawna nie znaliśmy rozkoszy podniebienia - przypomniała mu

Enalla. - Nie śniło nam się nawet, że tracimy jeden z największych uroków życia.

- Czy Aracia zachowuje się normalnie? - spytała siostrę Balacenia.

- Bo ja wiem? - Enalla lekko wzruszyła ramionami. - Jest irytująca, a ci jej księża bez przerwy zamęczają wszystkich kretyńskimi ceremoniami, byle tylko jej się przypodobać.

- Czyli najwyraźniej nasi opiekunowie zaczynają spuszczać z tonu - podsumowała Balacenia. - W normalnej sytuacji nie byłoby to kłopotliwe, teraz jednak, w czasie wojny, potrzebują naszej dyskretnej pomocy. Mnie zdarzyło się już kilka razy bezpośrednio nakazać to i owo Długiej Strzale.

- To niemałe osiągnięcie - uznał Vash. - Nakłonienie do czegoś Długiej Strzały bywa dużo trudniejsze niż skłonienie do działania Zelany.

- Rzeczywiście, nie od razu się mnie słuchał - przyznała Balacenia. Zmarszczyła brwi w zastanowieniu. - Moim zdaniem powinniśmy być w znacznie ściślejszym kontakcie niż zazwyczaj - oznajmiła po chwili. - Vlagh najwyraźniej lubi działać z zaskoczenia, więc musimy być gotowi zareagować natychmiast. Dakasie, czy Dahlaine przekazał nam twój sen ze wszystkimi szczegółami?

- W zasadzie tak. Dla mnie po przebudzeniu nie miał on, rzecz jasna, szczególnego sensu, a i teraz nie umiem pojąć, na czym ma polegać ta druga inwazja. - Dakas przeniósł spojrzenie na Vasha. - Byłem przekonany, że Trogici pracują dla Veltana.

- Tak właśnie jest. W każdym razie armia Narasana czeka na jego rozkazy - odpowiedział Marzyciel najmłodszego boga. - Veltan nie opowiadał mi z detalami, jak ją wynajął, więc nie mam pewności, jak to właściwie wyglądało...

Balacenia spojrzała na wschód, gdzie nad horyzontem zarysowała się biała smużka światła.

- Już prawie świt - rzekła. - Zaraz zaczniemy się budzić. Zostanę na warcie do południa. Muszę sobie wiele spraw przemyśleć. Na razie chyba jeszcze nie należy się spodziewać żadnego niebezpieczeństwa, ale na wszelki wypadek będę tutaj.

- Potem wezwij mnie - zaproponował Dakas. - Ja potrafię zasnąć właściwie o każdej porze. Pewnie dlatego że się wychowywałem z niedźwiedziami.

- Ja mogę być trzecia - zgłosiła się Enalla. - Pośpię sześć godzin i Vash mnie zmieni. A po nim znowu ty zaśniesz, Balacenio.

- Jeszcze jedno, zanim się rozejdziemy - powiedziała Balacenia. - Zachowajcie najwyższą ostrożność w rozmowach ze starszymi. My z Vashem już popełniliśmy błąd i użyliśmy w obecności zmienników naszych prawdziwych imion. Jeśli będzie się to zdarzało częściej, opiekunowie nabiorą podejrzeń. Lepiej niech będą ospali i szczęśliwi. Nie powinni

wiedzieć, że już się skończyły nasze senne marzenia.

Pozostała trójka potaknęła zgodnie. Jedno po drugim zniknęli wkrótce ze świata wyobraźni.

Balacenia przechadzała się w lśniącej Aurorze, błędząc wzrokiem po coraz jaśniejszym wschodnim horyzoncie. Słońce wstawało majestatycznie, malując nowy dzień poróżwiałym karmazynem. Miała w sercu smutek. Najukochańsza pani jakoś nie mogła dojść do siebie po wydarzeniach pod Lattash, a jej ból odciskał się piętnem na świadomości Elerii.

Nagle stała się rzecz niemożliwa. Z blasku wschodzącego słońca - w miejscu istniejącym tylko w wyobraźni Balacenie i Vasha - wyłoniła się kobieca postać.

- Dobrze sobie radzisz, kochana - zabrzmiał dźwięczny głos.

Balacenia od razu rozpoznała ten głos. Jakoś wcale nie była zdziwiona, że Ara pojawiła się znikąd w miejscu, które nie istniało w prawdziwym świecie. Uprzejmie skinęła głową pięknej żonie Omega.

- Chciałam cię o coś zapytać, Aro. Chyba teraz jest odpowiedni moment... Mam nieodparte wrażenie, że już się gdzieś spotkałyśmy. Nie mylę się, prawda?

- Prawda - odrzekła Ara z uśmiechem. - Ale to było bardzo dawno... nawet dla ciebie.

Wyciągnęła przed siebie ramiona, a Balacenia najnaturalniej w świecie zatonęła w jej objęciach.

- Dobrze sobie radzisz - powtórzyła Ara. - Nie miałam pewności, czy plan Dahlaine'a się powiedzie, ale tak szybko i łatwo dokonałaś przemiany i niczym się nie zdradziłaś, gdy sobie uświadomiłaś, kim naprawdę jesteś...

- Moim zdaniem plan Dahlaine'a nie do końca się powiódł. I ta świadomość dokuczala Elerii. W zasadzie wszystko było jej zamysłem. Wiedziała, że Marzyciele muszą spać, więc mnie wezwała. - Balacenia uśmiechnęła się lekko. - Nigdy nikt mnie dotąd nie budził, a jej wspomnienia z dzieciństwa wyciskają mi z oczu łzy rozrzewnienia.

- Musisz oprzeć się urokowi Elerii. Pod wieloma względami jest tobą, ale ma własne upodobania. Chyba przez te zabawy z delfinami... Niedługo się do niej przyzwyczaisz. Tymczasem dbaj o Zelanę. Nie jest w najlepszej kondycji.

- Czy dojdzie do siebie? - spytała Balacenia zatroskana.

- Nie tym razem, kochana, nie w tym cyklu. Teraz już chyli się ku marzeniom sennym, nieco szybciej, niż przewidywał Dahlaine. Z tym dam sobie radę. Dbaj o swoją ukochaną panią, zapewnij jej bezpieczeństwo, a resztę zostaw mnie. Śpij już, drogie dziecko. Jutro jest kolejny dzień.

Wtedy Balacenia obudziła się w łóżku Elerii.

Człowiek honoru

Narasan urodził się w obozie wojskowym, więc w jakimś sensie był w armii przez całuteńkie życie. Nigdy mu nie przyszło do głowy, że mógłby zostać kupcem albo członkiem rządu.

Swego czasu obóz wojskowy znajdował się na przedmieściach, lecz rosnąca stolica trogickiego imperium stopniowo przygarniała go coraz bliżej serca. Co za tym idzie, różni wysoko postawieni członkowie rządu ostrzyli sobie zęby na coraz cenniejsze grunty, widząc w nich źródło ogromnego bogactwa. Nie raz i nie dwa składano armii kuszące oferty, lecz przodkowie Narasana konsekwentnie odmawiali jakichkolwiek dyskusji na temat sprzedaży ziemi.

Obóz wojskowy pod wieloma względami przypominał miasto, wcale nie takie znów małe. Znajdowały się tam budynki administracyjne, kwatery oficerskie, żołnierskie baraki, zbrojownie oraz magazyny usytuowane niedaleko placów ćwiczebnych, a także dziedzińce paradne i poligony, w najmniejszym szczególe oddające każdy typ ukształtowania terenu występującego w imperium. Od miasta odgrodził się obóz wysokim murem o dobrze strzeżonych bramach. Wszystkie budynki w obrębie murów były mniej więcej tej samej wielkości, miały pobielone ściany i dachy kryte czerwoną dachówką. Panował tam ład i porządek, królowały linie równoległe oraz kąty proste, obce rosnącemu chaotycznie miastu cywilów.

Narasan jako dziecko oglądał czasem świat po drugiej stronie, lecz nie czuł potrzeby poznawania go bliżej. Wszystko, czego chciał, wszystko, czego potrzebował, znajdował w obozie, nie miał więc powodu wychodzić do miasta.

W budynkach zamieszkałych przez oficerów znajdowały się pokoje zabaw dla dzieci. Od pewnego wieku dziewczynki i chłopcy bawili się oddzielnie. Żony oficerów miały na ten temat określone zdanie.

Z podobnych przyczyn dziecięce place zabaw znajdowały się odpowiednio daleko od poligonów i dziedzińców, na których ćwiczono musztrę. Matkom nieszczególnie podobał się wojskowy żargon.

Chłopcy uwielbiali się bawić w wojsko. Uzbrojeni w drewniane miecze oraz tarcze, pod czujnym okiem weteranów odbierali pierwsze nauki, ćwiczili się w maszerowaniu i w walce.

Narasan miał dwóch serdecznych przyjaciół, Gundę i Pa dana - synów podkomendnych ojca. Gunda nigdy nie był chuderlakiem i już jako dziecko wprawnie robił

mieczem. Padan miał szczególne poczucie humoru. Żaden z trzech przyjaciół nigdy nie robił żadnych aluzji do funkcji ojca Narasana; syn komendanta uważałby za dyshonor powoływanie się na rodzinne układy.

Z czasem zaczął sobie uświadamiać, iż chłopięce place zabaw, usytuowane w cieniu obszernych kwater oficerskich o białych ścianach, nie tak znów bardzo różnią się od dziedzińców ćwiczebnych. Dzieci armii wprawiały się w sztuce wojaczki od najmłodszych lat.

Młodemu Narasanowi wydawało się to całkowicie naturalne.

- Tata nie powiedział mi, jak to się stało. - Mroźny poranek za stał Narasana i Gundę na pustym placu zabaw. - Wiem tylko, że ta tuś Padana został zabity na południu. Chyba dlatego Padan nie przychodzi się bawić...

Narasan był jak ogłuszony. Oczywiście wiedział, że żołnierze tracą życie na wojnie, ale po raz pierwszy zetknął się ze śmiercią tak blisko.

- Co powiemy Padanowi, kiedy tu przyjdzie? - zapytał.

- Nie wiem - przyznał Gunda.

- Może lepiej nie mówić nic o jego tacie? - zastanowił się Narasan.

- Może lepiej.

- Sam nie wiem. Spytajmy któregoś sierżanta. Tatuś Padana nie jest pierwszym poległym na wojnie. Na pewno ktoś nam poradzi, jak się zachować.

- Pewnie tak. Znajdźmy jakiegoś starego wygę, który wie o wojnie wszystko. A jak będziemy duzi, to już wymyślimy, jak się policzyć z tą armią, która zabiła tatę Padana. Wtedy Padan poczuje się lepiej - ocenił Gunda.

- Niezły pomysł! - zgodził się Narasan. - Dowiem się, jaka to armia, i damy im popalić, kiedy to my będziemy dowodzić! - Rozejrzał się dookoła. - Ale nikomu o tym nie mówmy. Może się okazać, że niehonorowo jest chować urazę albo coś takiego...

- Dla ciebie zawsze honor najważniejszy... - zamyślił się Gunda.

- Mnie się wydaje, że człowiek powinien być honorowy, ale jeśli ktoś krzywdzi przyjaciela, to najpierw trzeba wyrównać rachunki.

- Pewnie masz rację. Ale i tak lepiej nikomu nic nie mówić.

- To ty będziesz komandorem. My będziemy wypełniać twoje rozkazy.

*

- Było to z pięćdziesiąt, a może i sześćdziesiąt la temu... Wojskowi zdecydowali, że wcale nie mają ochoty dłużej pracować dla imperatora ani dla głupców z Palvanum. Wszyscy ci baronowie i lordowie tylko gadali i gadali, wygłaszali przemowy... - Stary sierżant Wilmer,

o twarzy poznaczonej głębokimi zmarszczkami, ożywiał dla chłopców dawne dzieje. Za oknami buroszare chmury podlewały świat rześzystym deszczem. - Ludzie gadają, że wszystko się zaczęło, kiedy ci durnie z Palvanum umyślili sobie, że my, wojacy, dostajemy za duży żołd. No tak, wtedy akurat był pokój, więc żołnierze nie mieli nic do roboty. Polerowali miecze i grali w kości. Mądralom z Palvanum to się nie podobało, no to uradzili, coby żołd obciąć o połowę. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że to nie wszystko! Dopiero potem się wydało: którejs nocy zebrali się potajemnie i uradzili dla siebie podwyżkę! Za to całe gadanie bez sensu. Ale to utrzymali w tajemnicy.

- Jak to możliwe?! - zdumiał się Padan. - Czy członkowie Palvanum mogą brać ze skarbcza, ile dusza zapragnie?

- Widzisz, synku, tak im się wydawało. Ale jak się dowódcy zwiedzieli, to wszyscy razem postanowili, że nie będą pracować za takie marne grosze, no i wymówili służbę. Ale w obozie zostali. I tak się złożyło, że parę książątek i baronów ze wschodnich prowincji umyśliło sobie oderwać się od imperium. Przestali płacić podatki, zamknęli granice i wieszali każdego poborcę, jaki im wpadł w łapy.

- Ale to przecież bezprawie! - oburzył się Gunda. Sierżant roześmiał się głośno.

- Rządowi mądrale zostali bez armii, chłopcze. Nie miał kto przywołać do porządku zbuntowanej szlachty. Nie miał kto im przypomnieć, że łamią prawo. A Palvani zaczęli przemawiać i wypisywać różne bzdurne rozkazy dla armii, by poszła na wschód i tak długo siedziała niepokornym baronom na karku, aż zaczną na nowo płacić podatki. Ale nasi komandorzy nie słuchali rozkazów. Powiedzieli Palvani, co mogą sobie z nimi zrobić. Chłopcy gruchnęli śmiechem.

- No i tak - podjął sierżant. - Czas mijał, armia siedziała z założonymi rękami, aż nareszcie ci mądrale z rządu zrozumieli w czym rzecz. Więc przyszli tutaj, do samego obozu, i powiedzieli wojakom, że zapłacą im taki żołd jak poprzednio, tylko niech pójdą na wschód i nawładają tamtym tak, żeby im w pięty poszło. Ale żołnierze się nie zgodzili. Powiedzieli, że teraz chcą dwa razy więcej, niż mieli dawniej. I bez tego palcem nie kiwną. No, to się dopiero zaczęło dziać! W życiu nie słyszałem takich skarg i lamentów. Te matoly z rządu rwały włosy z głowy i wydawały następne rozkazy, żeby armia pomaszerowała na wschód. Ale wojacy tylko zatrzasnęli bramy obozu i nawet się nie odzywali, kiedy Palvani do nich stukali.

- Postawili na swoim, sierzancie? - chciał wiedzieć Gunda.

- A jakże, a jakże. A nawet jeszcze lepiej! - Sierżant wygodniej rozparł się w krześle, pociągnął z kufła długi łyk. - Palvani wrócili w końcu tam, gdzie obradują, i przemawiali

jeszcze z tydzień. W tym czasie następne dwie wschodnie prowincje przyłączyły się do zbuntowanych. No to w końcu poszli po rozum do głowy i wreszcie przejrżeli na oczy. Przestraszyli się, że w tym tempie za jakiś miesiąc to już wcale nie będzie imperium. Wrócili wszyscy razem tutaj pod bramy obozu i powiedzieli naszym komandorom, że zapłacą nam tyle, ile chcemy. Ale nasi dowódcy nie dadzą sobie w kaszę dmuchać. Od razu powiedzieli: „Nie idziemy, póki nie zobaczymy pieniędzy”. No to znowu się zaczęły krzyki, skargi i żale... Lecz Palvani już wiedzieli, że nasi komandorzy nie ustąpią ani na krok. I w końcu zapłacili wojakom wszystko, co im się należało, i tak to się skończyło.

- A jak potoczyła się wojna? - zapytał Narasan.

- Eee tam, co to była za wojna! - skrzywił się sierżant Wilmer. - Chłopcze drogi, kiedy książątka i baronowie wschodu zobaczyli dziesięć armii maszerujących w ich stronę, poddali się natychmiast! Wszyscy wywiesili białe flagi! - Stary wyga znowu pociągnął łyk piwa i potoczył wzrokiem po twarzach chłopców. Za oknem wiatr siekł deszczem z ukosa. - Kiedy rozpoczniecie edukację - rzekł, porzucając barwną żołnierską gwarę - usłyszycie całkiem inną historię. Pamiętajcie wtedy, że to ja powiedziałem wam prawdę. Mój sierżant przekazał mi tę opowieść, gdy byłem w waszym wieku, a on przeżył tamte wypadki. Od czasu do czasu nauczyciele próbują upiększyć przeszłość, bo rzeczywistość zwykle bywa trudna, czasem nawet straszna. Świat nie jest tak piękny, a życie tak łatwe, jak chcieliby ludzie. Pamiętajcie o tym i nie wiercie ślepo w każde słowo, jakie padnie z ust wysoko urodzonego wychowawcy. Ufajcie własnemu rozumowi.

Narasan schował tę uwagę głęboko w sercu.

O zmierzchu chłopcy rozeszli się do domów. Podobno niektórzy dowódcy mieszkali w pałacach, utrzymując, że taki zaszczyt należy się szlachetnie urodzonym, ale ojciec Narasana uważał za punkt honoru zakwaterowanie z żołnierzami.

Był szczupły, ale dobrze umięśniony, niedawno przekroczył czterdziestkę. Brzemie dowodzenia armią wycisnęło piętno na jego twarzy, w błyszczących czarnych włosach na skroniach pojawiły się nitki siwizny. Funkcja komandora łączyła się z niemałą odpowiedzialnością, więc rzadko miał wolną chwilę, ale dla syna zawsze znajdował czas.

Tego wieczoru Narasan poszedł od razu do gabinetu ojca, gdzie królowały wszechobecne księgi. Opowieść sierżanta Wilmera nie dawała mu spokoju, rzucała całkiem nowe światło na jego przyszłą karierę.

- Znajdziesz dla mnie chwilę, tato?

- Coś cię trapi, synu - zauważył komandor, odsuwając na bok dokumenty. - Mów, słucham.

- Dzisiaj po południu padało, więc poszliśmy do świetlicy. Był tam ten stary sierżant, Wilmer, zabawny z niego człowiek.

Ojciec Narasana uśmiechnął się lekko.

- To tylko poza, synu. Opowiada historie w żołnierskiej gwarze, żeby przyciągnąć uwagę smyków... pewnie uraczył was opowieścią o początkach naszej armii?

- Skąd wiesz?

- Opowiada ją nie pierwszemu już pokoleniu. Wcześniej czy później każdy chłopak słyszy z jego ust dzieje powstania armii.

- Wydawało mi się, że zmyśla.

- Stary sierżant mówi prawdę. Tak to właśnie wtedy wyglądało. W tamtym czasie armia rzeczywiście była związana z rządem imperium i oddzieliła się od niego po kłótni z członkami Palvanum. I rzeczywiście poszło o pieniądze. Chcemy, żeby nasze dzieci znały prawdę, dlatego pozwalamy Wilmerowi opowiadać tę historię każdemu pokoleniu. - Odchylił się na oparcie krzesła, blask świecy stojącej na biurku dotknął jego posrebrzonej skroni. - Każdy członek szlachetnego Palvanum ma własny pogląd na to, jak rząd powinien gospodarować pieniędzmi z publicznego skarbcza, ale w jednym się zgadzają: płace dla armii znajdują się na ostatnim miejscu listy.

- Przecież to nie w porządku!

- Porządek i prawość zawsze były dla Palvanum pojęciami niezrozumiałymi. W czasie wojny Palvani wygłaszają hymny pochwalne na temat odwagi trogickich żołnierzy, ale gdy nastaje pokój, wołają o nas zapomnieć. Dlatego musieliśmy wziąć sprawy w swoje ręce. Taki jest morał opowieści sierżanta Wilmera.

- Jest jeszcze jedna rzecz, tato. - Narasan postanowił poruszyć temat, który od kilku miesięcy nie dawał mu spokoju. - Zimą, kiedy zabito tatę Padana, postanowiliśmy z Gundą, że kiedy dorośniemy, weźmiemy odwet na tej wrogiej armii. Nie chciałem ci o tym mówić, ale wciąż mam wątpliwości. Czy to honorowe postępowanie? Przecież żołnierze tracą życie na wojnie...

- Żołnierz musi być przede wszystkim lojalny wobec swoich towarzyszy. Tego wymaga honor. Muszę przyznać, że sam wyczekuję okazji, by wyrównać rachunki z armią, która odebrała życie ojcu twojego przyjaciela.

- Chcesz nawkladać tamtym tak, żeby im w pięty poszło? - Narasanowi zaślniły oczy.

Komandor zaśmiał się głośno.

- Widzę, że uważnie słuchałeś sierżanta Wilmera. Tak, zamierzam im dać popalić na tyle solidnie, żeby ich wnuki uciekały na dźwięk mojego imienia. Nie zyskam w ten sposób

przychylności członków Palvanum, ponieważ to jedna z ich ulubionych armii... Trudno.

- Czy są w rządzie jacyś uczciwi ludzie?

- Uczciwość i rząd nie idą w parze, Narasanie. To dwie przeciwności.

- Więc tym bardziej się cieszę, że będę służył w armii - uznał Narasan. - Bo z tego wynika, że wojacy są najuczciwszymi ludźmi w całym imperium.

- Cóż, trudno dyskutować z tą opinią - stwierdził komandor z nieco kwaśnym uśmiechem.

*

Jakiś rok później Narasan, Gunda i Padan rozpoczęli edukację. Oczywiście ich nauczycielami byli zawodowi żołnierze, więc nieomal na każdej lekcji podkreślali, że nie ma walki, póki nie ma pieniędzy.

Padan, chłopak satyrycznie nastawiony do życia, zaproponował któregoś razu, by to hasło umieścić na sztandarach, a nauczyciele, ku zdumieniu Narasana, potraktowali jego wygłup z całkowitą powagą i czas jakiś rozważali wprowadzenie go w życie.

Nauka w klasach była dość nudna, chłopcy zdecydowanie przedkładali nad nią ćwiczenia na placu. Wprawiali się już w walce stalowymi mieczami, znacznie cięższymi niż drewniane zabawki z czasów dzieciństwa, toteż mięśnie mieli wkrótce równie twarde jak oręż. W tamtym czasie falanga stanowiła główną formację bojową trogickiej armii, wobec czego kandydaci na żołnierzy długie godziny maszerowali w nogę, ukryci za tarczami, z włóczniami nastawionymi do ataku. Kluczem do powodzenia jest w takich razach jednolitość, więc sierżant zdierał sobie gardło, wrzeszcząc: „Razem, razem!”. Wystarczyło, że któraś tarcza wysunęła się z rzędu choćby na centymetr.

Wkrótce po ósmych urodzinach Narasana armia jego ojca została wynajęta do stłumienia rebelii w jednej z zachodnich prowincji. Wówczas dla Narasana nabrała wielkiej wagi kwestia niewolnictwa. Chłopiec podejrzewał, że ojciec jest niewolnictwu przeciwny, choć nigdy od niego takiej opinii nie usłyszał. Jak dotąd jeszcze nie widział niewolnika, lecz wieść niosła, że niejeden żołnierz w armii jego ojca to dawny niewolnik. Gdy u bram obozu zjawiał się młody mężczyzna i zgłaszał chęć zaciągnięcia się do wojska, nikt nie zadawał mu wielu pytań. Plotka niosła także, iż całkiem spora liczba żołnierzy w młodych latach bywała na bakier z prawem, ale im także nie zadawano niewygodnych pytań.

Powracając z zachodu armię prowadził stryj Narasana, Kalan. Chłopcu przeszedł po plecach zimny dreszcz.

Przecucie go nie myliło.

- Nie sposób było przewidzieć takiego zdarzenia - opowiadał Kalan ze smutkiem

bratankowi i jego matce. - Jakiś zbiegły niewolnik znalazł ułamaną włócznię, mniej niż pół jej zostało. Nawet nie wiedzieliśmy, że się chowa w krzakach, ot, ciągnęliśmy w górę po zboczu wzgórza. Kiedy nas zobaczył, wyskoczył z ukrycia, cisnął włócznią w stronę kolumny wojska i uciekł jak wystraszony królik. Pewnie w życiu nie miał w ręku broni, ale cudem jakimś trafił mojego brata prosto w gardło. Komandor wyzionął ducha od razu.

- Złapaliście tego niewolnika? - spytała matka Narasana głosem bez wyrazu.

- O tak - odparł Kalan ponuro. - Długo umierał.

- Przynajmniej tyle.

- Niewiele mogliśmy zrobić - odezwał się Kalan przepraszającym tonem. - Nic nie przywróci życia mojemu bratu, a twojemu mężowi. Zdusiliśmy rewoltę szybko i bez strat. Żołnierze, rozgniewani śmiercią komandora, przykładowo ukarali każdego zbiegłego niewolnika, jaki wpadł im w ręce. Podejrzewam, że właściciele niewolników będą musieli przez najbliższych kilka lat sami uprawiać ziemię.

Matka Narasana wybiegła z pokoju. Zza ściany dobiegł jej szloch.

*

Następne dni i tygodnie mijały w żałobie. Narasan ledwo dawał sobie radę z własnym smutkiem, nie umiał pomóc matce. Sam przetrwał tylko dzięki stryjowi. Gdy znów przytomniej spojrzął na świat, uświadomił sobie, że matka z rozpaczy postradała zmysły. Wtedy właśnie chłopak postanowił nigdy nie wstępować w związek małżeński. Dla żołnierza śmierć jest chlebem powszednim, jego życie kończy się nagle, księga się zamyka. A żonie pozostaje smutek, rozpacz, nieutulony żal. Narasan zrozumiał, że prawdziwy żołnierz jest poślubiony armii.

Kalan przejął rolę brata, został komandorem, a także starał się zastąpić bratankowi ojca.

Gdy Narasan skończył dwunasty rok życia, zgodnie z prawem i zwyczajem armii znalazł się w gronie kadetów. Skończywszy lat piętnaście, zaciągnął się jako podoficer.

Jeszcze przed dwudziestką poznał smak wojny i udowodnił, że zajdzie wysoko. O ile oczywiście pożyje odpowiednio długo.

Mając lat trzydzieści pięć, zyskał tytuł zastępcy komandora, a jego przyjaciele z dzieciństwa, Gunda i Padan, niewiele mu ustępowali. Wszyscy trzej dobrze się wywiązywali ze swoich obowiązków, zasługując na pochwały komandora Kalana. Narasan doskonale zdawał sobie sprawę, że stryj uważnie obserwuje jego osiągnięcia, więc nie był zdziwiony, gdy w dzień czterdziestych urodzin, w kulminacyjnym punkcie uroczystości, brat ojca wstał i obwieścił zebrany, że postanowił przejść na emeryturę, a jego miejsce na czele armii zajmie

bratanek.

- Nie jestem jeszcze gotów objąć dowództwa - zaprotestował Narasan.

- No to się gotuj jak najszybciej - polecił Kalan - bo czy ci się to podoba, czy nie, jutro o wschodzie słońca będziesz komandorem.

- Co chcesz robić na emeryturze, komandorze Kalanie? - chciał wiedzieć Gunda.

- Przede wszystkim nareszcie się wyśpię - powiedział Kalan. - Skoro już nie będę żołnierzem, nie będę musiał się zrywać na równe nogi o brzasku, jak to robiłem przez ostatnie czterdzieści lat. Najpewniej otworzę jedno oko w południe. Potem coś przegryzę i pośpię sobie do kolacji.

- Okrutne słowa, komandorze - włączył się Padan. - My nadal będziemy wstawać o świcie, a ty nam opowiadasz o tym, że zamierzasz chrapać do południa.

- I ta świadomość sprawi, że będę spał jeszcze smaczniej. - Kalan wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

Narasan był przygotowywany do objęcia roli dowódcy od najmłodszych lat, więc choć nie tęsknił za funkcją komandora i uważał awans za przedwczesny, szybko się przekonał, że doskonale daje sobie radę.

Po kilku mniej ważnych potyczkach stał się szeroko znany; dowódcy wrogich armii żądali podwójnej stawki, gdy w grę wchodziło starcie z wojskiem „tego Narasana”.

Co więcej, nawet jeśli wynajmujący armię, która miała być przeciwnikiem Narasana, próbowali ukryć fakt, że właśnie on będzie dowodził, niewielkie mieli na to szanse, bo dowódcy przywykli wysyłać zwiadowców, by się upewnić, iż zwycięskiego komandora nie ma w pobliżu pola bitwy. Jeżeli okazało się, że był, wroga armia natychmiast się poddawała.

W ten sposób komandor Narasan coraz łatwiej wygrywał wojny.

Jednym z najważniejszych obowiązków dowódcy jest wyznaczenie zastępcy, na wypadek gdyby w walce stracił życie. Narasan również miał takiego kandydata. Jeszcze bardzo młodego, ale wybitnie zdolnego siostrzeńca. Choć niezbyt chętnie, jednak oddając prawdzie sprawiedliwość, musiał przyznać, że Astal był od niego bardziej utalentowany. Jeśli przetrwa młodzieńcze kampanie, może uda mu się zjednoczyć rozproszone armie imperium i zmienić kurs historii. Rząd był tak skorumpowany, że Narasanowi niekiedy wstyd było przyznawać się do trogickiego pochodzenia. Utalentowany strateg, silny wódz mógł narzucić Palvanum przestrzeganie zasad etyki, a także wzniesić bariery pomiędzy rządem a chciwym Kościołem. Uzdolniony dowódca miał szanse załatwić to szybko i skutecznie.

Może trafię do podręczników historii jako ten, który stał za ocaleniem imperium? - zastanawiał się Narasan z lekkim uśmiechem. Bóg mi świadkiem, że wcześniej czy później

ktoś będzie musiał się na to poważyć.

- Zapłacę dziesięć tysięcy złotych koron, komandorze - zobowiązał się książę Bergalty. - Już sama twoja sława powinna się przyczynić do uporządkowania spraw raz na zawsze.

- Jesteś bardzo hojny, książę - odparł Narasan, spoglądając na dziedziniec ćwiczebny pośrodku obozu. - Czy te włości naprawdę warte są aż takiego zachodu?

- Cóż... w zasadzie nie. Chodzi raczej o ukrócenie zapędów księcia Tashanu. Gdy baron Forlen zmarł, nie zostawiwszy dziedzica, władca sąsiedniego księstwa obwieścił, że zajmuje jego ziemie jako protektorat, a mnie się to nie podoba. Poza tym włości barona zawsze były rodzajem bufora pomiędzy moimi a Tashana. Jeśli puszczę sąsiadowi płazem tę zbytnią śmiałość, zaraz go będę miał na wschodniej granicy.

Narasan z niechęcią uświadamiał sobie, że rosnąca sława jego armii coraz częściej owocowała podobnymi zamówieniami - prośbami o ingerencję w drobnych nieporozumieniach. Trudno. Najwyraźniej taka rola była im pisana. Trzeba będzie pomaszerować na ziemie zleceniodawcy i pokazać oręż księciu Tashanu, by skłonić go do negocjacji. Zapłata była godziwa, nie szykowały się żadne inne zobowiązania, więc przystał na ofertę władcy Bergalty.

Istniał jeszcze jeden argument przemawiający za przyjęciem tego zlecenia. Otóż Astal od niedawna służył jako podoficer w dziewiątej kohorcie. Łatwa potyczka była dla niego najlepszym sposobem na postawienie pierwszych kroków w wojennym rzemiośle. A ponieważ chłopak nie był jedynym świeżo upieczonym podoficerem, Narasan miał tym mocniejszy bodziec, by zgodzić się na propozycję księcia. Najlepszym przyjacielem Astala był doskonale wykształcony Keselo, który również wykazywał niemałe zdolności. W oczy rzucał się także trzeci oficer, Jalkan, który w odróżnieniu od dwóch poprzednich robił fatalne wrażenie. Zanim wstąpił do wojska, był księdzem w Kościele amarickim i już samo to powinno było natychmiast zamknąć przed nim bramy żołnierskiego obozu. Całe trogickie imperium było skorumpowane do szpiku kości, ale Kościół wiódł prym w każdym bezprawnym działaniu. Narasan dał się namówić na sprzedanie Jalkanowi patentu oficerskiego, lecz żałował tego kroku nieomal od pierwszej chwili. Jalkan okazał się leniwy, niewyobrażalnie głupi, arogancki i okrutny wobec podwładnych.

Popełnił także kilka poważnych błędów, więc Narasan zaczął układać listę jego większych i mniejszych potknięć. Był przekonany, że w niedalekiej przyszłości okaże się bardzo przydatna. Jalkan sądził, że wykupienie patentu dawało mu niezbywalny immunitet. Nic bardziej mylnego. A Narasan coraz bardziej niecierpliwie wyczekiwał dnia, kiedy będzie

mógł pozbawić niewydarzonego wojaka złudzeń.

Po krótkiej naradzie oficerów armia Narasana ruszyła na południe, do Księstwa Bergalta. Lato miało się już ku schyłkowi, pogoda żołnierzom sprzyjała. Na mijanych ziemiach różnych wielmożów pracowali niewolnicy, droga upływała w sielankowym nastroju.

Któregoś słonecznego dnia w samo południe, niedaleko północnej granicy Bergalty, zastępca komandora, Gunda, wrócił ze zwiadu z ważnymi wieściami.

- Pół dnia marszu od nas jest pasmo górskie. Nasza droga prowadzi wąskim przejściem, lepiej przenocować po tej stronie. Nie widzieliśmy żadnych oznak wrogiej armii, ale po co ryzykować? Zresztą droga robi się stroma, więc lepiej ruszyć z nowymi siłami.

- Słusznie - przyznał Narasan. - Czy mógłbyś zamienić słowo z Morgasem z dziewiątej kohorty? Chciałbym, żeby jutro Astal poprowadził. Niech się młodzik trochę pokaże. Czasami jest za skromny. Na czele wojska poczuje się ważniejszy.

- Skąd ja to znam... - Gunda uśmiechnął się szeroko. - Kalan też wystawiał cię na czoło każdego marszu.

- I skutki okazały się znakomite. A skoro tak, warto powtórzyć to doświadczenie.

*

Z pierwszym brzaskiem jak zwykle armię Narasana obudziło granie rogów. Od razu po śniadaniu żołnierze zwinęli obóz i rozpoczęli marsz ku przełęczy.

Góry nie były wysokie. Wyrastały z rozległej równiny na południowym krańcu imperium. Ziemia była tu kamienista i nieurodzajna, nic zatem dziwnego, że miejscowi notable nie zdecydowali się uprawiać roli. Byłoby to przedsięwzięcie skazane na niepowodzenie, wyłącznie strata czasu i niepotrzebny wysiłek. Z tego też powodu teren porastały jedynie dość gęste krzewy oraz kępy sękatych drzew.

Na czele dziewiątej kohorty maszerował Astal. Tuż za nim, zgodnie z obyczajem, szedł chorąży ze sztandarem. Ponieważ sława Narasana czyniła cuda, komandor zawsze dbał, by nie pozostawić przeciwnikowi najmniejszych wątpliwości, z kim ma do czynienia.

- Jak wąska jest przełęcz? - spytał Gundę.

- Na piętnastu ludzi, nie więcej. Gdybyśmy mieli na głowie poważniejszą wyprawę, radziłbym tamtędy nie iść. Astal uformuje wojsko w klin i jakoś pójdziemy. Nienawidzę takich przewężeń. Będziemy się wlekli na tamtą stronę do północy.

- Czy po drugiej stronie droga się rozszerza?

- Niespecjalnie. Całe szczęście, że książę Tashanu nie dysponuje armią. Bo gdyby najął jakieś wojsko, choćby z minimalnym doświadczeniem, mielibyśmy w tym przejściu nie

lada kłopoty.

Narasan osłonił oczy dłonią i uważnie przyjrzał się przełęczy. Wschodzące słońce rozświetlało niebo bez jednej chmurki, zieleń na zboczu nabrała soczystego odcienia, przywodząc na myśl miękki kobierzec. Zapowiadał się piękny dzień.

Astal zatrzymał kohortę tuż przed przełęczą i zarządził przeformowanie. Gdy jego ludzie utworzyli wąską kolumnę - na dziesięciu żołnierzy - stanął na czele i wydał rozkaz do marszu.

Narasan obserwował go z dumą. Młody oficer radził sobie doskonale, jego kohorta równym krokiem ruszyła za purpurowo-złotym sztandarem.

- Zmarnujemy na to przejście cały dzień i pół nocy - narzekał Gunda. - Nie jest stromo, ale tak wąsko, że będziemy musieli zwolnić. - Energicznie potarł łysiejące czoło.

- Nic nas nie goni - uspokajał go Narasan. - Jak dotrzemy, to będziemy.

- Wiem, wiem. Po prostu nie lubię takich miejsc. Gdyby komuś przyszło do głowy nas zaatakować, mielibyśmy marne szanse. Nienawidzę gór.

- No to może zaproponuj wojakom, żeby zrezygnowali z walki - rzucił Padan. - Niech wracają do domu. Nie posłuchają cię i tak, ale przynajmniej będziesz miał jakieś zajęcie. Zrządzisz na widok każdego pagórka.

- Aleś ty dowcipny! - burknął Gunda. - Boki zrywać. Cha, cha.

- Nad śmiechem też powinieneś popracować, stary. Nie brzmi specjalnie radośnie.

I tak szli przez górską przełęcz, a słońce wspinało się po niebie swoją odwieczną drogą. Dopiero wczesnym popołudniem dwunasta kohorta zagłębiła się w wąski przesmyk.

Nagle od przodu dobiegły jakieś hałasy.

- Dowiedz się, co tam! - krzyknął Narasan do Gundy.

- Rozkaz! - Gunda pognał ile sił w nogach. Był mniej więcej w połowie drogi, gdy wpadł na niego posłaniec. Wymienili w pośpiechu kilka słów, Gunda czym prędzej wrócił, klnąc na czym świat stoi. - Mamy kłopoty, Narasanie! - huknął z daleka. - Po drugiej stronie przejścia atakuje nieprzyjaciel!

- Rozproszyc się! - rozkazał Narasan. - Zejść ze szlaku! Piorunem!

Wojsko ruszyło w górę po zboczach, lecz zanim główne siły dotarły do połowy wysokości, na szczytach pojawił się wróg.

- Będzie ze trzy armie - oszacował Padan. - Nie przebijemy się.

- Mamy po tamtej stronie dwanaście kohort!

- Nie przypuszczam - sprzeciwił się Padan. - Nie słyszę odgłosów walki, a to oznacza, że wszyscy zostali wybici, do nogi. - Podniósł wzrok na krawędź przesmyku. - Widzę

znajome barwy na sztandarach - wycedził przez zęby. - Zieleń armii Galdana, błękit Forgaka. Trzeciego nie znam.

- Tenkla - rzucił Narasan krótko.

- Zaraz, zaraz, wszystkich trzech pokonaliśmy w zeszłym roku! Najwyraźniej postanowili wziąć odwet. Pewnie nawet nie cenili się specjalnie drogo, wystarczyło im, że staną do walki z nami. Nacieramy?

Narasan zacisnął pięści w bezradnej wściekłości.

- Nie - powiedział zduszonym głosem. - To bez sensu. Już straciliśmy dwanaście kohort. Ta głupia wojenka nie jest tego warta. Trąb na odwrót, Padanie. Uratujmy jak najwięcej.

*

Prowadząc armię do odwrotu, Narasan tłumił w sobie żal i rozpacz. Musiał dać sobie radę z rozczarowaniem swojego wojska, któremu nie podobała się decyzja o powrocie. Każdy z żołnierzy miał przyjaciół w utraconych dwunastu kohortach, więc pragnienie zemsty wisiało jak ciemna chmura nad armią wracającą do Kaldacinu.

Narasan, który już wcześniej stracił na wojnie przyjaciół i rodzinę, wiedział, że czas leczy rany, że zdoła kiedyś odsunąć na bok ból i wrócić do normalnego życia. Tym razem jednak było mu trudniej. Tym razem przez niego zginął Astal. Gdyby młody oficer nie stał na czele kolumny, prawdopodobnie nic by mu się nie stało. W normalnych okolicznościach nie prowadziłyby dziewięta kohorta. Tym razem decyzję podyktowała komandorowi pycha. Astal był mu najdroższy na świecie, a on postawił chłopca w sytuacji, która go przerastała - wyłącznie dla uświetnienia własnego wizerunku. Ta świadomość zadała mu głęboki cios prosto w serce.

- Nie, zdecydowanie i stanowczo nie! - oznajmił Narasan. - Włóż ją do odpowiedniego pojemnika i normalnie pochowaj na wojskowym cmentarzu. Nie chcę jej widzieć.

- Tak przypuszczałem - stwierdził poblady Gunda - ale miałem obowiązek spytać. - Odchrząknął, poprawił kurtę. - Ostatnio wiele spraw się wyjaśnia, komandorze - podjął. - Okazuje się, że księżę Bergalty jest spokrewniony z adnari Estargiem.

- Nie wiedziałem... A ty skąd o tym wiesz?

- Doszedł do tego młodszy oficer Keselo. Odraportował mi, że księżę Bergalty i adnari Estarg są kuzynami. I że głowę Astala przyniósł do naszego obozu jeden ze sług księcia. O ile pamiętam, Estarg był na ciebie bardzo cięty, kiedy odmówiłeś walki z armiami południa, które Udara wyniosły na tron naosa. Nie mogę się pozbyć wrażenia, że w naszej porażce maczał palce Kościół. Nie byłbym zdziwiony, gdyby się okazało, że pieniądze, które

dostaliśmy od księcia, pochodziły z kościelnego skarbcza, a całe zlecenie od początku było zmyślane wyłącznie po to, by zastawić na nas pułapkę.

- W którą wszedłem, niczego nie podejrzewając - dokończył Narasan ponuro.

- Głowa do góry, przyjacielu. Wróg wygrał bitwę, ale nie całą wojnę. Jego radość nie potrwa długo.

- My im humoru nie popsujemy. Oszukali nas, przechytrzyli, straciliśmy przez nich wielu ludzi.

- Rozmawialiśmy ostatnio, Padan i ja, z paroma zawodowcami, którzy specjalizują się w dostarczaniu okazji do pogrzebu. Wiem, że nie pochwalasz takiego działania, dlatego nie pytaliśmy cię o radę ani o zgodę. Lada dzień trzy armie zostaną bez komandorów, a dwa księstwa bez władców.

- To niehonorowe.

- Trudno. Ich plan też daleko odbiegał od honorowej drogi postępowania. Sami narzucili taki sposób działania, my tylko posunęliśmy się o krok dalej. - Gunda uśmiechnął się krzywo. - Jeśli chcesz, wyślemy kondolencje i kwiaty. Rośnie w pobliżu Castano taki chwast, który cuchnie jak nieszczęście. W ten sposób jednoznacznie damy im do zrozumienia, co o nich sądzimy.

- Paskudny z ciebie gość, Gundo.

- Staram się, jak mogę.

*

Zemsta nie przyniosła Narasanowi satysfakcji. Nie zmieniła faktów. Nie cofnęła porażki na południu. Oferta księcia Bergalty została przyjęta między innymi dlatego, że stwarzała szansę postawienia Astala na czele armii. Teoretycznie był to sposób na dodanie młodemu oficerowi pewności siebie, ale im częściej Narasan o tym myślał, tym bardziej był pewny, że szaloną decyzję podyktowała mu własna duma. Naraził Astala na śmiertelne niebezpieczeństwo na skutek własnej próżności.

Na nowo pogrążył się w smutku i poczuciu winy. Za sprawą jego nieprzemyślanej decyzji stracił życie Astal, wraz z nim poległo dwanaście kohort. Tej bolesnej prawdy nie mogło zmienić nic. Nie zasługiwał na miano dowódcy.

I tak któregoś ponurego dnia, wczesną zimą, złamał miecz o kolano jak suchą gałązkę, ubrał się w łachmany i poszedł zebrać na przedmieściach imperialnej stolicy.

Ponieważ było to zajęcie nieskomplikowane, miał mnóstwo czasu na rozmyślanie. Doszedł do wniosku, że jego nieprzemyślane decyzje były objawem ogólnego pogorszenia stanu trogickiego społeczeństwa. Ludźmi rządziła pycha wspierana chciwością, a honor i inne

cnoty odchodziły w zapomnienie. Widział w tym nieomyślne znaki, że świat zmierza ku końcowi.

Ta myśl przyniosła mu niejaki pocieszenie. Jeżeli faktycznie nadciągał kres świata, to miały się skończyć także jego dni, będzie mógł się udać na wieczny spoczynek.

*

Obcy był młody i przystojny. W ciągu paru dni mijał Narasana kilkakrotnie. Wyglądał na zdezorientowanego, więc w końcu któregoś wietrznego zimowego dnia komandor spytał przybysza, co go trapi.

- Chciałbym wynająć armię, ale nawet nie mam z kim o tym rozmawiać.

- Próbowalesz dogadać się z żołnierzami?

- Nie wiedziałem, że to dozwolone.

Narasan wybuchnął głośnym śmiechem. Młody człowiek wydawał się bezgranicznie naiwny, a przy tym rozbijając szczerzy. Komandor wyjaśnił mu kilka realiów imperialnej rzeczywistości, a także spytał, do czego mu potrzebne wojsko.

- Na mojej ziemi szykują się kłopoty, będziemy potrzebowali pomocy zawodowych wojaków.

Narasanowi spodobała się myśl o walce poza granicami imperium. Ostatnie wypadki zniechęciły go do wojen domowych.

Akurat w czasie tej rozmowy przyszedł Keselo, który nieustannie próbował namówić dowódcę na powrót do jednostki. Ciągle bezskutecznie.

- To dobry chłopak - powiedział Narasan obcemu - daleko zajdzie, jeśli tylko pożyje odpowiednio długo. - I w tej samej chwili uświadomił sobie, że to samo powiedział o swoim kuzynie. Od razu posmutniał.

Młody przybysz natychmiast zorientował się, że ten żebrak dźwiga jakieś brzemie. A Narasan, sam nie wiedząc z jakiego powodu, otworzył przed nim serce, opowiedział, dlaczego porzucił karierę wojskową.

- Tak czy inaczej czas płynie bez ustanku - podsumował na koniec - więc już niedługo moje decyzje nie będą miały najmniejszego znaczenia. Widzisz, młodzieńcze, świat się kończy.

- Dostrzegłeś coś, co niewielu zauważa - stwierdził Veltan - ale jesteś w błędzie. Świat się nie kończy, tylko zbliża się do końca cyklu. Czas nie ma końca, nie ma także początku, lecz jest podzielony na cykle.

Narasan zdumiał się niepomiarnie. Oto przybysz o gładkiej twarzy okazywał się kimś innym, niż można było przypuszczać. Wiele rozumiał. Potrafił dotrzeć do sedna. I wiedział,

czego chce.

- Komandorze Narasanie, potrzebna mi twoja armia. Zapłacę złotem. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, odniesiemy całkowite zwycięstwo, a przecież o to właśnie toczy się gra, czy to na wojnie, czy w miłości.

- Podoba mi się taki punkt widzenia - przyznał komandor. Wstał, otrzepał żebracze łachmany. - Czas wracać do pracy.

*

Nie wszystkim oficerom przypadł do gustu projekt podjęcia walki poza granicami imperium, ale Narasan promieniał szczęściem. W ojczyźnie ciążyło mu zbyt wiele bolesnych wspomnień, nie mógł się doczekać wyjazdu.

Ponieważ armię trzeba było wysłać na północ, droga prowadziła do portu w Castano. Komandor wysłał przodem Gundę, którego rodzina wywodziła się z tego miasta, by wynajął flotę.

Kilka dni po tym, jak wojsko Narasana dotarło do portu, pojawił się tam Veltan w jakiejś starej łajbie. Dostarczył, zgodnie z umową, dziesięć cegieł z czystego złota. Wyglądały imponująco. Zleceniodawca wyraźnie się niecierpliwił, w końcu postanowiono, że razem z Narasanem popłynie przodem, by wódz mógł się wcześniej zapoznać z piratem z Maagsu, niejakim Sorgenem Orlim Nosem, popracować z nim nad strategią walki w krainie pani Zelany. Komandor nie był przekonany co do słuszności takiego postępowania, ponieważ jak każdy mieszkaniec imperium słyszał to i owo o morskich rozbójnikach z Maagsu, chociaż jak dotąd żadnego nie spotkał. Najczęściej określano ich mianem wyjących barbarzyńców, toteż trudno mu było sobie wyobrazić, jak będzie wyglądało planowanie działań wojennych z piratem. Słowo „barbarzyńca” nie dawało się połączyć z pojęciem strategii.

*

W przystani Lattash cumowała przyzwoitych rozmiarów flota. Narasan od pierwszego rzutu oka zrozumiał, dlaczego pirackie statki bez najmniejszych kłopotów doganiały jednostki trogickie. Ewidentnie budowano je z myślą o tym, by osiągały jak największą szybkość, a nie żeby dźwigały ładunki.

Wysiedli z łodzi na piaszczystej plaży i poszli w stronę niewysokiego wzgórza w kształcie kopuły usytuowanego na południe od wioski. U wejścia do jaskini minęli naprędce sklecone szopy, przed którymi Maagsowie walili młotami w kawałki rozgrzanego do czerwoności żelaza. Pomagali im odziani w skóry tubylcy.

Narasan i Veltan najpierw długo szli skalnym korytarzem, aż wreszcie otworzyła się przed nimi obszerna kamienna komnata, pośrodku której w zagłębieniu płonęło niewielkie

ognisko. Veltan przedstawił komandora swojej siostrze Zelanie, która wydała się Narasanowi najpiękniejszą kobietą na całym świecie, oraz ślicznej dziewczusce, najwyraźniej córce przecudnej damy.

W grocie znajdowało się kilka osób, lecz nie było między nimi Sorgana.

- Wkrótce go poznasz, Narasanie - zapewniła pani Zelana.

I rzeczywiście, oczekiwanie nie trwało długo. W pewnej chwili pojawił się niewysoki Maags Zajączek, prowadząc wielkiego rodaka o złamanym nosie. Nie sposób było się pomylić, oto pojawił się Orli Nos.

Veltan przedstawił sobie obu dowódców, przy czym Sorgan od razu przyznał, że w swoim czasie parał się piractwem. Trogicie taka szczerość wydała się dziwna, lecz jednocześnie docenił honorową postawę olbrzyma. Zapaliła się w nim iskierka nadziei, że zdołają się porozumieć.

- Wbrew najgorszym obawom - mruknął pod nosem.

*

Dwaj wodzowie spędzali dużo czasu nad mapą wyrysowaną przez Veltana. Przedstawiała wąwóz ciągnący się od Lattash daleko w góry. Pewnego razu zobaczył ich przy tym jeden z miejscowych, rubaszny Rudobrody. Natychmiast stwierdził, że szkic jest nic niewart, ponieważ brakuje na nim szczegółów. Wtedy mały Maags, Zajączek, zaproponował stworzenie mapy trójwymiarowej, wiernego modelu kanionu. Narasan był zdumiony bystrością jego umysłu. Ze smutkiem uświadomił sobie, że gdyby dysponował podobnym modelem w czasie ostatniej wyprawy na terytorium imperium, Astal nadal byłby wśród żywych.

Gdy tylko przybył na Dhrall wiecznie skwaszony kuzyn Sorgana Skell, który przywiódł ze sobą z Maagsu główne siły pirackiej armii, jego ludzie zabrali się do budowy fortu w parowie. Nie zdążyli wykonać zadania, pracę uniemożliwiła im burza śnieżna. Niedobrze się stało i Sorgan z troską pytał wodza plemienia Rudobrodego, starca imieniem Biały Warkocz, kiedy śnieg stopnieje i ludzie Skella będą mogli wrócić do pracy.

Czas mijał, dwaj wodzowie poznawali się coraz lepiej, często spacerowali razem, pozornie zajęci wszystkim, tylko nie przyczynami, dla których znaleźli się na ziemi pani Zelany, ale w czasie tych wspólnych wypadów rodziła się między nimi przyjaźń. Wspominali różne potyczki, dzielili się doświadczeniem - te swobodne rozmowy, nieskrępowane obecnością postronnych słuchaczy, okazywały się nawet ważniejsze niż dyskusje o strategii toczone w grocie. Narasan ze zdumieniem stwierdził, że zaczyna szczerze lubić pirata barbarzyńcę.

W ciągu kilku dni przyszło roz pogodzenie. Któregoś popołudnia do przystani zawinęły statki z forpocztą sił Narasana. Gdy komandor przedstawił swoich oficerów mieszkańcom Maagsu, atmosfera stała się dość oziębła, wobec czego Sorgan zaproponował, by w czasie marszu wąwozem oba wojska szły rozdzielone płynącą jego dnem rzeką.

Pewnego spokojnego, dość chmurnego dnia pani Zelana wezwała do swojej jaskini dowódców obu armii, by zyskali pojęcie, z jakim wrogiem przyjdzie im walczyć. Długa Strzała przedstawił zebranyemu starszemu Uzdrowiciela, który od razu przystąpił do rzeczy. Niestety, najwyraźniej coś mu się poplątało w starczym umyśle, bo wyraźnie bredził. Opisał przeciwników jako istoty będące po części owadami, w jakimś stopniu gadami, a także ludźmi. Narasanowi udało się utrzymać język za zębami, ale sporo wysiłku włożył w zachowanie powagi. Po chwili jednak mina mu zrzędła, ponieważ Veltan potwierdził nieprawdopodobne słowa starca.

Potem łucznik, Długa Strzała, opowiedział, jak pozyskiwać jad z uśmierconych wrogów i dzięki niemu łatwiej zabijać żywych. Sorganowi taki porządek rzeczy wydał się zabawny, czego Narasan nie potrafił w żaden sposób pojąć. Ale cóż, pirat miał bardzo szczególne poczucie humoru.

*

Wreszcie, zgodnie z przewidywaniami tubylców, powiał ciepły wiatr z zachodu. Stopił śnieg, a wtedy parowem ruszyła prawdziwa ściana wody. Narasan był zdumiony potęgą wiosennych roztopów, nie spodziewał się aż tak wielkiej katastrofy.

Wojsko - i z imperium, i z Maagsu - pozostało na czas powodzi na statkach. Któregoś dnia Narasan zszedł na brzeg, by się z bliska przyjrzeć wyniesionemu przez nurt wrogowi. Tak się akurat złożyło, że na skalną półkę przyszedł także Uzdrowiciel. Pokazał komandorowi szczególne cechy wroga. Topielec był nieco większy od dziecka, ubrany w popielatą szatę przypominającą płaszcz z kapturem. Starzec rozwarł mu szczęki patykiem, by odsłonić zęby jadowe. Nie były to ludzkie zęby z całą pewnością. Podobnie jak nieludzkie były dziwaczne kolce wzdłuż zewnętrznej strony przedramienia.

- Gdybym wcześniej wiedział, z kim mam walczyć, zażądałbym więcej złota! - mruknął Narasan pod nosem.

Z dnia na dzień robiło się coraz cieplej, fala powodzi opadała, więc gdy wojska zaczęły marsz w górę wąwozu, żołnierzom przeszkadzało jedynie błoto.

*

Bliżej górskiego krańca wąwozu drzewa rosły rzadziej, a krzewy były niższe. Okolica przywodziła na myśl ogród połączony z parkiem widokowym: w oddali cieszyły oko górskie

szczyty zwieńczone śnieżnymi czapami, a pod nogami szemrały wesołe strumyczki.

Długa Strzała poprowadził Narasana, Gundę, Padana i Jalkana wąskim przejściem do najwyższego miejsca, skąd widać było gołą ziemię Pustkowie. Pokazał im poszarpaną linię skał odległych od ujścia wąwozu jakieś trzy kilometry.

- Tam są - oznajmił krótko.

Narasan ze zdumieniem obserwował wraże wojska. Ciągnęły się aż po horyzont.

Niedługo później zjawił się Sorgan ze swoimi ludźmi. On także był pod wrażeniem liczebności nieprzyjaciela.

Sprzyjało im szczęście, bez którego trudno i w walce, i w miłości. Młody Keselo odkrył, że stromy piaszczysty stok, opadający ku Pustkowiui od wyjścia z wąwozu, był w rzeczywistości ciągiem schodów zbudowanych z kamiennych bloków, doskonałych na budowę fortecy. Ludzie Narasana wzniesli ją nocą - potężną, nie do zdobycia.

Następnego dnia o świcie na pustyni rozległ się wrzask, jakiego nie mogłyby wydać ludzkie gardła. Wróg ruszył do ataku. Dziwaczne stwory zaczęły się wspinać po pierwszych kamiennych stopniach, nie wiedząc, że ich wysiłek jest z góry skazany na niepowodzenie. Gdy znalazły się w zasięgu rażenia łuków, Długa Strzała wydał rozkaz i zza kamiennych bloków poszybowała chmura strzał. Martwi wrogowie staczali się w dół, przygniatając i zabierając ze sobą żywych. Zakotłowało się, ale bezmyślna szarża trwała, aż wszyscy zostali wybici do nogi, zanim w ogóle dotarli do fortu.

Narasan skwitował zwycięstwo lekkim uśmiechem. Poszło lepiej, niż można było oczekiwać. Czas wracać.

*

Po południu zaniepokojony Veltan spytał Długą Strzałę, dlaczego jego zdaniem wróg nie atakował żołnierzy w czasie wędrówki przez wąwóz. A łucznik udzielił odpowiedzi, która Narasanowi zmroziła krew w żyłach. Był pewien, że u wylotu wąwozu mieli zostać zamknięci w pułapce, więc wróg znajdował się teraz przed nimi. Szybko jednak podsunął rozwiązanie - tak się wtedy wydawało. Domyślił się, że potwory z Pustkowie znalazły kryjówkę w norach przy skalnej półce na południowej ścianie kanionu, ponieważ zabiły przynajmniej piętnastu Maagsów wychodzących z wąwozu.

Narasan postanowił omówić sprawę z Sorganem, lecz pirat go ubiegł, już czekał na niego na dnie parowu. Zgodzili się, że wróg ukryty w norach pokrzyżował im plany, że znaleźli się w całkiem nowej sytuacji.

Akurat gdy zaczęli rozważać nowe wyjścia, rozległ się suchy trzask, oślepił ich blask błyskawicy i jak grom z jasnego nieba pojawił się Veltan.

- Uciekajcie! - krzyczał. - Ratuj się, kto żyw! Zabierzcie ludzi z tego przeklętego wąwozu!

Rudobrody, który wpatrywał się w górski kraniec parowu, o mało nie usiadł z wrażenia.

- Góra ognia! - wrzasnął, odwrócił się i wziął nogi za pas.

Narasan spostrzegł, że po raz pierwszy Rudobrody nie ma ochoty na żarty. I nic dziwnego, ponieważ dwa bliźniacze wulkany zamykające wyższy kraniec wąwozu rzeczywiście plunęły ogniem. Lawa, ciężka od kamieni, strzeliła wysoko w powietrze. Podwładni Narasana rzucili się do ucieczki południową krawędzią wąwozu, byle do zatoki, byle na statki, tam powinno być bezpiecznie.

Gdy dotarli do fortu zbudowanego przez ludzi Skella, komandor przystanął. Umocnienie wzniesiono z masywnych głazów, parów przegradzała lita ściana z niewielkim otworem na dole, przez który przepływała rzeka. Teraz jej korytem toczyła się lawa. Kamienna ściana miała zatrzymać wroga i wyglądało na to, że spełni swoje zadanie, choć teraz wrogiem był płynny ogień.

Pierwsze czerwone języki dotarły do jeziora, jakie utworzyło się przed sztuczną zaporą, w górę buchnęła para, zasłoniła wszystko. Narasan, klnąc pod nosem, zsunął się po skalnej ścianie niżej, skąd nieco lepiej widział. Nadal nie dostrzegał wypływającej zza umocnienia lawy. Najwyraźniej w zetknięciu z wodą zmieniała się w kamień i w ten sposób wzmacniała fortyfikacje, zmieniając je w bardzo solidną tamę. Dziwne. Jezioro pod umocnieniami powinno było dawno wyparować. Najwyraźniej ktoś - lub coś - dbał o to, by wody nie zabrakło.

Całe szczęście. Tama powstrzymała lawę na jakiś czas, a dzięki temu żołnierze zdążyli się dostać na statki w zatoce. Byli uratowani. Nie pokonał ich wróg, nie zabiła natura, płynny ogień dobywający się z trzewi ziemi.

*

Dwie floty opuściły zaciszną przystań w Lattash. Na otwartych wodach fale dawały się Narasanowi we znaki, lecz morze niesło ze sobą powiew wolności obcej tym, którzy całe życie spędzali na lądzie. Komandor zaczynał rozumieć pirata.

I jeszcze do tego piracki statek, „Mewa”, była godna swego imienia - szybka, wdzięczna... i zwykle wygłodniała.

Maagsowie okazali się na tyle uprzejmi, że nie wysforowali się przed trogickie powolne statki i tak obie armie płynęły razem na południe. Sorgan trzymał się blisko Narasana, w zasięgu głosu. Jedna z trogickich jednostek ciągnęła na długiej linii jacht

Veltana. Sorgen był bardzo zadowolony, że łódka nie została przy Lattash.

- Jest niewielka i lekka - objaśniał Narasanowi - więc łatwo jej będzie sondować dno.

A wypływamy na dziwne, nieznane wody i suniemy blisko brzegu.

- Co masz na myśli, mówiąc o sondowaniu?

- Sprawdzanie głębokości wody, odszukiwanie raf i mielizn. Statek z rozdartym dnem nie popływa długo, a ja jeszcze się nie nauczyłem chodzić po wodzie.

Krainę pani Zelany porastały ogromne drzewa, które napawały Narasana zdumieniem. Na nizinach przy Lattash las był gęsto przetykany wszelkimi krzewami, lecz dalej na wybrzeżu królowały prawie niepodzielnie te imponujące, rosłe drzewa iglaste. W wilgotnym powietrzu iskrzyły się skośne promienie słońca, które przywodziły na myśl sztaby złota. Po jakimś czasie las ustąpił miejsca ziemi uprawnej krainy pana Veltana. Narasan żegnał go z niejakim żalem.

Po kilku dniach podróży wzdłuż wybrzeża Krainy Południowej z „Mewy” rozległ się głos rogu i smukły statek podpłynął bliżej trogickiej jednostki.

- Hej, ho! Narasanie! - zawołał Sorgen.

- Co się stało?

- Na razie nic! - zaśmiał się pirat. - Ale pani Zelana chce, żebym ci przekazał wieści. Niedługo będziemy skręcać na wschód, pewnie jutro. Miniemy południowy kraniec ziem jej brata i skierujemy się na północ. Jego dom jest kawałek drogi na wschód. Będziemy płynąć jeszcze tydzień, może dziesięć dni.

Jak powiedział, tak się stało. Okrążyli południowy kraniec ogromnego półwyspu następnego dnia przed południem. W pobliżu komandorskiej kajuty pojawił się Gunda ze swoim kuzynem, kapitanem Pantalem.

- Mijamy właśnie wyspę Arash - zwrócił się do Narasana. - Jak tak sobie na nią patrzyłem, to przyszło mi do głowy, że mógłbym popłynąć przez kanał w barierze lodowej do Castano i przyprowadzić z Andarem armię od razu tutaj. Po co mają płynąć do Lattash i potem na południe? A na dodatek nie wiemy, kiedy zacznie się wojna.

- Doskonały pomysł - ocenił Narasan. - Uprzedzę Sorganą. Dam mu znać, że nie uciekacie.

Gunda zmierzył przyjaciela spojrzeniem z ukosa, ale nie odezwał się słowem.

W odpowiedzi na wezwanie miedzianej trąbki „Mewa” podpłynęła bliżej. Narasan przyglądał się jej, stojąc przy burcie i rozmyślając o tym, że dźwięk maagsowskiego rogu jest znacznie miłszy dla ucha. Jakoś nigdy nie przepadał za trąbkami.

Przy burcie „Mewy” stanął Sorgen.

- Jakieś problemy, Narasanie?! - zawołał.

- Na razie nic strasznego! - odkrzyknął komandor. - Ale lepiej nie chwalić dnia przed zachodem słońca.

- Zawsze z ciebie taki optymista?

- Tylko z rana. Słuchaj, jesteśmy niedaleko kanału w barierze lodowej na północ od wybrzeży imperium. Gunda popłynie na spotkanie mojej armii, poprowadzi ją krótszą drogą.

- Niezła myśl, komandorze. Oszczędzicie na czasie, więc zwiększymy szanse, że będziemy gotowi, kiedy znowu zaatakują nas ludzie-węże.

- Z ciebie też optymista jak się patrzy.

- Zawsze przewiduję najgorszy obrót spraw. Jeśli się pomylę, mogę się tylko cieszyć.

*

Minęli jeszcze dwa półwyspy i w końcu skręcili na południe. Pierwsza płynęła „Mewa”, na której pani Zelana kierowała Sorgana ku domowi swojego młodszego brata.

Południowe wybrzeże Dhrallu było bardziej płaskie niż zachodnie, jak okiem sięgnąć ciągnęły się pola uprawne i sady. Veltan o swojej krainie dużo nie opowiadał, ale Narasan głowę dałby sobie uciąć, że nie istniał tutaj podział na klasy, jaki zdominował społeczeństwo imperium. Nie wszyscy jednak potrafili to zrozumieć. Na przykład Jalkan, były duchowny, uparcie odmawiał choćby rozważenia takiej możliwości. Irytował komandora w sposób trudny do wyrażenia. Budził w nim żywą chęć odesłania go do domu.

W czasie podróży wzdłuż wybrzeża Sorgana Orli Nos stale wysyłał na zwiady łódź Veltana. Narasan, widząc to, uśmiechał się pod nosem. Dla pirata „Mewa” była narzeczoną, żoną i kochanką, prędeż by umarł, niż ją naraził na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

Trzeciego dnia przed południem łódź Veltana skręciła gwałtownie w lewo i poprowadziła ich ku plaży. Na brzegu czekał pan tej krainy w jakimś towarzystwie.

Kapitan Pantal rzucił kotwicę na płyciźnie, Narasan, Jalkan i Padan szalupą przedostali się na brzeg. Z „Mewy” także spuszczone łódkę, przybył w niej Sorgan z Wołem, Wielką Pięścią, panią Zelaną i dwójką dzieci. Gdy wysiedli na brzeg, pirat trzymał się nieco z tyłu i na uboczu, co Narasana niezmiernie zdziwiło. Można by odnieść wrażenie, że morski rozbójnik wykazał się dobrymi manierami, a przecież nie sposób oczekiwać dobrych manier u pirata!

Keselo rozmawiał z tubylcem, który trzymał w ręku coś w rodzaju włóczni. Okazało się wkrótce, iż młody oficer był pod wielkim wrażeniem, ponieważ ten rolnik tryskał doskonałymi pomysłami. Miejscowi mogliby uformować falangę, gdyby Zajączek zdołał ich wyposażać we włócznie oraz tarcze. Nie byłiby zapewne pierwszorzędnymi żołnierzami, ale

też stwory z Pustkowiec trudno nazwać geniuszami taktyki. Nawet częściowo wyćwiczeni tubylcy byliby w walce przydatni.

- Czy będziesz ich uczył, Keselo? - spytał Narasan.

- Spróbuję, z wielką chęcią, panie komandorze.

- Informuj mnie o postępach.

- Tak jest! - Oficer zasalutował regulaminowo.

Następnie ruszyli za Veltanem, który poprowadził wszystkich w głąb łądu.

*

Gdy ich oczom ukazał się zamek Veltana, utworzony z jednej litej skały, Narasan zyskał potwierdzenie podejrzeń, które nękały go od pierwszego spotkania z panem Krainy Południowej. Otóż choć Veltan wyglądał jak zwykły człowiek, z pewnością był kimś tak różnym od człowieka, że aż trudno w odniesieniu do niego używać tego słowa. Podobnie rzecz się miała z jego rodzeństwem. Zwykle trzymał się na uboczu i dzięki temu ukrywał pewne zastanawiające cechy, jednak ten ogromny zamek stworzony nadludzką mocą nie pozwalał przeczyć faktom. Pozostawało jedynie pytanie, dlaczego istota o tak nieograniczonej mocy chciała wynajmować armię do walki z niehumanicznym przeciwnikiem. Narasan miał nieodparte wrażenie, że każde z rodzeństwa mogłoby zmieścić z powierzchni ziemi dowolne wrogie siły jedną myślą.

- Dziwne, dziwne... - mruczał do siebie.

Veltan zaprowadził gości do pokoju odpraw - pomieszczenia, którego charakter przypominał podobne miejsce w żołnierskim obozie w Kaldacinie i gdzie znajdowała się mapa podobna do tej, jaką w Lattash stworzono zgodnie z poleceniami Rudobrodego. Tutaj był to model okolic Wodospadu Vasha. Wokół ścian biegł balkonik, z którego miało się doskonały widok na cały teren przyszłych walk, oddany wiernie w najmniejszych szczegółach. Wodospad spływał po wysokich stromych skałach, lecz gdyby wojskom udało się dotrzeć do gejzeru, który był źródłem ogromnej kaskady, mogliby powstrzymać nieprzyjaciela w zasadzie bez końca. Przydałaby się jedynie niewielka pomoc ze strony rolników. Pozostawała jedna ważna kwestia: musieli się tam znaleźć pierwsi.

W pewnej chwili pojawiła się zdumiewająco piękna kobieta, żona Omega. Zaprosiła wszystkich na kolację. Veltan zapewnił, że ona jest najwspanialszą kucharką na świecie.

A wtedy ten półgłówek, ten dureń Jalkan zaczął wygłaszać pod jej adresem nieprzyzwoite uwagi. Niewiele brakowało, a Narasan ukatrupiłby go na miejscu. Szczęściem małżonek pięknej damy zrobił to, co mężczyzna w takiej sytuacji zrobić powinien - wyrzucił bezczelnego chama w gębę, aż mu się zęby posypały. Szkoda, że nie posunął się o krok dalej,

że oszczędził łotra, chociaż miał włócznię w dłoni. Przez chwilę się wydawało, że będzie okazja naprawić jego błąd, ponieważ Jalkan, klnąc na czym świat stoi i plując krwią, sięgnął do pochwy z nożem, a wtedy Keselo zatrzymał go, przystawiając mu do gardła czubek miecza.

Narasan miał nadzieję, że głupiec się nie opanuje i da młodemu oficerowi pretekst do pchnięcia. Niestety, nie udało się w ten sposób rozwiązać problemu.

Jalkan zawiódł. Jak zwykle.

Komandor uświadomił sobie, że ten incydent otworzył przed nim z dawna oczekiwaną szansę. Nie zamierzał z niej rezygnować.

Kazał byłego duchownego, który głośno krzyczał o prawach oficera, zakuć w kajdany i odprowadzić na plażę. Pozbawił go dystynkcji i honoru. A potem zaproponował mężowi obrażonej kobiety, by sam policzył się z łajdakiem - najlepiej za pomocą włóczni.

Omago wyraźnie walczył z pokusą, w końcu jednak darował Jalkanowi życie.

Narasan z trudem krył rozczarowanie. Postanowił sam obmyślić odpowiednią karę dla bezczelnego chama, by przekonać Veltana, iż najmując jego armię, postąpił właściwie.

*

Przez następne dni dwaj wodzowie, Narasan i Sorgan, dużo czasu spędzali w pomieszczeniu z trójwymiarową mapą. Rzeka płynęła na północ od domu Veltana i uchodziła do morza, więc samo się nasuwało pierwsze rozwiązanie. Należało płynąć w górę rzeki jak najdalej. Zwłaszcza że w tej krainie, podobnie jak w poprzedniej, istniała tylko jedna możliwa droga ataku.

- Musimy tam szybko przemieścić ludzi - oznajmił Sorgan stanowczo. - Kto się tam znajdzie pierwszy, zyska ogromną przewagę nad przeciwnikiem.

- Widzę, stary, widzę - mruknął Narasan.

- Stary?! - zaperzył się pirat.

- Wybacz. Tak mi się powiedziało. - Narasan pokręcił głową. - Powinniśmy pogadać z tym przyjacielem Veltana, który specjalizuje się w wybijaniu zębów facetom obrażającym mu żonę.

- Powinieneś być ubić łajdaka na miejscu - stwierdził Sorgan.

- Dajże spokój, pochłapałbym jego krwią całą mapę. Nic się nie martw, zostanie ukarany. W swoim czasie. Teraz mamy ważniejsze sprawy na głowie. Czy zauważyłeś, że Zajączek i Keselo świetnie się dogadują z tym olbrzymem, który uczył Jalkana dobrych manier?

- Jakby się z jednej matki porodzili - przytaknął morski rozbójnik. - Co chwila któryś

z nich ma jakiś nowy pomysł. Wiesz, że Keselo uczy Omaga i innych tubylców, jak walczyć włócznią?

Narasan pokiwał głową.

- Uczy ich też podstaw falangi. Jeśli zdąży nad nimi jeszcze trochę popracować, mogą się okazać bardzo przydatni w starciach.

- Ja nie odrzucę żadnej pomocy - zadeklarował Sorgan.

- Ja także nie. A teraz najbardziej potrzebny nam przewodnik, który wskaże drogę nad wodospad. Lepiej, żeby naszych ludzi nie zmyło do morza. Powinni budować umocnienia, a nie trenować pływanie.

*

Następnego dnia w pokoju odpraw Veltana pojawiła się intrygująca para. Księżę Ekial o twarzy poznaczonej bliznami oraz uzbrojona po zęby Trenicia, królowa wojowniczych kobiet, niewiele niższa od Sorganana. Nikt nie poważyłby się jej obrazić. Narasan słyszał opowieści o kobietach wojowniczkach, żyjących gdzieś na północ od imperium, ale dotąd nie dawał im wiary.

Veltan przedstawił nowych gości jako obserwatorów, którzy chcieli się zorientować, z jakim wrogiem będą mieć do czynienia, gdy potwory z Pustkowania napadną kolejną krainę.

Wieczorem zostali uraczeni kolacją przez żonę Omaga. Przy posiłku Sorgan opowiedział o przemieszczeniu łuczników spod Lattash na ziemię pana Veltana, o tym, jak Długa Strzała sprzeciwił się koncepcji przewożenia ich statkami, utrzymując, że łodem dotrą na miejsce dwukrotnie szybciej.

Następnego ranka Narasan i Sorgan znów spotkali się nad mapą. Z uwagą lustrowali teren wokół wodospadu.

- Pojęcia nie mam, jak się tam dostać - uznał Sorgan. - Pionowa skała, tony wody...

- Ja też nie wiem - przyznał Narasan. - Stok gładki jak szkło, żadnych skalnych półek. Pewnie moglibyśmy zbudować jakąś rampę, ale zajęłoby nam to całe lato.

Otworzyły się drzwi i stanął w nich Omago.

- Dobrze, że jesteś! - zawołał Sorgan. - Czy znasz teren wokół wodospadu?

- Nie, ja się w te okolice nie zapuszczam. Ale posłałem wiadomość do Nantona. To pasterz, który wypasa tam owce, więc zna każde drzewo i krzaczek. Poprosiłem go, by wyszedł wam na spotkanie, kiedy statki pojawią się u ujścia rzeki, i poprowadził was aż na pastwiska nad wodospadem.

- Omago, jesteś geniuszem - stwierdził Narasan. - Właśnie doszliśmy do wniosku, że powinniśmy tam wysłać sporą część ludzi, by zbudowali umocnienia, które powstrzymają

atak, aż ściągniemy tu główne siły. Niestety, na mapie pana Veltana nie widać żadnej drogi, którą moglibyśmy się dostać na górę.

- Mapa jest dość dokładna - powiedział Omago - lecz głodna owca, szukając trawy, odnajduje nowe ścieżki. A gdzie idzie stado, tam za nim podąża Nanton. Dróżki, którymi was poprowadzi, będą wąskie i strome, ale gdzie wejdzie owca, tam dostanie się i człowiek.

- Skell - rzucił Sorgan.

- Mów jaśniej - zażądał Narasan.

- Wyślemy z pasterzem Skella. On wie, czego szukać, na co zwrócić uwagę, będzie potrafił wyznaczyć najlepsze miejsca na umocnienia. Dzięki temu zyskamy czas. A jeśli ludzie-węże już tam na nas czekają, to kapitan Skell z pewnością jakoś przed nimi umknie i zdąży nas ostrzec.

- Jestem przekonany, że pan Veltan by nas uprzedził, gdyby nieprzyjacielskie siły zajęły już pozycje - stwierdził Narasan. - Niepotrzebnie się martwisz. Ja pošlę Padana. Jest biegły w znaczeniu drogi, wojsko bez trudu za nim trafi. Może wojna okaże się łatwiejsza, niż przewidujemy.

- Zawsze lubiłem szybkie i łatwe rozgrywki. Odkąd sięgam pamięcią, lubiłem je najbardziej.

*

Następnego ranka o wschodzie słońca dwa statki z Maagsu ruszyły na północ. Na ich pokładach znajdowały się dwie setki żołnierzy. Zdaniem Narasana był to nieco szczupły oddział, lecz Skell miał na ten temat inne zdanie.

Sorgan poparł swojego kapitana.

- Narasanie, przecież Skell tylko wyznaczy nam drogę na górę. Wyśle zwiady, które znajdą najlepsze miejsca na fortyfikacje, i tyle. Więcej od niego nie potrzebujemy. Będziemy ledwie kilka dni za nim, nie zostawiamy go na pół roku.

- Cóż, chyba masz rację.

- Zbyt jesteś ostrożny, panie komandorze.

- Skaza zawodowa - uśmiechnął się Narasan lekko. - Doświadczenie nauczyło mnie, że jeśli coś może się nie udać, nie uda się z pewnością.

- Skell nie da sobie w kaszę dmuchać, a zabezpieczył się na wszystkie możliwe sposoby.

- Tak?

- Zabiera ze sobą Długą Strzałę i Rudobrodego. Z tymi dwoma nikt nie zadziera. Zwłaszcza Długa Strzała przyprawia mnie o ciarki. Zawsze jest dwa kroki przede mną.

- Czy ktoś zawiadomił panią Zelanę, że ci dwaj wybierają się ze Skellem?

- Może niech się tym zajmie pan Veltan - zaproponował Sorgan z chytrym uśmiechem.

- Doskonała myśl - zgodził się Narasan z całkowitą powagą.

- A jak myślisz, Narasanie, warto zabierać ze sobą chłopów? Na razie nie wydają się dobrymi żołnierzami.

- Może jednak powinniśmy. Wydaje mi się, że takie jest życzenie pana Veltana, a to on jest naszym zleceniodawcą. Keselo ich trenuje, raportował mi, że są coraz sprawniejsi. Z początku opornie im szło, ale nabierają wprawy. No i trzeba pamiętać, że to ich ziemia, ich dom. Chcą nam pomagać.

- Nienawidzę walczyć u boku amatorów - poskarżył się Sorgan. - Nigdy nie wiadomo, co jednemu czy drugiemu strzeli do łba ani kiedy da nogę.

- Możemy ich trzymać w odwodzie - zaproponował Narasan - aż zyskamy pewność, że będą robili to, co powinni. Wtedy można ich stopniowo włączać do akcji. Prawdę powiedziawszy, nikt nie radzi sobie doskonale w czasie pierwszej walki, ale z czasem jest coraz lepiej.

- Trudno się z tobą sprzeczać. Chyba nie ma kogoś takiego jak urodzony wojownik... z wyjątkiem Długiej Strzały. Ten pewnie obgryzał drzewce, kiedy mu zęby wychodziły.

- Jak wyglądają nasze zapasy jadu? Bardzo się przydał w ostatnich starciach.

- Mamy dość do momentu, kiedy zabijemy kolejnych ludzi-węży.

- Przydałoby się tak częściej - westchnął tęsknie Narasan. - Nie zawsze trafia się wróg, który sam przeciwko sobie dostarcza oręża.

- Bo zwykle wróg ma rozum w głowie. A ludzie-węże to istoty myślą nieskalane.

*

Narasan zaakceptował prowizoryczny plan. Wojna w krainie pani Zelany nauczyła go, że ustalanie sztywnych reguł w czasie starć z potworami z Pustkowiec może spowodować katastrofalne skutki. Istoty, z którymi walczyli, były głupie ponad wszelkie wyobrażenie, jednak w większej liczbie zyskiwały coś na kształt zbiorowej świadomości. Choć takie założenie wydawało się absurdalne, Narasan wiedział już, że absurd potrafi zmieniać się w fakty i nie wolno na to przyzywać oczu.

Na szczęście mogli liczyć na pomoc, chociaż komandor nie miał pewności, kto właściwie im pomaga. Powódź w wąwozie pod Lattash, spowodowana gwałtownym topnieniem śniegów, wydawała się zjawiskiem naturalnym, ale czy tubylcy z plemienia Białego Warkocza zbudowaliby wioskę na drodze tak potężnych naturalnych roztopów

wiosennych? Mocno wątpliwe.

Najwyraźniej pan Veltan - tak jak i jego rodzina - dysponował umiejętnościami niedostępnymi dla zwykłego śmiertelnika, ale z drugiej strony, gdy wybuchły ogniem bliźniacze wulkany u wylotu parowu, najwyraźniej nie był o niczym uprzedzony. Ostrzegł najemne wojska w ostatniej chwili, żołnierze jak szaleni uciekali w górę po stromych zboczach. Coś pomagało im wygrywać tę wojnę, ale co? Nie sposób odgadnąć. Narasan był wdzięczny za każdą formę pomocy, ale czułby się znacznie lepiej, gdyby wiedział czemu - lub komu - ją zawdzięcza.

Skell Jodanson z Kormo

Skell, podobnie jak jego młodszy brat, Torl, urodził się w portowym mieście Kormo na zachodnim wybrzeżu Maagsu. Był synem słynnego Jodana z Kormo, kapitana statku „Rekin”. Imię kapitana i nazwa żaglowca budziły przerażenie w sercu każdego Trogity, który żeglował po zachodnich morzach. Od początku wiadomo było, że Skell i Torl będą żeglarzami, dzieciństwo upływało im na niecierpliwym wyczekiwaniu. Gdy chłopcy zdobyli nieco samodzielności, w Kormo zapanował nowy zwyczaj - każdy kapitan przed wypłynięciem z portu musiał dokładnie przeszukać własny statek, by się upewnić, czy nie ma na nim chłopaków Jodana. Obaj doskonale pływali, ponieważ dwa, trzy razy w tygodniu byli wyrzucani za burtę.

Wreszcie miarka się przebrała. Kapitan Jodan doszedł do wniosku, że czas wysłać synów na morze. Wbrew temu, czego się bracia spodziewali, nie zamierzał jednak zabrać ich ze sobą. Miewał niekiedy na pokładzie synów innych kapitanów, najczęściej byli to chłopcy leniwi, niewiele potrafili i nie umieli się dogadać z załogą. Z tego właśnie powodu postanowił, że jego urwisy zaczną od zera. Od samego dołu. I będą musieli torować sobie drogę jak każdy inny marynarz.

Za młodych lat kapitan Jodan żeglował z Dalto Wielkim Nochalem, który zdobył wielką sławę. Zjedli razem beczkę soli. Tak się pomyślnie złożyło, że gdy postanowił wysłać synów w świat, do portu w Kormo zawinął „Miecznik”, statek przyjaciela z dawnych lat. Kapitan Jodan nie wahał się ani chwili, przekazał obu synów w ręce Dalta jako zwykłych majtków.

Skell i Torl nie posiadali się ze szczęścia. Wreszcie pewnego pięknego wiosennego dnia „Miecznik” wypłynął z portu w Kormo.

*

Chłopcy stali na dziobie, z zachwytem spoglądając na wodę. Tak ich zastał kapitan Dalto.

I wtedy właśnie dostali pierwszą lekcję życia na statku. „Zawsze wyglądaj na zajętego, a zwłaszcza gdy patrzy na ciebie kapitan”.

Następne trzy dni szorowali pokład, a potem było jeszcze gorzej. Za każdym razem, gdy trafiało się do wykonania jakiegoś szczególnie trudnego lub nieprzyjemnego zadania, Dalto kazał je zlecać synom przyjaciela. Chłopcy szybko doszli do wniosku, że pora pryskać ze statku przy pierwszej okazji, ale tak się jakoś złożyło, że „Miecznik” miał w ładowniach solidne zapasy żywności i słodkiej wody, toteż nie zawinął do żadnego portu przez ładnych kilka miesięcy.

W wolnych chwilach, które zdarzały się nieczęsto, chłopcy patrzyli na wodę. Budziła się w nich miłość do morza, do wiecznie ruchomej tafli, do gry światła na majestatycznych falach. Jeśli w takiej chwili przyłapał ich kapitan, dostawali ostrą reprymendę.

Po latach Skell pojął logikę, którą kierował się kapitan podczas ich pierwszego rejsu. Mieli zrozumieć, że nie będą korzystali ze statusu ojca. Wielki Nochal traktował ich tak samo jak każdego innego majtka. I tylko od nich zależało, czy udowodnią, że warto im powierzyć jakieś inne zadanie niż szorowanie pokładu czy noszenie wiader z okrętowymi ściekami.

Gdy „Miecznik” zawinął z powrotem do portu w Kormo, Skell i Torl byli już wioślarzami i zaczęli się czuć prawdziwymi wilkami morskimi.

Właśnie wtedy dołączył do załogi Sorgan, kuzyn Skella i Torla, starszy o kilka lat siostrzeniec ich ojca. Pływał już na innych statkach i zdobył pewne doświadczenie. Zadzierał nosa przed młodszymi krewniakami, więc któregoś razu Skell doszedł do wniosku, że pora wreszcie uświadomić Sorganowi, kto jest w rodzinie ważniejszy, skoro oni byli synami kapitana, a on jedynie potomkiem jego siostry.

Takie stwierdzenie, rzucone w twarz, Sorgan uznał za zniewagę. Od tamtej chwili stale poszturchiwał Skella - ku uciesze reszty załogi. W końcu Skell się odwinął. Tylko raz, za to solidnie. Od tamtej pory Sorgan zyskał przydomek Orli Nos.

„Miecznik” polował na trogickie statki wzdłuż wybrzeży Maagsu, od czasu do czasu zapuszczał się dalej na południe, nawet do Shaanu, gdzie załoga napadała na trogickie koczowiska i rabowała złoto. Przy takich okazjach Skell, Torl i Sorgan poznawali tajniki rzemiosła wojennego na lądzie.

Oczywiście głównym powodem rejsów maagsowskich statków była pogoń za złotem, ale w miarę upływu lat Skell zdał sobie sprawę, że pokochał nie złoto, lecz morze. Żółty metal miał swój wdzięk, lecz nie mógł się równać z urodą otwartej przestrzeni, gdy spomiędzy chmur spływały na wodę lśniące pasma promieni słonecznych lub gdy księżyc brał kąpiel, okraszając lustrzaną tafel srebrnym blaskiem. Morze było piękne, codziennie

inne, fascynujące i pociągające. Skell jak każdy marynarz cieszył się, gdy statek zawijał do portu, ale wiedział już, że jego dom jest na wodzie.

Pływał mniej więcej dwa lata, gdy któregoś razu „Miecznik” zawinął do portu w Weros. Załoga zeszła na ląd, mając świeżo w pamięci przestrożę kapitana: trzeciego dnia o świcie wypływają, nie czekają na spóźnialskich. Skell i Torl wrócili na czas, ale Sorgan się nie pojawił, więc „Miecznik” ruszył w drogę bez niego. Ponieważ młodzieńcy zdążyli się tymczasem zaprzyjaźnić, brakowało im kuzyna w tej podróży.

*

Któregoś deszczowego popołudnia, a było to wówczas, gdy Skell akurat skończył dwudziesty siódmy rok życia, „Miecznik” ponownie zawinął do przystani w Kormo. Tak się złożyło, że „Rekin” także stał tam na kotwicy. Kapitan Jodan kazał się podwieźć do statku przyjaciela z dzieciennych lat, odbył z Wielkim Nochalem krótką naradę, a po powrocie oznajmił jego synom, że zostali właśnie przeniesieni na statek ojca - jako pierwszy i drugi mat. Ich poprzednicy stracili życie podczas burdy w tawernie kilka tygodni wcześniej w porcie Gaiso.

Ojciec Skella i Torla nie był uszczęśliwiony takim rozwojem zdarzeń, ale nie miał wielkiego wyboru. Na wszelki wypadek w połowie drogi na „Rekina” zatrzymał szalupę i wygłosił synom wykład na temat „odpowiedniego zachowania”. Skoro zostali oficerami, nie powinni się zaprzyjaźniać z innymi członkami załogi. Najważniejsze, żeby zawsze byli poważni. Żadne tam śmichy-chichy.

- I zapomnijcie, że jestem waszym ojcem. Macie się do mnie zwracać „panie kapitanie”, nie inaczej.

„Rekin”, podobnie jak „Miecznik” oraz większość maagsowskich statków, żył z łupienia trogickich jednostek, więc obowiązki Skella i Torla właściwie się nie zmieniły.

Lata miały, aż któregoś razu „Rekin” znowu zarzucił kotwicę w Weros. Miał zabrać ładunek świeżej fasoli. Nadplesniałe ziarna nie stanowiły ulubionego dania załogi, więc marynarze nie byli w najlepszych humorach.

Skell przemyślnie złożył zadanie kupienia fasoli na barki Torla, a sam wybrał się na nadbrzeże w poszukiwaniu kufelka mocnego piwa. Długo nie szukał, lecz wiedział, że warto spróbować po kapce trunku w różnych tawernach. I tak, wędrując od knajpy do knajpy, zerkając tęsknie na morze, w pewnej chwili stanął jak wryty. Przetarł oczy, lecz najwyraźniej wzrok go nie mamił. Oto w suchym doku ujrzał kuzyna Sorganę zajętego naprawą statku, który najlepsze lata wyraźnie miał już za sobą.

- Hej ho! Sorganie! - zawołał. - Z wilka morskiego zmieniłeś się w lądowego szczura?

- Cha, cha, cha! - Sorgan rzucił młotek, którym przybijał nowe deski na pokładzie. - To jest „Mewa”, mój statek. Będzie postrachem trogickich jednostek... o ile zdołamy z Wołem i Wielką Pięścią doprowadzić go do takiego stanu, żeby nie zatonął po spuszczeniu na wodę. Na razie rzecz jest ryzykowna, ale za jakiś czas...! - W głosie Sorgan brzmiała duma.

- Nie wierzę własnym oczom. Kupiłeś statek?

- Właśnie tak. I już niedługo będę zbierał kapitańską dolę z obrabowanych trogickich jednostek.

Skell obrzucił uważnym spojrzeniem zniszczoną łajbę.

- Czeka cię jeszcze sporo pracy. I wydatków.

Sorgan uśmiechnął się porozumiewawczo, mrużąc jedno oko.

- Tutaj, w Weros, nietrudno zdobyć fundusze. Każdy marynarz, który pół roku spędził na morzu, odczuwa palące pragnienie. Nic dziwnego zatem, że jeszcze przed północą nie zauważa gromów z jasnego nieba, nawet gdyby od tego zależało jego życie. No to kiedy zaczyna brakować nam gotówki, wysyłam Woła i Wielką Pięść na nadbrzeże, żeby wyłowili paru marynarzy, którzy jeszcze mają gotówkę w sakiewkach.

- Jesteś złodziejem! - wytknął mu Skell.

- Całe życie - zgodził się Sorgan - podobnie jak wszyscy żeglarze Maagsu. Przecież Trogici nie oddają nam złota dlatego, że im się podobamy, prawda? Nie zaprzeczysz. Wszyscy jesteśmy rabusiami. Pozdrów ode mnie ojca i Torla, dobrze?

- Tak jest. - Skell potwierdził słowa kpiącym salutem. Sorgan odpowiedział tym samym gestem i obaj się roześmieli.

*

Przez kilka następnych lat Skell pływał na „Rekinie” pod rozkazami ojca, kapitana Jodana. Interes kwitł, dowódca obrastał w piórka. Wkrótce po trzydziestych pierwszych urodzinach Skella wezwał synów do swej kajuty.

- Mnie wystarczy - oznajmił. - Wiele lat spędziłem na morzu, znużyło mnie życie rozbójnika. Zadamowię się na suchym lądzie, a to oznacza, że dowodzenie na „Rekinie” przejmiesz ty, Skellu.

Niewiele brakowało, by starszy syn zatańczył z radości.

- Stawiam jeden warunek - podjął kapitan. - Będziesz mi odda wał jedną piątą łupów. I nie próbuj oszukiwać. Jeśli zachowasz się nieuczciwie, sprzedam „Rekina” na pniu, a ty wrócisz na morze ja ko zwykły marynarz.

Skell spochmurniał. Mimo wszystko jednak nie miał powodów się skarżyć.

Po odejściu kapitana na emeryturę wśród marynarzy „Rekina” dało się odczuć

działanie odwiecznego prawa: „Kota nie ma, myszy łarcują”. Skell zrozumiał, że będzie musiał uświadomić ludziom, iż mimo młodego wieku to on jest nowym dowódcą i załoga powinna słuchać jego rozkazów. Mimo wszelkich wysiłków marynarze jakoś nie chcieli go traktować poważnie i taka postawa napsuła mu wiele krwi.

Któregoś wieczoru płowowłosy młodszy brat kapitana zajrzał do jego kajuty.

- Bracie, nie tędy droga - powiedział, siadając przy brudnym stole. - Ty się po prostu za często uśmiechasz. Ludzie nie będą cię traktowali poważnie, póki masz na twarzy ten dumny grymas. Jeśli chcesz, żeby cię słuchali, postaraj się wyglądać jak tata. On się nigdy nie uśmiechał. Bądź ponury i miej skwaszoną minę, nawet jeśli w środku dygoczesz od rechotu.

- Nie dam rady. Prędzej pęknę.

- Po prostu ukrywaj przed załogą prawdziwe uczucia. Możesz się potem wyśmiać w zamkniętej kajucie. - Młodszy brat rozejrzał się dookoła. - Na pierwszy ogień podsunę ci coś, od czego od razu przestaniesz cię sobie chcieć śmiać. Jak tata zobaczy, do jakiego stanu doprowadziłeś jego kajutę, żywcem obedrze cię ze skóry.

- Ostatnio byłem trochę zajęty - przypomniał mu Skell.

- A co, szukałeś czystej koszuli? - Torl zaśmiał się głośno. - Jest jeszcze jedna sprawa. Nie uważasz, że najwyższy czas znaleźć dla mnie jakiś statek?

- A tobie on po co?

- Podejźmy do tego z innej strony. Naprawdę chcesz, żebym do końca życia pływał z tobą na „Rekinie”? Spójrzmy prawdzie w oczy: jestem równie ambitny i chciwy jak ty, więc jeśli zostanę na twoim statku, mogą mi się zacząć rodzić myśli o przejęciu dowodzenia. A to by cię raczej nie uszczęśliwiło. Nadażasz?

- Wywołałbyś bunt na pokładzie?!

- Cóż... tak.

- Jakim cudem mam ci kupić łajbę? Jedną piątą łupów oddaję tacie, muszę odliczyć dolę dla załogi... Sam wiesz, że mnie nie stać.

Torl wzruszył ramionami.

- Wiem, wiem. Dlatego mój statek ukradniemy. Tata chce tylko złota. Z piątej części statku nie będzie miał żadnego pożytku, nawet gdybyśmy znaleźli piłę tak wielką, żeby dało się odciąć odpowiedni fragment.

Skell podrapał się po brodzie, wyjrzał przez bulaj.

- Chyba najlepiej będzie w Gaiso.

- Tak?

- W Gaiso każda załoga idzie od razu do tawerny. To jedyne miasto, gdzie szynkarze

nie chrczą grogu. Ludzie, którzy zostają na wachcie, mają na pokładzie to, co reszta w knajpie, więc też ledwo się trzymają na nogach. Gdybyśmy wpłynęli do portu w Gaiso gdzieś koło północy, moglibyśmy przejąć jakąś jednostkę. Trzeba by potem zmienić żagle i parę innych drobiazgów... nikt nie dojdzie, co się stało.

- Świetny pomysł, bracie.

- Oczywiście. - Skell uśmiechnął się szeroko. - Ja zawsze mam dobre pomysły. Dam ci paru ludzi, ale będziesz musiał skompletować własną załogę. I uważaj, nie bądź rozrzutny, bo będziesz mi płacił jedną piątą ze wszystkich łupów, jakie zdobędziesz.

- Żartujesz?

- Pomożesz mi utrzymywać tatę. Przecież staruszek nie może głodować.

- To niesprawiedliwe!

- A kto tu mówi o sprawiedliwości? Jeśli się nie zgodzisz, nie dostaniesz statku. I nie szantażuj mnie buntem, bo załoga nie da się podburzyć oficerowi, który jest tak pełen grogu i piwa, że nigdy do końca nie trzeźwieje. Albo pomożesz mi utrzymywać tatę, albo zostawię cię na jakiejś bezludnej wyspie za pierwszym razem, kiedy się upijesz. I co wtedy zrobisz?

- Jesteś okrutny, bracie. Całkiem bez serca.

- Oczywiście. Jestem kapitanem „Rekina”. Muszę być okrutny. I bez serca. To co, umowa stoi?

- Zdaje się, że nie mam wyjścia.

- Rzeczywiście, nie masz. Tak to już bywa, jak się człowiek ze mną układa.

Jak postanowili, tak zrobili. Pewnej ciemnej nocy „Rekin” wsunął się ukradkiem do portu w Gaiso i Torl wybrał statek, który mu odpowiadał. Podpłynęli burta w burtę, młodszy brat poprowadził wybranych ludzi, którzy wyrzucili pijanych marynarzy na wachcie za reling, a następnie podnieśli kotwicę i wymknęli się z przystani.

Bracia zawinęli do ustronnej zatoczki i cała załoga „Rekina” zajęła się zmianami na ukradzonej jednostce. Wreszcie na jej burcie wymalowano nazwę wybraną przez nowego kapitana - „Psota”. Skellowi wydawało się to dziwne, przywykł, że maagsowskie statki miały imiona budzące grozę, ale cóż, w tym wypadku decydował młodszy brat.

Po długim namyśle wybrał na pierwszego oficera Grocka, wiecznie skrzywionego wilka morskiego, który służył na „Rekinie” dobre dziesięć lat, więc znał wszystkie jego tajemnice. Miał także inną cenną umiejętność - potrafił oceniać charakter człowieka, więc kierując się jego podpowiedzią, Skell na drugiego oficera wybrał Baldara Drewnianego Kulasa.

- Dobry z niego żeglarz, kapitanie - powiedział Grock. - Trochę go buja na boki, ale w

głowie ma poukładane. No i potrafi utrzymać ludzi w ryzach, nawet największe zawadiaki.

- Niech będzie - zgodził się Skell. - Teraz wracajmy do Kormo. Mój brat będzie werbował załogę, ja też chcę zebrać marynarzy, ruszać na polowanie. Trogickie statki czekają, a nam obu brakuje ludzi.

- Tak jest, kapitanie.

*

Gdy tylko obie jednostki zostały w pełni obsadzone, bracia wrócili do pracy, rabując każdy trogicki statek, jaki stanął im na drodze. Oczywiście wyłącznie w celu uszczęśliwienia tatusia.

Kapitan Jodan, wspierany przez synów, zaczął rozbudowywać swój domek na wsi, który wkrótce bardziej przypominał zamek niż skromną rezydencję emerytowanego marynarza.

Przez kilka pierwszych lat interesy szły doskonale, niestety później jakiś mądraliński Trogita wymyślił taran - gruby pał mocowany na dziobie, na linii wody. Skończyły się złote czasy. W taran został zaopatrzony każdy trogicki statek mijający wybrzeża Maagsu. Skell na własnej skórze przekonał się, jak groźny jest ten wynalazek, po starciu z trogicką jednostką ledwo zdołał doprowadzić „Rekina” do portu.

Od tej pory nie miał już kłopotów z przybieraniem srogiej miny.

W Kormo, gdy „Rekin” przechodził gruntowny remont, nie marnował czasu. Miał oczy i uszy szeroko otwarte, toteż szybko zdobył interesujące wieści. W pośpiechu ruszył z powrotem na morze. Jeśli w plotkach było choć ziarno prawdy, kuzyn Sorgan odkrył złotą żyłę. Wobec czego należało mu pomóc ją eksploatować.

Flota Sorganu zbierała się w porcie Kweta i tam właśnie zawiął „Rekin”. Sorgan wydawał się uradowany widokiem kuzyna, a gdy pokazał mu złote cegły, Skell z największą przyjemnością zaproponował mu swoją pomoc.

Chociaż... to i owo go niepokoiło, trzeba przyznać. Po pierwsze, zleceniodawcą była kobieta, co Skellowi odrobinę przeszkadzało. Jeszcze gorzej się poczuł, kiedy ją poznał osobiście. Była chyba najpiękniejszą istotą na świecie, jej uroda zapierała dech w piersiach, ale jednocześnie serce miała z kamienia. Stale tkwi! przy jej boku jeden z zamorskich, Długa Strzała, który najwyraźniej pełnił funkcję JeJ osobistego strażnika. A z tym łucznikiem nie zadarłby nikt o zdrowych zmysłach. Emanowała z niego dziwna ponurość, która nawet morskiego rozbójnika przyprawiała o ciarki na plecach. Był jeszcze jeden tubylec, który rzadko odstępował panią Zelanę. Niejaki Rudobrody. Ten z kolei o mało nie obrócił wniwecz długich lat pracy Skella, bo za każdym razem, kiedy otwierał usta, kapitan „Rekina” miał

ochotę wybuchnąć gromkim śmiechem.

Uzgodnił z Sorganem, że poprowadzi pierwszą partię ludzi na zachodni brzeg Dhrallu i będzie bronił krainy pani Zelany, aż zjawi się Sorgan z głównymi siłami. Torl miał w tym czasie na Maagsie zbierać spóźnialskich. Skell nie był zachwycony perspektywą wojaczki na suchym lądzie, ale obiecano mu dobrą zapłatę, a przecież tylko to się liczyło.

Podróż z Kwety na Dhrall trwała długo, najwyraźniej morze między wschodnimi brzegami Maagsu a nieznaną krainą było znacznie większe, niż sobie wyobrażał. Rudobrody zapewniał go jednak, że Dhrall z pewnością jest na swoim miejscu, „chyba że bogowie się nim znudzili i zniknęli”. Najwyraźniej uważał swój komentarz za wyjątkowo zabawny, ale wówczas Skell akurat nie był w nastroju do żartów. Błąkali się po wodzie już ponad dwa tygodnie, zaczynał mieć dosyć.

Wreszcie jednak dotarli do brzegu i zawinęli do zatoki przy osadzie Lattash. Od razu po rzuceniu kotwic zaczęły się kłopoty. Chociaż wszyscy kapitanowie statków obiecywali zachowywać się na obcym lądzie przyzwoicie, rzeczywistość wykazała, że łgali jak psy. Ich zdaniem prymitywni mieszkańcy obcego lądu, bezbronni i słabi, stanowili doskonały cel. Szalupy dobiły do brzegu i piraci rozsypali się po okolicy w poszukiwaniu złota oraz napitku, traktując miejscowych niezgodnie z jakimikolwiek zasadami. Skell musiał ukarać sprawców - i zrobił to pokazowo. Paru wychłostał, by do reszty dotarła niepodważalna logika połączenia winy i kary, ale i tak postanowił wycofać ludzi na statki, nie pozwolić im schodzić do osady.

- Kapitanie, powód nieważny - wsparł go Grock. - Najważniejsze, żeby zabrać ludzi z tej wioski, zanim tubylcy ich wybiją do nogi.

- Przyjechaliśmy tutaj na wojnę! - sprzeciwił się Baldar Drewniany Kulas.

- Właśnie - przytaknął Skell. - Tak mi Sorgan powiedział.

- Słyszałem - ciągnął Baldar - że wojacy na lądzie to nic, tylko budują forty i barykady. Tak ludzie gadają. Skoro wróg ma nadciągnąć ze wschodu, a rzeka płynie wąskim parowem, możemy powiedzieć ludziom, że kapitan Sorgan kazał ci iść w górę rzeki i zbudować fort.

- Nic takiego nie powiedział - zaprotestował Skell.

- I co to komu szkodzi? Jak ludzie pójdą w góry i zaczną budować umocnienia, to przynajmniej nikt ich nie pozabija, prawda?

- Cóż, w zasadzie... prawda.

- Nieładnie kłamać, wszyscy wiemy, ale jeśli w ten sposób uratujemy ludzkie życie, na pewno warto.

- Powiedz dowódcem, że jeśli fort nie będzie budowlą z prawdziwego zdarzenia, nie

dostaną ani grosza - dorzucił Grock.

- No dobrze, spróbuję - przystał Skell nie bez wątpliwości.

Gdy wreszcie przybyła flota Sorgana, piękna pani Zelana najwyraźniej uznała, iż przyszedł czas na chwilę szczerości. Najpierw pewien stary wódz opisał dowódcom najemnych wojsk, jak wyglądają coroczne roztopy i jakie są ich skutki. Zmartwiło to Skella wielce, ponieważ większość jego ludzi znajdowała się już w parowie, więc groziło im niemałe niebezpieczeństwo, gdyby zaskoczyła ich powódź, jeśli wyglądała ona choć w przybliżeniu tak, jak opisywał ją starzec.

Później pojawiła się kwestia jadu. Skell słyszał nieraz o jadowitych wężach, ale dotąd żadnego nie widział. I wolałby, żeby tak zostało.

Na szczęście osobisty strażnik pani Zelany, wiecznie ponury Długa Strzała, w pewnym stopniu uspokoił kapitana, wyjaśniając, że można wykorzystać jad z martwego wroga, by zabijać następnych. Pirat uznał taki stan rzeczy za sensowny i logiczny.

Skell nie zetknął się dotąd z ludźmi-wężami, ponieważ był zajęty budowaniem umocnień w wąwozie. Owszem, widywał ich od czasu do czasu, ale nawet nie mógł się im dobrze przyjrzeć, bo z odległości kilometra widać niewiele.

Natomiast prawdziwym kłopotem w czasie wojny na ziemi pani Zelany okazało się dla Skella przymierze z Trogitami. Owszem, ludzie komandora Narasana bezsprzecznie byli dobrymi żołnierzami i znali swój fach, ale sam fakt, że pochodzili z imperium, wystarczał, by współpraca z nimi wydawała się piratowi nienaturalna.

Przyszedł czas, gdy miejscowi przestrzegli ich przed powodzią. Okazała się ona kolejnym sprzymierzeńcem, a Skell uznał ją za zjawisko naturalne, które przypadkiem zaistniało akurat w najodpowiedniejszym momencie. Kiedy jednak podwójne wulkany u wylotu parowu plunęły ogniem, odbierając potworom z Pustkowie jakiegokolwiek szansę na zwycięstwo, trudniej mu było uwierzyć w szczęśliwy zbieg okoliczności. Tym bardziej że miejscowi udzielali bardzo mglistych wyjaśnień. Kapitan nabrał przekonania, iż pani Zelana miała swój udział w tak korzystnym obrocie spraw. Co nasuwało kolejne pytania, spośród których jedno było najważniejsze. Jeżeli mogła spowodować wybuch wulkanów, do czego jej była armia?

Zanim wojna w Krainie Zachodniej dobiegła końca, Sorgan i komandor zostali przyjaciółmi i pirat obiecał Trogitom pomoc w wojnie, do której zostali wynajęci. Skell miał poważne wątpliwości, czy to rozsądny krok - aż do chwili gdy pani Zelana oraz jej brat zaferowali najemnym wojskom dużo więcej złota.

Wtedy doszedł do wniosku, że może jeszcze trochę powalczyć.

*

Wczesnym latem połączone siły Maagsów i Trogitów dotarły na południe, do krainy młodszego brata pani Zelany, Veltana. Tutaj Skell poczuł się znacznie lepiej. Zła pogoda rzadko przytrafiała się o tej porze roku.

Granica między krainami nie była ściśle wyznaczona, lecz w pewnym momencie Skell zdał sobie sprawę, iż włości pana Veltana to przede wszystkim ziemia uprawna. Co prawda gdzieś w północnej części regionu znajdowały się góry, lecz było do nich daleko.

Osiągnąwszy południowy kraniec Dhrallu, flota skierowała się na wschód, a następnie na północ, wzdłuż postrzępionej linii wybrzeża. Prowadziła ją łódka pana Veltana. Płynący na jej pokładzie Długa Strzała, Rudobrody, Zajączek i Keselo najwyraźniej szukali jakichś konkretnych wskazówek w krajobrazie, gdyż w pewnej chwili jacht gwałtownie skręcił ku brzegowi i wkrótce znalazł się na plaży. Skell przeżył kilka soczystych przekleństw, Grock gwałtownie szarpnął rumpel i jakoś zdołali zmienić kurs.

W życiu nie widział tak białego, takiego czystego piasku, a pszeniczne pola na łagodnym zboczu mieniły się szmaragdową zielenią. Piękny był ten kraj. Mimo wszystko Skell wołał morze.

Na wszelki wypadek kazał swoim ludziom zakotwiczyć w pewnej odległości od brzegu. Nie chciał ryzykować dziury w dnie.

Komandor Narasan z kilkoma innymi osobami zszedł na ląd, by spotkać się z młodszym bratem pani Zelany. Sorgan, nie wiedząc czemu, pozostał nieco w tyle. Zdziwiło to Skella, przyszło mu nawet do głowy, że kuzyn sili się na grzeczność.

- Niesłychane - mruknął pirat pod nosem.

Najwyraźniej Sorgan spędzał o wiele za dużo czasu z Trogitami, a kto z kim przestaje - wiadomo - taki sam się staje.

Po niedługim czasie Orli Nos również dołączył do grupy. Skell przekazał dowodzenie Grockowi i sam też popłynął na brzeg wywiedzieć się, na co się zanoszą. Jakiś czas tylko słuchał i patrzył. Sorgan oraz Trogita wydawali się nieco zaskoczeni, że zwykły rolnik, niejaki Omago, zebrał całkiem sporo ziomek, którzy chcieli pomagać w obronie krainy pana Veltana. W Skellu zrodziły się nowe wątpliwości: po co pani Zelana oraz jej krewni zadawali sobie tyle trudu, po co ponosili wydatki, by wynajmować zawodowców z różnych dalekich krain?

Pan Veltan zaprosił wszystkich do swojego domu, by rzucili okiem na jego „glinianą mapę”. Wszyscy pamiętali, że stworzona przez Rudobrodego miniatura wąwozu przy Lattash okazała się wyjątkowo pomocna.

Sorgan przepuścił innych przodem, przywołał Skella ruchem głowy.

- Lepiej zostań tutaj, kuzynie - powiedział. - Nie byłoby do brze, gdyby nasi ludzie zaczęli się kręcić po plaży albo zaglądać do pobliskich wiosek. Nie chcemy takich samych kłopotów, jakie mie liśmy w Lattash, chyba się ze mną zgodzisz?

- Nie chcemy - przytaknął Skell. - Poślę słowo kapitanom, niech wszyscy zostaną na pokładzie. Na razie i tak nie wiemy, gdzie będziemy walczyć, więc może trzeba będzie płynąć dalej? A jak już marynarze rozejdą się po lądzie, niełatwo ich zebrać z powrotem na statek.

- Co prawda, to prawda - westchnął Sorgan.

*

Skell popłynął z powrotem na „Rekina” i wysłał Grocka oraz Baldara z wiadomością dla innych kapitanów, że Sorgan rozkazał zatrzymać ludzi na pokładzie. Potem wybrał się do brata, na „Psotę”.

- Sorgan jest z dnia na dzień mądrzejszy - zauważył Torl. Stali obaj na rufie „Psoty”, podziwiając zachód słońca. - Tym razem nie będziemy musieli chłostać połowy załogi.

- Nie zyskałem tamtego dnia wielu przyjaciół. - Skell się skrzywił. - Ale też gdybym tych idiotów nie kazał wychłostać, łucznicy z Lattash wybiliby mi flotę do nogi.

- Kto tam wraca na plażę? - spytał Torl, wskazując Trogitę odzianego w czarną skórę, który wydawał się ciągnąć ze sobą drugiego mężczyznę.

Skell zmrużył oczy.

- To chyba Padan.

- Dlaczego wlecze tego drugiego?

- Skąd mam wiedzieć? Może chudzielec coś przeszkrobał. Pewnie złamał jakieś zasady.

- A, tak. To całkiem prawdopodobne. Trogici wszystko regulują, na wszystko mają przepisy. Jak szybko powinno ci bić serce, ile razy możesz mrugnąć, kiedy wolno oddychać... Wszystko musi być zgodnie z prawem. I dzięki temu dowódca decyduje za każdego żołnierza.

- Fakt, sztywniaki z nich i tyle - zgodził się Skell. - Słuchaj, pewnie to nic ważnego, ale może byśmy podpłynęli i spytali go, co się dzieje?

Jak powiedzieli, tak zrobili. Gdy znaleźli się przy burcie trogickiego statku, Padan już załadował więźnia na pokład.

- Ahoj! Padanie! - zawołał Skell. - Co się dzieje ciekawego?

- Właśnie trafił nam się łut szczęścia - odpowiedział Padan z szerokim uśmiechem.

- Deszcz złota? - spytał Torl z nadzieją.

- No, niezupełnie. Ale też nieźle. Znacie łotrzyka Jalkana, dawnego duchownego?

- Taaa... Dał się poznać na tyle dobrze, że człowiek nie chce mieć z nim do czynienia - stwierdził Torl.

- Chyba każdy, kto spotyka tego drania, ma na jego temat identyczne zdanie. No, ale skoro pytacie, to wam powiem. Pan Veltan ma tu zaprzyjaźnionego rolnika Omaga, a ten rolnik - przepiękną żonę, która jest chyba najlepszą kucharką na świecie. Wszyscy byliśmy w pokoju odpraw, wpatrywaliśmy się w mapę, kombinując, co gdzie i jak, kiedy przyszła ta kobieta i zaprosiła nas na kolację. Jalkanowi wyraźnie wpadła w oko, zresztą nic w tym dziwnego, ale jemu samo patrzeć nie wystarczało, zaczął ją obrażać. Komandor Narasan mało nie usiekł go na miejscu. Nie zdążył, bo Omago wyrzwał chama w tę jego paskudną mordę, a zrobił to tak udatnie, że wybił mu parę zębów.

- Szkoda, że nas przy tym nie było - westchnął Torl.

- To jeszcze nie wszystko - podjął Padan. - Jalkan zaczął wrzeszczeć, że wieśniaka trzeba ukarać za brak szacunku dla oficera tylko dwa stopnie mniej ważnego od samego Boga, a wtedy komandor Narasan zdecydował, że go degraduje i wyrzuca z armii. Ze skutkiem natychmiastowym. Rozkazał mi zakuć łajdaka w kajdany i kopać go w zadek przy każdym kroku przez całą drogę powrotną.

- Chętnie bym ci w tym pomógł - stwierdził Torl. - Moglibyśmy sobie we trzech kopać Jalkana przez tydzień na okrągło. W ramach spaceru między zamkiem pana Veltana a plażą.

Skell wydał wargi.

- Pewnie dałoby się porobić zakłady... Na przykład jak długo wytrzyma.

- Nigdy nie przepuszczam okazji do dobrego zakładu - oznajmił Padan. - Moglibyśmy próbować, kto kopnie tym chudzielcem najdalej, a kto najwyżej...

- Mielibyśmy jakieś zajęcie poza obserwowaniem przypliwów i odpływów - zgodził się Torl. - Ale pewnie by nam się szybko znudziło. Wtedy moglibyśmy wyprawić mu przyzwoity pogrzeb.

- Słuchaj, Torl, on jeszcze nie jest martwy - zaproponował Padan.

- No to co?

Sorgan wezwał Skella do pomieszczenia z mapą i tam objaśnił mu, że za pasterzem Nantonem i jego owcami podąży na szczyt góry z wodospadem.

- Moim i Narasana zdaniem jesteś najlepszym kandydatem na poprowadzenie zwiadu.

- Nic nowego pod słońcem - mruknął Skell.

- Nie gderaj. Rozejrzysz się tam, na górze, sprawdzisz, gdzie może nastąpić inwazja. Potem wybierzesz najlepsze miejsca na budowę fortów.

- Zamierzasz mi jeszcze wytłumaczyć, jak mam wciągać buty?

- Daj spokój! - burknął Sorgan.

- Często sobie tak dajecie po razie? - zainteresował się Narasan, wyraźnie rozbawiony.

- Cały czas - odparł Sorgan, wywracając oczami. - Skell uważa, że to zabawne, chociaż już bardzo dawno przestałem się śmiać z jego dowcipów.

- Jak długo potrwa, zanim Gunda do nas dołączy? - zapytał Sorgan.

- Trudno stwierdzić z całkowitą pewnością. Zostawiłem dowodzenie w rękach wiarygodnego człowieka, Andara. Wie, co ma robić, więc wypłyną natychmiast, jak tylko Gunda uzna, że czas ruszać w drogę. Największy problem polega na tym, czy znajdą dość statków, by przewieźć tu osiemdziesiąt tysięcy ludzi. A tego nikt nie zgadnie. Możemy jednak oczekiwać informacji od Gundy, gdy tylko sam będzie wiedział, ile mu to zajmie.

Sorgan wzruszył ramionami.

- Na pewno nie zabraknie nam zajęcia. Mapa pana Veltana jest małuśka, więc będę znacznie spokojniejszy, kiedy Skell rozejrzy się w terenie.

- Małuśka? - powtórzył Narasan, unosząc brwi.

- Wybacz. Chyba za dużo czasu spędzałem w towarzystwie Elerii. - Sorgan pokręcił głową nad własnym słownictwem.

- No dobrze - odezwał się Skell. - Nie musimy czekać na Gundę. Torl i ja pójdziemy rozejrzeć się na górze. Daj nam ze dwa dni, a będziemy wiedzieć, gdzie pobudować forty. Potem reszta ludzi może zacząć stawiać fundamenty. Zanim Gunda tu dotrze, będą gotowe, wtedy jego ludzie zajmą się resztą.

- Co ty na to, Narasanie? - zapytał Sorgan.

- Nie mam nic przeciwko.

- Ile załóg chcesz zabrać ze sobą? - spytał Sorgan Skella. - Pięć wystarczy?

- Wolne żarty, drogi kuzynie - obruszył się Skell. - Moja i Torla to i tak aż nadto. Nie zamierzam prowadzić natarcia, ja tylko idę w góry rozejrzeć się po okolicy. Im mniej ludzi będzie mi deptało po piętach, tym prędzej będę się przemieszczał. Sorganie, wiem, co trzeba robić, naprawdę nie musisz mnie prowadzić za rączkę.

*

Następnego dnia statki Torla i Skella postawiły żagle i ruszyły w górę rzeki o pierwszym brzasku, zanim Sorgan się obudził, więc nie zdążył dołączyć do zwiadu następnych jednostek. Nie wiedząc czemu, komandor wyznawał zasadę, że więcej znaczy lepiej. Trzej kuzyni sprzeczali się na ten temat przy każdej okazji.

Dotarcie do ujścia rzeki zajęło zwiadowcom dwa dni. Przez ten czas Skell starał się lepiej poznać Długą Strzałę. Niejedno zdarzenie w wąwozie pod Lattash dowodziło, że ten człowiek wiedział o wrogu więcej niż ktokolwiek inny, a wiedza ta była bardzo cenna.

Późnym popołudniem pierwszego dnia podróży Skell podszedł do łuczника stojącego na rufie „Rekina”.

- Słuchaj - zagaił - tam, pod Lattash, zajmowałem się głównie budowaniem fortu, więc niespecjalnie mam pojęcie o ludziach, z którymi będziemy walczyć. A słyszałem, że ty wiesz o nich wszystko. Może byś mi powiedział to i owo?

- Najważniejsze - odpowiedział Długa Strzała - że istoty z Pustkowiec nie znają strachu.

- Są tak odważne?

- Nie, raczej są tak głupie, ale to też nie do końca prawda. Każdy z nich z osobna jest rzeczywiście głupi jak but. Potrafi jedynie wypełniać polecenia Vlagha, nawet jeśli żąda od niego rzeczy niemożliwych.

- W takim razie są głupi.

- Ich mózgi działają zupełnie inaczej niż nasze... oni właściwie nie mają odrębnych umysłów. To, co wie jeden z nich, wiedzą wszyscy. Decyzje podejmuje zbiorowa świadomość. Ośrodkiem tej świadomości jest Vlagh. On wydaje polecenia, a słudzy zrobią wszystko, żeby je wykonać, nawet jeśli prowadzi to do nieuniknionej śmierci.

- Tak czy inaczej to głupie.

- Nam może się takie wydawać, ale oni podchodzą do tego inaczej. Oczywiście nie wiedzą, co to znaczy stracić życie. Trwają w przekonaniu, że będą żyli wiecznie i nic ich nie pokona.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- Jestem myśliwym. A myśliwy musi przede wszystkim dobrze znać obyczaje zwierzyny, wiedzieć o niej wszystko. Jeśli to zaniedba, nie będzie jadał często. - Długa Strzała przeniósł spojrzenie na lekko wzburzoną wodę przed dziobem „Rekina”. - Ty większość czasu spędzasz na morzu, prawda?

- Jak to żeglarz.

- Wędkujesz trochę?

- Jasne. Trochę.

- Wkładasz na haczyk przynętę, która twoim zdaniem będzie smakowała rybnie, zgadza się?

- Zgadza.

- Wobec tego dobry wędkarz musi wiedzieć, co która ryba lubi, prawda?

- Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób, ale tak, masz rację - przyznał Skell. - Jaka przynęta jest skuteczna na ludzi-węży?

- Najlepiej biorą na ludzi - powiedział Długa Strzała z lekkim uśmiechem.

- Co takiego?! - wychrypiął Skell.

- Taka jest prawda. Widząc człowieka, zrobią wszystko, żeby go zabić. Wejdą w ogień, skoczą w przepaść... Wtedy najłatwiej trafić do nich z łuku. Nie rozumieją, dlaczego ich towarzysze padają jak ścięci. Są też inne sposoby, na przykład powódź albo wybuch wulkanu, ale to sprawy nieco bardziej skomplikowane. A przecież im prościej, tym lepiej.

Przy ujściu rzeki znaleźli się następnego dnia pod wieczór. Brodaty pasterz Nanton już czekał na plaży po północnej stronie. Skell i Omago popłynęli na brzeg w jednej z szalup z „Rekina” i rolnik przedstawił pirata przewodnikowi.

- Czy ci wszyscy ludzie z obu łodzi idą z nami na górę? - zapytał Nanton.

- Ze statków - poprawił go Skell odruchowo. - Co?

- To statki, nie łodzie.

- A co za różnica?

- Właściwie żadna - przyznał Skell. - Wydaje mi się, że na pierwszy ogień wystarczy, jeśli pójdzie nas piętnastu. Najpierw musimy się po prostu rozejrzeć. Najważniejsze to oznaczyć szlak, żeby armia wiedziała, którędy na górę. Widziałeś ostatnio jakiegoś wroga?

- Tego lata żadnego - odpowiedział pasterz. - Wiosną kręciło się tu paru. Zadawali mnóstwo pytań. Później jakoś zniknęli.

- Umieją mówić? - zdziwił się Skell.

- Ci, którzy mnie wypytywali, umieli. Udawali kupców, ale im nie uwierzyłem. To na pewno byli szpiedzy.

Skell zerknął na rzekę.

- Daleko do wodospadu?

- Mniej więcej dwa razy tyle co stąd do domu pana Veltana. Część da się przepłynąć, tam gdzie spokojniejsza woda.

- To dobrze. Ile się da, popłyniemy. Potem weźmiemy piętnastu ludzi i pójdziemy na górę. Rozejrzemy się i wyślemy kogoś po resztę.

- Tak będzie najlepiej - zgodził się Nanton.

- Twoje stado jest na górze? - spytał Omago.

- Na razie tak. Ale jak się zacznie wojna, to je wyprowadzę na niziny.

- Coś mi się zdaje, że nieźle znasz te góry - zauważył Skell.

- Chodzę po nich przez całe życie - powiedział Nanton. - No, w każdym razie przez wiosnę i lato. Jesienią sprowadzam stado na dół.

- Nie łatwiej byłoby je wypasać na nizinach?

- Może i łatwiej, ale w górach trawa jest soczysta, no i nie muszę pilnować, żeby nie wchodziły w szkodę. Rolnicy trzęsą portkami na widok setki głodnych owiec schodzących z gór.

- Ciekawe dlaczego - uśmiechnął się Skell.

*

Dwa dni płynęli leniwą rzeką. Potem zarzucili kotwice w miejscu, gdzie wpadał do niej górski strumień. Skell popłynął szalupą na „Psotę” porozmawiać z bratem.

- Mam nieodparte przeczucie, że Omagowi nie w smak tłumy deptające jego ukochane góry, a nie chciałbym z nim zadzierać, bo zna tę okolicę jak nikt inny i może się okazać wyjątkowo przydatny.

- Czyli jak zwykle: obchodzimy się z tubylcami jak ze zgniłym jajem.

- Zachowajmy ciszę i spokój jak najdłużej. Może byś został nad rzeką? Zbudowałibyście jakąś przyzwoitą przystań. W końcu przecież lada moment zjawi się tu całkiem spora flota.

- To z kim się wybierasz w górę?

- Z Nantonem i Omagiem - odparł Skell. - Przyda się też Długa Strzała i Rudobrody. Narasan chce, żeby szedł z nami Padan, więc i on pójdzie.

- To koniec? Niezbyt liczna drużyna.

- Idziemy się rozejrzeć. - Skell lekceważąco wzruszył ramionami. - Wezmę jeszcze Grocka. Na wypadek gdyby się zrobiło gorąco i musiałbym ci szybko posłać wiadomość. Dołączę Zajączka i Kesela - dodał po namyśle. - Dobrze się dogadują z Długą Strzałą, więc się przydadzą. I to tyle. Mamy się poruszać szybko i cicho, dlatego im mniej ludzi, tym lepiej.

- Nadal twierdzą, że to za mało.

- Wystarczy. Nie komplikujmy spraw.

*

Skell ze swoją drużyną wyruszył o pierwszym brzasku. Szybko wyszło na jaw, że nie będzie to leniwy spacer. Po obu stronach wąskiego parowu rosły gęste krzewy, a wysokie drzewa zasłaniały słońce tak dokładnie, że najemnicy, mimo pogodnego dnia, wędrowali w półmroku. Grock, pierwszy oficer z „Rekina”, miał ze sobą zwój liny - i całe szczęście, bo nie uszli daleko, gdy okazało się, że będzie potrzebna dość często. Teren był bardzo trudny, co kilka metrów pieniły się mniejsze i większe wodospady. Nieoceniony okazał się Zajączek, wyjątkowo sprawny i zręczny. Wspinał się na strome zbocze z liną przewieszoną przez ramię, w odpowiednim miejscu przywiązywał ją do drzewa i rzucał pozostałym. W południe Skell

gotów był przysiąc, że częściej wspinał się po sznurze, niż szedł.

- Jakim cudem prowadzisz tędy owce? - zapytał Nantona.

- Jeśli owca czegoś naprawdę chce - uśmiechnął się lekko brodaty Nanton - soczystej trawy albo barana, potrafi się wspiąć nawet na stromą skałę. W końcu ma cztery nogi i wszystkie zakończone kopytami.

- Lubisz owce, co?

- Wolę wypasać, niż kopać w ziemi. Wolę żyć łatwiej niż trudniej. Chyba to nic dziwnego?

- Nie będę się z tobą sprzeczał - uznał Skell. - Wydaje mi się jednak, że taka wspinaczka podchodzi raczej pod „trudniej”.

- I tak jest lepsza od pracy na roli - obstawał Nanton przy swoim. Gdy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, Skell zarządził postój.

- Na dzisiaj wystarczy - zdecydował. - Nie będziemy się przebijać przez te krzaki po ciemku. Nie mamy pewności, czy w okolicy są jacyś ludzie-węże, lepiej nie ryzykować.

- I słusznie - przytaknął Zajączek.

*

Następnego dnia zwiadowcy wstali wcześniej rano, zjedli śniadanie i ruszyli w drogę, nadal często korzystając z liny Grocka. Padan od czasu do czasu zawiązywał żółty sznurek na gałęzi drzewa, znacząc drogę dla nadciągającej armii Narasana.

Przed południem Keselo podszedł do Skella.

- Kapitanie, mam pewien pomysł - powiedział. - Moim zdaniem armia komandora Narasana posuwałaby się szybciej, gdybyśmy na stałe przytwierdzili liny w stromych miejscach.

- Rzeczywiście, lina bardzo nam ułatwia życie - przyznał Skell. - A swoją drogą, gdzie się podział Grock?

- Powiedział, że chce poszukać wygodniejszej drogi na szczyt. Nie przepada za gęstymi krzewami.

- Rozumiem go doskonale.

- Rzeczywiście, tworzą doskonałą kryjówkę dla wroga - powiedział Keselo - i nie ma z nich żadnego innego pożytku.

- Gdzie Grock szuka przejścia?

- Przeskoczył strumień i poszedł w górę po drugiej stronie parowu. Nie przypuszczam, żeby to coś dało. Tam wszędzie tylko piargi.

- Kto wie, może mu się poszczęści. Zaczynam już mieć dosyć tej wspinaczki.

Niedługo rozbolą mnie dłonie.

- Kapitanie, chyba właśnie do nas biegnie! - powiedział Keselo, osłaniając dłonią oczy.

Skell spojrział za strumień.

- Grock, zwolnij, kretynie jeden! - krzyknął. - Bo sobie kark skręcisz!

- Panie kapitanie! - odkrzyknął marynarz. - Znalazłem złoto! Całe tony złota w skalnej ścianie!

- Stój, zaczekaj! - rozkazał Skell. - Już do ciebie idę. - Gestem przywołał Kesela. - Chodź ze mną, zobaczymy, co on tam znalazł.

- Tak jest, kapitanie!

Obaj przedarli się przez gęste krzewy, pokonali strumień i ruszyli w górę stoku.

Grock aż się trząsał z podniecenia. W ręku trzymał ciemny kamień. Oblizywał go, jakby miał ochotę zjeść.

- Pokaż - zażądał Skell.

- Tutaj, o tu. - Grock podał kapitanowi kawałek skały i wskazał na niej jasną plamkę. - Wcale bym tego nie zauważył, ale akurat zawiął wiatr, drzewo się zakołysało i słońce błysnęło na skale. No to się wróciłem i przyjrzałem z bliska. Cała ta skalna ściana jest upstrzona złotem, calusieńka. Trzeba będzie trochę pracy, żeby wylupać kruszec z kamienia, ale warto, na pewno warto.

Dopiero kiedy Skell wypuścił powietrze, zdał sobie sprawę, że wstrzymywał oddech.

- Kapitanie - odezwał się młody Trogita. - Może by Zajączek rzucił na to okiem? Zna się na metalach jak nikt, pewnie będzie wiedział, czy to naprawdę złoto.

- A co innego?! - obruszył się Grock. - Żółte i błyszczące, to złoto, nie?

- Zajączek! - wrzasnął Skell co sił w płucach. - Chodź tutaj, potrzebny jesteś!

Drobny, mocny kowal z „Mewy” biegiem pokonał stromy stok.

- Jakież kłopoty? - spytał.

- Może tak - powiedział Skell. - A może nie. - Podał Zajączkowi kamień oznaczony żółtymi plamami. - Przyjrzyj się i powiedz, co o tym myślisz. Czy te złote plamki to złoto? Czy może coś innego?

- Łatwo to sprawdzić - stwierdził Zajączek. Wyjął nóż z pochwy i lekko zarysował żółtą plamę. Została na niej jasna smuga. - Przykro mi, kapitanie, to nie jest złoto. Ładne to, owszem, ale złoto inaczej błyszczące, kiedy je zadrapać nożem. Słyszałem już o czymś takim, chociaż widzę po raz pierwszy.

- Jesteś całkiem pewny? - spytał Grock, wyraźnie rozczarowany.

- Możemy się łatwo upewnić - stwierdził Zajączek. - Ma ktoś przy sobie złotą monetę?
Keselo podał mu złoty krążek całkiem słusznych rozmiarów. Zajączek przeciągnął czubkiem noża po brzegu pieniądza.

- Widzicie? Inaczej błyszczą. Grock znalazł rudę żelaza zanieczyszczoną czymś o żółtym zabarwieniu. W Weros ludzie opowiadają o jednym zapaleńcu, który znalazł taką rudę. Dziesięć lat poświęcił na wydobywanie jej z kamienia, przekonany, że jest z każdym dniem bogatszy. A kiedy się dowiedział, że to nie jest złoto, utopił się w żalu.

Skell zmierzył Kesela uważnym spojrzeniem.

- Ty od razu wiedziałeś, że to nie złoto, zgadza się?

- Tak mi się rzeczywiście wydawało, panie kapitanie - przyznał młody Trogita. - Ale wiem, że najlepszym fachowcem od metali jest Zajączek. Ten metal nazywa się chyba siarczek żelaza, a inaczej piryt. To w zasadzie żelazo, lecz zanieczyszczone siarką. Słyszałem, że gdzieś jest używany zamiast krzemienia.

- Wobec tego jest bezużyteczny? - podsumował Skell, równie zawiedziony jak Grock.

- Niezupełnie. W końcu to jednak żelazo, a żelazo ma swoją wartość. Poza tym można go wykorzystać do rozpalania ognia.

- Ach tak - westchnął Sorgan. - Czyli najwyraźniej musimy wrócić do ciężkiej pracy. Przykro mi, stary - zwrócił się do Grocka - nie wzbogacimy się dzisiaj.

Gdy schodzili do strumienia, Skell odniósł dziwne wrażenie, że ktoś go śledzi. Odwrócił się gwałtownie. Nikogo nie zobaczył. Wzruszył ramionami i poszedł dalej.

*

- Nie są najmądrzejsze na świecie - przyznał Nanton. - Ale widzisz, Długa Strzała, potrafią kochać całym sercem, a wężę dają wyśmienitą.

- Czy to nie nudne patrzeć całymi dniami, jak jedzą trawę?

- Bardzo lubię nudę. Dopiero gdy przestaję się nudzić, zaczynam myśleć o zmianie zajęcia. Na przykład obrona stada przed watahą głodnych wilków to zajęcie wyjątkowo ekscytujące.

- Trudno w nie trafić z procy?

- Nie, ale trzeba mieć trochę wprawy. Jeśli człowiek codziennie ćwiczy, proca staje się przedłużeniem ręki.

- Nigdy nie chybiasz? Potrafisz zawsze ugodzić kamieniem wilka czy płową zwierzynę?

- Nie chybiam. Nigdy.

- U mnie podobnie jest ze strzelaniem z łuku. Trudno to wytłumaczyć tym, co używają

tylko włóczni albo noża.

- Już dawno przestałem im to tłumaczyć - zgodził się Nanton. - Chociaż i tak nieczęsto mnie ktoś pyta. Pasterz jest samotnikiem, więc nikt mi się nie przygląda, kiedy przepędzam wilki.

- Możesz je zabijać, jak tylko zaczynają krążyć wokół stada.

- Staram się tego nie robić. Zwykle celuję w zad. Wystarczy tyle, żeby z wyciem i podwiniętym ogonem chowały się w trawie. Na górze mieszka pięć czy sześć watah, nauczyłem je trzymać się z dala od moich owiec. Wilki to mądre stworzenia, szybko pojmują, co dla nich niebezpieczne.

- Są tu jakieś inne zwierzęta? Nanton szeroko rozłożył ręce.

- Mnóstwo. Takie jak wszędzie: zwierzyna płowa, ptaki, króliki, wiewiórki i nietoperze, które wieczorami polują na owady.

- Właśnie coś przyszło mi do głowy - powiedział Długa Strzała z szerokim uśmiechem. - Jak słusznie zauważyłeś, nietoperze polują na owady. Ponieważ nasi wrogowie przynajmniej częściowo są owadami, powinniśmy pogadać z nietoperzami i przekonać je, że niedługo pojawi się wyśmienita kolacja z Pustkowiec.

- W życiu nie widziałem takiego wielkiego nietoperza. Poza tym, o ile mi wiadomo, słabo posługują się językiem ludzi.

- Może przydałoby się porozmawiać o tym pomysłe z panem Veltanem. Gdyby zdołał polatać po okolicy z nietoperzami, pewnie wystarczyłby mu tydzień, żeby uczynić z nich sprzymierzeńców.

- Zawsze można spróbować - zgodził się pasterz. - Każda pomoc się przyda.

Skell został nieco z tyłu. Wyglądało na to, że Długa Strzała nie jest aż tak wyniosły, jak się wydawało. Rozmawiał z pasterzem całkiem swobodnie. Poza tym był już od jakiegoś czasu zaprzyjaźniony z Rudobrodym, Zajączkiem i Keselem. Pirat nie mógł zrozumieć, dlaczego łucznik uznał pasterza za wartościowego kompana podczas zbliżającej się wojny. Miał temat do rozmyślań.

*

Mniej więcej w południe następnego dnia dotarli na szczyt. Skell ze zdumieniem rozejrzał się po okolicy. Owszem, Nanton mówił o łące, ale pirat w życiu nie widział tak rozległego terenu porośniętego soczystą trawą. Zielony kobierzec ciągnął się nieomal po horyzont, poznaczony z rzadka kępami drzew, z trzech stron otoczony pasmami górskimi o stromych szczytach. W południowym paśmie powstało znaczne wgłębienie w miejscu, gdzie na trzydzieści metrów w powietrze wzbijał się słup wody. To zapewne był gejzer, o którym

mówił pan Veltan.

W paśmie północnym rysowało się znacznie większe przejście. Tam właśnie zaczynało się Pustkowie.

- Ładnie, co? - odezwał się Padan.

- Niebrzydko - przytaknął Skell. Wskazał przełęcz na północy. - Powinniśmy się rozejrzeć po łąkach, ale najważniejsze jest północne pasmo. Stamtąd nadciągnie wróg. Przesmyk ma pewnie ze dwa kilometry szerokości. Sorgan i twój komandor zjawią się za kilka dni, ale nawet z ich ludźmi nie zdołamy zablokować przejścia. Dopiero kiedy Gunda sprowadzi główne siły, będziemy mogli coś zrobić. Jeśli wróg nie zaatakuje w ciągu miesiąca, wszystko pójdzie dobrze, w przeciwnym razie czekają nas kłopoty.

*

Przełęcz wydawała się tworem stosunkowo nowym, na stromych skalnych zboczach nie znać było upływu czasu. Krawędź, za którą rozciągało się Pustkowie, zasypała została skalnym gruzem - to był ślad jakiejś katastrofy.

- Często tu macie trzęsienia ziemi? - spytał Nantona Długa Strzała.

- Zdarzają się. Ale raczej nie są tak silne, żeby burzyć góry. Skell szacował zбочe uważnym spojrzeniem.

- Szkoda, że te wszystkie kamienie stoczyły się na dół. Mielibyśmy niezły budulec pod ręką.

- Mogą się przydać i tam, gdzie są - uznał Padan. - Kto wie, może komandor Narasan i kapitan Sorgan zdecydują się postawić tam zapory? Takie kamienne mury znacznie zwolniłyby tempo marszu wroga i dały naszym ludziom czas na postawienie solidnego fortu tutaj, na górze. Zyskalibyśmy większe szanse na powstrzymanie inwazji do przybycia Gundy.

- Właśnie mi o czymś przypomniałeś - stwierdził Skell. - Hej! Grock!

- Ahoj, kapitanie!

- Wrócisz z biegiem strumienia i powiesz mojemu bratu, żeby się tu jak najszybciej zjawił ze swoimi ludźmi. Niech zostawiają liny przywiązane do drzew, armia będzie iść szybciej. Powiedz Torlowi, niech wytyczy kilka szlaków, bo jeśli armia Narasana pójdzie rządkiem, nie dotrą tutaj do lata.

- Taaa jest, panie kapitanie - powiedział Grock. Ruszył w stronę potoku.

- Jeszcze jedna okoliczność działa na naszą korzyść, panie kapitanie - odezwał się Zajączek. - Łucznicy Długiej Strzały zjawią się tutaj lada moment, a wtedy wróg będzie zbyt zajęty unikaniem strzał, żeby przeszkadzać budującym umocnienia.

- Rzeczywiście - poparł go Padan. - Mieczami i włóczniami dużo nie zdziałamy na

większą odległość, strzały to całkiem inna sprawa. - Przeniósł spojrzenie na łucznika. - Kiedy twoi przyjaciele tu przybędą?

Długa Strzała podrapał się po policzku.

- Za jakieś dwa tygodnie. Idą przez góry, trochę to potrwa.

- Jeżeli Sorgan i komandor Narasan ruszyli na północ o czasie, powinni już kotwiczyć u ujścia potoku - stwierdził Skell. - Wobec tego jak tylko Grock dotrze na dół i powie im, na czym stoimy, zaczną iść w górę. Będą tu za dwa dni. Mogą od razu zacząć budowę fortu. Jeszcze nie wiemy, co się będzie działo, tym bardziej każdy z nas niech robi, co do niego należy. Jakies dwa czy trzy dni później będziemy już w niezłej sytuacji.

*

Słońce już zachodziło za górskimi szczytami, gdy wrócili w pobliże gejzeru. Choć zachody słońca w górach potrafią zachwycić, zdaniem Skella daleko im było do zmierzchu na morzu.

Rozpalili ogień, Zajączek ugotował kociołek fasoli. W pewnej chwili Omago wstał, by dorzucić dREW - i gwałtownie uchylił się przed nietoperzem.

- Nie do wytrzymania.

- Ciągną do ognia - wyjaśnił Nanton. - Światło przyciąga owady, a nietoperze są głodne.

Nagle Długa Strzała poderwał głowę, sięgnął po łuk.

- Co się dzieje? - Zajączek skoczył na równe nogi.

- Nie wiem - odparł Długa Strzała. - Ale coś jest nie w porządku. - Rozejrzał się uważnie dookoła i raptem pobladł jak ściana. - Chyba nadszedł czas, żeby się przywitać z sąsiadami. - Wyciągnął strzałę z kołczanu, naciągnął cięciwę. Pierzasty pocisk ze świstem przeciął powietrze. Niedaleko spadł na ziemię martwy nietoperz.

Długa Strzała przyniósł zabite zwierzę i przyjrzał mu się z bliska.

- Rudobrody, patrz - odezwał się ponurym tonem.

- Kłopoty?

- Sam zobacz. - Wyciągnął w jego stronę rękę z martwym zwierzęciem.

Rudobrody odskoczył do tyłu.

- Poszukam łuczników - powiedział tylko.

- W czym rzecz? - zapytał Skell.

- W tym. - Długa Strzała podsunął mu swoją zdobycz.

Kapitan instynktownie cofnął się o krok. Potworek miał skrzydła nietoperza, włochaty korpus i tylne kończyny z ostrymi pazurami, ale zamiast łba nietoperza - głowę osy lub może

mrówki z wystającą dolną szczęką, wylupiastymi ślepiami i dziwacznymi czułkami.

- Lepiej tego nie dotykać, kapitanie - poradził Skellowi Rudobrody. - Na pewno jadowite.

- Znowu zęby jadowe i żądła? Jak u ludzi-węży?

- Pewności nie mam - przyznał Rudobrody. - Ale ja tam bym tego w gołe ręce nie brał.

- Przeniósł wzrok na swojego przyjaciela. - Zdaje się, że jesteśmy na polu bitwy. A mieliśmy nadzieję, że wyprzedziliśmy wroga! Jak się domyśliłeś, że to nie jest zwykły nietoperz?

- Niezbyt dobrze fruwał. A miałem już okazję przyjrzeć się innym, polującym na owady. Latają bardzo sprawnie.

- Jak mamy walczyć z latającym nieprzyjacielem?! - zmartwił się Padan.

- Długa Strzała nas obroni. Kiedyś zestrzelił z łuku całe stado gęsi. O zmierzchu. I tak, że wszystkie ptaki spadły na pokład żaglowca.

- Rudobrody - odezwał się łucznik - nie ma czasu do stracenia. Vlagh znowu odmienił naturalny porządek rzeczy, potrzebujemy łuczników już, teraz i tutaj. - Zmarszczył lekko brwi. - Może nie będzie tak źle. Nie widzieliśmy tych stworzeń w czasie wojny w krainie pani Zelany, co oznacza, że są nowym wymysłem władcy Pustkowie. A w takim razie zapewne jeszcze nie wiedzą, jak ani po co się tutaj znalazły.

- Czy to znaczy, że nie potrafią walczyć? - upewnił się Zajączek.

- Nie wiedzą, jak my walczymy - sprostował Długa Strzała. - Jeżeli to faktycznie nowa forma życia, potrzeba przynajmniej dwudziestu wylęgów, zanim pojmie, do czego jest zdolna. Jeszcze za krótko żyją, żeby osiągnąć właściwy poziom wiedzy. Wydaje mi się, że te potrafią tylko latać i obserwować.

- Czyli: zwiadowcy - podsumował Skell.

- Jak najbardziej. Nie pożyją dość długo, by się czegoś więcej nauczyć. Nasz szaman, Uzdrowiciel, nie tak dawno wyjaśnił mi wiele szczegółów związanych z istotami z Pustkowie. Powiedział, że gdy już osiągną dojrzałą formę, żyją miesiąc, najwyżej półtora, a to za mało, by się czegoś solidnie wyuczyć. Ich wiedza skupia się w ciągu wielu pokoleń. Stwory, które napotkamy później, będą znacznie mądrzejsze.

- Więc może schowajmy to truchło - zaproponował Zajączek, rozglądając się dookoła.

- Nie rozumiem po co - przyznał Keselo.

- Jeśli nie wiedzą, jak groźne są dla nich strzały, nie będą się ich wystrzegać. Skoro uznają łuk za zwykły patyk, nie będą na tę broń zwracały uwagi, kiedy kilka setek łuczników naciągnie cięciwy. W takim wypadku za tydzień czy dwa z nieba spadnie chmura martwych nietoperzy, które w ogóle nie będą wiedziały, co się stało.

- Dobra myśl - przyznał Skell. - Przykryjmy go gałązkami i zachowujmy się jak gdyby nigdy nic.

- Mam jeszcze jeden pomysł - powiedział Zajączek. - Nie wiem, czy sensowny... Może by na noc rozwieszać nad ludźmi sieci? Wtedy nietoperze nie podlecą na tyle blisko, żeby ukąsić, a ponieważ na pewno będą próbowały, zapłaczą się w sznurki. Rano da się je powybijając zatrutymi włócznie. Przynajmniej będzie ich trochę mniej.

- Doskonały pomysł - uznał Padan. - Tylko skąd weźmiemy sieci?

- To proste - odezwał się Skell. - Na każdym statku z Maagsu są sieci. Jeśli nałapiemy ryb w czasie rejsu, nie musimy zawijać do portu po fasolę. Pogadam z Sorgenem, kiedy do nas dołączy. Jak zobaczy tego potworka, na pewno nie będzie się sprzeciwiał pomysłowi Zajączka. Latający wróg i jemu się nie spodoba.

*

Następnego dnia jeszcze przed południem u wylotu parowu ukazał się Torl.

- Niepowszedni widok - powiedział, wskazując gejzer. - Jeszcze nie widziałem trąby wodnej na lądzie.

- Na dziwnej ziemi dziwne rzeczy się zdarzają - stwierdził Skell filozoficznie. - Twoi ludzie wiążą liny?

- Tak. Są godzinę za mną. A Trogici niedaleko za nimi.

- To dobrze. Powinniśmy zacząć budować forty.

- Widzieliście już wroga?

- Owszem. Z początku nie wiedzieliśmy, na co patrzymy, ale tak, oni już tu są.

- Znowu wyryli nory?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Nie można tego wykluczyć, ale ten, którego widziałem, latał.

- Żartujesz!

- Niestety nie. Vlagh najwyraźniej znowu wcielił w życie jakiś eksperyment i wysłał tu na zwiad nietoperze.

- Nietoperze? - powtórzył Torl z niedowierzaniem.

- Nie jestem tym uszczęśliwiony. Będziemy musieli się gdzieś ukryć aż do przybycia łuczników. W każdym razie po zmroku. W dzień żadnego nietoperza jeszcze nie widziałem.

- Są jadowite? Tak jak ludzie-węże?

- Rudobrody jest o tym przekonany. Długa Strzała zabił wczoraj wieczorem jednego, obejrzelśmy go z bliska.

- Jak się przed nimi schować? - spytał Torl lekko drżącym głosem.

- Uspokój się, braciszku. Nasz sprytny kowal już wymyślił rozwiązanie. Wystarczy, że wejdziemy pod sieć, a na każdym maagsowskim statku mają dobry kilometr sieci w ładowni. Jak się nietoperze zapłaczą w sznurki, nie będzie z nimi problemu.

- Ten Zajączek jest taki mądry, że aż się niedobrze robi.

- Ciesz się, że stoi po tej samej stronie co my, braciszku - stwierdził Skell.

*

Sorgan i Narasan dotarli do wylotu parowu tego samego dnia tuż po południu.

- Skell, jak się masz?! - zawołał Sorgan. - Widzieliście już jakichś ludzi-węży?

- Ani jednego.

- Innymi słowy, jesteśmy pierwsi.

- Jeszcze się nie ciesz. Może się zdarzyć, że będziesz tęsknił za tamtymi potworami.

- Nie rozumiem.

- Tutaj mamy do czynienia z całkiem nowym gatunkiem. Tym razem nasz wróg umie latać.

- Nie śmiesz mnie takie żarty.

- A czy ja się śmieję?

- Zmyślasz i tyle.

- Ani trochę. Mamy schowany pod krzakiem jeden ukatrupiony egzemplarz. Skrzydła jak u nietoperza, ale głowa owadzia. Chodź, przekonasz się na własne oczy. Dzisiaj w nocy latały nam nad głową dziesiątki nietoperzy, a Długa Strzała raptem sięgnął po łuk i ubił jednego. Najprawdopodobniej ocalił nam życie. W ciemności trudno odróżnić tego stwora od nietoperza, ale kiedy przyjrzyj się bliżej, od razu spostrzeżesz różnicę. Rudobrody twierdzi, że nie zdziwiłby się, gdyby był jadowity. Chodź, zobaczysz truchło.

Zaprowadził kuzyna do obozu przy gejzerze i odsunął gałęzie z nocnej zdobyczy. Zwierzę zaczynało się już psuć, więc Skell stanął z wiatrem.

- Widzisz? Niby zwykły nietoperz, mysz ze skrzydłami. Ale głowa...!

- Na pewno jadowity? - zapytał Narasan, który dołączył do piratów kilka chwil wcześniej.

- Tak twierdzi Rudobrody - powiedział Skell. - Ja bym mu wierzył. I nie dotknę tego dziwadła gołą ręką. Nie ma mowy.

- Czy ktoś zginął? - chciał wiedzieć komandor.

- Jeszcze nie. Długa Strzała uważa, że te nietoperze to dopiero zwiad. Faktycznie mogłyby dobrze się wywiązać z takiego zadania.

Mam nadzieję, że na razie wróg nie robi nic gorszego, tylko podgląda i szpieguje. Bo

jeśli wystawi przeciwko nam armię tych owadzich nietoperzy, będzie z nami krucho. Jak tylko pomyślę o walce z latającym wrogiem, przechodzą mi ciarki po plecach. Zajączek wpadł na niezły pomysł: zaproponował, żebyśmy przynieśli sieci ze statków i rozwiesili je tam, gdzie się zbierzemy po zachodzie słońca.

- Pomyślmy o tym - stwierdził Narasan nie do końca przekonany. - Jak daleko znajduje się przewidywane miejsce inwazji?

- Parę kilometrów stąd na północ. Tam też nie jest najciekawiej. Kiedyś był łańcuch stromych gór, które strzegły zejścia na Pustkowie, ale niedawne trzęsienie ziemi otworzyło przełęcz szeroką na jakieś dwa kilometry. Dużo czasu zajmie zbudowanie takiego długiego fortu, więc nie będzie nam tak łatwo jak w wąwozie.

- Chodźmy zobaczyć - burknął Sorgan.

*

Trogicki komandor spoglądał w dół na zarzucone kamieniami zbocze prowadzące ku Pustkowiu.

- Gdybyśmy mieli trochę czasu, moglibyśmy postawić tam zapory i zyskać trochę czasu na budowę muru w poprzek przełęczy - myślał na głos.

- Pod warunkiem że nieprzyjaciel będzie atakował z ziemi - przypomniał Sorgan. - Że trafią nam się ludzie-węże, jak w wąwozie nad Lattash. Ale jeżeli wróg przeleci nad zaporami, dopadnie nas w mgnieniu oka. - Rozejrzał się dookoła. - Gdzie jest Długa Strzała? - spytał poirytowany.

- Rano poszedł rozejrzeć się w górach na wschodzie, kapitanie - powiedział Zajączek. - Chce się upewnić, że wróg nas nie okrzyży, jak w wąwozie.

- Czy Rudobrody wie, kiedy dojdą do nas łucznicy?

- Zaraz po ustrzeleniu tego dziwnego nietoperza pobiegł ich ponaglić.

- Dobrze. Będą nam bardzo potrzebni. Obawiam się, że miecze i włócznie nie na wiele się zdadzą tym razem.

*

- Trogici są w budowaniu umocnień znacznie lepsi niż my - wyjaśniał Skell księciu Ekialowi o poznaczonej bliznami twarzy. - Słyszałem, że cały ich kraj jest podzielony murami.

- Coś mi się zdaje, że nie lubicie tej nacji.

- Mają chyba manię wielkości. Ich statki przypominają balie i tak też pływają. Co nam wcale nie przeszkadza. Dowolny trogicki statek doganiamy najwyżej w pół dnia.

- A po co je doganiacie?

- Rabujemy im złoto, które oni kradną pewnemu ludowi zamieszkującemu na zachodzie.

- Jak to się stało, że w tej wojnie walczycie po tej samej stronie?

- Pani Zelana najęła mojego kuzyna, Sorgana, a on zebrał więcej ludzi.

- To siostra pana Dahlaine'a, prawda?

- Tak mi się wydaje.

- Jak to jest żyć na wodzie? - spytał Ekial.

- Lepiej być nie może. Jeśli masz, bracie, statek i wiatr w żaglach, to jakbyś latał.

Powietrze jest czyste, a fale połyskują w słońcu niczym klejnoty.

- Urodzony z ciebie poeta - rzekł Ekial z uśmiechem.

- Tacy są marynarze.

- Dlaczego zgodziłeś się walczyć na lądzie?

- Dla pieniędzy. Pani Zelana ma tyle złota, że trudno zliczyć, a mój ukochany kuzyn Sorgan, najmując armię, przywiózł na Maags setkę złotych cegieł.

- Jakbym to skądś znał... Dahlaine lud Malawi też kusił złotem. Wszyscy konni się najęli.

- A wiesz, że ja nigdy nie widziałem konia? Podobno przypominają krowy, tylko nie mają rogów.

- Jest jeszcze kilka innych różnic. Konie uwielbiają biegać. Dobry wierzchowiec może biec nawet cały dzień, jeśli go ładnie poprosisz. U nas, na ziemi ludu Malawi, nie ma dużo drzew, łąki ciągną się setkami kilometrów w każdą stronę. Podejrzewam, że w pewnym sensie czujemy się podobnie: ty na morzu, ja na trawiastej równinie.

- Tyle że ty nie jesteś przemoczony do suchej nitki, jeśli spadniesz z konia.

- Najczęściej nie.

Nagle rozległ się głośny huk i rozbłysło białe światło.

- Gdzie znajdę Narasana? - zapytał pan Veltan.

- Ostatnio widziałem go z Sorganem na krawędzi przełęcz - odpowiedział Skell. Odwrócił się do jednego z mężczyzn zajętych budową umocnień. - Hej, ty tam! Przyrowadź no tutaj komandora Narasana! Powiedz mu, że pan Yeltan chce się z nim widzieć!

- Taaa jest, kapitanie! - odrzyknął żeglarz i pognał wypełnić polecenie.

- Czy coś się stało? - zapytał księżę Ekial.

- Mamy kłopoty na południu - oznajmił Veltan krótko. - Przy plaży zakotwiczyła cała flotylla trogickich statków. Przybysze nie są nastawieni przyjaźnie.

*

Skell wysłał gońców, żeby sprowadzili najważniejsze osoby na granicę z Pustkowień, a pan Veltan w tym czasie chodził w tę i w tę, mamrocąc pod nosem przekleństwa.

Pierwszy zjawił się Sorgan.

- Nadciągają kłopoty - poinformował go Skell.

- To akurat nic nowego.

- Nie pora na żarty. Sprawa jest poważna. Będziemy musieli sobie poradzić na dwóch frontach.

- Szybko poszło. A dokładnie co się dzieje?

- Właśnie pojawił się tu pan Veltan, chce z nami porozmawiać. Najlepiej będzie, jeśli on naszkicuje sytuację. W przeciwieństwie do mnie widział wszystko na własne oczy. Spróbujmy raz, dla odmiany, postąpić jak należy.

Zanim przybyli na miejsce pozostali, Veltan zdołał odzyskać spokój.

- Panowie - zaczął - gdy już wyruszyliście, dotarli do mnie niepokojące wieści z południowego wybrzeża mojej krainy. Najpierw wybrałem się tam, żeby się upewnić, czy są prawdziwe. I rzeczywiście, najwyraźniej są Trogici żywotnie zainteresowani Dhrallem. Właśnie przybyli rozpatrzeć się w sytuacji. Ogromna flota trogickich statków zakotwiczyła w zatoce pomiędzy dwoma półwyspami południowego wybrzeża. Ci, którzy nimi przybyli, zajęli nadbrzeżne osady i pojmali mieszkańców. Większość przybyszów to żołnierze w czerwonych mundurach, ale prócz nich zjawili się także inni, z pewnością nie wojownicy, odziani w czarne suknie. Ci nie noszą żadnej broni.

- Duchowni - powiedział Narasan głosem bez wyrazu. - A żołnierze w czerwonych mundurach to armia Kościoła.

- To wyjaśnia kilka spraw, których nie pojmowałem - uznał pan Veltan. - Żołnierze zbudowali ogrodzone obozy i zamknęli w nich wszystkich pojmany, a ci w czarnych sukniach chodzą do obozów i wygłaszają mowy do mojego ludu.

- Skąd ja to znam... - westchnął Padan. - Niech zgadnę. Duchowni opowiadają ludziom bajdy o Amarze. O tym, jaki jest piękny i że kto nie padnie na twarz za każdym razem, gdy usłyszy jego imię, nie pójdzie po śmierci do raju. Mam rację?

- Rozumiem, że to się już gdzieś zdarzyło.

- Zdarzyło? To się dzieje cały czas.

- O ile pamiętam - zabrał głos Narasan - wspominałem o korupcji w Kościele amarickim wtedy, gdy namawiałeś mnie do powrotu do armii. Kościół uczynił z oszustwa i łapówkarstwa prawdziwą sztukę, duchowni są w tych dziedzinach mistrzami. Chciwość jest ich drugą naturą. Sama myśl o stracie choćby jednego grosza pogrąża ich w głębokiej żalobie.

- Przepraszam, komandorze - odezwał się Keselo - ale to chyba zastanawiające, że kościelna flota znalazła drogę przez lodową barierę wkrótce po tym, jak Jalkan, były duchowny, uciekł skradzionym statkiem pana Veltana.

- Bardzo.

- Powinien był go pan ukatrupić na miejscu, komandorze - stwierdził Skell. - Torl wpadł na niezły pomysł zaraz po tym, jak kazałeś zakuć Jalkana w kajdany. Pół żartem, ale i pół serio ustaliliśmy, że chętnie byśmy urządzili zawody, kto lepiej skopie mu tyłek. Na koniec doszliśmy jednak do wniosku, że taka konkurencja byłaby na dłuższą metę nużąca, więc uradziliśmy, że posunęlibyśmy się o krok dalej i wyprawili mu przyzwoity pogrzeb. Bez względu na to, czy byłby już martwy, czy nie.

- Interesująca koncepcja - zgodził się Narasan. - Rzeczywiście, wszystko wskazuje na to, że popełniłem błąd. - Przeniósł wzrok na pana Veltana. - Ściągnęli też statki do transportu niewolników?

- Niewolnicy... Brat mi o nich wspominał. Z początku myślałem, że żartuje.

- Niestety, niewolnictwo jest faktem. I w zasadzie tradycją w podobnych sytuacjach. Żołnierze zamykają tubylców w obozach, księża wbijają im do głów, że trogicki bóg ukarze ich w razie nieposłuszeństwa, a następnie przeprowadzają pojmanych na statki dla niewolników, wiozą do imperium i sprzedają różnym Trogitom, zbyt leniwym, żeby własnymi rękami wykonać, co do nich należy. Dzieje się tak od wieków.

- Tym razem tak się nie stanie - oznajmił Sorgan z mocą. - Tak się składa, że stoję na czele floty. Popłynę do zatoki, gdzie zakotwiczyli duchowni, i zaprowadzę tam porządek. Przybyli tu na statkach, ale wracać będą pieszo.

- Tak? A co zamierzasz zrobić? - spytał Narasan.

- Podpalę im flotę - stwierdził Sorgan z okrutnym uśmiechem. - Spalę każdy statek kościelnej armady i zatopię wszystkie statki do transportu niewolników. - Zerknął na pana Veltana nieco podejrzliwie. - Ty wiedziałeś, panie, na co się zanosz, prawda? Nie przypadkiem doprowadziłeś do tego, że masz właściwych ludzi w odpowiednim czasie w najlepszym możliwym miejscu.

- Cóż... - Veltanowi jakby nagle zabrakło słów.

- Tak właśnie przypuszczałem. Narasanie, przykro mi, ale tym razem nie pomogę ci w walce tu, na górze, bo muszę stoczyć inną wojnę, na wybrzeżu. Dopilnuję, żeby drugi wróg nie stanął ci za plecami.

- Straszna szkoda - odparł Narasan kpiąco. - Podejrzewam, że jakoś sobie poradzę bez ciebie, ale będę tęsknił.

Obaj się roześmieli.

Skell nie był bardzo rozczarowany zmianą planów. Wolał niszczyć kościelną flotę, niż walczyć z potworami z Pustkowia. Nie miał nic przeciwko temu, by z kuzynem Sorgenem wrócić na brzeg, wsiąść na „Rekina” i pożeglować na południowe krańce ziemi pana Veltana, stoczyć walkę na morzu. Owszem, potrafił się bić na lądzie, jeśli to było konieczne, ale stanowczo wolał potyczki na wodzie. A perspektywa spalenia całej trogickiej floty była jego sercu wyjątkowo miła.

W pewnej chwili znów odniósł nieodparte wrażenie, że ktoś go obserwuje. Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach.

Południowe Wybrzeże

Torl Jodanson z Kormo z niejaką ulgą przyjął wiadomość, że Sorgen zgłosił ich na ochotnika do walki na morzu. Góry były piękne, lecz wojna między skałami, gdzie nieprzyjaciel może się chować za każdym drzewem, to zupełnie inna sprawa. Pirat wolał otwarte przestrzenie, gdzie widać każdy ruch wroga. Poza tym miał pewność, że „Psota” byłaby naburmuszona, gdyby ją ominęła taka zabawa.

Niektóre statki są właśnie takie.

Po kolacji rozwiesili sieci, a wtedy Skell poruszył sprawę, która uszła uwagi Sorgana.

- Przewiduję problemy - zaczął.

- Tak?

- Parów ze strumieniem, który prowadzi od rzeki w górę, jest niezbyt szeroki i akurat teraz roi się tam od żołnierzy Narasana. Oni idą w górę, a my chcemy iść w dół. Pewnie dalibyśmy radę ich odepchnąć, ale to by zirytowało twojego przyjaciela, komandora Narasana.

- No tak... - Sorgen zmarszczył brwi. - Sytuacja rzeczywiście jest kłopotliwa.

- Pogadam z pasterzem - zaproponował Torl. - Zna teren jak własną kieszeń, więc jeśli jest jakaś inna droga do rzeki, powinien o niej wiedzieć.

- To ma sens - poparł brata Skell.

- Pogadaj z nim - zgodził się Sorgen. - Czeką nas robota, nie ma sensu siedzieć z założonymi rękami.

- Wiesz, drogi kuzynie - odezwał się Torl - szczerze mówiąc, nie pamiętam, kiedy ostatnio siedziałem z założonymi rękami.

- Idźże już - odprawił go Sorgen znużonym tonem.

*

Nanton przeprowadził swoje stado na południowy koniec trawiastej równiny.

Prawdopodobnie doszedł do wniosku, że bezpieczniejsze będą z dala od żołnierzy, którzy na północnym krańcu mieli budować umocnienia.

Torl znalazł go przy niewielkim ognisku.

- Nie czujesz się czasem samotny? - zapytał. - Nawet nie masz do kogo gęby otworzyć.

- Zawsze mogę pogadać z owcami. Odpowiadają niezbyt często, ale słuchają uważnie. Z czym do mnie przyszedłeś?

- No cóż... - Torl usiadł przy ogniu. - Parów ze strumieniem jest dość wygodną drogą, ale teraz pełno w nim trogickich żołnierzy, a Sorgan zdecydował, że Maagsowie wracają do statków na rzece. I to szybko.

- Wodospadem znaleźlibyście się na dole w mgnieniu oka - rzekł pasterz bez uśmiechu. - Ale może to nie najlepszy pomysł. - Lekko zmarszczył brwi. - Jest jeszcze drugi strumień, mniej więcej kilometr na północ od tego, którym szliśmy. Do góry ciężko byłoby się tamtędy wdrapać, lecz na dół... Pod warunkiem że ma się linę... Skalna ściana nie jest pionowa, ale dosyć stroma. Jeśli spuszczenie się na linach wam nie przeszkadza, możecie iść tamtędy.

- Jesteśmy marynarzami. Pół życia spędzamy na linach. Ile czasu zajmie nam dotarcie do rzeki?

- Pół dnia, nie więcej. W dół zawsze jest szybciej.

- No tak, oczywiście! - wykrzyknął Torl kpiąco. - Nie rozumiem, dlaczego sam na to nie wpadłem.

Pasterz się roześmiał i obu zrobiło się cieplej na sercu. Zwłaszcza Torl był zadowolony. Lubił wprawiać ludzi w dobry humor.

Był w połowie drogi do obozu Maagsów, gdy uświadomił sobie, że dotarcie do rzeki nie rozwiąże wszystkich problemów, jakie ich czekały, toteż poszedł prosto do komandora Narasana.

Trogicki obóz stanowił wzór porządku i zorganizowania, zwłaszcza w porównaniu z namiotami rozstawianymi przez piratów gdzie popadnie, bez żadnego ładu i składu. Mieszkańcy imperium wyraźnie mieli obsesję na punkcie prostych linii. Torl musiał kilku żołnierzy spytać o drogę, wreszcie znalazł namiot dowódcy.

- Komandorze - przywitał Narasana. - Mamy drobny kłopot.

- Co cię martwi, kapitanie?

- Bez obrazy, komandorze, ale wasze statki zablokowały drogę naszej flocie. Nie podpłyną po nas do brzegu, nie znajdą na to miejsca. Jeżeli mamy odeprzeć inwazję

duchownych, musimy gnać na południe na złamanie karku. Czy możesz jakoś rozkazać kapitanom, żeby nas przepuścili szybko i sprawnie?

- Ja nie dam rady tego zrobić, ale ty będziesz mógł.

- Podniesiesz mnie do rangi generała swojej armii, komandorze? - spytał Torl. - Pochlebia mi to, oczywiście, ale twoi dowódcy mogą nabrać podejrzeń...

- Świetny dowcip. Nie, nie mianuję cię generałem. Po prostu napiszę rozkazy i oddam tobie. A ty pokażesz papier wszystkim zainteresowanym.

- Doskonała myśl! - zawołał Torl. - Że też sam na to nie wpadłem!

- Bywasz czasem poważny, kapitanie? Czy zawsze się ciebie żarty trzymają? Niekiedy przypominasz mi Rudobrodego.

- Śmiech to zdrowie, komandorze. Dlatego staram się rozśmieszać przyjaciół.

- Przydałoby się, żebyś czasem rozśmieszył Sorgana. A już twój brat...! Chyba w ogóle nie wie, co to śmiech.

- Wie, komandorze, tylko nie lubi wesołości. Tatuś kazał mu zachowywać powagę, a on jest posłusznym synem. Mógłbym go rozśmieszyć, ale w tym celu musiałbym mu zdjąć przynajmniej jeden but.

- Nie rozumiem. Po co?

- Trudno łaskotać przez podeszwy, komandorze.

*

Sorgana Torl zastał na rozmowie z panem Veltanem.

- Przydałoby mi się zajrzeć do pokoju odpraw w twoim domu, panie - mówił Sorgan. - Nie przyglądałem się uważnie południowym krańcom Dhrallu, skoro walki miały się rozegrać na północy twojej krainy. Wręcz nie przewidywaliśmy tam już żadnych kłopotów, skoro ludzie-węże mają nadciągnąć z północy. Czy zostawiłeś klucz u któregoś z sąsiadów?

- My tutaj, na Dhrallu, nie znamy zamków ani klódek.

- Jak w takim razie strzeżecie się przed kradzieżą? Pan Veltan uśmiechnął się, ale nie odpowiedział.

- Mhm... - Sorgan wydawał się odrobinę zbity z pantałyku. - Pewnie na Dhrallu nie ma złodziei?

- Rzeczywiście, kapitanie. Złodziejstwo jest domeną Ylagha i jego pomiotu. Pokój odpraw z pewnością będzie tam, gdzie go zostawiłem. Możesz się tam czuć zupełnie swobodnie.

Maagsowie z floty Sorgana mieli ze sobą sznurowe drabinki, które na co dzień były nieodzowne na statkach, a dowiodły swojej przydatności także podczas walk w kanionie nad

Lattash. Ułatwiły im drogę do Wodospadu Vasha, a teraz okazały się niezastąpione podczas schodzenia do rzeki. Nanton dobrze opisał drogę, dostali się na dół bez kłopotów. Wystarczyło niecałe pół dnia, by pokonali parów o nieomal pionowych ścianach.

Tymczasem na brzegu rzeki zaczęły się kłopoty.

Najpierw odszukali przyjaciela Padana, brygadiera Danala; Sorgan zażądał od niego, by wydał rozkaz przemieszczenia statków.

- Stanowczo odmawiam - stwierdził brygadier, mężczyzna chudy i długowłosa.

- Kuzynie, może ja się tym zajmę? - zaproponował Torl.

- Myślisz, że ciebie posłucha? - zdziwił się Sorgan.

- Przemówię do niego za pomocą właściwych argumentów - powiedział Torl, podając upartemu Trogicie list od komandora Narasana.

Danal przeczytał rozkaz dwukrotnie.

- Jaką godzinę nam to zajmie - oznajmił wreszcie. - Może być?

- Może być - zgodził się wielkodusznie Torl. - Większość naszych jeszcze pokonuje wąwóz, więc godzinka będzie w sam raz. Potem my się tu trochę pokręcimy, zanim wsiądziemy na statki i wymanewrujemy w stronę ujścia rzeki, ale do jutra rana nie będzie po nas śladu.

- Doskonale, kapitanie - stwierdził Danal. Zawahał się. - Czy to pewne, że napastnikami są Trogici?

- Mam informacje z wiarygodnego źródła. Najwyraźniej Dhrallem zainteresował się trogicki Kościół.

- Kościół?! - wykrzyknął brygadier.

- Taką dostaliśmy wiadomość.

- Potrzebna wam pomoc?

Torl pokazał w szerokim uśmiechu wszystkie zęby.

- Poradzimy sobie, przyjacielu - odparł. - Rozumiem, że nie przepadasz za duchowieństwem?

- „Nie przepadam” to mało powiedziane. Nienawidzę amarickiego kleru!

- W takim razie wtłuczemy im w twoim imieniu. Aż im kapcie pospadają.

- Chętnie potraktowałbym ich nieco surowiej.

- I tak właśnie będzie, drogi Danalu. „Wtłuczemy” to było łagodnie ujęte. Damy tym łotrom do wiwatu.

- To dobrze. Idę odsunąć wam statki z drogi. - Brygadier odwrócił się i poszedł na brzeg rzeki.

- Coś ty mu za papier pokazał? - zapytał Sorgan.

- Rozkaz komandora Narasana. Czyżbym ci nie wspomniał, że mam asa w rękawie?
Oj, powinienem zwracać więcej uwagi na szczegóły. Jakoś mi to uciekło z pamięci.

*

Torl obserwował swojego pierwszego oficera, Żelazną Pięść, szykującego się do strzału z łuku.

- Trzeba mocniej naciągnąć cięciwę - zauważył. - Będziemy dobre sto kroków od trogickich statków, a płonące strzały mają spadać na pokład, nie do wody. Woda niezbyt dobrze się pali.

- Skąd ci się wziął ten pomysł ze strzałami, kapitanie? - spytał Żelazna Pięść.

- Widziałeś, jak Długa Strzała szyje do ludzi-węży?

- Nie. Kiedy wszyscy poszli do wąwozu, ja na szczęście zostałem tutaj, kapitanie.

- Nie nazwałbym szczęściem złamania nogi...

- Tak czy inaczej nie dotarłem nawet na plażę, a na pokładzie nie spotkałem ani jednego człowieka-węża. Czy ten łucznik faktycznie jest taki dobry, jak mówią?

- Chyba jest najlepszym strzelcem na świecie. Ale wracajmy do tematu. Przypuszczam, że Sorgan i Skell będą usiłovali rzucać pochodnie na trogickie statki, lecz ja, pamiętając o wyczynach Długiej Strzały, doszedłem do wniosku, że płonące pociski będą znacznie skuteczniejsze. Dolecą pięć, może nawet sześć razy dalej niż rzucona pochodnia. Dziesięciu ludzi z łukami zasypałoby statki ognistymi pociskami w mgnieniu oka. To by nam znacznie uprościło robotę. Jeśli jeszcze chwilę ze swoimi ludźmi poćwiczysz, przepłyniemy sobie spokojnie obok tych trogickich barek i na każdej zostawimy tyle strzał, że będzie wyglądała jak ognisko.

Żelazna Pięść uśmiechnął się szeroko.

- Trogici na brzegu będą wściekli!

- I o to chodzi. Zagramy im na nosie, a to równie przyjemne jak wygrana w kości!

Żelazna Pięść zerknął w kierunku pobliskiego smukłego statku.

- Wspomniałeś chyba, kapitanie, że twój kuzyn chce zejść na ląd, gdy znajdziemy się w pobliżu domu pana Veltana...

- Owszem, a co?

- Pokręciłbym się trochę po okolicy i popytał, czy ktoś by nie miał ochoty na jakiś mały zakładzik...

- Na przykład taki, że nikt nie podpali więcej trogickich statków niż my?

- Na przykład, kapitanie.

- A jak stoisz finansowo?
- Ciężar mojej sakiewki nie przygina mnie do ziemi.
- Gdyby ci zabrakło funduszy, zwróć się do mnie, śmiało.
- I pół na pół?
- Sprawiedliwie.
- No to czas poćwiczyć strzelanie z łuku, podszkolić trochę ludzi, żeby nie chybiali.

Zwłaszcza że rzecz idzie o pieniądze.

Torl potarł brodę.

- Pogadam z bratem i kuzynem. Może też zechcą się założyć?
- O ile mają pieniądze do stracenia, bo w przeciwnym razie nie będą uszczęśliwieni, kiedy podpalimy wszystkie trogickie statki przy południowym wybrzeżu Dhrallu.
- Ich pieniądze, ich ryzyko. - Torl uśmiechnął się szeroko.

Do plaży w pobliżu zamku Veltana dotarli mniej więcej w południe następnego dnia. Sorgan zabrał ze sobą Torla i Skella, razem przyjrzeni się trójwymiarowej mapie. Na południu Dhrallu wrastało w morze kilka półwyspów, tworząc gościnne zatoczki.

- Tak właśnie sądziłem - mruknął Sorgan. - Najprościej będzie zablokować ujście każdej zatoki, a potem kolejno podpalać trogickie statki. I tak zatoka po zatoce. Musimy zadbać, żeby się żaden nie wy mknął, bo jeśli się któremuś uda, może sprowadzić posiłki. A prze cież głównie chodzi o to, żeby Trogici nie mieli jak się wydostać z Dhrallu.

Skell wychylił się przez poręcz balkonu nad mapą, przyglądając z uwagą południowemu wybrzeżu.

- Nie widzę ani jednego miasta - stwierdził. - Mnóstwo wiosek, ale nic większego. Jeśli trogiccy duchowni usiłują wyłapać miejscowych, żeby z nich zrobić niewolników, to przy każdej osadzie cumują pewnie ze trzy, najwyżej cztery statki. Dzięki temu powinno być nam łatwiej. Nie będziemy walczyć z całą flotą, wystarczy podpalać poszczególne jednostki, obok których będziemy przepływać. Jeden dłuższy wypad i mamy z głowy całą armadę.

- Nie mam nic przeciwko temu - ocenił Sorgan. - Potem rozproszymy się po morzu i przypilnujemy, żeby żaden trogicki statek nie dotarł do tego wybrzeża. Wtedy tym, które w zatokach nie pójda z dymem do końca, i tak nikt ani nic nie pomoże. Nie przypuszczam też, by Trogici odważyli się ruszyć w góry, pozbawieni możliwości odwrotu. Tak więc zostaną spaleni, a potem zamknięci w pułapce. W ten sposób skończymy z trogicką inwazją.

- Niegłupio gadasz - zgodził się Skell.

Torl miał pewne wątpliwości, ale zatrzymał je dla siebie.

*

- Moim zdaniem smoła będzie lepsza, kapitanie - powiedział Wystające Zęby, drugi oficer na „Rekinie”. - Płonąca przylepia się do wszystkiego i podpała znacznie lepiej niż szmaty nasączone naftą.

- On chyba ma rację, kapitanie - poparł go Żelazna Pięść. - Poza tym łatwo przygotować kocioł z gorącą smołą na pokładzie. Będziemy jeszcze szybciej strzelać do trogickich statków.

- Na pewno warto spróbować - zgodził się Torl. - W grę wchodzi niemałe pieniądze, więc nie należy marnować żadnej szansy.

- Pomysłów nam nie brakuje, kapitanie.

- Aha. To pewnie już wymyśliłeś, jak ukryć szykowanie smoły przed załogami innych statków? Jeśli się zorientują za szybko, też zaczną strzelać z luków, też będą używali strzał z płonącej smołą i nasza wygrana w zakładach wcale nie będzie taka pewna.

- Trenujemy strzelanie pod pokładem, kapitanie - stwierdził Żelazna Pięść. - Ciemnowo tam, ale nad każdym celem powiesiliśmy latarnię, żeby łucznicy widzieli, jak im idzie. No, strzelają trochę bliżej, niż powinni, trudno. Lepsze to niż nic. Zresztą trogickie statki małe nie są, więc trudno będzie chybić.

- Chyba powinniśmy się starać podpłynąć jak najbliżej. Bo będziemy mieli nietęgę miny, jeśli pierwsza chmura naszych płonących strzał wyląduje w wodzie.

- I jeszcze przegramy ostatnią koszulę - dodał Wystające Zęby. - Najbliżsi kumple puszczą nas w skarpetkach.

- Wiesz, stary, czasami milczenie jest złotem - rzucił Torl.

- Wszystko wskazuje na to, że nie będę dobrze spał, póki nie puścimy z dymem całej trogickiej floty.

- Pan się nie martwi, panie kapitanie - powiedział Żelazna Pięść. - Postaramy się, żeby wszystko poszło dobrze. To nie może się nie udać. Szczególnie że postawiliśmy wszystko, do ostatniego grosza. I... załoga też, więc gdyby coś - odstukać - poszło nie tak jak trzeba, pewnie wywalą nas za burtę.

- Dziękuję za jasne przedstawienie sytuacji - rzekł Torl głosem bez wyrazu.

*

Flota Sorgana zbliżała się do południowego krańca półwyspu wysuniętego najbardziej na wschód, gdy zniecka marynarze ujrzeli płynącą prosto na nich potężną trogicką armadę.

Piraci zamarli. Na szczęście wkrótce podpłynęła do „Mewy” szalupa i zaraz potem rozeszła się uspokajająca wieść: nie była to flotylla Kościoła, lecz pozostałe jednostki wynajęte przez armię Narasana. Gunda zamienił kilka słów ze swoim kuzynem Sorganem, a

potem wrócił na statek. Miał prowadzić flotę ku rzece. Sorgan szybko rozesłał rozkazy, by wszyscy ustępowali Trogitom z drogi. Gdy statki wynajęte przez Gundę zostawiły piratów za rufą, „Mewa” podniosła żagiel i morscy rozbójnicy ruszyli na łów.

Wreszcie dotarli do południowego krańca wschodniego półwyspu. Sorgan dał sygnał „stop”. Już w wąwozie nad Lattash nauczyli się używać nieocenionego języka flagowego, choć Sorgan korzystał z mocno uproszczonej wersji trogickiej. Jego znaki flagowe obejmowały tylko cztery komendy: „stop”, „cała naprzód”, „nogi za pas” i „pogadajmy”. Jak dotąd tyle wystarczało.

Torl podpłynął do „Mewy” dowiedzieć się, czy plany uległy zmianie.

- Wszyscy gotowi? - zapytał Sorgan, gdy we trzech z Torlem i Skellem znaleźli się w jego kajucie na rufie „Mewy”.

- Gotowi - potwierdził Skell. - Bierzmy się do roboty.

- Nie tak prędko. Na razie przyczaimy się tutaj, poza zasięgiem wzroku nieprzyjaciela i zaczekamy do jutrzejszego ranka. Wioślarze potrzebują odpoczynku. Od momentu, gdy ruszymy do działania, będziemy musieli płynąć najszybciej, jak się da.

- A ja mam wrażenie, że nie będziemy się specjalnie śpieszyć - zaproponował Skell. - Trzeba będzie zwolnić przy każdym statku, zarzucić go pochodniami, zyskać pewność, że się solidnie zajął ogniem... A jeśli się trafi jakiś przytomny Trogita, który zacznie wyrzucać pochodnie za burtę, bardzo nam utrudni działania.

- On ma rację, Sorganie - poparł brata Torl. - Jeżeli mamy osiągać cel, powinniśmy spalić wszystkie trogickie statki w ciągu jednego dnia.

- Nie bardzo wiem, jak tego dokonamy - przyznał Skell. - Za każdym razem chwilę potrwa, zanim statek porządnie się rozpali. Przecież nie chodzi nam o to, żeby sfajczyć same żagle. Nie wystarczy przepłynąć obok i wrzasnąć: „ognia!”.

Torl zaklął szpetnie pod nosem. Oto właśnie zgasła ostatnia nadzieja na zabicie fortuny dzięki zakładom.

- Sorganie - odezwał się po chwili - jeżeli pošlesz na statki wiadomość, że wszystkie zakłady są odwołane, to ci powiem, jak rozwiązać nasz problem. Jak spalić wszystkie trogickie statki w ciągu jednego dnia.

- Podejrzewałem, że masz asa w rękawie. Mów.

- Najpierw dasz mi słowo, że wszystkie zakłady zostaną odwołane. Bo jeśli moja załoga przegra ostatni grosz, wyrzuci mnie za burtę, jak tylko stracimy ląd z oczu.

- Niech będzie. Daję słowo, że roześlę wiadomość o anulowaniu wszystkich zakładów. A teraz mów. Co jest potrzebne, żeby spalić wszystkie trogickie statki w ciągu

jednego dnia?

- Łuki, strzały i smoła - odpowiedział Torl ponurym głosem.

- Smoła? - powtórzył Skell. - A co ma smoła do ognia?

- Jeśli włożysz do niej pochodnię, to płonie, kochany braciszku. A jeśli w burcie utkwą dwadzieścia czy trzydzieści płonących strzał, żaglowiec spłonie na pewno. Nawet w deszczowy dzień.

- Nie wiem, czy mam na „Rekinie” dość ludzi obeznanych ze strzelaniem z łuku - zastanowił się Skell.

- Możesz rzucać pochodniami. Jak wolisz. A teraz pozwólcie, panowie, że pójde się przygotować do palenia trogickich statków. Dla czystej rozrywki, bo cały interes szlag trafił.

*

Torl mimo wszystko miał pewną satysfakcję z podpalania trogickich statków zakotwiczonych wzdłuż wybrzeża, w pobliżu osad na południu krainy pana Veltana. Po pierwsze, Trogici zawsze wydawali mu się grubiańscy, a to go obrażało. Po drugie, załoga „Rekina” poświęciła sporo czasu na przygotowanie się do misji, więc choć żaden z marynarzy nie mógł nawet marzyć o równaniu się z Długą Strzałą, nieźle im szło szpikowanie płonącymi strzałami trogickich barek. Efekty zadziwiły nawet Torla. Każdy statek potraktowany kilkoma tuzinami płonących strzał nieodmiennie zajmował się ogniem, tworząc prawdziwe pływające ognisko. Załoga w panice uciekała z pokładu. Wszystko to było bardzo piękne i miłe dla oka, niestety nie przynosiło żadnego zysku, więc Torl czuł się odrobinę oszukany. Wezwał pierwszego oficera.

- Myślę, że możemy przyspieszyć. Mało która strzała ląduje w wodzie, więc ludzie najwyraźniej nabrali wprawy. O wygraniu za kładów już nie ma mowy, ale tak czy inaczej chętnie bym przytarł nosa Sorganowi, pokazał mu, że jesteśmy najlepszymi podpalaczami statków na świecie.

- Taaa jest, panie kapitanie! - krzyknął Żelazna Pięść. „Rekin” skoczył do przodu, wyprzedził inne statki z floty Sorganu. Załogi pozostałych jednostek nie dawały sobie rady ze strzelaniem tak samo dobrze, więc sporo płonących strzał wpadało do wody, trzeba było płynąć wolniej. Toteż „Rekin” coraz bardziej odbijał od armady, a Torl mógłby przysiąc, że słyszy, jak Sorgan zgrzyta zębami, patrząc na wyczyny jego statku, który lekko tańczył na falach, podpalając kolejne trogickie jednostki w zatoce.

Zatoczywszy pełne koło, Torl znalazł się ponownie u wyjścia z zatoki. Rozkazał odłożyć wiosła i rzucić kotwicę.

Wkrótce zbliżyła się „Mewa”.

- Co ty wyprawiasz?! - krzyknął Sorgan. - Przecież to pierwsza zatoka, nie ostatnia. Dlaczego zakotwiczyłeś?

- Nie chcę pozbawiać całej przyjemności ciebie i innych kapitanów. Pokazaliśmy wam, jak to się powinno robić. Na dzisiaj nam wystarczy. Reszta trogickich statków należy do was.

- Wolne żarty. A co planujesz na resztę dnia?

- Mam zamiar sprawdzić, czy tu ryby biorą. - Torl odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę swojej kabiny. - Miłego dnia! - zawołał przez ramię. - A jak skończysz, zajrzyj do mnie, powiem ci, jaka przynęta jest tu najlepsza.

Sorgan wzbogacił swój słownik o kilka nowych soczystych przekleństw.

*

Torl miał nieodparte przeczucie, że coś jest nie w porządku, ale nie potrafił określić, co go niepokoi. Krążył po pokładzie, często zerkając na plażę.

- Mnie wygląda na to, panie kapitanie - odezwał się Żelazna Pięść - żeśmy tych wszystkich Trogitów solidnie wystraszyli. Widziałem na brzegu ze trzech, a może czterech... A przecież to miała być wielka armia!

Torl zamrugał, olśniony odkrywczą myślą. Właśnie!

Na brzegu powinien kłębić się tłum Trogitów z przerażeniem obserwujących zagładę floty.

- Zejdę na ląd, sprawdzę, co się tam dzieje - oznajmił ponuro.

- Samego pana nie puścimy, panie kapitanie - stwierdził Żelazna Pięść stanowczo. - Ani ja, ani załoga nie będziemy ryzykować, że nam się pan gdzieś zawieruszy. Trudno o lepszego kapitana, co nie dość, że niegłupi, to jeszcze nie zadziera nosa. Dobry kapitan to prawdziwy skarb.

- Jestem wzruszony - powiedział Torl. - Naprawdę.

- Ja tam tylko mówię, jak jest - odparł Żelazna Pięść gderliwym tonem.

- W takim razie wezmę dziesięciu ochotników - zdecydował Torl. - Tak będzie dobrze?

- Jeśli pan pozwoli, ja ich wybiorę, kapitanie.

*

Torl z dziesięcioma ludźmi wylądował na pustej plaży. Z zachowaniem ostrożności ruszyli do najbliższej osady. Tam także nie zastali Trogitów, natomiast mieszkańcy przywitali ich z nieskrywaną radością.

- Czym was ugościć? - pytał pulchny tubylec o rozpromienionej twarzy. - Co was

ucieszy?

- Kilka odpowiedzi - rzekł Torl. - Co się stało z Trogitami? Słyszeliśmy, że jest ich tutaj ładnych parę tysięcy, a spotkaliśmy tylko niekompletne załogi na statkach.

- Uciekli. Wszyscy. Całkiem niedawno - odparł wieśniak. - Nie będziemy za nimi tęsknili. To nie byli mili ludzie. Wymachiwali bronią i zagonili nas do zagrody, w której ja nie trzymałbym nawet świń! Potem strasznie podnieceni zaczęli wykrzykiwać coś bez sensu i pobiegli na północ.

- Dziwne.

- Jeśli wrócą, nie będą zachwyceni waszymi czynami. Dlaczego spaliliście ich statki?

- Pan Veltan nie chciał, żeby zabrali was do swojego kraju jako niewolników - wyjaśnił Torl. - Czy usłyszałeś może, dokąd i po co biegli?

- Niewiele zrozumiałem. Ostatnio w ogóle trudno cokolwiek pojąć, dzieje się tyle dziwnych rzeczy... Wyglądało na to, że na północy jest coś dla nich bardzo ważnego.

- O ile wiem, aż do granicy z Pustkowiec ciągną się ziemie uprawne - mruknął Torl. - Jedno od drugiego oddzielają góry... Czy słyszałeś może, by któryś z Trogitów mówił coś o złocie?

Wieśniak poblądł, a potem zaczął z siebie wyrzucać wartki potok słów, jakby cytował historię wyuczoną na pamięć.

- Dawno, dawno temu jeden z farmerów porzucił uprawę roli i wybrał się w góry, daleko na północ, szukać przygód. Dotarł do stóp potężnego wodospadu, a tam natrafił na stromy szlak prowadzący na szczyt urwiska. W drodze napotkał cud nad cudami, o urodzie zapierającej dech w piersiach. Znalazł rozległą równinę, na której próżno by szukać drzew, krzewów czy choćby zwykłej trawy. Cała pokryta była piaskiem, ale nie zwykłym, białym, jakim Matka Woda dotyka Ojca Łądu, lecz żółtym, połyskliwym, błyszczącym w promieniach słońca. Wtedy wszyscy mieszkańcy Dhrallu dowiedzieli się, że piaski Pustkowiec to czyste złoto, a ciągną się jak okiem sięgnąć, aż po horyzont. Zobaczywszy to, rolnik żądny przygód wrócił do domu i nigdy już nie wypuścił się na poszukiwanie cudów świata, gdyż wiedział, co leży za górami i jego ciekawość została zaspokojona. - Wieśniak umilkł. - Nie do końca wiem, o czym mówisz, cudzoziemcze - przyznał zniechęcony.

- To nie ma większego znaczenia - odpowiedział Torl, pozornie niezainteresowany tematem. - Dziękuję, że poświęciłeś mi tyle czasu. Rzeczywiście trudno powiedzieć, co tak uskrzydliło Trogitów, ale to pewnie nic ważnego. Dość, że odeszli i teraz macie spokój.

- Dla nas to najważniejsze - zgodził się tubylec.

Dziwne. Wydawało się, jakby wieśniak w ogóle nie zdawał sobie sprawy, że przed

chwilą opowiedział historię o odkryciu nieprzebranych skarbów. Jakby jego ustami przemawiał ktoś inny. Swoją drogą ciekawe, co spowodowało tę odmianę.

- Pewnie coś takiego powiedziałem... - zastanowił się Torl. - Ale nie wiem co. Spytałem go o złoto... Ależ oczywiście! To było słowo „złoto”!

Niedaleko stał inny tubylec.

Torl podszedł do niego i zaczął bez zbędnych wstępów.

- Wiesz coś na temat złota?

Wieśniak poblądł na twarzy.

- Dawno, dawno temu jeden z farmerów porzucił uprawę roli..

- zaczął.

Torl zostawił go samemu sobie. Wieśniak, niezrażony, opowiadał dalej.

Pirat odszukał następnego.

- Złoto - rzucił krótko.

- Dawno, dawno temu...

Torl zachichotał. Mógł wracać na statek. Miał fart. Przypadkiem odkrył przyczynę zniknięcia Trogitów.

- Ciekaw jestem... - mruknął pod nosem. Podniósł wzrok. Jakiś kilometr dalej dostrzegł następną osadę. - Nie zaszkodzi spróbować - ocenił.

*

Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy Torl i jego ludzie wrócili na „Rekina”.

- I jak, panie kapitanie - zagadnął Żelazna Pięść - dowiedzieliście się, dokąd wymiotło Trogitów?

- Ruszyli na północ. I nawet wiem dlaczego. Nie zaszkodzi zajrzeć jeszcze do jednej czy drugiej osady, ale konieczne to nie jest. Ktoś, trudno powiedzieć kto, wywarł jakiś dziwny wpływ na mieszkańców wiosek. Odwiedziłem ich dzisiaj pięć i wszędzie było to samo. Wystarczyło wypowiedzieć słowo „złoto”, a mieszkańcy zaczęli opowiadać pewną historię, używając dokładnie tych samych słów. Usłyszałem tę opowieść tyle razy, że pewnie sam umiałbym ją wyrecytować z pamięci bez jednej pomyłki.

- Kapitanie, trudno uwierzyć w te dziwy.

- Wcale ci się nie dziwię. Sam ledwo wierzę, a przecież słyszałem na własne uszy. Tak czy inaczej ten, kto wpłynął na tubylców, jest chyba po naszej stronie... chociaż głowy bym za to nie dał. Taką w każdym razie trzeba mieć nadzieję, ponieważ osobę, która potrafi zdziałać podobne cuda, z pewnością stać na dużo więcej. Stanowczo nie należy komuś takiemu wchodzić w paradę. - Torl umilkł na chwilę, po czym roześmiał się głośno. - No,

Sorgan zyska temat do przemyśleń! A pan Veltan też chyba nie będzie zachwycony. Robi się interesująco...

*

Następnego dnia „Mewa” wróciła do pierwszej zatoki, a wówczas Torl podzielił się z kuzynem swoimi rewelacjami.

- Zmyślasz - stwierdził Sorgan.

- Jak mi nie wierzysz, to sprawdź. Wystarczy, że podejdziesz do jakiegoś tubylca i wymówisz słowo „złoto”. Natychmiast usłyszysz tę samą historię. A na koniec biedny wieśniak nie będzie w ogóle pamiętał, że się odezwał.

- To niemożliwe!

- Przekonaj się.

- W życiu nie słyszałem podobnych bzdur.

- Przekonaj się.

- Przestań wreszcie błaznować.

- Przekonaj się.

- Dobrze, sprawdzę. Ale jeśli łżesz jak pies, stłukę cię na kwaśne jabłko.

- Nie mam się czego obawiać. Wiem, co usłyszysz zawsze, gdy wypowiesz słowo „złoto”, bo sam robiłem to kilkadziesiąt razy.

Sorgan prychnął i wyszedł z kajuty Torla, trzaskając drzwiami. Wrócił kilka godzin później. Niebotycznie zdumiony.

- W życiu się z czymś takim nie spotkałem - przyznał.

- Mówiłem ci.

- Nie jestem tym szczególnie zachwycony - przyznał Sorgan. - Trogici odmaszerowali na północ i wcale nie dbają o to, co się stało z ich statkami. Co oznacza, że w jakimś sensie ponieśliśmy porażkę. Byliśmy przekonani, że spowodujemy upadek ich morale, ale czegoś takiego nie przewidzieliśmy. Teraz nawet nie mamy szans ich dogonić. Za bardzo nas wyprzedzili.

- Trudno się z tobą sprzeczać. Co planujesz?

- My - skorygował go Sorgan. - Co my planujemy. Ktoś musi wrócić nad wodospad i opowiedzieć o wszystkim Narasanowi i panu Veltanowi. Trzeba im donieść o naszej porażce. Spalenie całej floty nie zrobiło na najeźdźcach żadnego wrażenia, ponieważ ich tu nie by ło. Potem powiesz panu Veltanowi, że ktoś wywarł dziwaczny wpływ na wieśniaków. Mógł to zrobić nawet on sam, kto wie...? - zastanowił się Orli Nos. - Ale nie, to by chyba nie miało sensu.

- Raczej nie - zgodził się Torl. - Rozwiń wszystkie żagle. Czy nam się to podoba, czy też nie, będziemy mieli do czynienia z dwoma inwazjami, a nie możemy zrobić nic, by powstrzymać tę, która nieubłaganie zbliża się do Narasana od południa.

- Zniosę wieści jak wicher - obiecał Torl.

- Im szybciej, tym lepiej.

*

„Wiatry sprzyjały „Rekinowi” w czasie rejsu na wschód wzdłuż wybrzeży Dhrallu. Torl nie mógł się pozbyć przeświadczenia, że szczęście ma z tym niewiele wspólnego. Ktoś maczał palce w wydarzeniach zachodzących w tej części świata - zaczęło to być widoczne podczas wojny w krainie pani Zelany. Pirat nie potrafił określić, do czego miały prowadzić owe tajemnicze ingerencje w porządek zdarzeń. Jeżeli ten ktoś był po ich stronie, powstrzymałby drugą inwazję. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że w dużym stopniu ją wspomagał. Większość zdarzeń rozgrywających się na południowym wybrzeżu robiła wrażenie pozbawionych sensu.

Ponieważ istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że pan Veltan będzie u siebie, Torl zakotwiczył „Rekina” niedaleko znajomej plaży i poszedł do skalnego zamku. Na miejscu spotkał żonę Omega. Czekala na niego, jakby wiedziała, że przyjdzie. Ara była z pewnością jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie Torl widział, więc nic dziwnego, że nie mógł w żaden sposób pojąć, dlaczego wybrała sobie na męża prymitywnego wieśniaka. Z pewnością miała lepsze możliwości.

- Pana Veltana pewnie nie ma? - zapytał.

- Niestety, nie - odparła pięknym, dźwięcznym głosem.

- Przynoszę mu wieści. Miałem ostatnio sporo szczęścia, ale widać, na razie się skończyło. - Wzruszył lekko ramionami. - Tak czy inaczej warto było tu zajrzeć. A czy słyszałaś, pani, co się dzieje w górach?

- Nic szczególnego. O ile mi wiadomo, słudzy Vlagha jeszcze nie przystąpili do ataku.

- Dobrze wiedzieć. Byłoby cudownie, gdyby ludzie Narasana zdążyli postawić fort szerokości przynajmniej z pół kilometra, a to im zajmie jakiś czas.

- Jakie wieści przyniosłeś panu Veltanowi? Przekażę mu, gdyby zajrzał po twoim odejściu. Czy mają coś wspólnego z inwazją na południu?

- Rzeczywiście - przyznał Torl. - Mój kuzyn Sorgan był pewien, że zdołamy sobie poradzić z napastnikami, ale plan się nie powiódł.

- Tak?

- Spaliliśmy wszystkie trogickie statki, niestety, na tym się nasze sukcesy skończyły.

- Dlaczego?

- Ktoś nam pokrzyżował plany. Wiem, że pan Veltan, pani Zelana i ich krewni potrafią działać cuda, ale wszystko wskazuje na to, że jest jeszcze ktoś, kto umie niemało. Ten ktoś dokonał czynu, na jaki by się nie zdobył chyba nawet pan Veltan.

- Naprawdę?

- Umieścił głupią historyjkę w umyśle każdego wieśniaka na południu krainy. Powtarzają ją wszyscy, którzy usłyszą słowo „złoto”.

- Jak się o tym dowiedziałeś? - spytała ostrym tonem.

- Rozmawiałem z jednym z wieśniaków... jak on miał na imię? Chyba Bolen. I wspomniałem o złocie. Gdy tylko wymówiłem kluczowe słowo, on pobladł, oczy mu się zrobiły jakieś takie szklane i zaczął mi opowiadać historię o odkryciu złota, zupełnie jakby recytował wyuczoną lekcję. Pomyślałem, że zwariował, że już z nim nie pogadam, ale skończywszy historię, obudził się z transu i jak gdyby nigdy nic podjął poprzedni temat.

- Interesujące.

- To nie wszystko. Z początku nie bardzo rozumiałem, co się stało, ale tknęło mnie przecucie. Przeszedłem się po paru wioskach na południu i każdemu napotkanemu rolnikowi rzucałem w twarz słowo „złoto”. Choć trudno w to uwierzyć, każdy z nich reagował dokładnie tak samo jak Bolen. Każdemu twarz powlekała się bladością, oczy się szklily i każdy opowiadał mi dokładnie tę samą historię. Ktoś, jakaś nieodgadniona istota, prowadzi niezrozumiałą dla mnie rozgrywkę. Właśnie te opowieści spowodowały, że trogiccy duchowni pognali na północ, jakby ich gonił sam diabeł.

Ara zaśmiała się głośno.

- Doskonałe skojarzenie - uznała.

*

Większość statków floty komandora Narasana zakotwiczyła w zatoce u ujścia Rzeki Vasha, by nie tłoczyć się na samej rzece, jak wówczas, gdy ludzie Sorgana zeszli z gór. Torl przekazał dowodzenie na „Rekinie” Żelaznej Pięści i drogą wskazaną przez Nantona ruszył szukać pana Veltana w okolicach gejzeru.

Dotarł na szczyt około południa następnego dnia. Od razu zobaczył Trogitów zajętych budową umocnień na północnym krańcu równiny. Na razie stawiali nie fort, lecz mur, który miał już przynajmniej trzy metry wysokości.

Narasana i Gundę znalazł w połowie zbocza prowadzącego na Pustkowie.

- Już jesteś? - zdziwił się Narasan. - Wobec tego musiało wam pójść lepiej, niż przypuszczaliśmy.

- Niezupełnie, komandorze. Owszem, spaliliśmy kościelne statki co do jednego i uwinęliśmy się z tym rzeczywiście szybko, ale duchowni, wojsko, a nawet handlarze niewolników zniknęli bez śladu.

- Jak to? Maszerują na północ?

- Nie maszerują, komandorze, raczej pędzą.

- Nic nie rozumiem - przyznał Gunda.

- Poszukajmy pana Veltana - zaproponował Torl. - Na wybrzeżu stało się coś bardzo dziwnego, a pan Veltan jest ekspertem od dziwnych zdarzeń, prawda? Najprościej rzecz ujmując, najeźdźcy są kompletnie zdeorganizowani, wszyscy ślepo pognali w góry, jakby od tego zależało ich życie. Ktoś realizuje swój własny projekt, jakiś plan, który tylko pan Veltan lub ktoś z jego rodziny potrafi rozszyfrować.

- Wydaje mi się, że pan Veltan jest w pobliżu gejzeru - powiedział Narasan. - Chodźmy.

Oczy miał pociemniałe, twarz ponurą.

*

- Wypróbowałem to sam, wiele razy. - Torl stał przed panią Zelaną i jej młodszym bratem. - Za każdym razem, gdy wymawiałem słowo „złoto”, kolejny wieśniak bladł jak ściana, spojrzenie miał nieprzytomne i recytował tę samą historyjkę. Kilka pierwszych razy wysłuchałem jej od początku do końca, ale potem już odchodziłem, a oni zostawali sami i mówili do siebie.

- Z jakimi uczuciami odbierałeś tę opowieść? - zapytał Veltan.

- Głównie mnie nudziła. Po piątym razie już nie dało się jej słuchać.

- Chyba mamy do czynienia z infekcją selektywną - odezwała się pani Zelana. - Opowieść zainteresowała Trogitów, ale nie wywarła żadnego skutku na Maagsach.

- To pewnie jeszcze nie wszystko - zastanowił się Veltan. Przyjrzał się Torlowi w zamyśleniu. - Potrafiłbyś tę opowieść przytoczyć wiernie?

- Od końca do początku.

- W takim razie słuchamy.

- Mam się też wpatrywać pustym wzrokiem w przestrzeń?

- Niekoniecznie. Po prostu powtórz opowieść. Torl odchrząknął.

- Dawno, dawno temu jeden z farmerów porzucił uprawę roli i wybrał się w góry, daleko na północ, szukać przygód... - ciągnął dalej, równym głosem pozbawionym wyrazu. Zauważył przy tym, że pan Veltan bacznie obserwuje Narasana. - ... Zobaczywszy to, farmer żądny przygód wrócił do domu i nigdy już nie wypuścił się na poszukiwanie cudów świata,

gdyż wiedział, co leży za górami, i jego ciekawość została zaspokojona - zakończył.

- Jakie wrażenie wywarła na tobie ta historia? - spytał pan Veltan Narasana.

- Miła bajeczka, ale jedno wysłuchanie w zupełności mi wystarczy.

- Pewnie dlatego że nie jesteś księdzem, komandorze - odezwał się Torl. - O ile mi wiadomo, jedna z reguł trogickiego Kościoła stanowi, że wszelkie złoto należy do duchownych. Nie mylę się, prawda?

- Bystry ten nasz pirat - uśmiechnęła się pani Zelana do brata.

- Zdaje się, że ta infekcja jest bardziej wybiórcza, niż sądziłam. Naj wyraźniej dotyka bezpośrednio członków trogickiego duchowieństwa oraz ich najemników.

- Tylko po co było kierować ich w góry? - zastanowił się Veltan.

- Można było ich posłać od razu do Matki Wody.

- Najwyraźniej ktoś, kto wpadł na ten pomysł, miał inne zamiary - stwierdziła bogini.

Im dłużej pan Veltan, pani Zelana i Narasan rozmawiali, tym dziwniejsze wyciągali wnioski. Tak na oko Torla nic ta rozmowa nie dawała. Nie tutaj trzeba było szukać sprawy dziwnych wydarzeń czy oczekiwać jakichś sensownych decyzji. Nadszedł czas, by pogadać o sprawie z kimś o znacznie bardziej praktycznym nastawieniu do życia, i nawet wiedział, gdzie kogoś takiego szukać, tyle że nie śmiał w obecności bogów ot tak odwrócić się i odejść.

Dopiero późnym popołudniem jego niedoszli „fachowcy” uznali, że omówili wszystkie możliwości, a także kilka wyjaśnień nieprawdopodobnych - i w końcu się poddali.

Grzecznie podziękował im za radę i niepostrzeżenie odłączył się od towarzystwa, jak gdyby nigdy nic. Poszedł pod las, niedaleko za gejzerem, gdzie osobne obozowisko rozbił Długa Strzała. Łucznik kochał ciszę i spokój. Już podczas wojny w Krainie Zachodniej stało się jasne, że ciągły rwetes, rozmowy i pokrzykiwania najemnych wojowników go denerwują. Wolał mniejsze towarzystwo. Przy jego ognisku najczęściej można było zastać młodego Trogitę Kesela oraz kowala Zajączka. Tak było i tym razem.

- Mamy kłopoty - zaczął Torl bez wstępów.

- Słyszeliśmy o nich, kapitanie - stwierdził Keselo. - Ale przecież twój kuzyn, kapitan Sorgan, miał się zająć ich rozwiązaniem.

- Zrobił, co mógł, ale problemy nie zniknęły - rzekł Torl ponuro. - Spaliliśmy wszystkie trogicke statki kotwiczące przy południowym wybrzeżu, niestety, Trogici pewnie o tym nawet nie wiedzą. Dzieje się tam coś dziwnego.

- Co takiego? - spytał Zajączek.

- Ktoś prowadzi tajemnicze gierki. Trogici od razu po zejściu na ląd zagonili tubylców do bydłych zagród. Wtedy pojawili się tam ludzie w czarnych mundurach i zaczęli grozić

miejscowym oraz straszyć ich na wszelkie możliwe sposoby, usiłując od nich wydobyć informacje, gdzie na Dhrallu znajduje się złoto.

- Regulatorzy - stwierdził Keselo. - Mistrzowie w trudnej sztuce stosowania tortur.

- Tym razem nie musieli nikomu robić krzywdy - uspokoił go Torl. - Za każdym razem gdy ktoś zadał pytanie zawierające słowo „złoto”, tubylec zaczynał recytować głupią historyjkę o jakimś rolniku, który wybrał się w góry i tam znalazł polacie ziemi pokryte czystym złotem. Gdy tylko Trogici usłyszeli tę opowieść, pognali na północ jak wystraszone zające... Bez obrazy. - Torl skłonił się lekko w stronę kowala.

- Nie tak łatwo mnie obrazić, kapitanie.

- Wkrótce duchowni nie mieli komu wydawać rozkazów, zostali wręcz pozbawieni armii, bo żołnierze, którzy powinni ich chronić, woleli szukać złota. A miejscowi, których już nikt nie pilnował, spokojnie wrócili do swoich zajęć.

Keselo zaśmiał się krótko.

- To nie wszystko - podjął Torl. - Tuż przed naszym przybyciem pojawiła się tam spora liczba czarnych statków handlarzy niewolników. Zamierzali kupić od tłustych duchownych wszystkich tubylców. Tymczasem nie mieli już kogo kupować ani komu płacić. Wtedy zjawiliśmy się my i spaliliśmy trogicką flotyllę. Nie uszczęśliwiło to specjalnie handlarzy niewolników, zwłaszcza gdy się zorientowali, że miejscowi ostrzą noże i topory, zamierzając im udowodnić, iż nie są mile widziani. Nie mieli do kogo zwrócić się o pomoc. Nic więc dziwnego, że pośpiesznie ruszyli śladem żołnierzy na północ, byle dalej od rolników. Z nadzieją że przy odrobinie szczęścia dożyją zachodu słońca.

- Aż miło posłuchać! - zwrócił się Keselo do Rudobrodego.

- To koniec przyjemności - oznajmił Torl. - Biorąc pod uwagę liczbę spalonych statków, należy się spodziewać, że w naszą stronę zmierza około pięciuset tysięcy wściekłych Trogitów. Trzeba szybko wymyślić, jak stawić im czoło, w przeciwnym razie znajdziemy się między młotem a kowadłem. - Popatrzył w ogień. - Przyznaję, w pierwszym odruchu przyjąłem, że osoba... istota, która spowodowała tę dziwną sytuację na południu, jest po naszej stronie. Teraz już nie mam tej pewności. Trogici, opętani żądzą złota, z pewnością już nawet nie potrafią trzeźwo myśleć. Czy będą słuchać rozkazów?

- Zapewne nie - uznał Keselo. - Najprawdopodobniej zapomnieli o dyscyplinie.

Długa Strzała wpatrywał się w zachodzące słońce.

- To wszystko mi się bardzo nie podoba - rzekł. - Podejrzewam, że w tej chwili trogiccy żołnierze myślą podobnie jak słudzy Vlagha. Vlagh na pewno kipi wściekłością po stracie sług w wąwozie nad Lattash. Ich zbiorowy umysł także zapewne nie tryska

szczęściem, ponieważ śmierć tysięcy istot z Pustkowiec znacznie ograniczyła jego możliwości rozwiązywania problemów, grupowa świadomość jest mniej sprawna. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że ochrona życia pozostałych sług może być dla Vlagha ważniejsza niż zdobywanie nowych terytoriów.

- Trudno się z tym sprzeczać - przyznał Zajęczek. - Do czego nas to prowadzi?

- Nie mam absolutnej pewności... - Długa Strzała zamilkł raptownie. - Owce! - krzyknął. - Jakie to proste!

- Nic nie rozumiem - przyznał Zajęczek.

- Zakładam, że owce żyły kiedyś dziko - podjął Długa Strzała. - Zanim człowiek je udomowił.

- Nadal nie wiem, o co ci chodzi.

- Nie tylko ludzie oswajają dzikie zwierzęta i wykorzystują je do swoich potrzeb. Mrówki oswajają mszyce... Inne owady mają podobne zwyczaje... Vlagh potrzebuje żołnierzy do walki! Mają umierać w jego obronie! Chronić uniwersalny mózg. Bo jeśli zabijemy zbyt wiele sług Vlagha, jego zbiorowy umysł przestanie istnieć, przestanie się wywiązywać ze swoich zadań. Vlagh potrzebuje niewolników, dlatego zapanował nad żołnierzami Kościoła. Opętał ich za pomocą słowa „złoto”.

- Czy ta tajemnicza istota z Pustkowiec naprawdę jest tak inteligentna? - wątpił Torl.

- To nie jest pojedyncza istota. Co widzi jedna para oczu z Pustkowiec, widzą wszyscy jego mieszkańcy, a zbiorowa świadomość potrafi zrobić z tego użytek. Z wielką niechęcią, ale muszę przyznać, że to się sprawdza.

- Jakie mamy w tej sytuacji szanse na zwycięstwo? - zaniepokoił się Torl. - Co robić?

- Daj mi trochę czasu - rzekł Długa Strzała, naśladowując sposób mówienia Sorgana. - Muszę pomyśleć.

Najdroższa

Z ceglanego pieca Ary wydobywała się smakowita woń pieczonej baraniny. Jeszcze odrobina czosnku i będzie danie palce lizać. Najważniejsze były odpowiednie zioła i przyprawy. Ara miała doskonały węch, który pomagał jej w gotowaniu. Posypała pieczeń siekanym czosnkiem i wsunęła brytfannę z powrotem do pieca przeznaczonego wyłącznie do przyrządzania mięs.

Tego popołudnia nieustanny szum cudzych myśli przycichł nieco. Oczywiście słyszała Omega, ale w tym nie było nic dziwnego. Jego słyszałaby chyba nawet z drugiego krańca świata. Myśli męża spowijały się w urodę poezji. Przypuszczalnie z tego właśnie powodu zdecydowała się za niego wyjść.

Nie dawał jej spokoju sen Marzyciela Dahlaine'a. Z początku wszystko poszło zgodnie z jej zamierzeniami, ale potem Ashad ruszył własną ścieżką. A teraz nad wszystkimi wisiła groźba drugiej inwazji na krainę pana Veltana, nadciągającej z południa. Motywy Vlagha były dla Ary jasne, lecz w żaden sposób nie umiała pojąć, czego mieliby szukać na Dhrallu zupełnie obcy ludzie.

Dahlaine miał całkiem przyzwoity plan, tyle że niedopracowany w szczegółach. Owszem, udało mu się obejść mur dzielący dwa pokolenia bogów, zakaz, który nie pozwalał odbierać życia niezależnie od jego formy, ale też popełnił błąd, pozwalając Marzycielom działać bez żadnych ograniczeń. A ich marzenia senne miały potężną moc. Aż ciarki przechodziły po plecach, gdy się pomyślało o niedawnych katastrofach. I o tych, jakie mogły jeszcze nastąpić. Tymczasem jednak Ara nie miała wyboru. W przeszłości zawsze była biernym obserwatorem, lecz tym razem ryzykowna decyzja Dahlaine'a zmusiła ją do działania. Dosłownie rzecz ujmując, Dahlaine sprowadził Marzycieli, natomiast Ara sprowadzała senne marzenia.

Tyle że niekiedy Marzyciele błędzili własnymi ścieżkami, co ją niewymownie irytowało.

Raptem przypomniała sobie zdarzenie, które zaszło na Maagsie. Sen Elerii wyśniony w porcie Kweta. Marzenie bardziej zbliżone naturą do ostrzeżenia niż do obwieszczenia przyszłości. Śnienie wykorzystane przez Długą Strzałę w starciu z pozbawionym skrupułów mieszkańcem Maagsu, Kajakiem. Czyżby proroczy sen Ashada, wizja drugiej inwazji, także nosił znamiona ostrzeżenia? W takim razie mogłoby do niej nie dojść w rzeczywistości.

Ara potrzebowała znacznie więcej informacji na temat ludu zamieszkującego południowe ziemie. Gdy zrozumie jego naturę, spróbuje powstrzymać drugą inwazję.

*

Pewnego pięknego ranka na początku lata Veltan zawiadomił Omaga i jego żonę, że lada dzień pojawią się najemne wojska. Yaltar nadal nie umiał sobie poradzić z następstwami snu, który spowodował wybuch wulkanów. Ponieważ Ara wiedziała, że potrafi uwolnić chłopca od poczucia winy, postanowiła razem z mężem i panem Veltanem iść na plażę powitać przybyszy.

Zanim jeszcze obce statki przybiły do brzegu, usłyszała wrzawę skłębionych myśli mężczyzn na pokładach. Przeważała, oczywiście, ciekawość. Jeszcze minionej zimy nie mieli pojęcia o istnieniu Dhrallu, zatem nic dziwnego, że nowy ląd wzbudzał żywe zainteresowanie. Wyczuwała też nieco rezerwy i obawę. I nic dziwnego. W końcu istoty z Pustkowiec tak bardzo odległe były od dzieł natury, że musiały wzbudzać przestach.

Często pojawiała się imię Długa Strzała. Prawie wszyscy przybysze byli pod ogromnym wrażeniem wyczynów dokonywanych przez tego zamkniętego w sobie łuczника Zelany. Ara delikatnie dotknęła jego umysłu... Od razu się przekonała, że w przeciwieństwie do tego, co wielu sądziło, nie był on pozbawionym ludzkich uczuć potworem. Był człowiekiem opanowanym i działającym celowo, gdy wymagała tego sytuacja, a jego emocje wydawały się całkowicie zrównoważone.

Leciutko musnęła świadomość tak podłą, że aż się wzdrygnęła z obrzydzeniem. Jeden z żołnierzy trogickiej armii był skorumpowany do szpiku kości. Kierowała nim wyłącznie chciwość. Dla niego wojna ze sługami Vlagha nie miała żadnego znaczenia. On chciał jedynie złota. Pragnął osiąść na własność każdą grudkę złota Dhrallu.

Niedługo potem zaszło kilka zdarzeń, które pozwoliły jej domyślić się powodów drugiej inwazji. Wyjaśniły drugą część snu Ashada.

- Hm... interesujące - mruknęła.

- Co mówisz, kochanie? - zapytał Omago.

- Nic, nic, serdeńko. Ot, myślałam na głos.

Przemogła się i sięgnęła ku plugawemu umysłowi cudzoziemca Jalkana. Nie znalazła tam nic wartościowego. Mnóstwo arogancji, wiele chciwości, okrucieństwa, tchórzostwa... I co pewnie najważniejsze, obrzydliwe żądze.

Aha, może to jest jakieś rozwiązanie, pomyślała. Skoro go tu nie będzie, druga inwazja nie dojdzie do skutku.

Otworzyły się przed nią różne interesujące możliwości. Gdyby udało się pobudzić żądzę Jalkana do tego stopnia, by przekroczył granice przyzwoitości, zapewne drogi Omago zachowałby się odpowiednio. Wymagałoby to od niej zagrania na najniższych instynktach, ale to nie był duży kłopot. A skutki powinny przejść najśmielsze oczekiwania.

Pan Veltan po krótkiej rozmowie na plaży zabrał do swojego domu sporą grupę cudzoziemców i dwóch myśliwych z krainy pani Zelany. Chciał im pokazać trójwymiarową mapę obszaru wokół Wodospadu Vasha. Ara zajęła się przygotowaniem kolacji. Pani Zelana, Yaltar i Eleria przyglądali jej się ciekawie. W rzeczywistości prawie nie myślała o gotowaniu. Zastanawiała się, w jaki sposób wyzwolić w upatrzonym mężczyźnie charakterystyczne dla wszystkich samców dążenie do podtrzymania gatunku. Podobnie jak u większości istot ciepłokrwistych, tak i tutaj kluczową rolę odgrywał odpowiedni zapach. Woń, która spowoduje, że Jalkan straci panowanie nad sobą, a jednocześnie pchnie Omaga do działania, dzięki czemu nie dojdzie do drugiej inwazji.

Gdy zjawiła się w pokoju odpraw pana Veltana, by zaprosić gości na kolację, spowijał

ją najbardziej prymitywny, nieomal zwierzęcy zapach. Jalkan zareagował, tak jak przewidywała, kilkoma barwnymi uwagami, które jasno wskazywały na to, iż ma nadzieję na pomyślny dla siebie rozwój sytuacji. Omago zareagował odpowiednio, ale niestety, w ostatniej chwili się powstrzymał i wbrew nakazowi pierwotnych instynktów nie zabił wroga.

Ara miała ochotę krzyknąć z wściekłości. Przy okazji nauczyła się, że bardzo trudno opanować odruchowe reakcje, takie właśnie na przykład jak wściekłe krzyki w sytuacji, gdy nie powiódł się szczegółowo opracowany plan.

Trogicki najemnik, komandor Narasan, wstrząśnięty uwagami podłego Jalkana, o mało nie dopełnił dzieła. Ara odzyskała nadzieję w powodzenie swojego projektu, tymczasem jednak dowódca, z niewiadomych powodów, nie sięgnął po miecz.

Co się dzieje z tymi ludźmi? Włożyła niemało starań w to, by każdemu z osobna i wszystkim razem zgromadzonym w tym okrągłym pomieszczeniu dać wszelkie powody do zlikwidowania plugawego Jalkana. A tu nic. Dlaczego nikt nie robił tego, co powinien?

Narasan rozkazał Padanowi zakuć Jalkana w łańcuchy i uwięzić na jednym z trogickich statków zakotwiczonych przy plaży. No, to już coś. Szkoda tylko, że nikt nie wpadł na znacznie prostsze rozwiązanie.

Resztę dnia i większą część nocy musiała poświęcić na pozbycie się prymitywnych instynktów. Owszem, pomagały, gdy nie sposób było liczyć na nic innego, ale też należały do odczuć krańcowo wyczerpujących. Zwłaszcza jeśli w końcu nie doprowadziły do upragnionego celu.

*

Jakiś tydzień później dotarła do pana Veltana wieść o ucieczce sprośnego Trogity. Ara nie mogła się pozbyć wrażenia, że sen Ashada ciągle wyprzedza ją o krok. Bez względu na to, jak bardzo się starała zapobiec jego spełnieniu, wypadki nieubłaganie prowadziły ku drugiej inwazji. Nie potrafiła dociec dlaczego, lecz nabierała niezbitego przekonania, że druga inwazja była absolutnie konieczna.

- Poddaję się! - oznajmiła światu, unosząc ręce.

*

Ponieważ jej mąż z całą pewnością miał brać udział w nadciągającej wojnie, Ara słuchała uważnie dyskusji toczących się w pokoju odpraw pana Veltana. Omago zgłosił się, rzecz jasna, na ochotnika do udziału w wyprawie ku ujściu Rzeki Vasha, razem z kuzynami Sorgana Orlego Nosa, Skellem i Torlem.

Miała przeczucie, że w czasie gdy mąż będzie szedł w góry za pasterzem Nantonem, zdarzy się coś bardzo ważnego. Dawno już nauczyła się ufać intuicji, więc postanowiła im

towarzyszyć. Oczywiście dyskretnie.

Kiedy statki dwóch kapitanów z Maagsu ruszyły wzdłuż wschodniego wybrzeża krainy pana Veltana, podążyła za nimi myślami.

Jeszcze nie nastąpiło popołudnie drugiego dnia wspinaczki wąskim parowem, gdy zarośnięty pirat Grock dokonał wstrząsającego odkrycia.

- Znalazłem złoto, kapitanie! - krzyczał. - Złoto! Całe tony! Całą złotą ścianę!

Wtedy młody Keselo zaproponował, żeby kowal ze statku Sorgana przyjrzał się bliżej złotemu metalowi.

Zajązdek wydał wyrok, a Ara wyczuła ogromne rozczarowanie Skella i pozostałych. Tak, owe żółte płatki to z pewnością nie było złoto.

Keselo najwyraźniej wiedział o tym od początku. Sprawdziła jego umysł. Tak. Natychmiast się domyślił, że Grock znalazł siarczany żelaza. Ach, więc do tego wiodło ją przecucie. Skoro chciwość Jalkana sprowadziła na Dhrall drugą inwazję, owo fałszywe złoto mogło się okazać bardzo przydatne.

Ara porzuciła słuchanie myśli Skella i jego towarzyszy. Poszła do kuchni rozważyć kilka interesujących możliwości.

Poświęciła nieco czasu na skomponowanie odpowiedniej mieszanki, a że podobne eksperymenty nie były jej obce, za trzecim razem zyskała całkiem przyzwoitą ilość połyskujących złoto płatków, identycznych z tymi, jakie Grock znalazł w górach.

Była bardzo zadowolona z wyników doświadczenia, póki jej wzrok nie padł na podłogę kuchenną, całą zasypaną złotym piaskiem. Mrucząc coś pod nosem, poszła po miotłę.

*

Grupka ludzi, którą Nanton zaprowadził na trawiastą równinę, sprawdzała okolicę. Teren był tam znacznie bardziej płaski niż wokół Lattash, a to zdawało się przysparzać zmartwień żeglarzom. Biorąc pod uwagę, jak wielką liczbę sług mógł posłać do walki Vlagh, Ara w pełni rozumiała ich troskę. Gdy nad niewielkim obozem w pobliżu gejzeru zapadł zmrok, Długa Strzała zestrzelił nietoperza i przedstawił pozostałym teorię, od której Arze ścierpła skóra. Zwierzę okazało się genetycznie zmodyfikowane. Poczła nagłą chęć, by sprowadzić do siebie ukochanego męża i natychmiast wracać do domu.

Po jakimś czasie Zajązdek wpadł na pomysł wykorzystania do obrony przed latającym wrogiem sieci rybackich. Napięcie opadło. Potem Długa Strzała rozmawiał krótko z Rudobrodym. Ponieważ wszystko wskazywało na to, że strzały będą najodpowiedniejszym orężem w nadciągających starciach, krzepki mieszkaniec dawnego Lattash pośpieszył na zachód, na spotkanie łuczników ciągnących z krainy pani Zelany. Skell wysłał Grocka z

powrotem na dół z poleceniem, by ludzie wspinający się ich śladami zabrali ze sobą sieci.

Wszyscy mężczyźni mieli praktyczne podejście do kłopotów. Dzięki nim Ara stosunkowo szybko odzyskała panowanie nad sobą, zwalczyła panikę i postanowiła jeszcze zaczekać, zanim chwyci męża pod ramię i ucieknie do domu.

Następnego dnia dotarł na równinę Torl, brat Skella. Według jego słów wyprzedzał Narasana i Sorgana zaledwie o kilka godzin. Skell poprowadził wszystkich do przełęczy w północnym paśmie górskim - najbardziej prawdopodobnego miejsca ataku sług Vlagha.

Wtedy zjawił się pan Veltan, jak zwykle przy akompaniamencie trzasku swojej ulubionej błyskawicy, i zawiadomił przybyszów o drugiej inwazji, której sam już od dawna się spodziewał za sprawą marzeń sennych Ashada. Bez końca opowiadał o napaści na południu swojej krainy, więc Ara wycofała się z jego umysłu. Wróciła do kuchni, a potem pchnęła myśli na południe. Chciała się sama przyjrzeć tamtejszym zdarzeniom.

*

Na południowym krańcu ziem pana Veltana wrzynało się w morze kilka półwyspów. Pomiędzy nimi ląd utworzył obszerne bezpieczne zatoki. Nad brzegiem rozsiadły się ludzkie osady, od nich w głąb lądu ciągnęły się pszeniczne pola.

Nie one jednak przyciągnęły uwagę Ary, tylko zakotwiczone w zatoce liczne trogickie okręty pod czerwonymi żaglami i żołnierze pod bronią, którzy schodzili z pokładu w pobliżu każdej osady. Zaganiali mieszkańców do prowizorycznych zagród, jak bydło.

Nie od razu opanowała gniew. Jakiś czas później Trogici w czarnych sukniach weszli do każdej z zagród, by wygłaszać do przestraszonych mieszkańców mowy, peany na cześć „jedynego prawdziwego boga na świecie”. Gdy jeden z tubylców grzecznie zwrócił tłustemu Trogicie uwagę, że bogiem tej części ziemi jest niejaki pan Veltan, dwóch osiłków w czarnych mundurach pobiło go pałkami do nieprzytomności. Może posunęliby się dalej, lecz Ara spowodowała drobne odchylenie drogi pałki, tak że jeden z całej siły przyłożył swojemu towarzyszowi. Na tym oprawcy poprzestali.

Ponieważ sprawcą inwazji był z pewnością Jalkan, Aracia wysłała swoje myśli w poszukiwaniu tego konkretnego człowieka. Odnalezienie go okazało się całkiem łatwe. Kilka trogickich statków zakotwiczyło przy plaży w środkowej zatoce, niedaleko tubylczej osady. Miejscowi zostali już stłoczeni w zagrodzie, duchowni okradali ich domy. Jalkan znajdował się w największej chacie. Nie był sam. Rozmawiał z potwornie grubym człowiekiem odzianym w zdobioną złotą szatę.

- Nikt nigdy nie określił dokładnie, gdzie znajdują się kopalnie, wasza łaskawość - powiedział. - Ale podejrzewam, że są w górach.

- Potrzebne nam dokładniejsze informacje - stwierdził grubas. - Bo nawet jeśli faktycznie są tu kopalnie złota, ale my nie poznamy ich położenia, równie dobrze możemy ich szukać po ciemnej stronie księżyca.

- Wasza łaskawość, właśnie do tego celu zabraliśmy ze sobą regulatorów. Oni potrafią każdego skłonić do mówienia. Wiemy z całą pewnością, że złoto tutaj jest. Widziałeś na własne oczy złote cegły, które przywozłem do Kaldacinu. Dowodzą one, że w tej części świata znajdują się pokłady kruszcu. Musimy je tylko znaleźć, co osiągniemy łatwo, dzięki regulatorom właśnie. Wystarczy, że tubylcy zobaczą śmierć paru swoich przyjaciół z rąk przesłuchujących, a na pewno zgodzą się na współpracę. Kiedy zjawią się statki handlarzy niewolników?

- Najwcześniej za tydzień. Oni się nie śpieszą. Kupują, a nie łapią.

- To także nam na rękę. Regulatorzy szybko uzyskają niezbędne informacje, wtedy sprzedamy tubylców w niewolę i będziemy ich mieli z głowy. Kto wie, może zarobimy na niewolnikach równie dużo, jak wydobędziemy z kopalni.

- Ja nigdy nie przepuszczam okazji, która sama pcha się w ręce - oznajmił grubas z szerokim uśmiechem.

Ara wycofała się powolutku. Rozmowa tych dwóch zmroziła ją do szpiku kości. Ci ludzie okazali się potworami. Zamierzali wydzierać informacje torturami. A przecież mieszkańcy Dhrallu nigdy nie interesowali się złotem, rolnicy z południa pewnie nawet nie znali znaczenia tego słowa.

Nagle przysła jej do głowy zbawcza myśl. Skoro Trogici tak bardzo chcieli usłyszeć o złocie, mogła im w tym pomóc.

Skierowała myśli do prowizorycznych zagród, do których trogiccy żołdacy zagonili mieszkańców Dhrallu, i zasiała w umysłach tubylców ziarno „starożytnej legendy”. Od tej chwili za każdym razem, gdy ktoś w ich obecności wypowiedział słowo „złoto”, automatycznie recytowali narzuconą historię, dokładnie taką, jaką otrzymali od Ary.

Uśmiechnęła się leciutko. Teraz pozostało tylko czekać na efekty.

*

Trogici, których Jalkan nazywał regulatorami, pilnowali tubylców stłoczonych w zagrodach. Byli to ludzie szorstcy i brutalni, ubrani w czerń - zapewne po to, by się odróżniać od żołnierzy w czerwonych mundurach. Jeden z regulatorów, na którym Jalkan i jego otyły przyjaciel zdawali się polegać najbardziej, niejaki Konag, był wyjątkowo antypatyczny. Ara uznała wobec tego za wskazane, by to właśnie on zaniósł bajeczkę o złocie swoim dwóm przełożonym.

Późnym rankiem Konag minął bramę obozu, w którym zgromadzono mieszkańców wioski, i podszedł do przestraszonego rolnika.

- Potrzebujemy informacji na temat północnego łańcucha górskiego - powiedział. - Jeśli uzyskam je od ciebie, dopilnuję, żebyś dostał więcej do jedzenia i wygodniejsze miejsce do spania.

- Z przyjemnością ci pomogę, cudzoziemcze - odparł farmer - niestety, niewiele wiem o górach. Zawsze trzymałem się blisko domu. Czego dokładnie chciałbyś się dowiedzieć?

- Gdzie jest złoto? Rolnikowi zaśniły oczy.

- Ach! Wszystko jasne. Trzeba tak było od razu. Każdy tutaj do skonale wie o złocie.

- Tak?

- Dawno, dawno temu jeden z farmerów porzucił uprawę roli i wybrał się w góry, daleko na północ, szukać przygód. Dotarł do stóp potężnego wodospadu, a tam natrafił na stromy szlak prowadzący na szczyt urwiska. W drodze napotkał cud nad cudami, o urodzie za pierającej dech w piersiach. Znalazł rozległą równinę, na której próżno by szukać drzew, krzewów czy choćby zwykłej trawy. Cała pokryta była piaskiem, ale nie zwykłym, białym, jakim Matka Woda dotyka Ojca Łądu, lecz żółtym, połyskliwym, błyszczącym w promieniach słońca. A wtedy wszyscy mieszkańcy Dhrallu dowiedzieli się, że piaski Pustkowie to czyste złoto, ciągnące się jak okiem sięgnąć, aż po horyzont. Zobaczywszy to, farmer żądny przygód wrócił do domu i nigdy już nie wypuścił się na poszukiwanie cudów świata, gdyż wiedział, co leży za górami, i jego ciekawość została zaspokojona.

W zasadzie Ara była dość zadowolona z legendy, którą zasiała w umysłach rolników. Zawarła w niej przygodę, tajemnicę oraz obietnicę zdobycia nieprzebranych bogactw. I choć nie było w niej słowa prawdy, brzmiała doskonale.

Konag zamarł ze zdumienia. Gdy rolnik skończył mówić, obrócił się na pięcie i pobiegł szukać Jalkana.

A farmer, który właśnie wyrecytował narzuconą mu opowiadkę, kompletnie zdębiał. I nic dziwnego, skoro nie pamiętał słowa ze swojego występu.

*

- To niemożliwe! - krzyknął tłusty duchowny, gdy regulator powtórzył mu, co usłyszał od wieśniaka. - Tyle złota nie ma na całym świecie!

- Nie byłbym taki pewien, adnari - zaoponował Jalkan. - W porcie Castano Veltan dał komandorowi Narasanowi dziesięć cegieł czystego kruszcu, a odnosił się do nich, jakby były to zwykłe cegły z gliny.

Ara dyskretnie podniosła poziom chciwości w umysłach trzech Trogitów,

umieszczając im przed oczami obraz złota.

- Pójdę w góry i sprawdzę - zgłosił się Konag na ochotnika.

- Jak masz zamiar odszukać to miejsce? - zapytał Jalkan.

- Wezmę ze sobą zastęp regulatorów. W razie potrzeby wyciśniemy informacje z tubylców.

- Tylko nie kradnij mojego złota - przestrzegł go duchowny.

- Naszego złota, adnari - skorygował Jalkan. - Niemala część tego złota należy do mnie.

Tłuścioch zmierzył go kosym spojrzeniem.

- Nie dzielmy skóry na niedźwiedziu - pojednał ich Konag. - Jeszcze nie wiemy, ile prawdy jest w tej opowieści.

- Jeśli ten chłop kłamał, rozpruję mu brzuch tępym nożem - zadeklarował Jalkan.

- Powiedział, że wszyscy znają historię o rolniku, który znalazł złoto - przypomniał adnari Estarg z przebiegłą miną. - Więc zanim ruszysz w drogę, zapytaj kilku innych. Jeżeli nie znają opowieści, zostałeś wprowadzony w błąd. A w takim razie wszyscy trzej policzymy się z kłamcą.

*

Rolnicy uwięzieni w zagrodzie potwierdzili, rzecz jasna, historię wymyśloną przez Arę, toteż następnego dnia regulator Konag zebrał kilkunastu towarzyszy i poprowadził ich przez żyzne ziemie na północ, w stronę gór leżących na granicy ziemi pana Veltana z Pustkowiec. Wędrowali nieco na zachód od linii wybrzeża, więc nie mieli dużych szans natknąć się na farmerów, dlatego Ara zadbała, by spotkali kilku wyobrażonych, którzy powtórzyli zmyśloną przez nią opowieść.

Im dłużej zastanawiała się nad skutkami swojego podstępu, tym bardziej upewniała się w przekonaniu, że nie ma absolutnej konieczności, by Konag i jego ludzie wspięli się na szczyty i ujrzeli złoty piasek ciągnący się po horyzont. Musieli jedynie uwierzyć, że go zobaczyli.

A to pozwalało wybrnąć z kłopotu, w jaki popadła od pierwszej chwili, gdy zarysowała swój plan. Bo przecież na łąkach nad Wodospadem Vasha stacjonowali żonierze Narasana i żeglarze Sorgana. Konag i jego ludzie stanowczo nie powinni się o tym dowiedzieć.

Regulatorzy śnili o trudnej wspinaczce po stromym górskim zboczu. Oddech im się rwał, gdy stanęli w najwyższym miejscu przełęczy otwierającej się na nizinę nad Wodospadem Vasha, ale nie zważając na nic, ruszyli dalej, w stronę szerokiego przejścia w

postrzępionej linii górskich szczytów na północy.

Wreszcie dotarli na miejsce. Stanęli i patrzyli, własnym oczom nie wierząc, ponieważ u ich stóp aż po horyzont ścieliło się morze złotego piasku. Cenne ziarna połyskiwały uwodzicielsko w blasku porannego słońca. Kilku z tych twardych, doświadczonych ludzi zapłakało na ten cudowny widok.

Ara przytrzymała ich tam we śnie przez jakąś godzinę, po czym kazała zawrócić na południe.

Wszyscy byli przekonani, że są nieprawdopodobnie wyczerpani, więc gdy dotarli do stóp ogromnego wodospadu, postanowili zatrzymać się i odpocząć co najmniej jeden dzień w ostatnim obozie, którego w rzeczywistości wcale nie opuścili. Sen stał się dla nich jawą. Ara była z siebie dumna. Wsączyła im do mózgów jeszcze konieczność pośpiechu, więc gdy wstali następnego dnia o brzasku, ruszyli w drogę powrotną, zanim jeszcze słońce na dobre wzniosło się ponad horyzont.

Jalkan i adnari Estarg mieli ochotę utrzymać sprawę w tajemnicy, lecz Ara ich uprzedziła. Konag i jego towarzysze nie mogli opanować chęci opowiadania o swoim odkryciu każdemu napotkanemu, toteż więcej niż połowa kościelnego żołnierstwa w obozach na południowym wybrzeżu krainy pana Veltana wiedziała o złotych polach, zanim regulator dotarł z wiadomością do swoich przełożonych.

Poszedł prosto do chaty, którą zajęli Jalkan i Estarg.

- Jakie przynosisz wieści? - zapytał Jalkan. - Czy ten głupek mówił prawdę?

- Nie - odparł Konag z twarzą bez wyrazu. Tłusty duchowny jęknął rozczarowany.

- Wiedziałem. To było zbyt piękne, żeby się okazało prawdziwe.

- To nie tak, wasza łaskawość - podjął Konag. - Tubylec nie powiedział prawdy, bo nie sposób oddać słowami wielkości bogactwa, jakie się kryje za górami. Złoty piasek pokrywa pustynię aż po horyzont. Patrzyliśmy ze szczytu góry, a przecież nie dostrzeżliśmy krańców morza złota.

- Przyniosłeś chociaż garść? - spytał Jalkan.

- Adnari Estarg nam nie kazał - odparł Konag. - Mieliśmy sprawdzić, czy ta niesłychana baśń ma coś wspólnego z prawdą, i wracać.

- Szkoda... - Jalkan był mocno rozczarowany. - Chętnie bym zobaczył ten złoty piasek na własne oczy.

- Droga nie jest daleka. Możesz tam iść, panie, skoro to dla ciebie takie ważne.

*

Ara przeszukiwała myślą południowe wybrzeże krainy pana Veltana, by zyskać lepsze

pojęcie, ilu Trogitów znajduje się w tej okolicy. Osady rolnicze pobudowano, rzecz jasna, wzdłuż całej linii brzegowej, każdą z nich opanowali kościelni żołdacy, przy każdej zbudowano prowizoryczny obóz przypominający bardziej bydłą zagrodę niż miejsce dla ludzi.

W miarę jak mijały dni, wieść przyniesiona przez drużynę Konaga zataczała coraz szersze kręgi, sięgała do coraz odleglejszych osad i coraz większa liczba kościelnych wojskowych dochodziła do wniosku, że czas porzucić służbę. Z początku dezercje zdarzały się głównie pod osłoną nocy, lecz Ara szybko nasączyła umysły pozostających żołnierzy rosnącym niepokojem. Przesłanie osiągnęło zamierzony skutek.

„Jeśli będziesz zwlekał, wszyscy cię wyprzedzą. Oni wezmą całe złoto i dla ciebie nic nie zostanie”. Takie słowa słyssał w mózgu każdy żołnierz. Nic dziwnego zatem, że opuszczali swoje posterunki bez najmniejszych skrupułów i po kilku dniach duchowni, którzy teoretycznie dowodzili całą wyprawą, zaczęli słać do adnari Estarga pilne wołania o dodatkowe siły. Tych oczywiście nie było skąd wziąć, żołnierze dezercerowali już całymi batalionami.

Po kilku następnych dniach przestali zjawiać się pod drzwiami Estarga posłańcy, a zaczęli sami duchowni. Błagali o pomoc.

Adnari kazał im wrócić do wioski, do których zostali pierwotnie wyznaczeni. Kilku nawet usłuchało jego poleceń. Ara objęła swoim przesłaniem także duchownych, więc wkrótce i oni zaczęli dezercerować.

Czas jakiś pozostała myślami w wiosce, w której Jalkan i adnari Estarg szaleli z niepokojem. W ich narastającej panice odkryła nieoczekiwany urok.

*

Ara była dumna z farmera Bolana. Dzięki jego recytacji „legandy o złocie” wciągnęła Konaga w zmyślną pułapkę. Dlatego też lekko tknęła jego umysł myślą, że skoro nikt już nie pilnuje zagród, do których spędzono mieszkańców osady, nie ma potrzeby tam tkwić. Bolan pojął to natychmiast, więc gdy kilku pozostałych w osadzie duchownych ułożyło się tego wieczora do snu, rolnicy obalili zachodni fragment drewnianej ściany i zniknęli w ciemnościach.

*

Następnego ranka pojawiło się w zatoce siedem trogickich statków pomalowanych na czarno. Ara nie miała złudzeń. Doskonale wiedziała, kto przyplłynął. A w takim razie należało się cieszyć, że Bolan i inni akurat zniknęli.

Na brzeg zeszli mężczyźni o ponurych twarzach. Powitał ich jeden z niewielu

pozostałych w osadzie duchownych.

- Powiem adnari Estargowi, że przybyłeś, kapitanie. Przybysz o zimnych oczach roześmiał się głośno.

- Na twoim miejscu nie robiłbym tego, młody człowieku. Jeśli obudzisz Estarga przed południem, z całą pewnością pożałujesz. Gdzie są niewolnicy? Jakem kapitan Brulda, chętnie na nich zerknę, zanim Estarg zacznie mi opowiadać niestworzone historie o ich wspaniałej kondycji.

- Adnari z pewnością cię nie okłamię, kapitanie - zapewnił młodzieniec żarliwie.

- Taaak? Wobec tego słońce wstanie jutro na zachodzie? Estarg nie odróżnia prawdy od kłamstwa i kieruje się tylko własną korzyścią. Chcę obejrzeć niewolników. Prowadź, chłopcze.

- Czy oni aby są zdrowi? - spytał duchownego inny handlarz niewolników, gdy szli w stronę prowizorycznego obozu. - W zeszłym roku kupiliśmy na wybrzeżu Tanshallu towaru na pięć pełnych statków, ale nie upłynął tydzień, a więcej niż połowa padła na jakąś zarzę.

- Nie, nie, ci tutaj są całkiem zdrowi - zapewnił go duchowny. - I znają się na uprawie roli, więc ich właściciele w imperium nie będą musieli tracić czasu na przyuczanie.

- No to dostaniemy za nich lepszą cenę - uśmiechnął się handlarz. Właśnie wtedy ujrzeli pustą zagrodę z przewróconą ścianą. Nie kryli złości. Od razu ruszyli do osady, by wyjaśnić kwestię z adnari Estargiem.

- Ty głupcze! - wrzeszczał kapitan Brulda. - Dlaczego nie wystawiłeś straży?!

- O, Brulda. O co ci chodzi? - Estarg wyraźnie jeszcze się nie obudził.

- Niewolnicy uciekli! Zagroda jest pusta!

- Niemożliwe!

- Idź, zobacz sam, ty tłusty ośle!

Estarg nie był mistrzem prędkości, więc Jalkan wypadł z chaty jak burza i po chwili wrócił, klnąc na czym świat stoi.

- Zniknęli, adnari - potwierdził. - Wypchnęli ścianę po zachodniej stronie i uciekli.

- Za nimi!

- Co, ja sam? Nie bądź śmieszny, wasza łaskawość.

- Moje pieniądze! - gorączkował się adnari. - Wszystkie puciekały! Brulda, pomóż mu!

- Ani myślę. Ja nie łapię niewolników. Ja ich skupuję. Kłótnia trwała czas jakiś. Ara słuchała z zainteresowaniem.

W pewnej chwili spostrzegła coś, co jeszcze bardziej poprawiło jej humor. Oto do

obszernej zatoki wpływało kilka smukłych maagsowskich statków z „Mewą” Sorgana Orlego Nosa na czele.

*

Do chaty wpadł młody duchowny, który powitał na plaży handlarza niewolników.

- Adnari! Statki płoną!

- Co takiego?! - zagrział Brulda.

- Właśnie przemknęły tędy pirackie statki i podpaliły wszystkie jednostki w zatoce!

Ara z przyjemnością wysłuchiwała reakcji łotrów zgromadzonych w chacie. Sześciu mężczyzn równocześnie usiłowało zmieścić się w drzwiach, zaczęła się przepychanka. Wygrał kapitan Brulda, torując sobie drogę pałą, którą nosił przy pasie.

- Moje statki! - krzyczał, rwąc włosy z głowy. - Moje statki pło ną! Ludzie, róbcie coś! Ratujcie moje statki!

Żaden z Trogitów stojących na plaży nie mógł powstrzymać pożaru na żaglowcach zakotwiczonych w zatoce. A marynarze skakali do wody i w pław docierali do brzegu, byle uniknąć spalenia żywcem. Piraci najwyraźniej świetnie wiedzieli, co robić, bo po krótkiej chwili jedynie tropikalna ulewa byłaby może w stanie przygasić płomień. Tymczasem niebo lśniło jasnym błękitem, nie zanosiło się na deszcz.

Trogici patrzyli z przerażeniem w oczach, jak ich jedyny środek transportu ginie w pożodze. Przybyli na obcy ląd jako zdobywcy, ale wpadli w pułapkę.

- Ech, biedactwa - mruknęła Ara z drwiącym współczuciem.

- Jaka szkoda.

A potem roześmiała się głośno. Mogła spowodować, by przerażeni Trogici usłyszeli jej śmiech, postanowiła jednak tego nie robić. Miała względem tych łobuzów konkretne plany i wiedziała, że większą przyjemność sprawi jej osiągnięcie celu, jeśli Trogici nie będą niczego podejrzewali.

*

- Przesadzasz, Jalkanie, przesadzasz - upierał się adnari Estarg.

- Tubylcy nie są mądrzejsi niż bydło, kieruje nimi tylko instynkt stadny. Nie ośmieliliby się na coś takiego.

- Ja tam bym za to głowy w zastaw nie dał. - Jalkan uparcie obstawał przy swoim. - Nie traktowaliśmy ich najlepiej, więc nie byłbym zdziwiony, gdyby się okazało, że planują tu wrócić i wyrznąć nas do nogi.

- Amar do tego nie dopuści! - zaprotestował młody ksiądz.

- Dorośnij, chłopcze - zaśmiał się Brulda. - Amar to tylko mit, bajka dla grzecznych

dzieci. - Odwrócił się do Jalkana. - Czy tubylcy mają jakąś broń?

- W czasie pierwszej wojny widziałem łucznika, który bez pudła zabijał z odległości pół kilometra - przyznał Jalkan. - Potrafią walczyć z wrogiem, a teraz akurat ich wrogiem jesteśmy my. Gdybyśmy nadal mieli pięć armii, z którymi tutaj przybyliśmy, moglibyśmy być pewni swego, ale żołnierze zdezerterowali co do jednego, gdy usłyszeli o złocie w górach, więc jesteśmy sami, całkiem bezbronni. Jeżeli zostaniemy tutaj, nie przeżyjemy nawet tygodnia.

- No to w zasadzie nie mamy wyboru - uznał Brulda. - Skoro chcemy pozostać przy życiu, musimy także ruszać na północ, dołączyć do dezertersów.

Ara uśmiechnęła się promiennie. Nie zostawiła łotrom wielkiego wyboru, a handlarz niewolników od razu wybrał najlepsze wyjście.

- Brulda, przyda mi się paru twoich ludzi - powiedział tłuscioch. - Dwudziestu wystarczy.

- Po co?

- Muszą mi zbudować lektykę. Skoro mamy podążać za dezertersami...

Kapitan ryknął gromkim śmiechem.

- Co cię tak rozbawiło? - zapytał Estarg.

- Naprawdę sądzisz, że moi ludzie będą cię nieśli?

- Jestem adnarim Kościoła amarickiego - oznajmił Estarg wyniośle. - Twoi ludzie mają obowiązek służyć mi w taki sposób, jaki uznam za stosowny. Chodzenie pieszo jak jakiś pospolity człowiek z ludu jest poniżej mojej godności.

- No to zostań. Mnie tam nic do tego. Ja idę na północ, i to jak najszybciej.

- Zabraniam ci! - krzyknął Estarg.

- Zabraniaj sobie, ile chcesz, grubasie. Twoje rozkazy przestały mnie dotyczyć w momencie, kiedy spłonęły nasze statki. Teraz każdy działa na własną rękę. Jeśli masz ochotę wybrać się z nami na północ, będziesz musiał iść. Na własnych nogach.

- To skandal!

- Ale pamiętasz jeszcze, jak się chodzi? - spytał Brulda z krzywym uśmiechem.

- Ja... - Estarg założył obie dłonie pod ogromnym brzuszyskiem.

- Albo idziesz, albo żegnaj się z życiem - stwierdził Brulda bezlitośnie. - Wybór należy do ciebie.

Ara gardziła handlarzem z całego serca, lecz musiała przyznać, że potrafi dobierać słowa.

*

Była dość zadowolona z przebiegu wypadków. Owszem, w krainie pana Veltana znajdowały się teraz dwie nieprzyjacielskie armie, lecz w zasadzie trudno było je nazwać wojskiem. Stwory Vlagha popychała do działania chęć zdobycia ziem i pożywienia, więc parły bezmyślnie na południe bez względu na to, kto lub co stawało im na drodze, natomiast słudzy Jalkana, a w zasadzie Estarga, działali kierowani żądzą złota i równie uparcie dążyli na północ.

W odległej przeszłości Ara zetknęła się z określeniem „całkowita zagłada”. Wszystko wskazywało na to, że tym razem tak właśnie będzie.

Wielki mur

Gunda ruszył do Castano na pokładzie „Ascendentu”, statku swojego dalekiego krewnego. Gdy dotarł do miejsca przeznaczenia, zdał sobie sprawę, że jego rodzinne miasto straciło wiele na uroku. W przystani na wodzie unosił się kożuch najróżniejszego śmiecia, kamienne filary dźwigające molo pokrywała śliska zieleń wodorostów, budynki portowe, które niegdyś wydawały mu się niemal pałacami, szpeciła warstwa brudu osiadającego z wiecznej chmury ciemnego dymu, jaki wydobywał się z każdego komina w mieście.

Zastępca komandora włożył na siebie uniform z czarnej skóry, mniej wygodny niż codzienne ubranie, lecz bardziej stosowny na tę konkretną okazję, uzupełnił go napierśnikiem oraz hełmem i przypasał miecz.

Nadbrzeże osłaniały kamienne falochrony. Cały port spowijał duszną chmurą wszechobecny smród gnijących ryb. Uliczki były wąskie i brudne, a większość ludzi napotkanych po drodze miała charakterystyczny dla Trogitów wyniosły wyraz twarzy. Jakże inaczej wyglądał Dhrall! Kraj prymitywny, to prawda, lecz jaki czysty! Znacznie czystszy niż ta kolebka cywilizacji. Gunda westchnął i ruszył ku południowej bramie.

Nadciągało już lato, dlatego na łagodnych wzgórzach za miastem spodziewał się znaleźć chwilę wytchnienia, lecz i tu czekało go rozczarowanie. Ciągłe miał w pamięci krajobraz zachodniego Dhrallu, gdzie potężne góry schodziły prosto do morza, a ogromne drzewa sięgały nieba, więc w porównaniu z tymi wspomnieniami okolica Castano wypadła bardzo blado.

Tymczasowy obóz głównego trzonu komandora Narasana leżał niedaleko południowej bramy miasta. Otoczony palisadą, stanowił dość wierną kopię obozu wojskowego w Kaldacinie, dzięki czemu Gunda odniósł wrażenie, jakby wracał do domu.

Minął otwartą bramę, z werwą odpowiedział na salut wartowników i poszedł prosto do jedyne murowanego budynku w obozie. Wojsko wyznawało zasadę, że można spać w

namiotach, ale sztab musi mieć solidną siedzibę.

Wszyscy urzędnicy i administratorzy w dużej środkowej izbie stanęli na baczność.

- Spocznij, panowie - odezwał się Gunda. Nie wiedzieć czemu, wojskowe honory zawsze go irytowały. - Gdzie znajdę biuro Andara?

- Tym korytarzem, komandorze - odpowiedział jakiś bardzo młody oficer, wskazując na tyły pomieszczenia.

Gunda skinął głową i ruszył we wskazanym kierunku.

Andar, także zastępca komandora, był nieco roślejszy niż przeciętny Trogita, a przy tym, jak większość wyższych rangą oficerów w armii Narasana, miał włosy oproszone na skroniach siwizną. Dał się poznać jako człowiek solidny i godny zaufania, dlatego Narasan właśnie jemu powierzył dowodzenie armią pozostałą w imperium.

Gdy Gunda wszedł do biura, Andar właśnie obsztorcował jakiegoś młodzika. Głos miał głęboki, grzmiący, a na dodatek potrafił odpowiednio dobierać słowa. Na widok przybysza natychmiast nieszczęśnika odprawił.

- Co takiego przeszkrobał ten chłopiec? - zapytał Gunda.

- Ech... w sumie nic szczególnego... Ostatnio zaczął zadzierać nosa, więc uznałem, że czas mu go przytrzeć i tyle. Co słychać na północy? Nie mieliśmy od was żadnych wieści od chwili, gdy pierwsza flota opuściła Castano.

- Można chyba powiedzieć, że wygraliśmy wojnę w Krainie Zachodniej - stwierdził Gunda bez większego przekonania. Zdjął hełm, odruchowo zsunął włosy na łysiejące czoło. - Zaszło tam parę zdarzeń, które niełatwo wytłumaczyć... - Rozejrzył się po biurze Andara. - Ściany masz solidnie zabezpieczone? Nie wszystkie wieści nadają się do rozpowszechniania.

- Mów śmiało. Dopóki nie zaczniesz krzyczeć, nie usłyszysz cię nikt niepowołany.

- Dobrze zatem. - Gunda usiadł na krześle przy stole.

- Rozumiem, że nie obyło się bez kłopotów.

- Jakbyś zgadł. Pewnie trudno ci będzie uwierzyć, ale słuchaj. Po pierwsze, nasz szacowny komandor zaprzyjaźnił się z piratem z Maagsu, niejakim Sorganem Orlim Nosem.

- Nie wierzę!

- A jednak. I na dodatek wyszło nam to na dobre. Maagsowie są buńczuczni i niedyscyplinowani, natomiast walczą całkiem przyzwoicie.

- Przecież to potwory!

- Może i potwory, ale nie tak straszne jak te, z którymi przyszło nam się zmierzyć na Dhrallu.

- Mówisz o barbarzyńcach?

- Mówię o stworzeniach znacznie gorszych niż barbarzyńcy. Wahałbym się określić je mianem zwierząt.

- Mów. Chcę znać szczegóły. Chcę wiedzieć wszystko.

- Nie spodoba ci się to, co usłyszysz - obwieścił Gunda ponuro. - Moim zdaniem Narasan powinien być wytargować znacznie więcej złota.

- Jest aż tak źle?

- Może nawet jeszcze gorzej. Jeśli dobrze zrozumiałem, te istoty, z którymi walczymy, tylko częściowo są ludźmi. Oprócz ludzkich mają też cechy owadów i węży.

- Przyjacielu, chyba osłabłeś na umyśle - rzekł Andar z uśmiechem.

- Nikt nie chce w to wierzyć. Mierzymy się za dnia z najmroczniejszym nocnym koszmarem. Jedno ukąszenie takiego przeciwnika zabija na miejscu rosnącego mężczyznę.

- Wcale mi się twoje żarty nie podobają.

- Andarze, uwierz mi, nie zmyślam. Potraktuj moje słowa poważnie, bo od tego zależy twoje życie.

- Czy miejscowi są rzeczywiście tak bezradni, jak twierdził nasz najemca?

- Mieszkańcy krainy pana Veltana chyba rzeczywiście nie potrafią się bronić, ale w krainie pani Zelany jest na przykład taki jeden łucznik, który najwyraźniej nie umie chybiać. To właśnie on wpadł na pomysł, by używać w walce jadu zabitych wrogów.

- Czy takie postępowanie jest zgodne z obwarowaniami sztuki wojennej?

- Przyjacielu, walczymy z robakami, nie z ludźmi. Na co komu etyka, jeśli twój przeciwnik nie ma o niej pojęcia? - Gunda zamilkł na chwilę. - Jak długo potrwa wynajęcie statków, które będą mogły przewieźć armię do krainy pana Veltana?

- Obawiam się, że nieprędko załatwimy sprawę. Co kapitan, to osobowość, sam o tym wiesz doskonale, uwielbiają się targować i czasem pół dnia trzeba poświęcić na wynajęcie jednego statku. Czy planowałeś, drogi przyjacielu, wizytę w którejś z miejscowych tawern? Przyzwoitość nakazuje uczcić twój powrót do rodzinnego miasta.

- Nie zamierzam świętować - odparł Gunda. - Zaraz ruszam w drogę. Wiem, dokąd dąży teraz Narasan z armią, ale nie mam pojęcia, gdzie będziemy walczyć. Zamierzam wyszukać sobie jakiś sympatyczny słup, na przykład taki, jakim pływa pan Veltan, i ruszam z powrotem na Dhrall. Niech któryś z twoich pismaków skopiuje mapę, będziesz wiedział, którędy płynąć, znajdziesz bez trudu kanał w barierze lodowej. A ja dowiem się od Narasana, gdzie dokładnie macie dotrzeć, i wypłynę wam naprzeciw. Podejrzewam, że spotkamy się w lodowym kanale, dalej was poprowadzę.

- Oszczędzimy w ten sposób sporo czasu - zgodził się Andar. - Ilu ludzi straciliśmy w

pierwszej wojnie?

- Co najmniej kilka tysięcy.

- A Jalkan pewnie żyje w najlepsze?

- Obawiam się, że tak. Komandor kilka razy przywołał go do porządku, ale nic więcej się nie stało.

- Szkoda.

- Nie trać nadziei, przyjacielu. - Gunda skrzywił się szkaradnie. - To tylko kwestia czasu. Wcześniej czy później ktoś z pewnością zabije tego gada, a wtedy oznaczymy w kalendarzu szczególną datę.

- Jak to?

- Ustanowimy w tym dniu coś na kształt święta państwowego.

- Przy takiej okazji będę świętował bardzo chętnie - przystał Andar.

*

Przez kilka następnych dni Gunda chodził nadbrzeżem, rozglądając się za niedrogim słupem, Andar natomiast powrócił do mozolnego najmowania kupieckich statków, które miały przerzucić wojsko do krainy pana Veltana. I choć dysponował funduszami armii bez żadnych ograniczeń, Gunda miał całkowitą pewność, że obdarłby go ze skóry, gdyby wynajął łódkę za drogo.

W końcu znalazł jolkę, którą uznał za odpowiednią do swoich celów, i przedstawił Andara obdartemu staremu rybakowi, który chciał ją sprzedać. Zostawił ich przy zawziętych targach, a sam poszedł do jednej z podłych portowych knajp, by zamienić słowo z dalekim kuzynem, kapitanem „Ascendentu”. Chciał go wypytać o podstawy sterowania łodzią jednożaglową, ponieważ mimo rodzinnych powiązań z marynarzami niewiele wiedział o żeglowaniu.

Następnego ranka słońce wstało jasne i czyste, na niebie nie uświadczylbyś ani jednej chmurki, więc Gunda postanowił się zapoznać bliżej z nową zabawką.

Z początku rzecz jasna nie szło mu najlepiej, niejeden marynarz skomentował jego wysiłki barwnym przekleństwem, lecz w miarę upływu czasu nabierał coraz większej wprawy i po kilku dniach ocenił, iż powinien dać sobie radę na morzu, jeśli tylko nie trafi się jakaś większa katastrofa.

Wtedy wrócił do obozu wojskowego dowiedzieć się, jak sobie radzi Andar.

- To jeszcze potrwa - przyznał zastępca komandora. - Trudno mi znaleźć wystarczającą liczbę statków.

- Ile będziesz potrzebował?

- Co najmniej setkę. Nie da się osiemdziesięciu tysięcy ludzi stłoczyć na jednej krypie.
- To ja w takim razie wsiadam na „Albatrosa” i płynę.
- Na „Albatrosa”, powiadasz.
- To ładne imię. Kojarzy się z morzem. Albatros to kuzyn mewy, tak?
- Marynarze wierzą, że te ptaki zwiastują nieszczęście.
- Przesady, zabobony.

Andar w milczeniu pokręcił głową.

- Czy Narasan w końcu doszedł do siebie? - spytał poważnie. - Bo przecież całkiem się załamał po śmierci siostrzeńca.

- Wydaje się, że stanął na nogi. Wojna w innej części świata pomaga mu uporać się tą stratą. Padan stale ma na niego oko, da nam znać, jak się trzyma nasz ulubiony dowódca. No, czas na mnie. Dowiem się, gdzie Narasan życzy sobie mieć armię, i wrócę do was z tą wieścią.

- Oczywiście zakładając, że znajdę dość statków na przerzucenie całego wojska za jednym zamachem - burknął Andar. - Może trzeba będzie obrócić dwa razy. Nie wiedzieć czemu, w Castano brakuje ostatnio jednostek pływających.

- Zrób, co się da - powiedział Gunda. - Do zobaczenia za jakieś dwa tygodnie.

- Jeśli o mnie chodzi, nie musisz się śpieszyć. Czy się stoi, czy się leży, żołądek się należy.

*

Gunda postawił żagiel o brzasku następnego dnia i „Albatros” ruszył przez lekko spienioną wodę przystani. Wkrótce wypłynął na pełne morze, a wtedy przed samotnym podróżnikiem otworzyło się wiele różnych możliwości. Najpierw odkrył, że dobrze ustawiony żagiel pozwala mu ciąć fale jak ostry nóż masło. Liny skrzypiały, a dziób zdawał się syczeć, gdy łódka pruća na północ. Po jakiejś godzinie doszedł do wniosku, że zaczyna czuć jej reakcję na dotyk fal.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy postanowił rzucić kotwicę, by rankiem znaleźć się mniej więcej w tym samym miejscu. Wylał czerpakiem większość wody, jaka się wdarła do łódki w ciągu dnia. Postanowił przy pierwszej okazji zlikwidować wszystkie przecieki.

Następnego dnia wyruszył w drogę o świcie i późnym popołudniem ujrzał południowy brzeg bariery lodowej. Najwyraźniej „Albatros” płynął szybciej, niż się wydawało, a już z pewnością znacznie prędzej niż niezgrabne trogickie statki handlowe, które zawiozły na Dhrall część armii Narasana.

- Jesteś fantastyczna - stwierdził Gunda z uśmiechem, poklepując burtę łodzi.

O zachodzie słońca wpłynął w kanał lodowy i od razu przycumował „Albatrosa” do ogromnej kry lodowej. Nie miał zamiaru brnąć w ciemnościach.

Tej nocy spał, kołysany lekką falą, jak niemowlę w kołysce. Obudził się wraz z pierwszymi promieniami słońca, postawił żagiel i ostrożnie wpłynął w szeroki na jakieś dwa kilometry kanał.

Mniej więcej około południa następnego dnia dotarł do północnego brzegu bariery lodowej. Wreszcie mógł odetchnąć z ulgą. Chociaż w zasadzie podróż kanałem nie groziła żadnym niebezpieczeństwem, to jednak wiszące nad głową lodowe góry przyprawiły go o ciarki.

Zaraz po wypłynięciu ze strefy lodu złapał wiatr w żagiel i „Albatros” z nowym entuzjazmem skoczył do przodu. Gunda usiłował się trzymać, nie poddawać uskrzydleniu, stać twardo nogami na ziemi, lecz w końcu skapitulował wobec uczuć, jakie opanowują większość żeglarzy.

- Cóż... - mruknął pod nosem. - Nikomu nie dzieje się krzywda, więc co za różnica?

Dwa dni później dotarł do południowego wybrzeża krainy pana Yeltana, kolejny dzień zajęło mu dopłynięcie do najdalej na wschód wysuniętego przylądka. Od razu zauważył, że ziemia była głównie wykorzystywana pod uprawy, wioski ciągnące się wzdłuż plaży robiły wrażenie miłych i porządných. Teraz, gdy na dobre rozgościło się lato, rola błyszcząca żywą zielenią bujnej pszenicy, odcinając się pięknie od kremowego piasku plaż i błękitnego nieba poznaczonego śnieżnobiałymi obłoczkami.

Płynąc na północ wzdłuż przylądka, Gunda uświadomił sobie całkowicie jasno, dlaczego Castano wydało mu się brzydkie. Z wielką niechęcią, lecz jednak musiał przyznać, że w porównaniu z czystą przestrzenią Dhrallu świetne Imperium Trogickie było brudne i wstrętne, a cuchnęło jak otwarte ścieki.

Kolejnego dnia po południu ujrzał przedziwną flotę. Rozłożyste, płaskodenne trogickie statki kotwiczyły burta w burtę ze smukłymi okrętami Maagsów. Podpłynął do „Zwycięstwa”, jednostki, którą dowodził jego kuzyn Pantal, i zobaczył tam także swojego przyjaciela Padana.

- Ahoj! Padanie! - zawołał.

- Gunda! To ty? - Padan był wyraźnie zdziwiony. - A gdzie armia?

- Pewnie jeszcze w Castano. Andar ma kłopoty z wynajęciem statków. Może trzeba będzie zrobić dwa kursy. - Przywiązał dziób „Albatrosa” do łańcucha kotwicznego „Zwycięstwa”. - Muszę pogadać z komandorem. Powinienem wiedzieć, gdzie ma się zjawić armia.

- Niezła myśl - przyznał Padan. - Wskakuj na pokład, przyjacielu. Mamy dla ciebie świeże wieści.

Gunda wspiał się po sznurowej drabince i uściskał rękę przyjacielowi z dziecinnych lat.

- Tęskniliśmy za tobą - powiedział Padan. - Ale, ale, skąd ci się wzięła ta mikra łódeczka? Zdziwiłem się w pierwszej chwili, bo bardzo podobna do tej, którą miał pan Veltan, a tej nie spodziewałem się więcej zobaczyć.

- To znaczy, że pan Veltan odpłynął?

- No nie, nie on nią popłynął. Ukradł ją Jalkan. Wyobraź sobie, popełnił wreszcie gruby błąd, na który wszyscy czekaliśmy, więc stracił wszelkie dystynkcje i Narasan kazał go zakuć w łańcuchy.

- Dawno nie słyszałem lepszych wieści - uznał Gunda z szerokim uśmiechem. - A co ten łotr nawywijał, że nasz komandor wreszcie uznał za stosowne go ukarać?

- Obraził żonę jednego z najbliższych przyjaciół pana Veltana.

- Pewnie mało subtelnie?

- Owszem. Komandor Narasan mało nie wyszedł z siebie, słysząc jego obraźliwe słowa, natychmiast odebrał mu wszelkie prawa.

- Życie czasem bywa piękne - westchnął Gunda. - A co ma z tym wspólnego łódka pana Veltana?

- Do tego zmierzam. Zaprowadziłem łotra na plażę i zamknąłem go w kajucie, tutaj, na „Zwycięstwie”. Przykułem do ściany, a drzwi kajuty zabarykadowałem od zewnątrz. Miałem pewność, że w żaden sposób nie zdoła uciec, tymczasem cudem jakimś uwolnił się z kajdanów, otworzył drzwi i przemknął na stateczek pana Veltana, który stał na kotwicy niedaleko. Jak się obudziłem, nie było już ani łódki, ani Jalkana.

- Człowieku! Dostaniesz za swoje!

- Wiem - zgodził się Padan ponuro. - Nie pierwszy raz dostanę po uszach, ale tym razem faktycznie mi się należy. Zawaliłem sprawę.

- Biedne maleństwo! - wykrzyknął Gunda z udawanym współczuciem. - Powiedz mi, gdzie znajdę naszego wspaniałego dowódcę?

- Pewnie w zamku pana Veltana. W pomieszczeniu z mapą. - Padan zamilkł na chwilę.

- Raczej nie dasz się przekonać, żeby przemilczeć to, co ci właśnie powiedziałem?

- To byłoby bardzo nie w porządku, przyjacielu. A dla mnie zawsze istotne było stosowne zachowanie.

*

Komandor Narasan rzeczywiście był bardzo niezadowolony, gdy dowiedział się od Gundy o ucieczce Jalkana.

- Dlaczego Padan nie zostawił warty przy tym szczurze? - zapytał.

- Będziesz musiał o to zapytać jego - odparł Gunda. - Ja natomiast chciałbym wiedzieć, gdzie dokładnie Andar ma sprowadzić armię. Jest szansa, że wypłynęli już z Castano, więc powinienem ruszyć im na spotkanie.

- Chodźmy. Najlepiej będzie o tym rozmawiać w sali odpraw. Kilka dni drogi na północ stąd jest ujście dużej rzeki. Flotylla powinna dopłynąć do konkretnego miejsca w stronę jej źródła... - Spojrzał na przyjaciela, jakby go dopiero teraz zobaczył. - Jak to się stało, że tak znacznie wyprzedziłeś główne siły?

Gunda wzruszył lekko ramionami.

- Kupiłem w Castano jolkę. Nazwałem ją „Albatros”. Mknie prawie dwa razy szybciej niż każdy trogicki statek.

- Ile za nią zapłaciłeś?

- Nie potrafię ci odpowiedzieć na to pytanie - stwierdził Gunda. - Klucz do skarbcza trzyma Andar, więc on się targował, a ja w tym czasie poszedłem szukać rad, co robić, żeby łódka płynęła, a nie próbowała fruwać.

- Oj, bo się popłaczę ze śmiechu.

- Cieszę się, że poprawiłem ci humor, przyjacielu.

- Masz kłopoty, kuzynie - odezwał się Pantal, gdy następnego dnia Gunda podpłynął szalupą do „Zwycięstwa”.

- Tak? Jakie?

- Planowałeś może dzisiaj wypłynąć na morze?

- Rzeczywiście, taki miałem zamiar.

- Widzisz, twoja łódka nie poszła na dno tylko dlatego, że jest przywiązana do łańcucha kotwicznego statku.

- Co ty wygadujesz?!

- Chodź, sam zobacz. - Pantal rzucił przez burtę statku sznurową drabinę.

Gunda wspiął się na pokład i poszedł za kuzynem na drugą stronę „Zwycięstwa”. Tam aż przetaił oczy z niedowierzania. Rzeczywiście, tak jak powiedział Pantal, lina cumownicza „Albatrosa” prowadziła ostro w dół, pod wodą widać było zamazany kształt jolki.

- Co jej się stało?

- Tak na moje oko, to zatonała.

- Jakiś bandyta wyrąbał jej dziurę w dnie? Pantal pokręcił głową.

- Wystawiłem strażę. Nikt się nie zbliżał do statku. Powiedz no mi, kto ci sprzedał tę łajbę?

- Jakiś stary rybak.

- Niech zgadnę. Sterany życiem i wiecznie pijany?

- Znasz go?

- Tego konkretnego pewnie nie, ale w Castano nietrudno o takiego typu. W miarę jak mijają lata, zaczynają się skarżyć na wszelkie dolegliwości związane z wiekiem. Wszyscy są do siebie podobni. - Przerwał. - Czy ty kiedykolwiek słyszałeś słowo „uszczelnić”.

- A co dokładnie masz na myśli?

- Pewną nieszczególnie sympatyczną pracę. Każda łódź, każdy statek zbudowany jest z desek. Zwróciłeś na to uwagę?

- Daj spokój idiotycznym dowcipom.

- Niezależnie od tego, jak ciasno się te deski ułoży, woda i tak będzie się między nimi przesączała. Marynarze radzą sobie z tym problemem za pomocą młotka, dłuta i konopi. Właśnie konopiami uszczelnia się szpary między deskami. Woda nadal będzie się wciskała w każdą szparę, ale wtedy działa to na naszą korzyść, bo gdy konopie zawilgotnieją, pęcznieją i puchną, a w ten sposób uszczelniają kadłub. Innymi słowy, wystarczy, że uszczelnisz „Albatrosa”, a będzie mknął jak na skrzydłach.

- Jak często mam to robić?

- Zwykle wystarcza raz do roku. Jeśli masz zamiar pływać po burzliwych wodach, nie zaszkodzi powtórzyć dwukrotnie. Czy rozumiesz teraz, dlaczego staruszek postanowił sprzedać łódkę? Pewnie sama myśl o jej uszczelnianiu przyprawiała go o koszmary.

- Nie mam bladego pojęcia, jak się do tej roboty zabrać - przyznał Gunda.

- I nikt się tego po tobie nie spodziewa. Moi ludzie ci pomogą. Ale im zapłacisz.

- Tak podejrzewałem.

- Darmo nie ma na tym świecie nic - stwierdził Pantal. - No, zapraszam do mojej kajuty, pogadamy o cenie.

*

Ludzie Pantalą wyciągnęli „Albatrosa” na powierzchnię, wylali z niego wodę i zataszczyli go na plażę. A potem rozpoczął się długotrwały, powolny proces uszczelniania kadłuba.

- Szczęściarz z ciebie, Gunda - stwierdził Pantal. - Często wyle wałeś wodę w drodze? Gunda wzruszył ramionami.

- Ze trzy razy. Ten stary rybak mnie uprzedził, że łódka trochę przecieka, więc

powiniennem mieć na nią oko. Nie bardzo rozumiem, co się stało, że cała poszła pod wodę.

Tym razem Pantal wzruszył ramionami.

- Mogło się na to złożyć kilka przyczyn: zimniejsza woda, mocniejsza fala, większy uszczerbek w starym uszczelnieniu... trudno powiedzieć. Tak czy inaczej mogła ci pójść na dno na środku morza.

- Pogadam sobie z tym starym, jak wrócę do Castano - burknął Gunda. - Ile potrwa to uszczelnianie?

- Kilka dni.

- Mógłbyś pchnąć do tego więcej ludzi? Zaczyna mi się śpieszyć.

- To bez sensu. Przeszkadzałyby sobie wzajemnie. Łódka nie jest duża, nie wsadzę do niej dwudziestu marynarzy.

I tak wlokły się dni, kiedy ludzie Pantalą uszczelniali jolkę, a Gunda większość czasu spędzał w pokoju odpraw pana Veltana, przyglądając się okolicy, gdzie wedle wszelkich znaków na niebie i na ziemi miało dojść do starcia.

Wszystko wskazywało także na to, że Narasan wkrótce będzie potrzebował całej swojej armii. Ponieważ „Albatros” ciągle nie był gotów, Gunda zaczął przemyśliwać o innych sposobach zawiadomienia Andara.

*

- Teraz już możesz płynąć, kuzynie - oznajmił Pantal kilka dni później. - Szczerze powiem, łódeczka może cię zaskoczyć. Przez ostatnich parę lat była niezbyt dobrze traktowana, teraz wreszcie pokaże, co potrafi.

- Mam nadzieję. Naprawdę czas na mnie. Właściwie powiniennem był spotkać się z Andarem już ze cztery dni temu.

- No, aż taka szybka to ona raczej nie będzie.

- Mimo wszystko sprawdzę. Nigdy nie wiadomo. Mamy teraz pełnię księżyca, jeśli niebo będzie czyste, nie muszę rzucać kotwicy po zachodzie.

- Drogi kuzynie... - Pantal zerknął na Gundę, przechyliwszy głowę. - Nie jest to najlepszy pomysł pod słońcem. Ale jeśli koniecznie chcesz żeglować nocą, trzymaj się z dala od brzegu i skalistych wysepek.

- Będę ostrożny - zapewnił go Gunda. - Ale muszę się śpieszyć. Narasanowi armia potrzebna jest tutaj, a nie w Castano.

*

Pantal nie docenił możliwości odremontowanej łódki. Chwilami „Albatros” frunął po falach, jakby zamierzał zgodnie ze swoim imieniem wzbić się w powietrze. Zwolnił nieco

dopiero po drugiej stronie wschodniego cypla, gdyż musiał tam walczyć z przeciwnym wiatrem. Po krótkim czasie Gunda opuścił żagiel i siadł do wiosel.

Na szczęście wiatr zmienił kierunek, zanim pęcherze na dłoniach zaczęły mu krwawić.

Po krótkim czasie Gunda odkrył równy spokojny prąd opływający od północy barierę lodową, akurat ze wschodu na zachód. Lepiej być nie mogło. Dzięki temu dotarł do kanału w lodzie w ciągu dwóch dni. Oczywiście korzystał także z pełni księżyca, toteż w efekcie znalazł się u wylotu kanału mniej więcej we właściwym czasie. Zaczynał już odczuwać skutki nieprzespanych nocy, więc pozwalał sobie na pięć, czasem sześć godzin snu. Postanowił nadrobić zaległości w spaniu przy pierwszej okazji po dotarciu do Castano.

Czwartego dnia podróży późnym popołudniem ujrzał na horyzoncie północne wybrzeże imperium.

- No, no! - mruknął zadowolony. - Pokazałaś, co potrafisz. - Po gładził burtę łodzi. - Jak tylko dotrzemy do brzegu, ty odpoczniesz, a ja pójdę spać. - Zamilkł na chwilę, po czym roześmiał się głośno.

- Tak. Przespać się muszę koniecznie. Nie do pomyślenia, żebym oczekiwał odpowiedzi od łodzi.

Tymczasem jednak musiał zmienić plany. Gdy dotarł do przystani, nie było mowy o odpoczynku. Zdumiony ujrzał, że dosłownie przy każdym słupie w porcie tłoczą się statki gotowe do drogi, a na ich pokładach roi się od czerwonych mundurów armii Kościoła.

- Co oni tu robią?! - krzyknął Gunda.

Przycumował „Albatrosa” w pewnej odległości od kościelnej armady, przytroczył go liną do drzewa i poszedł wzdłuż miejskich murów do obozu armii Narasana. Minąwszy bramę, skierował się od razu do sztabu.

- Gdzieś ty się podziewał? - zagrział Andar na jego widok.

- Musiałem zostać na Dhrallu trochę dłużej, niż planowałem - odpowiedział Gunda. - A co tu się dzieje? Gdzie człowiek spojrzy, tam kościelne krypy.

- Nie wiadomo. Nie puszczają pary z ust. Kościelna armia przy była tu ze trzy dni temu, a potem ich flota zawinęła do przystani. Za jęli cały port, więc nawet nie mogę załadować ludzi na wynajęte statki. Nie wiem, dokąd wybierają się szacowne czerwone mundury, ale z pewnością planują potężną kampanię.

Gunda zaklął szpetnie.

- Co się stało? - spytał Andar. - Dlaczego przeklinasz?

- Jalkan! - warknął Gunda, po czym dorzucił jeszcze kilka barwnych wulgaryzmów.

- Proszę cię, zacznij się zachowywać. Nie przeklinaj przy dzieciach - zażartował

zastępca komandora.

- Najwyższy czas, żeby dorosły. - Gunda opanował się wreszcie. Pokrótce opowiedział przyjacielowi o przykrym zdarzeniu, jakie spowodował Jalkan, i jak został za to ukarany.

- No to mamy powód do radości - ocenił Andar.

- Niezupełnie, bo na tym się nie skończyło. Jalkan cudem jakimś jednak zbiegł, a następnie ukradł łódkę pana Veltana i zniknął. A my obaj doskonale wiemy, dokąd pożegłował, prawda?

- Patrząc na to, co się dzieje w Castano, zaryzykowałbym stwierdzenie, że pognął natychmiast do centralnego convenium w Kaldacinie, na prawo i lewo szafując słowem „złoto”. Najwyraźniej któryś z wysoko postawionych duchownych postanowił go wesprzeć. To wyjaśnia, dlaczego Kościół zawłaszczył całe nadbrzeże portowe.

- Na dodatek nic z tym nie zrobimy. Masz jakieś pojęcie, ilu żołnierzy zostało zaokrętowanych?

- Kościelne wojsko ma swoje sztandary, jak każde inne. Posłałem ludzi na zwiady, naliczyli pięć armii.

Gunda skrzywił się szkaradnie.

- Czyli jakieś pięćset tysięcy ludzi. Niedobrze. Już nam się szykuje jedna wojna, teraz najwyraźniej druga... Nie wiesz, kiedy mają zamiar wypłynąć?

- Podejrzewam, że najdalej za dwa dni - odpowiedział Andar. - Ale, ale, powinieneś wiedzieć o czymś jeszcze. Wczoraj zawinęło do portu kilka statków z czarnymi żaglami, a ich kapitanowie dłuższy czas uzgadniali coś z wysoko postawionymi duchownymi. Obaj doskonale wiemy, co to znaczy.

- Handlarze niewolników. Tylko po co... - Urwał, nie dokończywszy zdania. - Oczywiście. Armia kościelna wcale nie zamierza atakować Narasana. Niewolnicy są prawie równie cenni jak złoto, a nie trzeba z nikim walczyć, żeby ich zdobyć. Przynajmniej w krainie, gdzie narzędzia i broń robi się z kamienia.

- Pewnie masz rację. Szkoda, że mąż pięknej damy nie posunął się o krok dalej i nie zabił drania. Najlepszą nagrodą za jego zachowanie byłby miecz w brzuchu albo topór między oczami. Przy okazji nasze problemy skończyłyby się, zanim się zaczęły.

- Miałem okazję poznać tego człowieka. To jeden z tych przyzwoitych. Fakt, że przyłożył łotrowi po pysku, to i tak niemałe osiągnięcie.

- Ludzie honoru czasem postępują wbrew rozsądkowi - westchnął Andar.

*

Tak jak przepowiedział zastępca komandora, kościelna flota wypłynęła z Castano dwa dni później. Wówczas Gunda zdjął galowy mundur, włożył codzienne ubranie, rzucił kilka zwiniętych sieci na dziób „Albatrosa” i wypłynął na północ. Z łatwością wyprzedził ciężką armadę, dotarł do bariery lodowej tuż po południu następnego dnia. Zarzucił sieci mniej więcej kilometr od południowego wlotu do tunelu Veltana i czekał.

O zmierzchu pojawiły się pierwsze czerwone żagle. Statki rzuciły kotwice.

- Wloką się jak żółwie - stwierdził Gunda.

Zgodnie z przewidywaniami o świcie kościelna flota ruszyła w dalszą drogę. Jak po sznurku wpłynęła do kanału w barierze lodowej.

- No to już wszystko wiemy - uznał Gunda.

Łódź co prawda nie odpowiedziała głośno, ale zakołysała się, wyraźnie potakując.

- Czas wracać do Castano. Zawiadomimy Andara, co zamierza kościelne wojsko.

Andar złamał kilka reguł, okrętując armię Narasana. Nie obyło się bez protestów, gdy oznajmił, że nie będzie osobnych kajut dla oficerów, a ponieważ zapowiadała się piękna pogoda, nie istniała konieczność, by wszyscy żołnierze mieli dach nad głową. Tak więc z przystani wypłynęły statki zatłoczone do granic możliwości, ale dzięki temu całe wojsko ciągnęło na północ, choć nie udało się najać odpowiedniej liczby statków. Andar nie zwykł się przejmować drobiazgami. Najważniejsze było osiągnięcie celu.

Prowadzący statek wziął „Albatrosa” na hol. Gdy zbliżył się do kanału w barierze lodowej, Gunda zawitał w zatłoczonej kabinie pełniącej funkcję kwatery sztabu.

- Przyszło mi do głowy - zwrócił się do Andara - że powinniśmy zachować najwyższą ostrożność, wypływając z kanału. Trzymaliśmy się w takiej odległości od południowego brzegu Dhrallu, żeby nas stamtąd nikt nie zobaczył. Pięć armii to kupa luda, byłoby lepiej, żeby kościelni żołdacy w niczym się nie zorientowali. A ja popłynę „Albatrosem” trochę bliżej brzegu i zorientuję się, co zamierzają.

- Tylko nie ryzykuj - przestrzegł go Andar. - Jeśli coś ci się stanie, Narasan mi nie daruje.

- Będę na siebie uważał. Wystarczy, jeśli się zorientuję, czy kościelne statki zakotwiczyły wzdłuż brzegu. Jestem właściwie pewien, że tak się stanie, ale lepiej sprawdzić. Nie będziemy musieli ich potem szukać.

Kilku marynarzy pomogło Gundzie podciągnąć łódź bliżej statku. Zsunął się po holu na pokład „Albatrosa”, odwiązał go i podniósł żagiel. Wkrótce wyprzedził „Zwycięstwo” i wpłynął do kanału, o zmierzchu był już na pełnym morzu i skierował się w stronę południowego wybrzeża Dhrallu. Ponieważ wiedział, że gdy wzejdzie księżyc, będzie miał

dość światła, zakotwiczył nieco na północ od bariery lodowej, by poczekać na sprzyjające warunki.

Mniej więcej o północy podniósł kotwicę i powiosłował w stronę brzegu. Nie stawiął żagla, żeby go nikt nie zauważył.

Osady leżące wzdłuż brzegu lśniły ognikami latarni. Podpłynął do kilku, uważnie rozejrzał się po okolicy. Ogromne statki zacumowane przy brzegu rzucały się w oczy. Natomiast na łódce zainteresowały go dziwaczne zagrody pilnowane przez strażników w czerwonych mundurach.

- Wygląda na to, że mieliśmy rację - mruknął pod adresem ło dzi. - Dość już zobaczyłem. Wracajmy pogadać z Andarem.

*

Trzy dni później „Zwycięstwo” na czele floty dotarło do najbardziej na wschód wysuniętego półwyspu na południowym wybrzeżu krainy pana Veltana. Zdumiony Gunda ujrzał całą flotę maagsowskich statków sunącą z północy w wyraźnym pośpiechu. Piraci byli w bojowym nastroju. Zszedł po sznurowej drabince na pokład „Albatrosa” i popłynął na wiosłach do „Mewy”.

- Co się dzieje?! - zawołał do pierwszego oficera.

- Mamy na południu drugą inwazję! - odkrzyknął Wól.

- Skąd o niej wiecie?

- Od pana Veltana. Byliśmy w górach, kiedy zjawił się znikąd i powiedział nam, że na południowym brzegu Dhrallu wylądowała trogicka flota. No i kapitan obiecał mu, że się tym zajmujemy.

- Jasne. - Gunda podciągnął „Albatrosa” do „Mewy”. - Powiniennem zamienić parę słów z kapitanem Sorganem. Podejrzewam, że potrafię wyjaśnić niektóre jego wątpliwości.

- Wchodź. - Wól zrzucił przez burtę drabinę sznurową. Akurat kiedy Gunda wspinał się na pokład, z kabiny na rufie wyszedł Sorgan.

- Co nowego? - zapytał.

- Jest reszta armii komandora Narasana - odraportował Gunda. - Szykujemy się do drogi w górę Rzeki Vasha, jak mi polecił komandor jeszcze w zamku pana Veltana. A tak przy okazji, kiedy wróciłem do Castano, okazało się, że Kościół zajął wszystkie nadbrzeża, nawet każde molo w przystani i w pośpiechu ładował na statki pięć armii. Popłynęli na północ. Wybrałem się za nimi na „Albatrosie” i widziałem, że wpłynęli do kanału w barierze lodowej. Tego się zresztą spodziewałem. Czy to nie dziwne, że doszło do tych wypadków wkrótce po tym, jak Jalkan uciekł w łodzi pana Veltana?

- Aha! Teraz wszystko rozumiem! - wykrzyknął Sorgan. - Czy wiesz dokładnie, dokąd zmierzają?

- Tak, kapitanie - odpowiedział Gunda z szerokim uśmiechem. - Postaraliśmy się, żeby nie dostrzegli naszej floty, a ja, w mojej chyżej łódce, popłynąłem w stronę południowego brzegu Dhrallu. I tam właśnie są. Wszystkie okręty pięciu kościelnych armii kotwiczą tuż przy plaży. Czerwone mundury wyroiły się przy każdej osadzie, pewnie lada moment zjawią się statki handlarzy niewolników.

- W zasadzie tego należało się spodziewać - powiedział Wół, mrużąc oczy.

- Wiedziałem, że się od razu zorientujecie. Kościół od dawna podtrzymuje tradycję niewolnictwa. Przykro mi to mówić, bo takie działanie kładzie się cieniem na reputacji imperium. Statki handlarzy mają czarne żagle. Kościelne - czerwone. Kościół amaricki uwielbia purpurę. Obwieszcza ona wszem wobec o jego ważności i potędze.

Twarz Sorganą nagle się rozjaśniła.

- Przyszedł mi do głowy pomysł, który zniechęci ich do czerwieni - oznajmił.

- Jaki?

- Ogień jest czerwony, zgodzicie się ze mną chyba? Więc podpalamy wszystkie kościelne statki. A wtedy duchowni będą się modlić, żeby już nigdy w życiu nie usłyszeć słowa „czerwony”.

- Świetna myśl - zapalił się Gunda. - Dlaczego mnie to nie przyszło do głowy?

Sorgan zaśmiał się diabolicznie.

- Powtórz Narasanowi, co uradziliśmy, a my bierzemy się do roboty.

- Tak jest, kapitanie. - Gunda uśmiechnął się szeroko. - Miłej zabawy. - Zasalutował i zszedł na „Albatrosa”.

*

Przy brzegu niedaleko domu pana Veltana zostało kilka jednostek, lecz większa część floty ruszyła już na północ, więc Gunda nie widział powodu, by się zatrzymywać.

Brzeg stawał się coraz bardziej stromy, kilka kilometrów w głąb łądu pokazały się góry.

- Malownicza okolica - zauważył Andar, wskazując postrzępioną linię wierzchołków.

- Ciesz oko, póki możesz, przyjacielu - odparł Gunda. - Jak zacznie się wspinaczka, stracisz do nich całą sympatię. Komandor Narasan pokazał mi mapę okolicy, w której najpewniej przyjdzie nam się zetrzeć z wrogiem, i daję ci słowo, nie byłem tym widokiem zachwycony. Od koryta rzeki wiedzie na szczyt wąski parów, zmieści się tam najwyżej pięciu ludzi ramię przy ramieniu. Trochę potrwa, zanim całe wojsko dotrze na górę.

- Cóż - westchnął Andar filozoficznie. - Im trudniejsza wojna, tym lepsza płaca.

- Pod warunkiem że dożyjesz dnia wypłaty - uzmysłowił Gunda przyjacielowi.

Następnego dnia późnym popołudniem dotarli do ujścia Rzeki Vasha. Wszystko wskazywało na to, że większość okrętów, którymi przybyła pierwsza partia wojska, zakotwiczyła właśnie tutaj. Mniej więcej pośrodku floty Gunda ujrzał „Zwycięstwo”, statek dowodzony przez swojego kuzyna Pantala. We dwóch z Andarem wsiedli na „Albatrosa” i popłynęli zasięgnąć języka.

- Nie bardzo wiemy, na czym stoimy - przyznał krępy Trogita. - Odkąd wojsko ruszyło w górę tym waszym parowem, zablokowało go na amen. Nie ma siły, żeby ktoś zszedł nad rzekę, więc nie mamy żadnego pojęcia, co się dzieje na górze.

- To normalna sprawa w górach - stwierdził Gunda. - Jak daleko do tego przejścia?

- Dwa dni. Znasz brygadiera Danala? Gunda pokiwał głową.

- Jest w armii Narasana prawie tak długo jak Padan i ja.

- Można uznać, że on tam dowodzi. Okazał się bardzo skutecznym. Kazał pobudować mola, dzięki czemu wyładunek poszedł dużo szybciej. Nadal boryka się z kłopotami związanymi z dostarczeniem na górę zaopatrzenia, bo człowiek niosący pięćdziesięciokilowy wo rek nie porusza się szybko, zwłaszcza w tych warunkach.

- Są jakieś zdradzieckie miejsca na rzece? - zapytał Andar. Pantal pokręcił głową.

- Nie, aż do parowu popłyniecie spokojnie. Podobno bliżej źródła robi się kapryśna, tak twierdzą miejscowi, ale to już nie wasz problem.

- Doskonale. W takim razie wyruszamy jutro o świcie - zdecydował Andar. - My też potrzebujemy trochę czasu na zejście wojska na ląd, więc im szybciej, tym lepiej.

Jak powiedział, tak zrobił. Następnego dnia bladym świtem ruszyli w dalszą drogę. Andar ze zdumieniem patrzył na gigantyczne drzewa.

- Jak myślisz, ile czasu musi rosnąć drzewo, żeby sięgało tak wysoko? - spytał.

- Nie mam bladego pojęcia. Pewnie z pięćset lat. A może i tysiąc?

- Potrafisz sobie wyobrazić, że coś żyje tysiąc lat?

- To musi być strasznie nudne. Tkwić tyle czasu w jednym miejscu...

- Wiesz, wczoraj wieczorem przyszło mi coś do głowy...

- A co, zastanawiałeś się, czy spać na plecach, czy na brzuchu?

- Myślałem też o paru innych sprawach. Twój kuzyn powiedział nam, że ludzie niosący zapasy stanowią prawdziwą zawalidrogę.

- Rzeczywiście, wspomniał.

- Gdyby nie taszczyli aż takich ciężarów, poruszałiby się szybciej, prawda?

- Trudno się z tym sprzeczać. Dążysz do czegoś konkretnego?

- Chcesz usłyszeć, co mam do powiedzenia? Czy wolisz się ze mnie nabijać?

- Wybacz. Przedstaw mi swój wielki plan.

- Można by podzielić ten ładunek powiedzmy na cztery części. Jakies dwanaście i pół kilograma nie jest dla normalnego mężczyzny specjalnym obciążeniem, zgodzisz się ze mną?

- Zgodzę. Do czego nas to prowadzi?

- Mamy osiemdziesiąt tysięcy ludzi. Jeśli każdy z nich weźmie, powiedzmy, dwanaście i pół kilograma zaopatrzenia, możemy zanieść na górę masę towaru. Dokładnie milion kilogramów.

Gunda zamrugął.

- Doznałeś olśnienia we śnie?

- Niezupełnie. Dokonałem obliczeń na kartce. Milion kilogramów to tysiąc ton.

- Sporo jedzenia - stwierdził Gunda.

- Skoro wojsko i tak idzie na górę, to niech żołnierze niosą zapasy, a nie tylko rozkoszują się widokami.

*

- Kto wpadł na genialny pomysł rozpięcia lin na długości całego parowu? - spytał Gunda Danała. Z podziwem spoglądał na strome ściany.

- Jeden młodzik, Keselo.

- Mogłem się domyślić.

- A co, taki z niego bystrzak? - spytał Andar.

- Czasami można odnieść wrażenie, że jeszcze odrobina, a jego inteligencja lśniłaby w ciemnościach - odparł Gunda kwaśno. - Wkurza mnie do granic możliwości. Młodzi żołnierze powinni być głupi, a on łamie tę zasadę za każdym razem, kiedy otworzy usta. Mądrość jest zarezerwowana dla nas, starszyny, a ten smarkacz bez przerwy wchodzi na nasze terytorium.

- Wyprostował ramiona. - No, czas na mnie. Muszę donieść Narasanowi, co się dzieje z resztą jego ludzi.

- Nie zapomnij wziąć plecaka z ładunkiem - odezwał się Andar.

- Coś ty! Przecież będę się śpieszył.

- Oficer powinien dawać przykład.

- A ty musisz mi o tym przypominać!

- To mój obowiązek - odpowiedział Andar z szerokim uśmiechem. - Ciężkie brzemię, ale jakoś je uniosę. Bierz plecak. Nie dyskutuj.

- I co w nim jest takiego, co uszczęśliwi naszego komandora?

- Zdaje się, że fasola, prawda, Danału? Danał pokiwał głową.

- Fasola? - powtórzył Gunda z niedowierzaniem. - Zmywasz mi głowę z powodu woreczka fasoli?

- Wolałbyś nosić kamienie?

*

Nizina nad wodospadem wyglądała normalnie - ot, trawiasta równina oznaczona kępkami drzew. Dopiero gejzer będący źródłem Rzeki Vasha robił wrażenie. Gunda po raz pierwszy w życiu miał okazję zobaczyć to zjawisko. Aż trudno mu było sobie wyobrazić, jak wielkie ciśnienie musi panować pod ziemią, skoro woda tryskała na jakieś trzydzieści metrów w górę, i to w takich ilościach, że dawała początek rzece, która u ujścia miała co najmniej dwa kilometry szerokości.

W cieniu drzewa u wylotu parowu odpoczywał sierżant. Na widok Gundy podniósł się i pozdrowił go regulaminowym salutem.

*

- Ludzie komandora założyli obóz na północnym końcu równiny - odraportował, wskazując w stronę poszarpanej linii górskich szczytów. - Komandor Narasan czeka na pana i na resztę wojska.

- Czy nieprzyjaciel już zaatakował?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- To już coś, jak przypuszczam.

Gunda podniósł plecak i ruszył we wskazanym kierunku.

Pasma górskie, oglądane z bliska, zdawało się zawałone w wyniku jakiejś naturalnej katastrofy, choć jednocześnie skalne urwiska przywodziły na myśl ściany i mury nękane pociskami z katapult co najmniej przez rok na okrągło. Gundzie trudno było ocenić dlaczego - może z powodu przedziwnych kamieni występujących w tej okolicy - ale miał wrażenie, że skały zostały stworzone raczej przez człowieka niż przez naturę. Wierzchołki były nieomal całkowicie czarne, a skruszone zmieniały się w głązy o gładkiej powierzchni. Czarne skały odcinały się żywo od czerwonego stoku i dalekiej niziny, także pokrytej czerwonymi kamieniami. O ile dobrze sobie przypominał, skały i piasek o takim zabarwieniu świadczyły o zawartości żelaza. Dziwne. Skoro tyle było rudy żelaza w okolicy, dlaczego miejscowi wytwarzali narzędzia i broń wyłącznie z kamienia?

Skwitował ten problem wzruszeniem ramion i wszedł do obozu wzniesionego od południowej strony górskiego łańcucha.

- Niezły masz czas - zauważył Narasan. - I dobrze, bo zaczynaliśmy się zastanawiać,

czy przypadkiem nie natknąłeś się na kościelną flotę przy południowym brzegu Dhrallu.

- Miałem trochę szczęścia. Zastałem kościelną flotę jeszcze w Castano. Zajęli wszystkie miejsca w porcie, szpilki by nie wcisnął. Kiedy popłynęli na północ, ulokowałem się przy kanale w barierze lodowej, żeby sprawdzić, czy faktycznie płyną na Dhrall. Oczywiście wpłynęli w kanał. Wtedy pogałem z powrotem do Castano, Andar złamał wszystkie możliwe przepisy dotyczące transportu ludzi, bo nie zapewnił osobnych kwater oficerom, nie wszyscy mieli w ogóle dach nad głową, ale udało mu się wcisnąć armię na statki, które zdobył do tej pory. Droga nie była bezpieczna. Przeładowanym jednostkom zagrażał najmniejszy sztorm.

Narasan skrzywił się lekko.

- Mów dalej.

- Nie rób min, przyjacielu. Latem ryzyko sztormu jest niewielkie, a przecież nam się śpieszyło. No cóż, wracając do sprawy, przy południowym wybrzeżu spotkaliśmy Sorgana ogarniętego gorącą chęcią spalania całej kościelnej armady.

- I bardzo dobrze - stwierdził Narasan. - Nie chciałbym, żeby moja armia znalazła się między młotem a kowadłem.

- Co taszczysz w plecaku? - zainteresował się Padan.

- Powiem ci, jeśli obiecasz, że nie będziesz się śmiał.

- Dlaczego miałbym się śmiać?

- Andar wymyślił którejs nocy, że zamiast nosić zaopatrzenie armii w wielkich pakach po pięćdziesiąt kilogramów, jak kazał Danal, można to zrobić inaczej. Ludzie niosący ciężki bagaż stawali się zawalidrogami, przez nich w tym wąskim parowie cała armia poruszała się w zółwym tempie. zaproponował, żeby każdy z idących w górę wziął czwartą część takiego ładunku.

- Nigdy bym na to nie wpadł - przyznał Narasan.

- I cóż ty tam takiego taszczysz? - naciskał Padan.

- Fasolę. - Gunda podsunął Padanowi pod nos zaciśniętą pięść.

- Zwykłą fasolę. I nie radzę ci się śmiać.

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło, przyjacielu - odparł Padan z powagą.

- Doskonale. W takim razie nie stracisz zębów. - Gunda odwrócił się ponownie do komandora Narasana. - Czy ktoś już widział nieprzyjaciela?

- Jak dotąd nikt. Ale wróg już się dowiedział o naszej obecności. Wszystko wskazuje na to, że ta istota, którą tubylcy nazywają Vlagh, znowu eksperymentuje. Wysłała zwiadowców na przeszpiegi. Tym razem są to nie węże, ale nietoperze. Zęby jadowe mają,

jak najbardziej.

- Innymi słowy, latające węże?! - krzyknął Gunda.

- Nie jest tak źle, jak mogłoby się wydawać - uspokoił go Padan. - Ten sprytny Maags, który pracuje dla Sorgana, zaproponował, żebyśmy rozwiesili nad obozem sieci. Jak dotąd jego pomysł się sprawdza. Nikt nie został ukąszony. Jak dotąd.

- Jeśli jeszcze raz usłyszę od ciebie „jak dotąd”, to chyba dostanę wysypki - burknął Gunda. - Irytujesz mnie, przyjacielu.

- Po prostu opowiadam ci, na czym stoimy.

- Cieszę się, że przyszedłeś pierwszy - przerwał im Narasan.

- Jesteś ekspertem w budowie fortów, a mamy tu pewien kłopot.

- Jaki?

- Rozejrzyj się dookoła, a zobaczysz, że nizina otoczona jest dość stromymi szczytami. Tylko w północnym paśmie pojawiło się szerokie przejście, a przecież właśnie z tej strony musimy oczekiwać ataku. Przełęcz ma jakieś dwa kilometry szerokości, pewnie całe lato zajmie nam budowanie fortu o tak długiej ścianie. Padan kazał ludziom zwijać się z robotą, ale mimo wszystko idzie to bardzo powoli.

- Drogi Narasanie, obawiam się, że przespałeś parę lekcji - oznajmił Gunda bez ogródek. - Jeśli chcesz zablokować przejście tej wielkości, budujesz mur, a nie fort. Wybrałem się nawet swego czasu na wschód od Kaldacinu, obejrzałem taki mur rozdzielający miasta Falka i Chalan. Ich mieszkańcy serdecznie się nienawidzą. W którymś momencie władcom udało się osiągnąć jedyny chyba kompromis i postawili mur skutecznie dzielący obie miejscowości.

- Tyle że ani węże, ani robaki nie uznają muru za trudną przeszkodę - zaproponował Padan.

- A, to zależy. Jeśli mniej więcej co sto metrów rozmieścisz wieże obronne, jeżeli obsadzisz te wieże łucznikami, wróg nie będzie miał wielkich szans.

- Może i racja - zastanowił się Padan.

- Warto spróbować - uznał Narasan. - Każde sensowne rozwiązanie jest mile widziane. Ten problem już od jakiegoś czasu spędza mi sen z powiek.

- Teraz możesz spać spokojnie, o wielki dowódco - zaśmiał się Gunda. - Wierny przyjaciel wybawił cię z kłopotu.

- Przestań błaznować.

- Wobec tego spytam zupełnie poważnie: co mam zrobić z tą nieszczęsną fasolą? Zaczynam mieć dosyć biegania z ładunkiem.

*

- To się nazywa bazalt - wyjaśnił Keselo. - Prawie niespotykany w imperium, natomiast dość powszechny na terenach wulkanicznych.

- Dlaczego ma takie gładkie boki? - zapytał Gunda.

- Nie jestem pewien. Nasz wykładowca na kaldacińskim uniwersytecie nie wdawał się w szczegóły, opisując skały rzadkie w imperium.

- Czy istnieje jakaś dziedzina wiedzy, której nie uczyli w tej twojej szkole? - spytał Gunda zaciekawiony.

- Chyba nie - przyznał Keselo. - Starłem się liźnąć wszystkiego, co nam proponowano, ominąłem jedynie teologię. Profesorowie uczący tego przedmiotu wszyscy byli amarickimi duchownymi, każdy wykład zaczynał się od składania ofiary na tacę...

- Chciwość tych ludzi nie zna granic - westchnął Gunda.

- Chyba rzeczywiście - przytaknął Keselo.

- Człowiek zyskuje na wartości we własnych oczach, kiedy sobie uświadomi, że uczciwie zarabia na życie... Ale, ale, wróćmy do tych kamieni. Czy są dość mocne, by zbudować z nich mur albo nawet cały fort?

- Bazalt jest nieco bardziej kruchy niż granit, lecz nasi wrogowie nie znają katapult ani taranów, więc powinien się nadawać.

- To chciałem usłyszeć - stwierdził Gunda. - Łatwiej budować z płaskich kamieni niż z okrągłych, a tutaj mamy ich pod dostatkiem.

- Pewnie dlatego że wulkanów też nie brakuje.

- Masz na myśli góry plujące ogniem? - upewnił się Gunda zaniepokojony.

- Tak, tak. Tak je właśnie nazywa Rudobrody. Chociaż oczywiście nie każdy wulkan pluje ogniem. Niektóre wybuchają popiołem, a nie płynną skałą.

- Czy wcześniej pojawiają się jakieś sygnały ostrzegawcze?

- Tak. Trzęsienia ziemi. Gunda zadrżał.

Keselo przeniósł wzrok na trawiastą równinę.

- O, idzie Zajączek.

- Zdaje się, że miał być na południu z Sorganem?

- Pan Veltan go wynajął - wyjaśnił młody oficer.

- Interesująca myśl - stwierdził Gunda. - Nie pamiętam, kiedy to ostatnio ja kogoś wynająłem.

Zajączek podszedł do nich i powiedział:

- Słyszałem, że macie zamiar budować mur w poprzek przełęczy.

- Taki właśnie mamy plan - przyznał Gunda.

- Czy mógłbym coś podpowiedzieć?

- Proszę bardzo. Słucham uważnie.

- Moim zdaniem przydałoby się zwieńczyć ten mur tykami długimi na jakieś dwa, może trzy metry.

- A po co one?

- Do zamocowania sieci.

- Raczej nie będziemy łowili latających ryb - sprzeciwił się Gunda.

- Pewnie nie, ale najprawdopodobniej będziemy mieli do czynienia z przekształconymi nietoperzami. Długa Strzała uważa, że są one jedynie zwiadowcami, ale Rudobrody wyczuł w upolowanej sztuce jad. Powinniśmy się przed nimi chronić. Jeśli zaplączą się w sieciach, nikogo nie pokąsają.

- Pomysł niby niezły, ale boję się, że sieci będą nam przeszkadzały walczyć, kiedy wróg zacznie się wspinać na mury.

- Nietoperze budzą się nocą, tak słyszałem. Możemy zwijać sieci na dzień, a wieczorem się pod nimi chronić.

- W takim razie zgoda - przystał Gunda. - Nocą i tak wiele nie zdziałamy.

Kanciaste czarne bloki doskonale sprawdziły się jako budulec. A ponieważ przy stawianiu muru została zatrudniona większość ludzi Narasana, szybko szła praca. Stało się jasne, że jeśli wężo-robako-nietoperze nie zaatakują w ciągu kilku najbliższych dni, budowa muru obronnego wraz z wieżami zostanie ukończona, a wówczas szanse atakujących zmaleją do minimum.

Narasan spędzał większość czasu na obserwacji postępów w budowaniu muru, ale też miał oko na prace przy wałach obronnych, które ludzie Padana wznosili na zboczu opadającym ku Pustkowiui. Wały miały klasyczny kształt półkoli, te po prawej zwrócone były wnętrzem do prawej części muru, lewe do lewej. Na brak budulca nie sposób było narzekać, cały stok, cała przełęcz zasłane były czarnymi głazami. Pierwszy wał znajdował się stosunkowo blisko muru, a po jego ukończeniu ludzie Padana zaczęli wznosić następny. Widać było gołym okiem, że jeśli wystarczy im czasu, zbudują umocnienia aż do podnóża góry. Wraz z murem obronnym miały stanowić barierę trudną do pokonania. Zastosowano także kilka unowocześnień. Gunda słyszał gdzieś, że trogickie armie stawiają niekiedy rząd zaostrzonych tyk przed każdym wałem obronnym, ale dotąd jeszcze nie wykorzystano maczania ich czubków w śmiertelnie trującym jadu. Gundzie spodobał się ten projekt. Umocnienia latają szczerbę w górskim paśmie i z pewnością powstrzymają każdego

przeciwnika przynajmniej do końca lata.

Nieco z boku, z dala od miejsc budowy wałów i muru, młody Keselo wpał rolnikom podstawy falangi. Gunda musiał przyznać, że chłopak działał wyjątkowo skutecznie, ponieważ tubylcy niewiele już ustępowali zawodowym żołnierzom.

- Słuchaj no, Narasanie - odezwał się któregoś razu. - Co myślisz o Keselu? Ten chłopak nieźle sobie radzi!

- Przyglądam mu się od jakiegoś czasu - przyznał komandor.

- Dobry jest, co?

- Rzeczywiście. Jeśli pożyje dość długo, może daleko zajść w naszej armii.

- Aż na szczyt?

- Niewykluczone. Jest wyjątkowo inteligentny, szybko przyswaja wiedzę i potrafi doskonale uczyć innych. Nie przypuszczam, żeby nam się faktycznie przydała pomoc miejscowych, ale przyznaję, Keselo w bardzo krótkim czasie zrobił z nich pierwszorzędnych żołnierzy. Oczywiście trzeba pamiętać o tym, że jeszcze nie zetknęli się z wrogiem, ale na pewno w czasie ataku nie porzucą stanowisk.

- To się jeszcze okaże - stwierdził Gunda. - Ta wojna będzie z pewnością niezwykła, dlatego głowy w zastaw bym nie dawał.

*

Mur Gundy był na ukończeniu, gdy w obozie niedaleko gejzeru pojawił się pan Veltan z wiadomością dla Narasana, że przybył Rudobrody wraz z kilkoma tysiącami łuczników z krainy pani Zelany.

- Spotkał się z Długą Strzałą w zachodnich górach - zawiadomił pan Veltan. - Ma dla ciebie istotne informacje.

- Na przykład o tym, gdzie to Długa Strzała ostatnio się podziewał? - wtrącił Padan.

- Rzeczywiście, był stale zajęty.

Gdy dotarli do obozu, Rudobrody rozmawiał akurat z panią Zelaną.

- A co właściwie porabia Długa Strzała? - zapytał Rudobrodego Zajązek. - Co sobie o nim przypominę, to on ciągle w górach.

- Znowu się wybrał w zachodnie pasmo - odparł Rudobrody. - W każdym razie tam go widziałem ostatnio. Chociaż, jak rozumiem, kłopoty nadciągnęły z południa.

- W jakimś sensie mieliśmy nadzieję, że Długa Strzała się nimi zajmie - stwierdził komandor Narasan. - Przewidziałem, że łucznicy pomogą mu odeprzeć drugą inwazję.

- Rzeczywiście, coś o tym wspominał - przytaknął Rudobrody. - Pewnie go nie zmartwi, że ma już do pomocy łuczników, którzy wiedzą, którą stroną powinna lecieć strzała.

Nie chciałbym obrażać twoich żołnierzy, komandorze, ale nie strzelają najlepiej. Czy oni w ogóle mają pojęcie o takim stylu walki?

- Uczymy się w armii czego innego - przyznał Padan. - Żołnierze mają jakieś pięć godzin dziennie nauki marszu i drugie tyle praktyki z mieczem, więc trudno znaleźć czas jeszcze na szlifowanie umiejętności strzeleckich.

- A dlaczego najważniejszą bronią są akurat miecze?

- To kwestia tradycji - wyjaśnił Padan z lekkim wzruszeniem ramion. - Dla oficerów tradycja jest świętością. Żołnierz powinien walczyć mieczem. Postępować honorowo. Łuk nie spełnia tego warunku. Zabijanie na odległość jest po prostu niestosowne.

Rudobrody spojrzął na komandora.

- On mi bajki opowiada, tak? - zapytał podejrzliwie.

- Nie - odparł Narasan nieco zakłopotany. - Rzeczywiście powinniśmy przemyśleć zmiany niektórych odwiecznych zasad...

- A świat się przez to nie skończy? - spytał Padan. Narasan uśmiechnął się, że nie słyszy.

- Mów dalej, Rudobrody - polecił.

- Długa Strzała powiedział mi, że musiał samotnie wykonać większość pracy, gdy żołnierze w czerwonych mundurach biegiem dotarli do jednego z wąskich parowów prowadzących w górę, na łąki. Okazało się, że wasi żołnierze potrafią zauważyć ludzi ubranych na czerwono, a ponieważ ze strzelaniem u nich cieniutko, Długa Strzała wykorzystał ich jako obserwatorów, polecił mieć na oku każdy wąwóz schodzący na niziny. Teraz, skoro ma przy boku ludzi znających się na robocie, jest mu pewnie dużo łatwiej. Nie przypuszczam, żeby czerwone mundury sprawiały nam jeszcze jakieś kłopoty.

- Chwileczkę! Łucznicy potrzebni nam są tutaj! - zaprotestował Gunda. - Cały plan obrony właśnie na nich się opiera.

- No to, powiedziałbym, mamy interesujący problem. Pewnie możemy sobie o nim podyskutować, jeśli masz ochotę, ale tak czy inaczej Długa Strzała przejął już połowę łuczników, których przeprowadziłem przez góry, i nie przypuszczam, żeby chętnie zrezygnował z ich pomocy.

*

Kilka dni później ludzie Gundy wykańczali mur, który sprawiał bardzo przyzwoite wrażenie. Płaskie bazaltowe bloki okazały się wyjątkowo solidne, choć może nieco chropawe. Gunda zdawał sobie sprawę, że taki mur obronny zostałby na terenie imperium bezlitośnie skrytykowany, ale przecież nie byli w imperium, nie mieli dość czasu ani specjalnej chęci wykładać kamiennej ściany gładkimi płytami marmuru.

Mniej więcej około południa na Pustkowiu podniosła się chmura kurzu. Gunda natychmiast posłał wiadomość do Narasana i wkrótce na murze zaroilo się od obserwatorów. Nie zabrakło wśród nich ludzi z obcych ziem. Poznaczona bliznami twarz księcia Ekiala nie zrobiła na Gundzie większego wrażenia, żołnierz widział już niejedną szramę, ale postawna królowa Trenicia obudziła w nim niewypowiedziane zdumienie, widok kobiety wojowniczkii wstrząsnął nim do głębi.

- No, goście w drodze! - zakrzyknął Andar.

- A ja nie mam się w co ubrać! - załkał Padan.

- Czy on tak często? - spytał Andar Gundę.

- Bez przerwy. Usiłuje być zabawny, chociaż przestałem się śmiać z jego dowcipów już całe lata temu. - Zerknął na stok, po czym przeniósł wzrok na pana Veltana. - Może się mylę, ale wydaje mi się, że tutaj pustynia jest nieco niżej niż za granicą krainy pani Zelany.

- Masz rację. To najgłębsza część wewnątrzkontynentalnego morza, którym niegdyś było Pustkowie - wyjaśnił Veltan. - Nigdy nie robiłem dokładnych pomiarów, ale wydaje mi się, że tutaj grunt może znajdować się nawet niżej niż dno Matki Wody.

- Może gdybyś, panie, pogadał z mamuszką, napełniłaby tę dziurę wodą na nowo?

- Z mamuszką? - powtórzył pan Veltan zbity z tropu.

- A co, nie zwracasz się, panie, do niej w ten sposób? - spytał Padan, obdarzając Veltana kpiąco szczerym spojrzeniem szeroko otwartych niewinnych oczu.

- Mój brat z pewnością nie będzie ryzykował żadnego niestosownego zachowania - stwierdziła pani Zelana. - Raz popełnił błąd, rozmawiając z Matką Wodą w niewłaściwy sposób i w efekcie został zesłany na księżyc. Nawet nie dostał kolacji.

- Czy naprawdę wróg jest aż tak liczny? - Andar sprowadził rozmowę na aktualny temat. Ze zdumieniem obserwował ogromną chmurę pyłu.

- Podejrzewam, że kurzą specjalnie, żebyśmy się nie zorientowali w ich prawdziwej liczbie - odezwał się Danal. - To dość powszechna praktyka, jeśli masz mniejsze siły niż przeciwnik, a nie chcesz, by się w tym zorientował. Albo wręcz przeciwnie: gdy masz siły przeważające i chcesz je ukryć.

- Możliwe, możliwe - odezwała się pani Zelana. - Ale przyczyna może być jeszcze inna. Będziemy mieli do czynienia z całkiem nowym, jeszcze niezdarnym wylęgiem. Po wydarzeniach w wąwozie nad Lattash Vlaghowi nie zostało wiele sług, więc musiał z pewnością stworzyć następne. Może znowu eksperymentuje? Z każdym pokoleniem jego dzieci są inne.

- Muszę przyznać - odezwał się Keselo - że niełatwo mi to wszystko pojąć. Czy

naszym przeciwnikiem jest mężczyzna, czy kobieta? Bo być atakowanym przez kobietę...

Postawna wojownicza z wyspy Akalla sięgnęła po miecz, ale pan Veltan uspokajającym gestem położył jej dłoń na ramieniu.

- Nie chciał cię obrazić, królowo. Po prostu nie jest obeznany z waszą kulturą.

- No to niech mu ktoś wytłumaczy, co wypada - rzuciła królowa wojowniczek.

- Słudzy Vlagha trudno nazwać kobietami. - Pani Zelana wróciła do przerwane go wątku. - Mogą być płci żeńskiej, owszem, w tym nie byłoby nic dziwnego. Większość owadów to samice. Samce mają tylko jedną powinność... której nie ma potrzeby tutaj omawiać.

Młody Keselo nagle spłonął jaskrawym rumieńcem, a pani Zelana roześmiała się perliście.

- Ależ z niego słodki chłopiec! - Zaraz jednak odzyskała powagę. - Każde pokolenie powołane do życia przez Vlagha idzie w dziesiątki tysięcy.

- Ależ to z pewnością jeszcze dzieci - zaprotestował Andar.

- Słusznie - zgodziła się pani Zelana. - Tyle że okres dzieciństwa trwa u owada mniej więcej tydzień. Po tym czasie osiąga on pełną dojrzałość.

- Samiczki też?

- Pewnie.

- Życie młodzieńczego owada w stanie kawalerskim może być godne pozazdroszczenia - rozmarzył się Padan.

- Ma jednak również ciemne strony, młody człowieku - sprowadziła go na ziemię. - Po wypełnieniu swojego zadania przestaje być potrzebny, więc słudzy Vlagha, czy też może raczej jego służki, odgryzają młodzieńcowi głowę i wyrzucają go do śmieci.

- I co, nadal interesuje cię kariera młodego, jurnego owada? - spytał Padana Gunda.

- Jeszcze się nad tym zastanowię.

Jakąś godzinę później powiał lekki wietrzyk, który rozproszył chmurę kurzu. Wówczas obrońcy ujrzeli imponujące wojska nieprzyjaciela. Wraże oddziały ciągnęły niezmordowanie przez pustynną ziemię.

- Czas na stanowiska, panowie - zdecydował Narasan ponuro.

- Czy mnie się tylko wydaje, czy też ci, których teraz widzę, są nieco więksi od tamtych, z którymi walczyliśmy w wąwozie? - zapytał Padan.

Gunda zerknął na pustynię.

- Trudno wyrokować z tej odległości, ale jestem skłonny przyznać ci rację. - Odwrócił się do pana Veltana. - Czy ten cały Vlagh może to robić? Może podwoić wielkość swoich

żołnierzy w ciągu miesiąca?

- Najprawdopodobniej tak - odparł pan Veltan. - Vlagh jest naśladowcą. Widząc cechy, które uznaje za użyteczne, modyfikuje następny wylęg w taki sposób, by nadać mu takie właściwości. Mieszkańcy Maagsu są bardzo wysocy, zapewne Vlagh to skopiował w najnowszym wylęgu.

- Ciekawe, dlaczego poprzednim razem nie stworzył większych wojowników - zastanowił się Zajączek.

- Większe istoty potrzebują więcej pożywienia - wyjaśnił pan Veltan. - A na Pustkowiui na jego nadmiar narzekać nie można. Od wojny w wąwozie nad Lattash pojawiło się więcej żywności, więc Vlagh mógł pozwolić sobie na stworzenie większych sługów.

- Rozumiem, że jadają drzewa i krzewy?

- Raczej nie - zaprzeczył pan Veltan. - Na wojnie nie brakuje ofiar i po każdej bitwie słudzy Vlagha mają co jeść. Owszem, lawa ograniczyła im zaopatrzenie, lecz najwyraźniej zostało dość, by Vlagh stworzył wyższych wojowników.

- Obrzydliwe! - wykrzyknął Keselo.

- Vlagh rozumuje zupełnie inaczej niż my - odparł pan Veltan. - Zrobi wszystko, co konieczne do osiągnięcia celu. Poza tym na Pustkowiui zawsze brakowało żywności, a co za tym idzie istot, które by pomogły Vlaghowi zrealizować plany. Można w zasadzie przyjąć, że żywność, a raczej brak żywności, jest głównym powodem tej wojny.

- Gunda! - krzyknął Andar ze szczytu najbliższej wieży. - Patrz na dalsze rzędy! Zdaje się, że mamy całkiem nowego przeciwnika!

Gunda wbił wzrok w chmurę pyłu wznoszącą się u podnóży górskiego pasma. Z początku nie dostrzegł nic niezwykłego, ale potem zwrócił uwagę na niezwykły ruch tuż przy ziemi. W którejś chwili powiew wiatru odsunął pył na bok.

- Żółwie? - powiedział Gunda z niedowierzaniem. - Po co mu żółwie?!

- Mają co najmniej po trzy metry - zauważył Padan. - I jeśli dobrze widzę, po osiem nóg.

- Pająki? - domyślił się Gunda. - Skrzyżowanie żółwia z pajakiem? Przecież to kompletnie bez sensu.

- Niestety, raczej z sensem - zaproponował pan Veltan. - Obawiam się, że Vlagh podkradł doskonały pomysł właśnie wam. - Postukał w napierśnik Trogity. - O, ten. Teraz ma wojowników w zbrojach.

- Ale dlaczego pająki, a nie gady? - chciał wiedzieć Padan. Pan Veltan wzruszył ramionami.

- Pająki są szybsze, potrafią rozpinąć sieć... - Zmarszczył brwi w zastanowieniu. - Nie jestem całkowicie pewien, ale mam wrażenie, że jad pajaków jest groźniejszy niż gadzi.

- Aha - podsumował Padan. - No to nie będzie lekko.

*

Większą część popołudnia wszelkie odmiany ludzi-węży atakowały najdalej wysunięte wały obronne. Gdy słońce poczęło zmierzać ku zachodowi, nieprzyjaciel się wycofał. Wówczas komandor Narasan zwołał naradę.

- Czas najwyższy - mruzczał Gunda do siebie, schodząc z muru.

- Nasi wrogowie są tym razem przynajmniej dwa razy wyżsi od tych, z którymi mieliśmy do czynienia w wąwozie nad Lattash - rzekł w czasie narady Keselo - natomiast nie wydają się szybsi czy zręczniejsi.

- Większy zawsze jest bardziej niezdarny - oznajmił Zajączek. - Wiem to nie od dzisiaj.

- Jest możliwe, a nawet bardzo prawdopodobne, że to dopiero pierwszy wylęg tych rosiej szych ludzi-węży - stwierdził pan Veltan.

- Muszą się zatem przez kilka pokoleń przyzwyczajać do zmienionej wielkości.

- Czy to nie oznacza, że wygramy z nimi wojnę, zanim nauczą się radzić sobie z własnym ciałem? - zainteresował się Padan.

- Nie dałbym za to głowy, przyjacielu - odpowiedział mu Gunda.

- Jeśli możemy się opierać na doświadczeniach zdobytych wcześniej, mogą nas zaskoczyć. A kiedy masz do czynienia z bronią taką jak zęby jadowe i żądła, zaskoczenie oznacza śmierć.

- Czy któryś z tych większych dotarł w pobliże bronionego przez ciebie wału? - zapytał Narasan Kesela.

- Nie, panie komandorze. Odniosłem wrażenie, że oni głównie nas obserwują.

- Miałeś może okazję sprawdzić, jak grube pancerze mają te ośmionogie żółwie? - zapytał Rudobrody.

- Niestety, nie. Trzymały się na odległość.

- Strzała z żelaznym grotem zdołałaby może przebić skorupę, ale wolałbym się o to nie zakładać.

- Chyba czas pomyśleć o katapultach, Narasanie - zaproponował Andar. - Jeżeli nie podziela na takiego stwora ostry grot, to może powali go ciężar skały?

- Interesująca myśl - zgodził się z nim brygadier Danal. - Taki kamyczek, ze dwadzieścia pięć kilo, powinien dać sobie radę ze skorupką.

- Na pewno warto spróbować - przystał Narasan. Przy ogniu pojawił się Torl.

- Co się dzieje na południu? - zapytał pan Veltan.

- Cóż... - Torl wyraźnie się zawahał. - Spaliliśmy wszystkie statki trogickie zakotwiczone wzdłuż linii wybrzeża, ale nie wiem, co to właściwie dało. Dziwne rzeczy się tam dzieją.

- Może zacznij od początku, kapitanie - podsunął mu Narasan.

- Spaliliśmy wszystkie trogickie statki kotwiczące przy południowym brzegu Dhrallu, ale Trogici wcale się tym nie przejęli. Okazało się, że zanim tam przybyliśmy, oni poszli sobie.

- Jak to? Poszli sobie?! - zdumiał się Gunda. - Dokąd?

- Najwyraźniej zdążają tutaj - odpowiedział Torl.

- Mógłbyś zacząć od początku, kapitanie? - zaproponował Narasan po raz drugi.

Torl opisał kolejno wszystkie dziwaczne wypadki, jakie zaszły na południowym wybrzeżu. Znowu powtórzył słowo w słowo „złotą bajkę” tubylców. Gunda nie bardzo go rozumiał, lecz Narasan wyraźnie uznał ten fragment opowieści za szalenie istotny. Na koniec zabrał Torla do miejsca, gdzie zamieszkał pan Veltan z siostrą. Gunda został w obozie. Miał poważniejsze obowiązki.

Następnego dnia rano w sieciach rozwieszonych nad obozowiskiem znaleźli kilka setek jadowitych nietoperzy i choć Długa Strzała utrzymywał, że stanowią zwiad, Gunda dostał gęziej skórki. Zwiad, nie zwiad, jadowe zęby miały. Wysłał drużynę uzbrojoną w długie włócznie z grotami umaczanymi w jadzcie, aby żołnierze podobiali szamoczące się w linkach nietoperze. Zaraz za nimi szedł drugi zastęp ludzi - w grubych skórzanych rękawicach - którzy wyplątywali martwe potworki z sieci.

Wróg kilkakrotnie podejmował próby ataku na niższe wały obronne, ale robił to jakby bez szczególnego przekonania. Wielkie żółwio-pająki trzymały się na tyłach, co bardzo cieszyło Gundę, ponieważ ludzie wyznaczeni do budowy katapult jeszcze nie skończyli pracy.

Mniej więcej około południa Długa Strzała przyszedł porozmawiać z komandorem Narasanem i panem Veltanem. Gunda także dołączył do tej grupy, chwilę później zjawił się Padan.

- Czy kościelni żołnierze nadal wspinają się parowami?

- Chyba sobie uświadomili, że nie wychodzi im to na zdrowie - odparł Długa Strzała. - Pasterze pokazali nam wszystkie ścieżki prowadzące na równinę, każdej strzegą łucznicy. Teraz kościelni żołdacy gromadzą się u stóp wodospadu.

- Chcą popłynąć w górę? - zdumiał się Padan.

- Nie przypuszczam - uśmiechnął się Długa Strzała. - Ale rzeczywiście zrezygnowali z najłatwiejszej drogi i szukają trudniejszych.

- Jakich? Będą się wspinać po drabinach? Długa Strzała pokręcił głową.

- Nawet szaleniec nie jest dość głupi, by próbować takiego sposobu. Ludzie Kościoła uznali, że chcą się dostać na górę szeroką wygodną drogą, i taką postanowili sobie wybudować.

- Nie do końca rozumiem - przyznał Narasan.

- Zaczęli dość daleko od wodospadu - podjął Długa Strzała - rozumując bardzo słusznie. Stawiają rampę wzdłuż zachodniej ściany wąwozu wyrzeźbionego przez wodospad.

- Ot tak? Zidiocieli? Nawet kościelnych żołdaków nie podejrzewałem o taką głupotę. Przecież u wylotu wąwozu stoją wasi łucznicy. Wystarczy, że zobaczą czerwone mundury, a zasypią je gradem strzał.

- Znaleźli sposób, żeby się przed tym ochronić.

- Jaki?

- Całkiem prosty. Dach. Chroni ich przed śmiercią równie dobrze jak przed deszczem. Wszystko wskazuje na to, że jednak spora część czerwonego wojska dotrze na samą górę. Czy chcemy, czy nie, zostaniemy zaatakowani z dwóch stron.

Morze złota

Około południa Długa Strzała zdecydował, że powinien zanieść pani Zelanie oraz jej bratu najnowsze wieści o sytuacji i zaproponować coś w rodzaju narady, zanim wynajęci do obrony Dhrallu przybysze zaczną podejmować decyzje, które mogą się okazać katastrofalne w skutkach.

Idąc trawiastą równiną, wrócił myślami do tego odległego dnia, gdy pani Zelana i Eleria odszukały go w gęstym lesie, który zawsze był dla niego domem, i przekonały, by wsparł ich rodzinę w zbliżającej się wojnie. Ten jeden dzień odmienił jego życie nie do poznania.

Pod wieloma względami żałował takiego obrotu spraw. Samotne życie w leśnej głuszy było proste, wręcz prymitywne. Mógł zajmować się głównie polowaniem, które po śmierci Słodkiej Wody stało się dla niego sensem życia. Zabijał bezmyślne stwory Vlagha jednego po drugim, tropił je i był dla nich bezlitosny, liczył swoje ofiary w setkach, a każda dawała mu okrusz satysfakcji, maleńką kropelką dopełniała miary jego zemsty.

Tamte czasy odeszły w przeszłość. Teraz polował na trawiastej równinie. Wzrok sięgał tutaj znacznie dalej, to prawda, lecz nie musiał już tropić ofiar, szukać ich - wszystko widać było jak na dłoni. Rzeczywiście, na wojnie ginęło więcej potworów, niż zdołałby sam

zabić przez całe życie. Niestety, potyczki wojenne łączyły się także z niemałymi komplikacjami, przemieszczaniem ogromnych grup ludzi, niekończącymi się dyskusjami i kłótniami.

Gdy próbował się porozumieć z przybyszami zza morza, odnosił wrażenie, że oni znajdują przyjemność w sprzeczaniu się o każdy, nawet najmniej znaczący drobiazg. Samotny myśliwy podróżował szybciej i osiągał cel wcześniej niż armia. Może dlatego że nie miał z kim się kłócić i uzgadniać planów.

To nie dla mnie, nie dla mnie... - wzdychał, patrząc na gejzer, kolumnę wody strzelającą w górę na trzydzieści metrów i opadającą niczym połyskliwy kielich kwiatu. Powinienem był się nad tym porządnie zastanowić.

Pani Zelana oraz Eleria zamieszkały w dość spartańskich warunkach, stosunkowo daleko od tryskającego wysoko źródła, by uniknąć wodnej mgiełki. Długa Strzała nie miał pewności, czy ich prowizoryczne schronienie można by nazwać obozowiskiem, skoro znalazło się tam zaledwie łóżko oraz cebra z jakimiś owocami dla Elerii. Pani Zelana oczywiście nie potrzebowała ani łóżka, ani pożywienia, gdyż była doskonała i nie brak jej było niczego.

Dziewuszka jak zwykle powitała go z otwartymi ramionami, a kiedy wziął ją na rękę, jak zawsze zażądała:

- Buziaka!

Długa Strzała z uśmiechem spełnił jej życzenie.

- Czy teraz moja kolej? - spytała pani Zelana.

- Wszystko w swoim czasie - zażartował łucznik. - Pani, wydaje mi się, że powinnaś razem z bratem złożyć wizytę naszym przyjacielom zza morza. Ostatnio mają tu miejsce zdarzenia, które budzą w nich niepokój.

- Jakie?

- Doszło do kolejnej inwazji, z południa. Torl, kuzyn kapitana Sorgana, opowiedział nam dość niezwykłą historię o wydarzeniach, jakie rozegrały się na południowym wybrzeżu krainy twojego brata, pani, gdy wylądowała tam armia Kościoła. Podobno za każdym razem, gdy któryś z żołdaków wypowiadał słowo „złoto” przy rolniku, ten recytował historię o odkryciu wielkiego obszaru zaszypanego złotym piaskiem gdzieś na Pustkowi. I chciwi najemnicy ruszyli na północ, chcąc się szybko wzbogacić.

- Słyszałam o tym - stwierdziła pani Zelana.

- Z początku sądziłem, że tę fałszywą historię stworzył Vlagh, by dzięki niej zniszczyć armię komandora Narasana, lecz teraz zaczynam mieć wątpliwości. Czy nie jest to

zachowanie zbyt przemyślne jak na władcę Pustkowie?

- Niekoniecznie. Przypominasz sobie udział stworów Vlagha zamieszanych w atak Kajaka na „Mewie”? Jeszcze w Kwecie.

- Tak, ale tam chodziło zaledwie o kilku Maagsów, a tym razem w grę wchodzi jakieś pięćset tysięcy ludzi. Poza tym Kajak rzeczywiście widział złoto, które kapitan Sorgan zostawił w ładowni statku. Natomiast Trogici na południu Dhrallu posłuchali jakiejś bzdurnej opowieści i ruszyli za mrzonką. Poza tym nie ma w tej historyjce żadnych podstaw do ataku na armię komandora Narasana. Nie mogę się w tym dopatrzeć sensu.

- To już nie moja wina - stwierdziła pani Zelana. - Miej pretensje do Vlagha.

- Wybacz mi, pani. Nie mam cierpliwości do rzeczy przekraczających moją zdolność pojmowania. Przyszedłem tu jedynie po to, by cię prosić, żebyś zechciała razem z bratem pojawić się na murze Gundy i zadbać, aby komandor Narasan nie przystąpił do realizacji jakiegoś chybionego pomysłu. Martwi go możliwość, że zostanie zaatakowany z dwóch stron jednocześnie, więc dobrze byłoby go spróbować uspokoić.

- Będzie cię to kosztowało buziaka - wtrąciła się Eleria.

*

Tego popołudnia, gdy słońce zbliżało się do postrzępionej linii szczytów na zachodzie, zebrali się pod murem Gundy. Był komandor Narasan i większość jego oficerów, a także Zajączek oraz Torl jako reprezentanci Sorgany.

Pierwszy odezwał się Narasan:

- Żebyśmy wszyscy wiedzieli, po co się spotkaliśmy, może przypomnij nam, Długa Strzała, co widziałeś niedaleko wodospadu.

- Niewiele jest do przypominania, komandorze, ale skoro sobie życzysz, powiem. Kościelna armia wreszcie zdała sobie sprawę, że dotarcie na górę parowami czy korytami strumieni jest niemożliwe, ponieważ u wylotu każdego z nich rozmieściliśmy łuczników. Dlatego teraz ludzie w czerwonych mundurach zebrali się u stóp wodospadu i budują wielką rampę wzdłuż ściany wąwozu.

- To przecież głupota! - wykrzyknął Zajączek. - Twoi łucznicy zasypią ich strzałami, kiedy tylko zechcą.

Długa Strzała pokręcił głową.

- Oslaniają rampę dachem. Z tego, co widziałem, dach nie jest bardzo solidny, ale wystarczy, by ich ukryć. A łucznik musi widzieć cel. - Zamilkł, spojrzał na czerwieniejący zachód słońca. - Rampa nie jest bardzo szeroka, więc możemy do nich strzelać, gdy będą się z niej wylaniać. Tyle że wówczas będzie trzeba zostawić tam większą liczbę łuczników. No i

oby nam nie zabrakło strzał.

- Tym razem musisz sobie sam poradzić - stwierdził Zajączek z grymasem na twarzy.
- Moje młoty i kowadła zostały na pokładzie „Mewy”. - Zmarszczył brwi w zamyśleniu. -
Jakoś tak... historia się powtarza. Wiadomość o tym, że na pokładzie „Mewy” znajduje się złoto, zawróciła w głowie Kajakowi, a teraz mamy parę trogickich armii, równie ogłupiałych...

- Powinniśmy to wziąć pod uwagę, Veltanie - odezwała się pani Zelana. - Kiedy zjawileś się na Maagsie, przyniosłeś mi wieści zaczerpnięte z plotek krążących po Weros, że Vlagh ma na Maagsie sługi, które układają się z Kajakiem.

- Poderwanie do działania kilku piratów to jedno, droga siostrzyczko, a wpłynięcie na pięć trogickich armii oraz połowę amarickiego duchowieństwa to co innego.

- Nie możesz jednak uznać tego za niemożliwe. Słudzy Vlagha nas obserwują, nawet jeśli jesteśmy daleko od Dhrallu, a to oznacza, że zapewne on sam się orientuje, jak wielkie znaczenie ma dla przybyszów złoto. Wobec czego mógł je wykorzystać całkiem dosłownie jako przynętę. Ja złowiłam na nią Sorgana, ty Narasana. Może Vlagh już wie, jak skuteczna jest taka obietnica? Może wysłał stwory, które skusiły złotem amarickich duchownych? Może chce sobie dzięki tej pokusie zdobyć sprzymierzeńców? Może zyskał ich więcej, niż się spodziewał, i wszyscy ruszyli na północ gnani chciwością, całkowicie nieświadomi, jaki los ich czeka?

- A jaki los ich czeka? - spytał Gunda zdumiony.

- Skoro już dostaną się na równinę i pokonają obrońców Dhrallu, Vlagh nie będzie ich dłużej potrzebował - wyjaśnił Długa Strzała. - Co bardzo prawdopodobne, jego słudzy zaproszą nowych przyjaciół na obiad i zjedzą ich na główne danie.

- To straszne! - wykrzyknął Gunda przerażony.

- Nie przesadzajmy - zmięgował go Andar. - Jeśli z dwóch twoich wrogów jeden pożera drugiego, wychodzisz z tego wygrany, nie? Liczba problemów topnieje ci o połowę.

- Wróćmy do sprawy - polecił Narasan. - Niezależnie od tego, czy nam się to podoba, czy nie, musimy jakoś dać sobie radę. Jeśli ktoś ma dobre pomysły, teraz jest najlepsza chwila, żeby się nimi podzielić.

- Mamy przewagę, bo jesteśmy na górze - zastanawiał się Danal głośno. - Dach nad rampą uchroni ich przed strzałami, ale raczej nie wytrzyma, jeśli zarzucimy go głazami.

- Zwłaszcza gdy kamienie spadną z wysokości pięćdziesięciu metrów - dodał Andar głębokim głosem. - Budowa rampy to interesujący projekt, ale trochę dziurawy. W każdym razie okaże się dziurawy, kiedy zrzucimy na niego kilkutonowe głazy. - Zmarszczył brwi,

zmrużył oczy. - Czyżby tego nie przewidzieli? Owszem, dowódcy kościelnych armii nie należą do najbystrzejszych, ale chyba jednak myślą? Nawet idiota dostrzegłby tę lukę w planie.

- Są kompletnie zaślepieni - odezwał się Torl. - Mówiłem wam o tym wcześniej. Gdy tylko któryś z rolników wyrecytował bajeczkę o morzu złota, lecieli tu jak na skrzydłach. Już nie myślą, mają przed oczami jedynie złoty piasek, on ich zaślepia, więc nie widzą dziur w swoim planie. Trzeba tylko pamiętać, że ktoś nimi steruje.

- Vlagh mógłby próbować takich sztuczek - odezwała się pani Zelana.

- Rzeczywiście, mógłby - przyznał Veltan. - Ale też, o ile wiemy, mamy tu do czynienia z pięcioma armiami. To pół miliona ludzi! Chyba ten czy ów powinien otrzeźwieć?

Pani Zelana pokręciła głową.

- Vlagh przywykł do radzenia sobie z dużą liczbą sług. Zwróć uwagę, żaden z jego stworów nie myśli samodzielnie. - Zamilkła na chwilę. - Jeżeli żołdacy rozumują teraz na tym samym poziomie co owady, to jedyną ich myślą jest nie dać się wyprzedzić w drodze po złoto.

- Słusznie prawisz - ocenił pan Veltan ponuro.

- Należy dopilnować, żeby nie stanowili dla nas prawdziwego zagrożenia - podsumował Narasan krótko, poprawiając napierśnik. Przeniósł wzrok na Padana. - Zbierz parę tysięcy ludzi i idźcie na południowy skraj równiny. Pora sprawdzić, jak ludzie Kościoła zareagują na pięciotonowe głazy lecące z nieba.

- Nawet gdyby im się nie spodobało, my i tak swoje zrobimy! - zakrzyknął Padan, imitując maagsowską gwarę.

- Błazen - mruknął Narasan z lekkim uśmiechem.

Chociaż plan wydawał się sensowny, Długa Strzała miał wątpliwości. Działo się tu coś dziwnego. Wiedział, że odzyska spokój, dopiero gdy się dowie, o co w tym wszystkim chodzi.

*

Trogici w czarnych skórzanych mundurach dyskutowali nawet po zachodzie słońca, ale zdaniem Długiej Strzały kolejne wypowiedane słowa donikąd ich nie prowadziły. Pani Zelana, otulona przezrystą mgiełką, usiadła przy ognisku w pewnej odległości od najemników brata. Eleria zasnęła w jej ramionach.

Długa Strzała podszedł cicho.

- Jak smakuje blask ogniska? - spytał.

- Dymem. Daleko mu do poświaty w mojej grocie, ale lepsze to niż ciemność. Co u

żołnierzy Veltana?

- Kłóćą się. Nie potrafią się dogadać, kto co ma robić. Jeśli sobie życzysz, pani, odprowadzę was do obozu przy gejzerze, będziesz mogła położyć Elerię do łóżka.

- Lubię ją kołysać w ramionach. - Pani Zelana objęła czułym spojrzeniem dziecięcą twarzyczkę. - Ale pewnie masz rację. Lepiej będzie spała na swoim pośłaniu.

Długa Strzała z uśmiechem pomógł bogini wstać i wziął z jej ramion uspioną dziewczynkę.

- Nie tak miało być - westchnął, gdy ruszyli w stronę gejzeru.

- Mur postawiony przez Gundę oraz wały obronne Padana zapewne powstrzymałyby mieszkańców Pustkowie, pod warunkiem że wspar liby ich łucznicy. A to oznacza, że musieliby się odwrócić od drugiej inwazji. Co gorsza, komandor Narasan właśnie odesłał do niszczenia dachu nad rampą sporą liczbę żołnierzy, którzy przecież powinni walczyć tutaj. Potrzebujemy więcej ludzi.

- Możesz powiedzieć Sorganowi, żeby wracał, ukochana pani - odezwała się Eleria rozspanym głosem. - Tutaj go potrzebujemy, nie na południu krainy twojego brata.

- Zdawało mi się, że spałaś.

- Jak mam spać, przecież rozmawiacie mi nad głową... - odparła dziewczynka zirytowana. - Skoro płacisz Orlemu Nosowi, pani, powinien robić, co mu rozkażesz. Niech jego ludzie zrzucają skały na złych ludzi w czerwonych mundurach, a potem wrócą do wujka, który im powie, co robić dalej.

- Mała ma rację - przyznał Długa Strzała.

- Pewnie - stwierdziła Eleria. - Zawsze mam rację. A teraz jesteś mi winien buziaka.

- Śpij, maleńka - odezwała się pani Zelana. Przeniosła spojrzenie na łucznika. - Powiem Orlemu Nosowi, żeby przerwał zabawę i wracał tu jak najszybciej. - Opuściła głowę. - Wtedy i ja zasłużę na buziaka.

Długa Strzała nie wiedział, co odpowiedzieć.

*

O brzasku łucznik pani Zelany dołączył do pana Veltana i komandora Narasana na szczycie środkowej wieży muru Gundy.

*

- Ruszyli? - zapytał.

- Jeszcze nie - odpowiedział pan Veltan. - Pewnie czekają, aż wszędzie słońce. - Przyjrzał się z boku. - Gdzie umieściłeś ludzi Omaga, komandorze?

- Keselo rozlokował ich na zewnętrznych krańcach wałów. Jeśli sprawy potoczą się

podobnie jak w kanionie, główny atak pójdzie na środkowe umocnienia. Ludzie Omega nigdy dotąd nie brali udziału w prawdziwym konflikcie, a nas lata praktyki nauczyły, że lepiej nie rzucać nowych żołnierzy w największy wir walki. Nie chcę cię urazić, panie Veltanie, lecz jestem pewien, że większość twoich farmerów nie ma żyłki do zabijania.

- Mogliby cię zaskoczyć, komandorze. Omega już udowodnił, że w jego wypadku potrzeba jest matką wynalazku i rozpowszechnił wieść, iż nasi wrogowie są w zasadzie owadami, robakami, czyli - szkodnikami. Niezależnie od tego, jak wyglądają i czym się wydają. A rolnicy bardzo, ale to bardzo nie lubią szkodników.

- No, zobaczymy. - Narasan zamknął temat, nadal pełen wątpliwości.

Długa Strzała wpatrywał się w stok ledwie widoczny w szarawym świetle poranka.

- Ruszają - odezwał się w pewnej chwili cicho.

- Ja nic nie wi... - zaczął pan Veltan. - Aha! Rzeczywiście. Są jeszcze dość daleko od pierwszej barykady.

- Zaskoczyliśmy ich kilka razy w czasie poprzedniej wojny - stwierdził Długa Strzała.

- Pewnie Vlagh oczekuje kolejnych niespodzianek.

- Z przykrością muszę przyznać, że niewiele wiem na temat sług Vlagha - powiedział Veltan. - Prawdziwym znawcą w tej rodzinie jest Dahlaine. Jeszcze przed pojawieniem się ludzi wieki całe spędzał na badaniu owadów. Kiedyś powiedział, że Vlagh zachowuje się jak sprytny złodziej. Kradnie pomysły naturze. Widząc jakąś cechę, która może mu się okazać pomocna, stara się ją powielić. Nie mam żadnej pewności, ale zaryzykowałbym stwierdzenie, że większość jego eksperymentów kończy się niepowodzeniem, potworki z Pustkowiec zdychają, zanim jeszcze wydadzą się z jaja. Raz na jakiś czas któryś przetrwa, a wówczas Vlagh kopiuje go w tysiącach. I zaczyna eksperymentować z żywymi.

- To w pewnym stopniu wyjaśnia zróżnicowanie gatunków u naszego wroga - stwierdził Narasan. - Małe owady, z którymi walczyliśmy w krainie pani Zelany, nie wypełniły swojego zadania, okazały się bezsilne wobec naturalnej katastrofy. Tym razem mamy zatem do czynienia z przeciwnikiem w zbroi oraz z latającym zwiadowcą.

- Nie wspominając już o tych, którzy wyglądają jak ludzie - dodał Długa Strzała. - Wojna może się okazać wyjątkowo interesująca.

- Ja tam bym wolał się ponudzić - rzucił Narasan. - Interesujące wojny zwykle mocno szarpią nerwy.

Tak samo jak podczas starć w krainie pani Zelany, atak rozpoczął się od głuchego ryku dochodzącego gdzieś z tyłów nieprzyjacielskich sił. Długa Strzała szybko zauważył, że wysocy słudzy Vlagha nie byli ani tak zwinni, ani szybcy jak ich mniejsi bracia, więc

stanowili dość łatwy cel nawet dla trogickich łuczników, których ćwiczył Rudobrody.

Gdy słońce weszło nad linię górskich szczytów na wschodzie, na wieży pojawił się Zajączek.

- Widzieliście gdzieś Kesela? - zapytał. - Nie mam wielu przyjaciół wśród Trogitów, nie chciałbym stracić tych nielicznych.

- Jest po lewej stronie wałów obronnych. Komandor Narasan twierdzi, że tradycja każe im świeżo upieczonych rekrutów odsuwać od głównego starcia. Akurat on nimi dowodzi.

- Coś mi się zdaje, że rolnicy nie na wiele się zdadzą. Jak ktoś ma być porządnym wojakiem, powinien zacząć się wdrażać znacznie wcześniej niż ci ludzie zebrani przez Omaga. No i płacę musi mieć jak się patrzy.

- Nie kracz.

Na stoku biegnącym ku Pustkowiu wznosił się tuzin wałów obronnych sięgających piersi. Za nimi schronili się żołnierze Narasana oraz rolnicy, mieszkańcy ziemi pana Veltana. Z muru nie widać było dokładnie wszystkich szczegółów, lecz Długa Strzała i Zajączek odnosili miłe wrażenie, że Trogici bez większego trudu radzą sobie z odpieraniem ataku przerośniętych ludzi-węży.

Okolo południa z głębi Pustkowiego dobiegł drugi rozkazujący ryk. Wtedy pozostali przy życiu wrogowie w pośpiechu wycofali się na czerwona pustynię.

- No, tego to jeszcze na tym kontynencie nie widziałem - stwierdził Zajączek. - Myślałem, że są za głupi, by wiedzieć, co to znaczy odwrót.

- Pewnie się tego i owego nauczyli w wąwozie nad Lattash - uznał Długa Strzała.

- Żeby się czegoś nauczyć, trzeba mieć mózg - prychnął Zajączek. - A robale nie mają mózgów.

- Mają, mają. Tylko nie w głowach. Ich mózgiem jest Vlagh al bo, co bardziej prawdopodobne, ten wszechmózg złożony ze spokrew nionych istot. Może właśnie doszedł do wniosku, że utrata wojska nie jest najlepszym sposobem na wygranie wojny.

*

Złote letnie popołudnie upływało w całkowitym spokoju. Stwory Vlagha nie atakowały. Próbné podejście najwyraźniej się skończyło. Obrońcy Dhrallu, zgromadzeni na szczycie muru Gundy, spoglądali na stok z pewnym niepokojem. Zdawali sobie sprawę, że większość ludzi Narasana podziela zdanie Długiej Strzały: wróg oprzytomniał na tyle, by pojąć, że samą brutalną siłą nie wygra.

- Wcale mi się to nie podoba - stwierdził Gunda. - Jeśli to coś, co tam mieszka,

zacznie myśleć, możemy się znaleźć w opałach. Karłowaci ludzie-węże, z którymi mieliśmy do czynienia w krainie pani Zelany, nie odróżniali pewnie dnia od nocy, ale te większe... kto wie? Jak któremuś wpadnie do łba złapać kamień i rzucić w naszą stronę, będziemy mieli zupełnie inną wojnę.

- Niepotrzebnie kraczesz - powiedział Narasan. - I tak nie możemy nic zrobić. Musimy być elastyczni. Jeżeli wróg wymyśli coś nowego, będziemy szukać remedium, zapewne w pośpiechu.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy pod murem zjawił się Keselo. Rzucono mu sznurową drabinę.

- Wróg jest tym razem nieco wyższy, komandorze - zameldował.

- Spodziewaliśmy się tego. Czy dostrzegłeś jakieś inne zmiany?

- Są wyjątkowo niezręczni, poruszają się znacznie wolniej niż ich niżsi bracia.

- Czy nadal mają zęby jadowe i żądła? - spytał Gunda.

- Pod tym względem nic się nie zmieniło. Chociaż... otwory gębowe mają nieco szersze, a żądła dłuższe.

- Co zapewne oznacza, że woreczki jadowe mają też większe - domyślił się Zajączek.

- Tego nie sprawdziliśmy.

- Tak na oko ilu ich udało wam się pokonać?

- Kilka setek. Dokładnie nie liczyłem. Widziałem, że jad zebrany w okolicy Lattash nadal się sprawdza. Martwiłem się o to, bo gdyby stracił moc, mielibyśmy nie lada problem. - Przerwał na moment.

- Przyszedłem tutaj prosić o pozwolenie na przesunięcie rodaków Omaga bliżej środkowego wału. Wydają się nieco zawiedzeni, od dawna chcą opuścić bezpieczne pozycje, a teraz, gdy już zobaczyli prawdziwych żołnierzy w akcji, rwą się do walki.

- Ty nimi dowodzisz, Keselo - powiedział komandor Narasan. - Ty decydujesz.

- I ty odpowiadasz w razie jakichkolwiek błędów - dorzucił Gunda z krzywym uśmiechem.

- Jasne - odparł Keselo. Spojrzał na komandora. - Przyszła mi do głowy pewna myśl. Moglibyśmy po zapadnięciu ciemności cofnąć się do następnej linii wałów obronnych i przestrzeń między nimi a poprzednimi naszpikować zatrutymi ostrymi kołkami. Rano wróg będzie mocno zaskoczony...

- Doskonały pomysł - ocenił Gunda. - A jutro wieczorem wrócicie na zewnętrzne wały. Nieprzyjaciel, przekonany, że nie ma tam żywego ducha, będzie chciał po prostu je ominąć i spotka go przykra niespodzianka. Zanim się obejrzy, wykończycie mu pół armii.

- Kolejnej nocy wycofamy się na trzecią Unię... - podrzucił Keselo. Gunda zamrugał z niedowierzaniem.

- Skąd ci się biorą takie pomysły? Paskudny z ciebie człowiek. Po tygodniu takich podchodów wróg nie będzie wiedział, gdzie ma walczyć, a dokąd uciekać.

Z zapadnięciem nocy Trogici na szczycie muru Gundy rozpięli sieci chroniące przed nietoperzami. Choć Długa Strzała miał prawie całkowitą pewność, że zmutowane zwierzęta były jedynie zwiadowcami, Narasan wolał nie ryzykować.

W pewnej chwili na szczycie wieży pojawił się Dahlaine, siwobrody starszy brat pani Zelany.

- Po północy nie atakują - zauważył.

- Natomiast wyjątkowo dużo dziś jadowitych nietoperzy - zauważył Veltan. - Nie kłują, przez sieci nie mogą, ale roi się od nich w powietrzu.

- Czy twoi najemnicy przy wałach obronnych mają się pod czym ukryć?

- Tak, na wszelki wypadek daliśmy im sieci, chociaż nie przypuszczam, żeby im były potrzebne. O ile mi wiadomo, jak dotąd żaden nietoperz jeszcze nikogo nie ukąsił. Najwyraźniej ich zadanie polega na obserwacji i zanoszeniu wieści Vlaghowi.

- Mylisz się, Veltanie. Wszyscy słudzy Vlagha są przystosowani do walki. Tylko sieci chronią twoich najemników przed śmiercią.

Długa Strzała miał jednak inny pogląd na tę sprawę.

- Panie, czy zgodzisz się ze mną, że każdemu stworzeniu, które obserwuje świat po zachodzie słońca, niezbędna jest umiejętność widzenia w ciemności? - spytał Dahlaine'a.

- Oczywiście.

- A czy mam rację, że bardzo jasny blask potrafi oślepić istotę, która przed zmrokiem nigdy nie opuszcza swojej kryjówki?

Dahlaine zamrugał, a potem nagle wybuchnął śmiechem.

- Zaczekaj chwilę, Długa Strzało - zarechotał. - Zaraz wracam.

Rozległ się głośny trzask pioruna, zaśniła błyskawica i Dahlaine zniknął. Gdy po chwili wrócił, w dłoni trzymał niewielką błyszczącą kulę.

- Nie patrzcie prosto na nią - przestrzegł. - Może wam popsuć wzrok.

Otworzył dłoń, a wówczas kula uniosła się w powietrze, stopniowo rozjarzając coraz jaśniej. Aż wreszcie, mniej więcej sto metrów nad murem Gundy, zatrzymała się, wylewając z siebie światło tak jaskrawe, że zalała nim i mur i stok prowadzący do Pustkowie, jakby nagle stało się południe.

Najbliższe nietoperze zaskrzeczały przeraźliwie i uciekły.

- A cóż to takiego? - spytał Gunda zdumiony.

- Moja ulubienica - odpowiedział Dahlaine. - Gdyby była większa, pewnie nazywałbym ją słońcem.

*

Następnego dnia z samego rana Długa Strzała zszedł po sznurowej drabince na zewnętrzną stronę czarnego muru Gundy i ruszył w dół stoku, przeskakując wały obronne wzniesione przez ludzi Padana. Pamiętając zwinność mniejszych sług Vlagha, których spotkali w wąwozie nad Lattash, nie mógł się pozbyć wrażenia, że barykady stałyby się skuteczniejsze, gdyby były nieco wyższe, ale postanowił zatrzymać swoje uwagi dla siebie.

Najważniejszą przyczyną tej wczesnej wizyty na wałach obronnych była konieczność porozmawiania z ludźmi, którzy już widzieli z bliska najnowsze stwory Vlagha.

Odszukał brygadiera Danala i zastępcę komandora, Andara. Obaj ubrani byli w standardowe trogickie mundury: czarne, skórzane, uzupełnione błyszczącymi napierśnikami. Rozmawiali przyciszonymi głosami.

- Wcześniej wstajesz - powitał Długą Strzałę Danal. - Coś się dzieje?

- Na razie nic. Nie widziałem jeszcze naszego nowego wroga, a chciałbym się o nim dowiedzieć jak najwięcej. Czy zauważyliście jakieś różnice w porównaniu z tymi stworami, które atakowały nas w wąwozie nad Lattash?

- Są znacznie bardziej niezdarni - stwierdził Danal. - Czasami można odnieść wrażenie, że potykają się o własne nogi.

Długa Strzała pokiwał głową.

- Nic dziwnego. Jak pamiętam, swego czasu miałem takie same problemy. Jeśli ciało rośnie za szybko, mózg nie nadąza z przystosowaniem do nowych rozmiarów, więc nie dziwota, że można się potykać o każde źdźbło trawy. Czy wczoraj atakowały również te żółwie skrzyżowane z pajakami?

- Ja żadnego nie widziałem - stwierdził Andar. - A ty, Danalu?

- Ja też nie. I nie miałbym nic przeciwko temu, żeby tak już zostało. Wróg o jadowitych zębach nie należy do łatwych przeciwników, a jeśli do tego jeszcze ma na sobie zbroję, jest dużo gorzej.

- Czy Keselo wspomniał wam o swoim pomysśle, by wycofać się za następny wał obronny?

Andar pokiwał głową.

- Interesujący, ale nie podejrzewam, by się okazał skuteczny. Chyba że ktoś zgasi tę ognistą kulę wiszącą nad zboczem. Jeśli mamy wykonać to zadanie, potrzebujemy ciemności.

- Albo dymu - podsunął Danal.

- Może być dym. Pod warunkiem że znajdziesz dość drzewa na opał.

- Do wieczora mamy czas na przemyślenie sprawy - powiedział Długa Strzała. - Jak sobie radzą łucznicy?

- Coraz lepiej - stwierdził Danal zadowolony. - Oczywiście nie są jeszcze tak dobrzy jak twoi ludzie, ale mniej więcej co drugi raz trafiają w cel.

- Prawdopodobnie za wcześnie wypuszczają strzały - powiedział łucznik. - Można zaznaczyć na ziemi linię jakieś dziesięć metrów od strzelających i powiedzieć im, żeby nie wypuszczali pocisków, dopóki wróg jej nie przekroczy.

- Posłucham twojej rady - oznajmił Andar.

*

Długa Strzała odszedł na bok i wysłał cichą myśl do pani Zelany.

- Cóż takiego się stało? - zapytała w jego głowie głosem dumnym i wyniosłym, który go niezmiernie irytował.

- Słońce stworzone przez twojego brata, pani, przeszkadza ludziom wprowadzić w życie pomysł Kesela. Żeby zwieść przeciwnika, potrzebują ciemności.

- Jeżeli Dahlaine zgasi kulę światła, wrócą nietoperze. - Umilkła na chwilę. - Czy mgła odegra tę samą rolę co ciemności? - spytała. - Wtedy byłby wilk syty i owca cała.

- Nawet o niej nie pomyślałem - przyznał Długa Strzała. - Rzadko się pokazuje w górach o tej porze roku. Czy naprawdę zdołałabyś, pani, sprowadzić ją o zachodzie słońca?

- Co za pytanie! Przecież znasz moje możliwości. Ale będziesz mi za to winien buziaka.

Długa Strzała wiedział, że naśladowanie zachowania Elerii to zwykła kpina, ale serce w nim drgnęło.

*

Gdy słońce wstało, nieludzki ryk z głębi Pustkowia oznajmił rozpoczęcie drugiego dnia wojny w Krainie Południowej. Długa Strzała przemykał za wałami obronnymi, radząc świeżo upieczonemu trogickiemu łucznikowi czekać, aż nieprzyjacielskie siły znajdą się w odpowiedniej odległości, i dopiero wtedy wypuszczać strzały.

- Czy to naprawdę dobry pomysł, żeby wróg podchodził tak blisko? - zdobył się na odwagę któryś z młodszych żołnierzy.

- Lepiej się wstrzymać, niż tracić strzały - odparł łucznik. - Jeśli podejda dość blisko, nie chybisz. Poza tym, gdy przed wałem utworzy się zwał trupów, następni, którzy będą go pokonywać, wystawią ci się na cel. Tak to właśnie wygląda, młody przyjacielu. Za pomocą

łuku stawiasz kolejną barykadę, a budulcem są ciała nieprzyjaciół.

Młody Trogita zaśmiał się nerwowo.

- Nie patrzyłem na to w ten sposób - przyznał. - Co ciekawe, budulec sam się zjawia w odpowiednim miejscu.

- Zawsze zostawiaj najcięższą pracę dla wroga - podpowiedział Długa Strzała.

- Będę o tym pamiętał. I powiem kolegom.

- Świetna myśl.

- Szkoda, że sierżant Rudobrody nam tego nie powiedział.

- Sierżant...? - zdumiał się Długa Strzała.

- Tak go nazywamy od czasu, gdy zaczął prowadzić nasz trening. Czy to dla niego obraźliwe?

- W zasadzie... - zająknął się łucznik, tłumiąc śmiech. - Raczej nie. Ten człowiek wiele zniesie. - Raptem przyszło mu coś do głowy.

- Ale jeśli chcecie się zwracać do niego jak należy, mówcie mu „wodzu”.

- Powtórzę kolegom. Należy używać właściwych tytułów, prawda?

- Oczywiście, jak najbardziej - zgodził się Długa Strzała z całkiem poważną miną.

Ciekaw był, jak Rudobrody, zawsze skory do żartów i płatania figli, zareaguje na ten dowcip. Jak się zachowa, gdy Trogici zaczną się do niego zwracać tytułem, którego z całego serca nie znosił.

Ostatnie doświadczenia Vlagha zaowocowały pojawieniem się na świecie wyjątkowo nieskutecznych wojowników. Ciągnęli przez Pustkowie niezdarnie, powoli, jakby szli za pogrzebem. Długa Strzała wiedział jednak, że wkrótce nabiorą wprawy, jak każde nowe pokolenie. Ich niżsi poprzednicy nieomal na pewno czaili się w lasach krainy pani Zelany od wieków, toteż mieli wiele czasu na udoskonalenie swoich umiejętności. Uzdrowiciel tłumaczył to Dłgiej Strzale cierpliwie. Mówił, że każdy sługa Vlagha z osobna nie potrafi się nauczyć niczego. Wszelkie zmiany następowały wyłącznie z pokolenia na pokolenie.

W miarę upływu czasu, w miarę kolejnych udoskonań także wyżsi ludzie-węże z pewnością będą stawali się coraz sprawniejsi i groźniejsi, na razie jednak nie stanowili szczególnego zagrożenia.

Bezmyślna szarża przerośniętych potworów Vlagha trwała aż do późnego popołudnia. Do tego czasu sterta trupów jakieś dziesięć metrów przed wałem obronnym przerosła sam wał.

W którymś momencie odezwał się znany ryk z Pustkowie, oznajmiający koniec ataku. Wówczas nadciągnęła nad pole bitwy mgła sprowadzona przez panią Zelanę.

- Niezły dzień, całkiem przyzwoity - podsumował walki Andar, zastępca komandora. - Nadal jesteśmy na pozycjach, a oni ciągle nic nie wywalczyli, więc możemy się dziś uważać za zwycięzców.

- Skorzystajmy z tego, że nadciągnęła mgła - odpowiedział brygadier Danal. - Pewnie przez całą noc będziemy wtykać w ziemię zatrute kołki.

- Nie przepadam za truciznami. - Andar wstrząsnął się. - Kto właściwie wpadł na pomysł, żeby zabijać wroga jego własnym jadem?

- Mój nauczyciel, Uzdrowiciel - powiedział Długa Strzała.

- Z tych, którzy dziś stracili życie, wystarczy nam jadu na wszystkie kołki. - Zaśmiał się nagle.

- Co cię tak śmieszy?

- Przypomniał mi się Rudobrody.

- Ten, co to ćwiczył łuczników?

- Tak, ten sam. Ma szczególne poczucie humoru. Na pewno by uznał, że skoro pokonani dzisiaj nieprzyjaciele pomogą nam pokonać wroga jutro, my możemy spokojnie zostawić ich samych sobie i iść na ryby.

- No, to już byłaby przesada - zaproponował Danal. - Musimy przynajmniej robić odpowiednie wrażenie. Jeśli nie będziemy wyglądali na zajętych, nasz pracodawca może dojść do wniosku, że nie ma nam za co płacić.

- Ugryź się w język! - syknął Andar.

*

Mgła stworzona przez panią Zelanę, oświetlona niewielkim słońcem jej starszego brata, skutecznie ukryła działania ludzi komandora Narasana przed wrogami zaczajonymi na Pustkowiu. Mało tego, dzięki niej nie musieli pracować w ciemnościach. Zakończyli wtykanie zaostrzonych kołków o czubkach nasączonych jadem dwa razy wcześniej, niż się spodziewali.

- Teraz pozostaje nam tylko czekać - stwierdził Andar.

- Można by się zdrzemnąć chwilkę - odpowiedział Danal. - I tak nas obudzą, zanim ruszą do ataku. Nie sposób przespać tego wycia. Wstaniemy na czas, by popatrzeć, jak ludziorobale ruszają do ataku po zatrutych kołkach.

- Ja mam mocny sen.

- Zauważyłem. Dźwiękowe tło twojego snu jest słyszalne w promieniu kilku kilometrów.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chrapiesz, komandorze. Czasami tak dajesz po garach, że można twoje chrapanie pomylić z trzęsieniem ziemi.

Akurat wtedy rozległ się znajomy głuchy rozkaz dobiegający z głębi Pustkowie i nowe zastępy ludzi-węży ruszyły do ataku, skąpane w pierwszych promieniach słońca.

- To tyle, jeśli chodzi o drzemkę - skomentował Danal.

Wróg niezgrabnie wspinał się po ciałach martwych towarzyszy, by dotrzeć do zewnętrznego wału obronnego. Wydawał się zdziwiony, iż nie napotyka żadnego oporu.

- Dajmy im znać, że jesteśmy - zaproponował Andar.

- Tak jest. - Danal odwrócił się do żołnierzy. - Okrzyk bojowy, panowie! - polecił.

Na jego rozkaz zza drugiego wału obronnego poszybował krzyk mrozący krew w żyłach.

Nieprzyjaciel, który opanował już pierwsze umocnienia, dłuższą chwilę tkwił w miejscu, wyraźnie zbity z tropu. Po jakimś czasie z Pustkowie dotarł kolejny rozkaz.

- Mają całkiem niezłe tempo - stwierdził Długa Strzała, gdy potwory zaczęły marsz w górę zbocza, ku drugiej barykadzie.

- Nie bardzo rozumiem, co tu się dzieje - przyznał Andar.

- Pan Veltan opowiedział nam, że poczynaniami ludzi-owadów kierują polecenia wydawane przez wszechmózg - powiedział Długa Strzała. - To, co widzi jeden z nich, widzą wszyscy.

- Przekazują sobie gałki oczne czy jak?

- Niezupełnie. Ale podejrzewam, że istotny jest dotyk. Jeżeli już muszą się rozproszyć po okolicy, zawsze są na tyle blisko siebie, żeby szybko przekazać informacje Vlaghowi.

- Do podobnych wniosków doszedł Zajączek w kanionie nad Lattash - zauważył Danal.

- To prawda - zgodził się Długa Strzała.

- Nie wiem, o czym mówicie - przypomniał się Andar.

- W górach często leży śnieg - podjął się wyjaśnić Danal.

- Miejscowi ostrzegali nas przed lokalnymi zagrożeniami. O ile do brze zrozumiałem, co roku wiosną zaczyna tam wiać ciepły wiatr znad morza, niekiedy w jedną noc rozpuszcza cały zgromadzony przez zimę śnieg, powodując powódź. Akurat tej wiosny znalazł się w górach oddział Maagsów, więc musieliśmy ich ostrzec, gdy pojawił się ciepły wiatr. Zajączek, wyjątkowo sprytny mieszkaniec Maagsu, zaproponował przekazanie ostrzeżenia za pomocą dźwięku rogów. Dzięki temu wiadomość dotarła do zainteresowanych dosłownie w kilka minut. Piraci wspięli się wyżej na stok, gdzie byli bezpieczni, ale ludzie-węże nie

zorientowali się, o co chodzi. Aż trudno uwie rzyć, ilu ich potopiło się w czasie tych wiosennych roztopów.

- Doskonały przykład - włączył się Długa Strzała. - Potwory z Pustkowie nie potrafią zadać w róg. Nie umieją w ten sposób przekazać wiadomości. Posługują się dotykiem. Podejrzewam, że Vlagh w kilka chwil otrzymuje najnowsze informacje. A ten gromki krzyk, który dociera do naszych uszu, to jego komendy.

- Co by oznaczało, że są skuteczniejsi, niż mi się wydawało - stwierdził Andar. - Skoro mogą się tak szybko porozumiewać.

- Na poprzedniej wojnie tego nie robili - zauważył Danal.

- Rzeczywiście - przyznał Długa Strzała. - Moim zdaniem Vlagh nauczył się w czasie tamtych potyczek nieco więcej, niż bylibyśmy skłonni przyznać.

- Ale jednego najwyraźniej nie pojął - powiedział Danal. - Nie wie, że zastrzone kołki zostały unurzane w jądzie. Zobaczcie, pada ją jak muchy.

Długa Strzała wyjrzał zza barykady. Rzeczywiście, nieprzyjacielska szarża straciła resztki rozpędu, gdy pierwsze rzędy atakujących dotarły do zatrutych kołków.

Po jakimś czasie dobiegł z Pustkowie ostry rozkaz i niezręczne potwory nagle stanęły w miejscu.

Długa Strzała zaklął pod nosem.

- Co się dzieje? - zapytał Andar.

- Obawiam się, że kołki przestały być skuteczne - powiedział Długa Strzała. - Najwyraźniej Vlagh właśnie sobie uświadomił, że to śmiertelna broń, i zatrzymał armię.

- Nic nie szkodzi - stwierdził Danal beztrąsko. - Skoro wróg nie atakuje, to wojna w zasadzie skończona. Kołki zdecydowały o naszym zwycięstwie.

- Niezupełnie - zaproponował Andar. - Większość napastników nadal żyje. Stoi i czeka.

- Może jak zgłodnieją, pójdą sobie gdzieś indziej.

*

Przed południem na wał obronny zaczęły się wspinać ośmionożne żółwie. Normalnie trudno sobie wyobrazić żółwia, któremu by się udało pokonać pionową ścianę, ale te stwory, chronione grubą skorupą, wsparte na ośmiu długich odnóżach, także opancerzonych, poruszały się z zadziwiającą zręcznością i w niesłychanym tempie. Szybko wyprzedziły ludzi-owady i pięły się po stoku w górę, łamiąc zatrute kołki.

Danal zaklął soczyście.

- To nieuczciwe - stwierdził stanowczo.

- A ja bym powiedział, że to naśladownictwo - powiedział Andar. - Żółwie skorupy

odgrywają tę samą rolę co nasze napierśniki, z czego wynika, że Vlagh się zorientował, jak bardzo są pożyteczne, i stworzył coś podobnego. Tyle że jego żółwie mają osiem nóg zamiast czterech, więc mogą się posuwać znacznie szybciej niż prawdziwe.

- I w dodatku strzały im nie szkodzą - dorzucił Długa Strzała. - A jeżeli się jeszcze okaże, że potrafią tworzyć sieci, jak normalne pająki, walka nareszcie stanie się interesująca.

- W pół dnia poradziły sobie z naszymi kołkami, komandorze - zameldował Andar Narasanowi podczas wieczornego spotkania na szczycie środkowej wieży muru Gundy. - Na szczęście nie wydają się stworami nocnymi, bo o zachodzie wykonały odwrót.

- Czy komuś udało się zabić chociaż jednego potwora? - zapyta! Gunda.

- Niestety, nie. Strzały odbijają się od pancerzy. A ponieważ wróg nie dotarł do drugiego wału obronnego, nie mieliśmy okazji wypróbować skuteczności włóczni. Tak czy inaczej nie przypuszczam, żeby się dało przebić skorupę.

- Oj, chyba będziemy mieli problem - zauważył Gunda. - Naszym prawdziwym wrogiem jest Vlagh, a wszystko wskazuje na to, że sporo się nauczył w czasie poprzedniej wojny. Ma teraz większych, roślejszych żołnierzy, ma też oddziały opancerzone. Czas ruszyć głową, bo w przeciwnym razie będziemy na straconej pozycji.

- Poszukam Dahlaine'a - odezwał się pan Veltan. - Jest znawcą owadów, może dostaniemy od niego jakieś cenne informacje.

Długa Strzała zerknął na stworzone przez najstarszego boga słońce, które płonęło bez ustanku jasnym, radosnym blaskiem. Narodziło mu się w głowie pewne pytanie: skoro sztuczne słońce szkodziło nietoperzom, dlaczego inni słudzy Vlagha przerwali atak, gdy prawdziwe zaszło za horyzont? Ta wojna stawała się coraz bardziej skomplikowana, zapewne dlatego że Vlagh wiele się nauczył podczas walk w krainie pani Zelany, choć trudno sobie wyobrazić, by robaki się czegokolwiek uczyły.

Niedługo potem na wieży spotkała się trójka rodzeństwa: Veltan, Dahlaine i Zelana oraz przedstawiciele najemników. Komandor Narasan pokrótce zarysował sytuację, opisał wygląd większych ludzi-owadów oraz ośmionogich żółwi.

- Tych powinniście się wystrzegać przede wszystkim - uznał Dahlaine. - Osiem nóg mają pająki, a one są znacznie bardziej niebezpieczne niż węże.

- Sądziłem, że nie ma nic gorszego od węży - wyznał Zajączek. Dahlaine pokręcił głową.

- Jad węża zabija, zwykle bardzo szybko. Natomiast pająk parali żuje ofiarę, następnie owija ją siecią i zostawia w sobie wiadomym miejscu do czasu, gdy poczuje głód. Nie należy do rzadkości pajęcza sieć, na której czeka swojej kolei pięć czy sześć najbliższych posiłków.

- Okropność! - wzdrygnął się Zajączek.

- A to jeszcze nie wszystko. Pająk nie ma zębów, więc nie przeżuwa jedzenia. Istotną częścią składową jego jadu jest kwas trawienny, który rozpuszcza ciało ofiary. Dzięki temu pająk może wessać to coś... lub kogoś, kogo przeznaczył na kolację. Zostanie tylko skóra i kości.

- Lepiej wymyślmy, jak je zabijać - odezwał się Długa Strzała.

- Może ogniem? - podsunął Keselo.

- Może ogniem - zgodził się Dahlaine.

- Czy pająk ma jakąś część ciała pozbawioną ochronnego pancerza? - zapytał Długa Strzała.

- Oczy - odparł Dahlaine po namyśle. - Będziesz miał w co celować, łuczniku.

- Tak?

- Pająk ma ośmioro oczu.

- Coś podobnego! Nie wiedziałem. Wobec tego może nie będzie tak źle, jak się obawiałem.

*

Długa Strzała od kilku dni nie dosypiał, nic więc dziwnego, że był zmęczony. Oddalił się od obozu i w lesie, na zachód od gejzeru, ułożył się na zasłużony odpoczynek. Odkąd Dahlaine podsunął mu pomysł strzelania do pajęczych oczu, czuł się mniej bezradny i dużo spokojniejszy, więc zasnął, ledwie przyłożywszy głowę do poduszki z mchu.

Spał dłuższy czas, gdy obudził go dziwnie znajomy kobiecy głos.

- Odejdź, dzielny wojowniku, odejdź z tego miejsca.

Usiadł, rozejrzał się wokół, ale nikogo nie zobaczył. Przekonany, że mu się przyśnił ten dźwięczny głos, ułożył się ponownie do snu. Ledwo jednak zasnął, usłyszał znów:

- Odejdź, Długa Strzało, wojowniku strzegący pani Zelany. Nie narażaj się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo. Trzymaj się na ubo czu, odejdź.

Zerwał się na równe nogi, potoczył baczny spojrzeniem dookoła, lecz nadal nikogo nie zauważył. Zirytował się.

- Dajże mi spokój - mruknął, układając się na trawie. - Próbuje się przespać.

Kobiecy głos nie dał za wygraną. Ponownie napłynął do niego z ciemności, tym razem jednak odezwał się ostrzejszym tonem.

- W imię pamięci Słodkiej Wody rozkazuję ci odejść z tego miejsca. Ta wojna jest moja, nie twoja, doprowadzę do zwycięstwa, jeśli tylko będziesz się trzymał z daleka od walk.

Głos umilkł, a Długa Strzała zapadł w głęboki sen bez marzeń.

*

Gdy tylko wstało słońce, posłał do pani Zelany bezdźwięczne pytanie:

- Czy w nocy sięgałaś do mnie myślą, pani?

- Nie, Długa Strzała - wróciła odpowiedź bez słów. - Może ci się to śniło. Może to było senne marzenie.

- Jestem trochę za stary na Marzyciela.

- Wiele zależy od tego, co się ma na myśli, mówiąc „stary” - stwierdziła pani Zelana wyniośle.

- Wybacz, pani. Ktokolwiek to był, namawiał mnie, bym stąd odszedł.

- Wobec tego masz dowód, że to nie ja, bo ja przecież nie mogę się obejść bez ciebie, mój drogi.

- Wolne żarty.

- Taka jest prawda. - Zamilkła na dłuższą chwilę. - Jak sądzisz, czy to mógł być Vlagh albo któryś z jego inteligentniejszych sług?

- Nie bardzo wiem, jak miałyby to zrobić. Głos nalegał, bym go posłuchał w imię Słodkiej Wody, a przecież Vlagh nie może o niej wiedzieć i z pewnością nie ma pojęcia, jak cenna jest dla mnie pamięć o narzeczonej.

- A może to faktycznie był sen? Podobno marzenia senne potrafią być tak rzeczywiste, iż trudno je odróżnić od jawy.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Nocą zastępca komandora Andar wycofał wojsko za trzecią barykadę i mimo braku wiary w skuteczność tego działania kazał naszpikować stok zaostrzonymi kołkami umaczanymi w jadzie.

Tuż przed wschodem słońca Długa Strzała i Zajączek zjawili się u boku przyjaciół.

- Spóźniliście się - zauważył Andar.

- Zaspałem - rzucił Długa Strzała od niechcenia.

- Chciałbym cię o coś zapytać. Powiedziano mi, że wiesz o ludziach-owadach więcej niż ktokolwiek inny, więc może potrafisz mi wytłumaczyć, dlaczego wycofują się co wieczór? Za każdym podejściem pod nasze fortyfikacje tracą kilkuset towarzyszy, a mimo to wraz z zachodem słońca przeprowadzają odwrót. Następnego dnia muszą od początku zdobywać na nowo teren, który wczoraj już zajęli. Przecież to kompletnie bez sensu.

- Głupota jest częścią natury ludzi-owadów - wtrącił się Zajączek. - Może po prostu nie wiedzą, że nadejdzie kolejny dzień, że ponownie wstanie słońce. Dla nich czas kończy się

z nastaniem ciemności. A może przyczyna jest zupełnie inna, może mamuśka jest nocami samotna i chce mieć dzieci przy sobie.

- Jaka mamuśka?

- Vlagh. O ile dobrze zrozumiałem to, co mówiła pani Zelana, Vlagh znosi jaja, z których wylęgają się ludzie-owady. Skoro znosi jaja, to jest ich mamuśką, tak?

Długa Strzała przyjrzał się stokowi za barykadą.

- Widzę, że powtykaliście nowe kołki. Doskonale. Dzięki temu pająki będą podchodziły pod wał obronny. Przydałby się jeden ubity. Im szybciej, tym lepiej.

- Po co?

- Żebyśmy mogli go obejrzeć z bliska, poszukać słabych punktów. Trogiccy łucznicy nie są mistrzami w sztuce szycia z łuku, wątpliwe, żeby trafili pająka w oko z odległości stu kroków, mam rację?

- O ile mi wiadomo, rzeczywiście - zgodził się Andar.

*

Wzbogacenie działań wojennych o użycie pocisków zapalających wyrzucanych z katapult zauważalnie podniosło Trogitów na duchu. Ropa, żywica i smoła zmieszane w odpowiednich proporcjach wyraźnie nie służyły ani przerośniętym ludziom-owadom, ani opancerzonym pająkom.

Długa Strzała natomiast był coraz bardziej niezadowolony. Owszem, udało mu się uśmiercić zatrutymi pociskami kilka tuzinów ośmionogich żółwi, ale wszystkie ciała były uszkodzone przez ogień.

- Komandorze! - krzyknął do Andara. - Nie strzelajcie tutaj przez kilka chwil! Palicie wszystko, co się znajdzie w zasięgu katapulty!

- I o to z grubsza chodzi. Skoro coś jest skuteczne, nie należy nic zmieniać, tak zawsze mawiam.

- Ta skuteczność mi przeszkadza. Potrzebny mi chociaż jeden żółw surowy, a nie pieczony.

- Mhm... O tym nie pomyślałem. Ile czasu potrzebujesz, żeby sobie któregoś upolować i zabrać truchło?

Długa Strzała ogarnął spojrzeniem naszpikowaną kołkami przestrzeń między drugą a trzecią barykadą. Znajdowały się tam setki zabitych pajaków. Ani jednego nietkniętego ogniem.

- Możecie przestać strzelać na chwilę? - poprosił. - Żołnierzom przyda się nieco odpoczynku, mają za sobą ciężki dzień pracy. Niech paru wrogów podejdzie bliżej,

zdecyduję, którego chcę, zabiję go i zabiorę ciało. Wtedy będziecie mogli upiec wszystkich pozostałych.

Wyjrzał zza barykady i zobaczył kilku przerośniętych ludzi-owadów brnących niezdarnie pod górę, tymczasem jednak pająki zdawały się trzymać na dystans. Najwyraźniej ogniste pociski nie poszły im w smak.

Gdy pierwszy człowiek-owad dotarł na środek otwartej przestrzeni między dwiema barykadami, pająki wyraźnie nabrały śmiałości. Zwarta opancerzona masa przelała się przez drugi wał obronny i ruszyła do ataku.

- Zaraz was spotka przykra niespodzianka - mruknął Długa Strzała, wyciągając strzały z kołczanu.

Najnowszy słudzy Vlagha byli wyraźnie inteligentniejsi od swoich poprzedników, z którymi łucznik miał do czynienia w wąwozie nad Lattash, lecz ostrożności nadal im brakowało. Długa Strzała odczekał, aż któryś z pajaków znalazł się zaledwie kilka metrów od wału obronnego, i wtedy wypuścił pocisk prosto w jedno z wielkich owadzich oczu. Potwór znieruchomiał, padł. Kilku trogickich żołnierzy przeskoczyło barykadę i zaciągnęło martwego wroga za mur.

- Dziękuję! Więcej mi nie trzeba! - krzyknął Długa Strzała do Andara. - Możecie strzelać dalej.

- Z miłą chęcią! - odkrzyknął zastępca komandora. Katapulty na nowo bluznęły ogniem, kolejni słudzy Vlagha stracili życie w płomieniach.

*

Dahlaine spędził większą część popołudnia na uważnym badaniu efektu najnowszych doświadczeń Vlagha. Sekundowali mu w tym Długa Strzała, pan Veltan i pani Zelana.

- Vlagh nigdy nie przestanie mnie zadziwiać - odezwał się starszy z boskich braci. - Ten stwór jest zupełnie inny, nie ma w nim śladu z gada. To pająk.

- Jeszcze nie widziałem pająka z taką skorupą - oznajmił Veltan.

Podeszli do nich Zajączek i Narasan.

- To udoskonalony pająk - oznajmił Dahlaine. - Vlagh najwyraźniej docenił przydatność trogickich napiersników, a następnie rozejrzał się za czymś podobnym w zwierzęcym świecie. Rzecz jasna od razu nasunęło mu się skojarzenie z żółwią skorupą. Wtedy zmienił pająki, dodając im obronny pancerz, którego nie przebiję strzała. Pamięta z pewnością, iż z ręki łuczników zginęło w krainie naszej siostry wiele jego sług. Najbardziej martwi mnie, że zaczął eksperymentować akurat z pajakami. To zupełnie nowy gatunek wśród jego poddanych. Musi jadać regularnie i w dodatku żywi się stworzeniami

przypominającymi poprzednie sługi. Sytuacja przywodzi na myśl skrzyżowanie kota z myszą.

- Przecież to absurd! - zaprotestowała Zelana.

- Vlagh sam w sobie jest absurdem. Z pewnością dawno to zauważyłaś. Mnie niepokoi jedynie, dlaczego postanowił uczynić swoimi opancerzonymi sługami właśnie pająki. Istnieją gatunki żuków, które nadawałyby się równie dobrze, a są znacznie bliższe pierwotnym pokoleniom Vlagha. Istotny jest choćby taki drobiazg, że pająki to istoty samotnicze, w przeciwieństwie do wcześniejszych sług Vlagha, którymi bardzo silnie rządził instynkt stadny.

- Świat owadów i pajaków jest wyjątkowo skomplikowany - stwierdził Zajączek.

- Masz słuszność - zgodził się z nim Dahlaine.

*

- Czyżbyś nie zamierzał mnie posłuchać, dzielny wojowniku?

- Dźwięczny kobiecy głos wybił ze snu Długą Strzałę. - Zwycięstwo będzie po mojej stronie, musisz jednak odsunąć się od walki. Choć nikt o tym nie wie, armie dążące z południa słuchają moich rozkazów i ciągną w góry na moje polecenie. Rozkazuję ci nie przeszkadzać im więcej. Usuń mi się z drogi. Ustąp miejsca. Nie stój dłużej pomiędzy mną a zwycięstwem.

Długa Strzała się obudził. Oczy miał szeroko otwarte. Zaczynał rozumieć. Przypomniał sobie opowiadanie Torla o historyjce, którą powtarzał każdy rolnik po usłyszeniu słowa „złoto”. I o obsesyjnym marszu trogickich żołdaków na północ. Fragmenty układanki zaczynały tworzyć całość. Oto jakaś kobieta wpadła na pomysł, by za pomocą wyspanej z palca opowiastki o złocie schwytać w sieć pół miliona kościelnych żołnierzy.

Tylko po co?

Im dłużej nad tym rozmyślał, tym większej nabierał pewności, że powinien usłuchać rozkazu słyszanego we śnie. Uznał także, iż polecenie jest skierowane nie tylko do niego. Jego przyjaciele także powinni się usunąć z drogi, by dwa wraże wojska starły się w walce i wzajemnie doprowadziły do zagłady.

- Doskonale - pochwalił go kobiecy głos. - Wiedziałałam, że kie dyś wreszcie pojdziesz moje zamierzenia.

*

- Pani Zelano, poświęć mi chwilę! - zawołał Długa Strzała bez słów.

- Co się dzieje? Jakaś nowa katastrofa?

- Nie, tylko muszę z tobą porozmawiać. Najlepiej w towarzystwie twoich braci, a także komandora Narasana.

- Co cię trapi?

- Trudno powiedzieć, czy akurat trapi. Ot, po prostu mam wrażenie, że pomaga nam ktoś, czyjego istnienia w ogóle nie podejrzewamy.

- Intrygujące... Mów dalej.

- Wybacz, pani, ale nadal nie mam całkowitej jasności. Proszę cię o spotkanie. Może przy gejerze? Dobrze byłoby rozważyć sprawę dyskretnie, by żadne wiadomości nie dotarły do Vlagha.

- Oby to była ważna sprawa!

- Jeśli nie myślę się karygodnie, sprawa jest bardzo ważna. Wyszedł z lasu, w którym sypiał, i ruszył w stronę hałaśliwego gejeru, próbując dojść do ładu z przedziwnym nowym doświadczeniem. Gdy dotarł na miejsce, czekało już na niego troje władców Dhrallu, a prócz nich Zajączek, Keselo, Gunda, Torl i komandor Narasan.

- Co się stało? - spytał Zajączek.

- Wróćmy do początku - zaproponował Długa Strzała. - Marzenie senne Ashada zdradziło nam, że dojdzie do drugiej inwazji na Krainę Południową i rzeczywiście, pięć kościelnych armii zjawilo się na południowym wybrzeżu, zanim jeszcze my dotarliśmy do domu pana Veltana.

- Wracasz do prehistorii - zaprotestował Gunda.

- Owszem, ale mam ku temu naprawdę ważne powody. Przypomnijmy sobie: kościelni żołdacy okrążyli wioski, mieszkańców zamknęli w zagrodach i zacierając ręce, czekali na handlarzy niewolników.

- Wiemy, wiemy - westchnął Narasan.

- Idźmy dalej. Zanim pojawiły się statki handlarzy żywym towarem, zaszło coś niespodziewanego. Znamy to z opowiadania Torla. Otóż każdy z rolników, który usłyszał słowo „złoto”, w transie recytuje nieprawdopodobną bajeczkę, która zapewne wcale nie jest pradawną legendą, ponieważ Omago jej nie zna. Kościelni żołdacy masowo dezerterują i ciągną na północ. Nie mogą dostać się w góry parowami ani wężozami, bo my im przeszkadzamy, więc decydują się zbudować rampę. Wcale nie w jakimś szczególnie dobrym miejscu, a mimo to wydają się owaćdnieci tą myślą. - Spojrzał na komandora. - Nie znam zwyczajów kościelnego wojska tak dobrze jak pan, komandorze. Czy oni normalnie zachowują się właśnie w ten sposób?

- Raczej nie - przyznał Narasan. - Chociaż trzeba wziąć pod uwagę, że informacja o ogromnych ilościach złota w zasięgu ręki mogła im zamąć w głowach.

- Wszystkim jednocześnie? Chociaż kilku powinno zachować trzeźwość umysłu.

- Wiem, do czego dążysz - stwierdził Narasan - i rzeczywiście muszę przyznać, że kościelne armie nie zachowują się normalnie. To jednak nie zmienia faktu, iż mnie atakują, w związku z czym znaleźliśmy się między młotem a kowadłem. Nie mogę stawiać im oporu, a jednocześnie walczyć z ludźmi-owadami. Chciałbym wiedzieć, do czego dążysz.

- Ktoś przemówił do mnie we śnie. Przemawiał dość formalnym językiem, ale przekaz sprowadzał się w zasadzie do jednego: „zejdź mi z drogi”. Ten ktoś jest najwyraźniej przekonany, że armie Kościoła oraz słudzy Vlagha wymordują się wzajemnie, pod warunkiem że my się usuniemy, przestaniemy rzucać głazy na rampę.

- Czyżbyś raptem dołączył do grona Marzycieli? - zapytał Dahlaine sceptycznie.

- Przypuszczam, że mój sen był zupełnie inny - odparł Długa Strzała. - Marzyciele działają za pomocą marzeń sennych, dzięki nim zmieniają rzeczywistość. A ja, o ile dobrze zrozumiałem przesłanie, mam przekonać was do usunięcia się z drogi.

- Ciekawe, czyj to był głos - zastanowił się Zajączek głośno.

- Nie mam pewności - przyznał łucznik. - Za to mam nieodparte wrażenie, że już go słyszałem, niestety, nie potrafię przypisać do konkretnej osoby.

- Cóż, chyba potrzebny nam będzie jakiś mocniejszy dowód niż głos we śnie. Nie powinniśmy lekkomyślnie opuszczać barykad - stwierdził Gunda. - Trochę za dużo dziur w tej twojej teorii.

- Ja także skłaniam się ku ostrożności - przyznał Dahlaine.

- Kto czy co potrafi narzucić działanie kościelnym żołdakom? Raczej Vlagh niż jakiś tajemniczy przyjaciel. Co będzie, jeśli się wycofamy, a wojsko kleru połączy siły ze sługami Vlagha? Powiem ci: nim na dejdzie schyłek lata, stracimy całą ziemię Veltana. Musimy mieć oczy szeroko otwarte, ale jeśli nie dostaniemy jakichś wyraźniej szych wskazówek, nie ośmielimy się opuścić pozycji.

- Strasznie trudno ich przekonać - westchnął Torl. Stali we dwóch z Długą Strzałą na szczycie centralnej wieży muru Gundy.

- Może dlatego że nie widzieli, do jakiego stopnia plan trogickiego Kościoła wziął w łeb, kiedy rolnicy zaczęli opowiadać swoją bzdurną historyjkę. - Przeniósł spojrzenie na Pustkowie. - A ja jestem w zasadzie pewien, że masz rację. Chociaż twoja teoria miałaby więcej sensu, gdyby ten piasek był żółty, nie czerwony.

- Nie wiem, czy nawet wtedy władcy kontynentu daliby się przekonać - zwątpił łucznik. - Rzeczywiście, niekiedy są krótkowzroczni i uparci jak dzieci.

- Chyba będziemy mieli burzę - powiedział Torl, wskazując kłębiącą się chmurę na zachodzie.

Długa Strzała oszacował ją uważnym spojrzeniem.

- Ale to nie będzie zwykła burza - stwierdził. - Zbliża się burza piaskowa.

- Nienawidzę piachu - oznajmił Torl. - Wciska się pod ubranie, do gardła, wszędzie!

Łucznik lekko zmarszczył brwi.

- Nadciąga z niewłaściwej strony - zauważył. - Zachodnie pasmo jest porośnięte drzewami i krzewami, nie ma tam tyle piasku, żeby powstała aż tak wielka chmura.

- Ale jest żółta - upierał się Torl. - Drzewa nie bywają żółte, zwłaszcza tutaj.

Złotawa chmura dostojnie zsunęła się z górskiego stoku, na chwilę zamarła, jakby się zastanawiała nad wyborem drogi, i wreszcie ruszyła nad Pustkowie.

- Złociutka moja! - ucieszył się Torl. - Dobrze robisz! Idź, na przykrzaj się ludziom-owadom, a nie mnie!

Sypka mgła żwawo sunęła przez czerwoną równinę, pokrywając ją grubym kobiercem o złotym zabarwieniu. W końcu wsiąkła w czerwonawy piasek. A gdy całkiem opadła i słońce znów zaświeciło nad Pustkowie, Długa Strzała przetarł oczy ze zdumienia, ponieważ cała kraina aż po północny horyzont lśniła kuszącym blaskiem.

- Dobry Boże! - westchnął Torl. - Przecież to złoto! Przez chwilę myślałem, że to ruda żelaza, ale to jest złoto!

Łucznik roześmiał się głośno.

- Nie przypuszczam. Wygląda tak, ale to jednak żelazo. Na pewno nasza tajemnicza przyjaciółka właśnie przyszykowała pułapkę na pół miliona trogickich żołdaków. Od razu mi lepiej, a tobie?

*

Żołnierze Narasana na szczycie muru Gundy osłupiali, wpatrzeni w błyszczący piasek Pustkowie.

- Komandorze - odezwał się Długa Strzała - przydałoby się wy trącić twoich ludzi z transu. Mieszkańcy Pustkowie właśnie atakują, więc jeśli żołnierze nie wezmą się szybko do roboty, wkrótce będzie my mieli towarzystwo tu, na szczycie muru.

Narasan z trudem oderwał wzrok od połyskliwego oceanu złotego piasku.

- Wracać na pozycje! - huknął na swoich ludzi. - Nie płacą nam za podziwianie widoków! - Po czym dodał znacznie ciszej: - Nie wiem, na ile to podziwała. Nawet mnie kręci się w głowie na ten widok.

- Moim zdaniem o to właśnie chodzi - stwierdził Długa Strzała. - Takie wrażenie ma sprawiać ten złoty piasek. Na pewno warto pamiętać, że to nie jest prawdziwy kruszec. Sytuacja nam się klaruje. Ziomkowie Omega recytowali historyjkę o rolniku, który wybrał się

w góry i zobaczył to, co my teraz widzimy, kościelni żołdacy uwierzyli w bajeczkę, choć nie mieli na jej prawdziwość żadnego dowodu, i pognali na północ po złoty piasek, którego jeszcze przed chwilą tu nie było. Ktoś steruje ich działaniem, a wbrew temu, co twierdzi pani Zelana, mam prawie całkowitą pewność, że to nie jest Vlagh.

- Oby racja była po twojej stronie. Bo jeżeli władca Pustkowiec potrafi stworzyć taką iluzję, to mogę stracić całą armię.

- Komandorze! - zawołał jakiś żołnierz z sąsiedniej wieży. - Za nami piraci!

Narasan i Długa Strzała odwrócili się na południe. Komandor zaśmiał się cicho.

- Zdaje się, że nadciągnęła pomoc. Sorgan Orli Nos, jeżeli mnie wzrok nie myli.

Długa Strzała pokiwał głową.

- Szybko się uwinął. Podejrzewam, że miała w tym swój udział pani Zelana.

- Niewiele tu mają do roboty zwykli ludzie - rzucił Narasan z lekkim uśmiechem.

- Pozostaje nam słuchać poleceń boskich zwierzchników.

Sorgan Orli Nos wspiął się na szczyt muru Gundy, spojrzął w dół i skamieniał.

- Bogowie! - wyrwało mu się po chwili.

- To nie jest złoto. - Długa Strzała od razu sprowadził go na ziemię. - To jest ten sam minerał, który znalazł Grock, kiedy szliśmy w górę parowem wskazanym przez Nantona. Pomagają nam jakieś nieznane siły.

- Potrzebuję dowodu, że to nie szlachetny kruszec - stwierdził pirat nieustępliwie. - Na moje oko to czyste złoto.

- Długa Strzała twierdzi, że to oszustwo - włączył się do rozmowy Narasan - ale rzeczywiście, ja też chciałbym mieć pewność.

- Zajączku! - krzyknął łucznik. - Jesteś nam potrzebny! Drobnym Maags szybko zjawił się na środkowej wieży.

- Potrafisz ocenić z daleka, czy ten lśniący piasek to prawdziwe złoto? - zapytał Sorgan.

Zajączek przyjrzał się uważnie Pustkowiowi.

- Nie, kapitanie. Muszę go dotknąć.

- Teraz byłoby to dość trudne - stwierdził komandor - bo między nim a nami są bardzo nieprzyjaźnie nastawieni mieszkańcy wewnętrznej krainy.

Zajączek omiótł spojrzeniem złote morze.

- Można spróbować spuścić koszyk na linie, ale trudno powiedzieć, ile się uda nabrać. Tak naprawdę powinienem... - Plasnął się dłonią w czoło. - Chyba jestem mało przytomny. Przecież mam w kabzie coś, co pozwoli szybko stwierdzić, czym jest ten piasek.

- Tak? - zaciekawiał się Sorgan. - A co to takiego?

- Kupiłem ten drobiazg od innego kowala, kiedy zawinęliśmy do portu w Kormo. Nazywał go magnetytem. Słyszałem o nim wcześniej, uznałem, że może być interesujący, ale nigdy nie używałem do niczego poważnego. Ten minerał przyciąga żelazo.

- Sprawdziłeś już jego działanie? - zapytał Sorgan sceptycznie.

- Jasne, panie kapitanie - odparł Zajączek z szerokim uśmiechem. - Jak tylko w porcie brakuje mi gotówki, zakładam się o parę kufelków dobrego mocnego piwa, że mój kamień potrafi skakać.

- Rozwiązał sakiewkę, zanurzył w niej dłoń. - Jest - oznajmił dumnie, wyciągając bryłkę wielkości męskiego kciuka. Potem wy dobył nóż z pochwy i przysunął nieco do kamienia. Czarna bryłka minerału podskoczyła w górę i z brzękiem przyłgnęła do ostrza.

Sorgan zamrugał z niedowierzaniem.

- Coś podobnego! W życiu czegoś takiego nie widziałem. Podejrzewam, że wygrałeś niejeden zakład.

- Ja słyszałem o magnetycie - przyznał Narasan - ale nigdy go nie widziałem.

Zajączek pogładził palcem ciemną bryłkę.

- Owinę go jakąś szmatką. Jest okrągły i gładki, z pętli liny mógłby się wyslizgnąć, a nie chciałbym go stracić. Najlepiej włożę go do jakiejś niewielkiej sakiewki i ją dopiero przywiążę do liny.

- A czy przez tkaninę twój kamień będzie równie skuteczny?

- zapytał Sorgan.

Kowal pokiwał głową.

- Zawsze się przyczepia do żelaza. Nawet przez skórzaną kabzę. Nie wiedzieć czemu, tak musi być. Włożę kamień do sakwy i opuszczę ze zbocza góry. Jeśli ten złoty piasek jest rudą żelaza, przyczepi się do tkaniny. Jeśli nie będzie na niej nic, na pewno nie jest to żelazo. Może złoto, a może nie, ale nie żelazo, z całą pewnością.

- Chyba znam odpowiednie miejsce - odezwał się Długa Strzała. - Na początku zachodniego zbocza. Tam skała prowadzi pionowo w dół do samego Pustkowie. W dodatku nie jest bardzo wysoko, więc nie będziemy musieli taszczyć dużo liny.

- Wobec tego chodźmy - zdecydował Zajączek. - Jeśli znajdziemy odpowiedź na to ważne pytanie, wygramy kolejną wojnę.

*

- Ktokolwiek to robi, jest z pewnością wyjątkowo inteligentny - stwierdził Torl, który wybrał się z Długą Strzałą i Zajączkiem. - Powiedziałbym nawet, że od początku zaplanował

zasypanie pustyni tą imitacją złota.

- To jest ona - poinformował go łucznik. - Słyszałem kobiecy głos.

- Jak sądzisz, może siostra pani Zelany? - spytał Zajączek, poprawiając na ramieniu zwój liny.

- Nie, nie. - Długa Strzała pokręcił głową. - Jej głos rozpoznałbym od razu. To nie była pani Aracia. Znam ten głos, spotkałem tę kobietę, ale nie mogę sobie przypomnieć ani gdzie, ani kiedy.

- Wydaje się, że ma ona znacznie większą moc niż ci, którzy nas najęli - zauważył Torl. - Pewnie jest największą oszustką na świecie.

- Oszustką?!! - oburzył się Zajączek.

- Mamienie ludzi widokiem fałszywego złota nie jest uczciwe, chyba się ze mną zgodzisz - stwierdził Torl z szerokim uśmiechem. - Choć mnie to ani trochę nie przeszkadza. Nasza tajemnicza przyjaciółka skłoniła pięć kościelnych armii, żeby za nas wygrały wojnę. A płaci im imitacją złota.

- Tak czy inaczej będziemy musieli powstrzymać ataki z Pustkowie, dopóki nasi nowi sprzymierzeńcy nie ukończą budowy rampy - zauważył Długa Strzała.

- To prawda, ale też ludzie mojego drogiego kuzyna Sorgana przybywają z pomocą. Przecież nie musimy zabić wszystkich ludzi-owadów. Wystarczy powstrzymać ich od wejścia na górę do czasu, gdy pojawią się tam nasi niespodziewani sprzymierzeńcy. Wtedy odsuniemy się na bok i będziemy podziwiali, jak słudzy Kościoła oraz wynaturzone stwory z Pustkowie wzajemnie się mordują. - Rozejrzył się po skalistym grzbiecie. - Daleko jeszcze?

- Po drugiej stronie tego wielkiego drzewa - odrzekł Długa Strzała, wskazując na wprost.

- Na pewno mamy dość lin? - upewniał się Zajączek. - Kapitan nie będzie zadowolony, jeśli szybko nie dostanie odpowiedzi.

- Przyjacielu, do poziomu Pustkowie jest tu najwyżej trzydzieści metrów - uspokoił go Długa Strzała.

- To dlaczego ludzie-owady nie atakują tutaj? - zdziwił się Torl.

- Za wąsko - odparł łucznik. - Vlagh potrzebuje dla swoich sług otwartej przestrzeni.

Minęli ogromne drzewo i weszli w koryto strumienia, który uTORował sobie drogę między skałami. Torl omiótł wzrokiem Pustkowie.

- Coś mi się wydaje, że nasz ocean złota nie jest taki wielki, jak można by sądzić na pierwszy rzut oka. Tam - wskazał pas ziemi wzdłuż górskiego pasma - już całkiem wysechł, a jeszcze z kilometr dalej widać stary znajomy czerwony piasek.

- Bo to tylko przynęta - wyjaśnił Długa Strzała. - Nasza nieznajoma przyjaciółka wabi ofiarę tutaj, dokładnie w to miejsce, a nie w głąb Pustkowie.

Torl wydawał się nieco zbity z tropu.

- No tak. Nie pomyślałem - przyznał. - Wygląda na to, że i mnie złoto zawróciło w głowie.

- Wszelkie zawroty miną bezpowrotnie, gdy zdobędziemy dowód, że ten żółty piasek to ruda żelaza - stwierdził Długa Strzała.

- Kto by pomyślał - odezwał się Zajączek, zapatrzony w skałę wyrzeźbioną przez strumień - że woda jest twardsza od kamienia...

- Czas robi swoje - stwierdził Długa Strzała.

- A ile czasu trzeba było na wycięcie w zboczu góry takiego koryta?

- Nie tak znowu wiele. Jakies pięćdziesiąt tysięcy lat.

- To ma być niedługo? Łucznik uśmiechnął się lekko.

- Woda jest cierpliwa. I ma jeden cel: zawsze podąża w dół. Ostrożnie schodzili suchym korytem, aż zatrzymali się kilka metrów od urwiska.

- U podnóża tego klifu jest mnóstwo żółtego piasku - stwierdził Torl, ostrożnie wychylając się za krawędź.

- Jak daleko?

- Ze trzydzieści metrów. Nie więcej.

- Cóż, spróbujemy - oświadczył Zajączek. - Będziemy wszyscy trzej wyglądali jak ostatnie osły, jeśli nam zabraknie metra liny. - Usiadł, wyjął z pasa luźno tkaną szmatkę i owinął nią bryłkę magnetytu. Potem zbliżył do niej nóż.

Prowizoryczna sakwa natychmiast skoczyła do ostrza.

- Najwyraźniej działa - ocenił Zajączek. Połączył szmatkę z końcem liny i zaczął ją ostrożnie spuszczać. Wkrótce znalazła się na poziomie Pustkowie, a wtedy podniósł ją i opuścił kilkakrotnie, by magnetyt mógł przyciągnąć nawet większe ziarna złotego piasku. Wreszcie ostrożnie zwinął linę, chwycił sakiewkę i wyciągnął rękę w stronę przyjaciół. Tkanina była nieomal całkowicie pokryta błyszczącymi żółtymi płatkami.

- O, chyba głodna ta sakiewka czy co? - zażartował Torl. - Powinieneś ją częściej karmić.

Na twarzy małego kowala pojawił się szeroki uśmiech.

- Dzisiaj zarobiła na sobie. Kapitan Sorgan i komandor Narasan nie będą mieli już żadnych wątpliwości, że ten piękny błyszczący piasek nie ma nic wspólnego ze złotem. Innymi słowy, przyjaciółka Długiej Strzały rzeczywiście ma wspaniały plan.

*

Pod wieczór wszyscy trzej wrócili na trawiastą równinę. Pani Zelana z młodszym bratem czekali na nich w pobliżu gejzeru.

- I co? - spytała bogini.

Zajączek, szeroko uśmiechnięty, wy dostał zza pazuchy sakiewkę okrytą płatkami rudy żelaza.

- Oto odpowiedź na twoje pytanie, pani - powiedział. - Lśniący piasek jest piękny, ale do złota mu daleko.

- Chyba powinniśmy raz jeszcze zastanowić się nad kilkoma sprawami, siostró - rzekł pan Veltan. - Nie widzę powodu, dla którego Vlagh miałby uczestniczyć w tego rodzaju oszustwie. Jeżeli przestaniemy przeszkadzać kościelnym żołdakom, jeśli pozwolimy im dokończyć rampę, oszaleją na widok oceanu fałszywego złota ciągnącego się po horyzont. Ruszą na Pustkowie i wdepczą w ziemię sługi Vlagha, zanim w ogóle postanie im w głowach, by sprawdzić, czy złoty piasek ma jakąkolwiek wartość.

Pani Zelana była dość zmieszana.

- Wygląda na to, że się pomyliłam - przyznała. - Vlagh najwyraźniej nie jest jedynym oszustem na tym świecie. A swoją drogą to fałszywe złoto może okazać się cenniejsze niż prawdziwy kruszec. Idź, braciszku, porozmawiaj z komandorem Narasanem. Niech wyśle słowo do Padana. Nie przeszkadzajmy wojskom Kościoła. Niech wejdą na równinę. Niech dotrą do Pustkowie.

- Tak jest! - krzyknął pan Veltan entuzjastycznie.

*

Prawdziwe słońce zaszło za horyzont, ale niewiele to zmieniło, ponieważ jasna kula stworzona przez Dahlaine'a nadal wisiała nad lśniącym stokiem. Narasan zebrał wszystkich dowódców na szczycie środkowej wieży muru Gundy, by rozważyć kilka możliwości.

Pierwszy zabrał głos pirat, Sorgan Orli Nos.

- Zajączku, czy jesteś całkiem pewien, że to tylko ruda żelaza?

- Dowiodło tego doświadczenie z magnetytem, panie kapitanie - odparł kowal. - Ten minerał uwielbia żelazo, natomiast złoto go wcale nie interesuje.

- Najwyraźniej popełniłem błąd - przyznał komandor Narasan.

- Byłem całkowicie pewien, że kościelne wojsko przybyło tutaj mnie ukarać, nie przyszło mi do głowy, iż ściągnęli nam na pomoc.

- Jak to: ukarać? - zainteresował się Sorgan. - Za co?

- Któregoś razu - włączył się Gunda - na południu imperium kilka kościelnych armii

dało nam w skórę. W pułapce zginął jeden z krewnych komandora. Padan i ja podjęliśmy się wyrównania ra chunków, a Kościół tego nie znosi.

- I przypuszczaliście, że ścigali was aż tutaj? Gunda wzruszył ramionami.

- Trochę narozrabialiśmy. Wynajęliśmy paru zawodowych morderców, a oni zadbali o to, by na cmentarzu zrobiło się gęściej wśród wysoko postawionych członków Kościoła oraz dowódców jego armii.

- To w imperium są ludzie, którzy żyją z mordu na zlecenie? - zdziwił się Sorgen. - U nas takie sprawy załatwia się własnymi rękami.

- Profesjoniści są w tym znacznie lepsi - odparł Gunda. - No i można pogrymasić. Zgodnie ze zleceniem odbierają życie cicho i szybko albo powoli i powodując mnóstwo hałasu. Jest w imperium pewien zabójca, który gwarantuje, że twój wróg będzie umierał co najmniej dwa dni. Jeżeli wcześniej, sprawca nie bierze wynagrodzenia.

- To się nazywa prawdziwy profesjonalizm! - Torl był pod wrażeniem.

- Chyba nie mam aż tak nieprzejednanego wroga - stwierdził Sorgen.

- Wróćmy do sprawy - odezwał się komandor Narasan. - Niezależnie od tego, jakimi uczuciami darzą nas kościelni żołdacy, w chwili gdy zobaczą złoty piasek, chciwość odbierze im rozum.

- Właśnie, a kiedy go zobaczą? - włączył się Sorgen. - Jakiś czas rzucaliśmy na nich... no wiesz, takie większe kamyki, więc mają teraz trochę wolniejsze tempo. Raczej pełzną, niż idą. Trudno powiedzieć, czy zdążą z tą rampą przed jesienią, a my przecież musimy odpiierać potwory, póki się tutaj nie zjawi uprzejme wojsko Kościoła.

- Cóż... chętnie posłucham sugestii - rzekł Narasan.

- Pomóżmy im - odezwał się Omago, choć bez wielkiego przekonania.

- Co dokładnie masz na myśli? - spytał pan Veltan.

- Budują rampę z wielkich kamieni, ale mają ich za mało, więc możemy udawać, że wciąż bombardujemy, ale tymczasem będziemy się starali dostarczać im budulec.

- Dobrze! - zawołał Sorgen. - Przecież to nasi przyjaciele, a przyjacielom należy pomagać. Zwłaszcza jeśli mają za nas umrzeć.

- Kontynuując tę myśl, proponuję, żebyśmy odrobinę zmodyfikowali mur Gundy - odpowiedział Długa Strzała.

- To bardzo dobry mur! - obruszył się twórca fortyfikacji.

- Słusznie. Nawet zbyt dobry. I w tym rzecz. Bo gdy nasi przyjaciele dotrą do tej kamiennej ściany, będą mieli kłopoty z jej pokonaniem. Przyda się zatem szczelina, szerokości może stu metrów.

- Panowie, ja się tym zajmę - oznajmił pan Veltan. - Zostawmy mur taki, jaki jest, dopóki nasi nowi przyjaciele nie znajdą się w pobliżu. A wtedy otworzę im przejście do upragnionego bogactwa, za które gotowi są oddać życie.

- Jak to zrobisz, panie? - spytał Gunda zaciekawiony.

- Na pewno chcesz wiedzieć?

- Nie, niekoniecznie - wycofał się Trogita. - Nie mogę powiedzieć, żeby mi na tym jakoś szczególnie zależało...

*

- Czy można mieć pewność, że potwory będą się nadal wycofywać na Pustkowie, jak tylko zajdzie prawdziwe słońce? - spytał Narasan panią Zelanę i pana Veltana.

- To stworzenia przywiązane do tradycji, komandorze - orzekła pani Zelana. - Jeżeli robią coś dzisiaj, najprawdopodobniej to samo zrobią i jutro.

- Mieliliśmy już z tym do czynienia w wąwozie nad Lattash, przyjacielu - przypomniał Narasanowi Sorgan.

- Tym razem nasi wrogowie są nieco mniej tępi - przyznał pan Veltan - lecz nadal reagują wyłącznie na rozkazy Vlagha, więc jeśli on poleci im wracać wieczorem, będą tak właśnie robić, dopóki nie zmieni rozkazu. Ślepe posłuszeństwo leży w ich naturze.

- Wobec tego przyjmijmy, że nie zmienią zwyczaju - podjął Narasan. - Obmyśliliśmy kilka sposobów na opóźnienie ich działań, żeby nie zaczęli się obijać o mur Gundy. Jaskrawe światło sztucznego słońca wykluczyło z walki jadowite nietoperze. Wały obronne i zatrute kołki zatrzymały przerośniętych ludzi-węży, a ostrzał z katapult poradził sobie z żółwimi pajakami. Dysponujemy trzynastoma liniami umocnień. Nie musimy wybić wroga do nogi. Powinniśmy jedynie spowolnić jego marsz. Ponieważ nasi nieprzyjaciele co dzień po pracy wracają do domu, możemy w nocy zejść na dół i na nowo obsadzić zewnętrzne mury obronne. Następnej nocy wycofamy się o jeden wał, kolejnej jeszcze dalej. Dzięki temu wojska kościelne zyskają dwa tygodnie na zbudowanie rampy i wydostanie się na górę. Wtedy my grzecznie się im pokłonimy i dostojnie odejdziemy.

- Jak chcesz, możesz sobie dostojnie odchodzić, przyjacielu - powiedział Sorgan. - Ja na wszelki wypadek wezmę nogi za pas.

*

Długiej Strzale spodobał się plan komandora. Jeżeli słudzy Vlagha zyskają wrażenie, że czynią postępy, Vlagh najprawdopodobniej nie będzie widział powodu do zmiany postępowania, do wdrażania w życie jakiejś nowej, nieoczekiwanej strategii. Mieszkańcy Pustkowie będą zdobywali jedną barykadę dziennie, a jednocześnie, jeżeli pomysł Omega

chwyci, słudzy Kościoła w odpowiednim czasie ukończą budowę rampy.

Na dodatek łucznikowi udało się przekonać Narasana oraz Sorgana, że kobiecy głos, który we śnie wydawał mu polecenia, nie mijał się z prawdą. Pomogło mu w tym bardzo pojawienie się na Pustkowie grubego kobierca rudy żelaza udającej złoto.

- Może mi się poszczęści i dziś w nocy nasza nowa przyjaciółka będzie przeszkadzała spać komuś innemu - mruknął, wracając do la su jakieś dwa kilometry na południe od muru Gundy. Choć miał już przyjaciół wśród przybyszów zza morza, nadal wołał samotność. Zwłaszcza gdy chodziło o sen.

Nie znał drzew tworzących ten las, gdyż kraina pana Veltana znajdowała się daleko na południe od jego rodzinnych stron, lecz i tak z łatwością wyszukiwał sobie schronienie.

Ułożył się na posłaniu z liści i odpłynął w sen.

- Postąpiłeś doskonale, dzielny wojowniku - wplótł się w jego myśli znajomy dźwięczny głos. - Nie będę ci się już naprzykrzała. Żegnaj, Długa Strzała z krainy pani Zelany. Spotkamy się jeszcze, ale nieprędko.

Most

Padan miał mnóstwo wątpliwości dotyczących szczerości intencji owej „tajemniczej przyjaciółki”, o której wspominał Długa Strzała. Nie mieściło mu się w głowę, że mogła przysłać im na pomoc pięć kościelnych armii. Kościół amaricki kierował się wyłącznie chciwością, to prawda, lecz o ile Padanowi było wiadomo, żaden z żołnierzy w szkarłatnych mundurach, żaden duchowny ani nawet żaden z brutalnych regulatorów nie widział jeszcze złotego piasku na Pustkowie.

- Coś tu nie pasuje - mruknął do siebie, wracając brzegiem szerokiej wartkiej rzeki w stronę wodospadu, gdzie jego ludzie nadal zrzucali głazy na dach nad rampą, który miał chronić kościelne wojsko przed pociskami łuczników Długiej Strzały.

Narasan zaakceptował pomysł mieszkańca Dhrallu, natomiast Padan, choć żywił wątpliwości, musiał się podporządkować rozkazom zwierzchnika. To jedno mu się w wojsku nie podobało. Skoro dowódca podjął jakąś decyzję, podwładni niezależnie od własnych poglądów musieli być mu posłuszni. Swego czasu, gdy jeszcze wszyscy trzej - Padan, Gunda i Narasan - przechodzili szkolenie jako kadeci, sierżant wbijał im do głowy jedno krótkie zdanie: „Rób, co ci każą”. Powtarzał to ze sto razy dziennie. Od razu uznali, że teoretycznie ta metoda ma sens, ale też rozumieli, że jeśli dowodzący się pomyli, pół armii może stracić życie.

Dotarłszy do miejsca, gdzie Rzeka Vasha spadała za krawędź klifu, Padan zwołał na naradę swoich oficerów.

- Panowie, plany uległy zmianie - obwieścił. - W obliczu no wych zdarzeń zapadła decyzja, że zamiast rzucać kościelnym żołda kom kamienie na głowę, będziemy im pomagać budować rampę. Od tej chwili staczamy głazy z klifu w taki sposób, żeby spadały przed budującymi.

- A gdzie w tym sens? - obruszył się jeden ze starszych oficerów.

- Tak postanowił Narasan i tak ma być - odparł Padan. Zawahał się, lecz po chwili uznał, że warto wytłumaczyć ludziom, dlaczego plan uległ zmianie. - Objawiła się pewna przyjazna dusza - powiedział - która pomaga nam wygrać tę wojnę. Wszyscy wiemy, jakim gorącym uczuciem amarickie wojsko darzy złota. Nasz sprzymierzeniec też najwyraźniej wie o tym doskonale, ponieważ użył fałszywego złota jako przynęty. Gdy kościelni żołdacy ukończą budowę rampy i dotrą do północnego pasma gór, stracą głowy na widok morza złota.

- Mnie samemu niewiele brakowało - przyznał któryś z oficerów.

- Pozostaje nam mieć nadzieję, że pobożne armie nie oprą się pokusie - stwierdził Padan. - Nowy plan zakłada, że pomożemy chłopcom w szkarłacie dostać się na górę i poczekamy, aż zobaczą złoty pył. Wtedy powinniśmy usunąć im się z drogi i pozwolić, by zbiegli po zboczu za murem Gundy prosto na Pustkowie, w objęcia potworów.

- A te potwory trują jadem każdego, kto im stanie na drodze.

- Na tym właśnie opiera się nowy plan - przytaknął Padan.

- Nie wydajesz się przekonany - zauważył pierwszy z oficerów.

- Nie muszę być przekonany. Narasan podjął taką decyzję i to dla nas najważniejsze. Panowie, bierzmy się do pracy. Przesuńcie ludzi jakieś sto metrów w górę rzeki i zaczynajcie zrzucać głazy przed rampą, tak żeby dały się wykorzystać do jej budowy. Sam jestem ciekaw, ile czasu zajmie tym świętoszkom odkrycie, że zrzucane przez nas kamienie są równie dobrym budulcem jak te, które wyciągają z rzeki. - Zamyślił się na krótko. - Jeżeli od czasu do czasu któryś z głazów spadnie przypadkiem na te lebiegi w czerwonych mundurach, nie będę się tym bardzo przejmował.

Ludzie Padana zaśmiali się i rozeszli do swoich zajęć.

*

Mniej więcej w południe następnego dnia nadszedł z północy kowal Zajączek.

- Mam ci powiedzieć, że szykuje się kolejne spotkanie przy gejzerze.

- Jak to, znowu? - zirytował się Padan. - Przecież wczoraj wszystko omówiliśmy.

- Nie powiedzieli mi, o co chodzi, ale wydaje mi się, że starszy brat pani Zelany chce wiedzieć więcej o tym waszym Kościele. - Przerwał, ostrożnie rozejrzał się dookoła, by sprawdzić, czy nikt ich nie słyszy. - Tak naprawdę pewnie będą chcieli się dowiedzieć, kto

właściwie wpadł na genialny pomysł ze złotem. Ten ocean lśniącego piasku, który pojawił się znikąd, wzbudza ich podejrzenia. Nie dał bym w zakład własnej głowy, ale moim zdaniem nie rozsypał go nikt z rodziny pani Zelany. Jej starsza siostra jest taka zła, że niewiele brakuje, a zacznie obgryzać paznokcie i parskać pianą.

Padan zaśmiał się głośno.

- Dobrze powiedziane.

Zajączek z uznaniem spojrział na wodospad.

- Do najniższych nie należy, co? - zauważył.

- Rzeczywiście.

- Długo się będą gramolić na górę.

- To ich problem, nie mój. Chodźmy do gejzeru, dowiemy się, co nowego.

- Nie ma sprawy. Ja tu tylko przekazuję polecenia.

*

Ogromny gejzer był dość hałaśliwy, z głośnym szumem wyrzucał w powietrze słup wody, pchany jakąś niezrozumiałą mocą kipiącą we wnętrzu ziemi. Padan uznał go za urokliwe zjawisko, niestety było otoczone ciągłą mżawką. Na szczęście starszy brat pana Veltana przewidująco wybrał na spotkanie miejsce na tyle odległe od gejzeru, że nie groziło im przemoknięcie.

Padan dołączył do towarzystwa ostatni.

- Kto dowodzi na murze? - spytał Narasana cicho.

- Sierzanci.

- Aha. No to nie ma problemu.

- Problem jest, choć nieco inny. Wylądujemy po uszy w kłopotach, jak ludzie się dowiedzą, kto naprawdę dowodzi armią. Wtedy będziemy mogli obaj zacząć szukać innej roboty.

- Nic nie rozumiem. Umknęło mi coś wczoraj? Narasan zniżył głos.

- Starszy brat pani Zelany wydaje się bardzo zainteresowany Kościołem amarickim i jego armiami - powiedział. - Tutaj na Dhrallu inaczej się podchodzi do bogów, niż to jest przyjęte w imperium.

- A na co ja ci tu będę potrzebny? Na Kościele się nie wyznaję i wolałbym, żeby tak zostało.

- Mam do tego tematu identyczne podejście. Pomyślałem, że najlepiej byłoby wyznaczyć do wyjaśnień tego zdolnego młodzika Kesela.

- Zgoda. Pełna zgoda. Ten dzieciak ma obszerniejszą wiedzę niż my wszyscy razem.

- Czy mogę prosić o uwagę? - odezwał się siwobrody Dahlaine.

- Nasi przyjaciele z Imperium Trogickiego są zapewne znacznie lepiej niż ktokolwiek inny obeznani z religią panującą w tamtej części świata. Dlatego też proponuję, by podzielili się z nami swoimi osądami. - Spojrzał wyczekująco na komandora Narasana.

- Nie jestem dobrze zorientowany w zwyczajach Kościoła, panie - stwierdził skromnie Narasan - ale jeden z naszych żołnierzy, młody Keselo, ukończył uniwersytet w Kaldacinie. On najlepiej odpowiedział na pytania. Ja mogę jedynie powiedzieć z całkowitą szczerością, że z Kościoła nie ma w kraju żadnego pożytku, rządzą nim ludzie głupi i chciwi. - Odwrócił się do Kesela. - Opowiedz, proszę, wszystko, co wiesz o religii, która plugawi nasz świat.

- Tak jest, panie komandorze! - Keselo wyprężył się służbiście. Chwilę milczał, wyraźnie spochmurniał. - Kościół działający w Imperium Trogickim - zaczął wreszcie - nie jest instytucją godną, panie. Można żywić przekonanie, że niegdyś, w odległej przeszłości, charakteryzował się czystością, lecz w ciągu wieków korupcja wzrastała w nim jak grzyby po deszczu.

- Gdzie szukać jego korzeni? - zapytał Dahlaine.

- Nikt nie wie tego z całą pewnością - przyznał Keselo. - Dawno, dawno temu żył Amar, święty mąż. Wieść niesie, że przybył do Kaldacinu, wówczas jeszcze niewielkiej osady, i mówił do ludu o prawdzie, miłosierdziu i moralności. Z początku mało kto zwracał na niego uwagę, ale potem zaczęły się pojawiać różne pogłoski... zresztą nigdy nie zostały potwierdzone.

- Jakie pogłoski? - naciskał Dahlaine.

- Ludzie gadali, że ów mąż potrafi latać jak ptak.

- To śmieszne! - prychnął Gunda.

- Nasza pani Zelana lata jak orzeł, jeśli tylko zechce - zaproponował Rudobrody.

- Niezupełnie - skorygowała pani Zelana. - Nie mam skrzydeł. Mów dalej, Keselo.

- Tak, proszę pani. Jestem w zasadzie pewien, że te dawne opowieści zostały wymyślone przez wczesnych wyznawców Amara, by zwabić jak największe rzesze nowych zwolenników. Z upływem lat przybywało szczegółów, coraz bardziej nieprawdopodobnych. Niektórzy twierdzili, że Amar może pozostawać pod wodą nawet kilka dni bez przerwy. Inni utrzymywali, że potrafi przejść przez kamienny mur, nie zostawiając w nim dziury. Kolejne sensacyjne historie traktowały o przenoszeniu gór, zamrażaniu całych oceanów i podobnych nonsensach. W miarę rozrostu Kościoła absurdy się mnożyły i stawały coraz bardziej fantastyczne, a łatwowierni czciciele przyjmowali każde słowo kapłanów za dobrą monetę. Coraz to nowe bujdy miały przekonać lud, że dla Amara nie ma rzeczy niemożliwych, i

przyciągać coraz więcej wiernych.

- A gdzie ten święty mąż znajduje się teraz? - chciał wiedzieć Dahlaine.

- Kościół nie udziela na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi - odparł Keselo. - Ostatnio słyszałem, że Amar opuścił świat i przechadza się między gwiazdami, głosząc im kazania.

- Próbowałem kiedyś - przyznał Veltan. - Nie słuchały.

- To było dawno - machnęła ręką pani Zelana. Przeniosła spojrzenie na Kesela. - Nasz kochany braciszek obraził Matkę Wodę i został zesłany na księżyc, gdzie miał się nauczyć dobrych manier.

- Ja sobie tylko zażartowałem - naburmuszył się Veltan.

- Wróćmy do tematu - rzekł Dahlaine. - Z tego, co do tej pory usłyszałem, byłbym skłonny wysnuć wnioski, że wczesny Kościół amaricki był organizacją stosunkowo nieskomplikowaną i miał na celu zapewnienie ludziom komfortowego życia. Co się potem z nią stało? Co poszło nie tak?

- Trudno jest dokładnie określić czas, czy jednoznacznie wskazać zdarzenie, które odmieniło Kościół amaricki, panie - odpowiedział Keselo. - Należałoby raczej przyjąć, że zmiany dokonywały się stopniowo. Pierwsi duszpasterze nowej wiary prowadzili skromny żywot, zdając się na miłosierdzie wiernych. Z czasem datki stały się obligatoryjne, a duchownym apetyt rósł w miarę jedzenia. W dzisiejszych czasach najwyżsi członkowie kleru są najbogatszymi obywatelami imperium, a mimo to wciąż pragną więcej. - Uśmiechnął się smutno. - Krąży po moim kraju takie niewesołe powiedzenie: „Kto ma księdza w rodzie, tego bieda nie ubodzie”.

- Co widzieliśmy na przykładzie Jalkana - rzekł Gunda.

- Dobrze powiedziane - skwitował Padan ze śmiechem.

- Niestety, sytuacja nie wygląda wesoło - podjął Keselo. - Jalkan jest prawdopodobnie jednym z najbardziej chciwych ludzi na świecie, oczywiście pod warunkiem że nie bierze się pod uwagę wyższych członków duchowieństwa. Nie ma ludzi bardziej spragnionych bogactwa niż oni. Są przekonani, że ich własnością jest cały świat, w tym także inni ludzie.

- Co nam wyjaśnia początki niewolnictwa - wtrącił Narasan ponuro.

- Właśnie chciałem poruszyć tę kwestię - odezwał się Dahlaine. - Czy niewolnictwo jest częścią oryginalnej amarickiej doktryny?

- Absolutnie nie - stwierdził młody oficer z mocą. - Pierwotny Kościół amaricki odnosił się do niewolnictwa ze wstrętem.

- Wobec tego świątobliwy Jalkan i jego przyjaciele nieco zboczyli ze ścieżki cnoty -

zauważył Padan.

- Proponuję sprowadzić ich znów na właściwą drogę - odezwał się Sorgan Orli Nos ze złośliwym uśmiechem. - Zawsze uwielbiałem pomagać ludziom, zwłaszcza tym, którzy zblądzili.

- Taki mamy obowiązek, przyjacielu - wsparł go Narasan ochoczo.

- Narasanie, ty będziesz zajęty walką z potworami Vlagha, pozwolisz wobec tego, że ja pomogę ludziom Kościoła. - Przybrał bolesny wyraz twarzy. - Niełatwe to zadanie, ale cóż, życie nie składa się z samych przyjemności.

- Czy członkowie Kościoła amarickiego są rzeczywiście przekonani, że mogą posiadać ludzi na własność? - spytał Dahlaine z niedowierzaniem.

- Obawiam się, że tak - odpowiedział Keselo. - Należy jednak podkreślić, że ludzie Kościoła bardzo rzadko zatrzymują niewolników. Najczęściej sprzedają ich handlarzom żywym towarem, a ci robią kokosy, rozprowadzając ich pomiędzy bogaczami posiadającymi ogromne dominia, ale tak leniwymi, że prędzej umrą, niż wezmą się do pracy. Od czasu do czasu trafia się imperator, który zabrania handlowania ludźmi, ale zwykle nie żyje zbyt długo, bo albo Kościół go zabije, albo bogaci właściciele ziemscy. Niewolnictwo to doskonały interes i ci, którzy ciągną z niego zyski, nie pozwolą sobie w kaszę dmuchać.

- Chyba pojawił nam się nowy problem - powiedział Dahlaine. - Jeżeli duchowni są tak skorumpowani, jak mówicie, to wojsko pewnie jest takie samo. Czy możemy ufać ludziom tego pokroju?

- Kto mówi o zaufaniu? - obruszyła się pani Zelana. - Tymi ludźmi kieruje ktoś o potężnej mocy. Ktoś, kogo należy kochać i szanować.

- A co to znowu za bujdy? - obruszyła się Aracia. - Przecież nikt nie zdoła kierować taką rzeszą ludzi!

- Mylisz się, siostrze. Jest ktoś, kto to potrafi. Nie wiem, kto ani jak tego dokonał, jednak stanowczo nam pomaga, a nam ta pomoc jest potrzebna.

Aracia spojrzała na Zelanę jakoś dziwnie, po czym raptownie odwróciła się i odeszła.

- O co chodzi? - zapytał Sorgan Orli Nos.

- Ktoś okazał się lepszy od mojej siostry - odpowiedziała pani Zelana z bladym uśmiechem. - Trudno jej w to uwierzyć. Poza tym przybił ją opis amarickiego Kościoła. W jej krainie rozpanoszyli się tłuści leniwi ludzie, którzy godzinami wychwalają urodę i moc władczyni. Aracia uwielbia być adorowana, tymczasem opowiadanie Kesela uświadomiło jej, że duchowni z Krainy Wschodniej mogą jej kadzić, by osiągnąć własne cele, utrzymać lub zyskać lepszą pozycję w organizacji, którą nazwali Kościołem świętej Aracii, by wymigać się

od uczciwej pracy.

- To przecież kompletny bezsens - odezwał się Sorgan.

- Rzeczywiście - zgodziła się z nim pani Zelana. - Prawda, Dahlainie?

- No, przy Aracii bym tego nie powiedział - odparł Dahlaine z lekkim uśmiechem. - Wróćmy do sprawy. Jeżeli z takich czy innych powodów kościelne armie mają nas wesprzeć, nawet o tym nie wiedząc, powinniśmy im pomóc dostać się na górę. - Spojrzał na Padana. - Jak im idzie?

- Teraz, kiedy dostarczamy budulec, nieco lepiej. Ale ciągle jeszcze mają daleko do celu. Największym problemem jest szerokość rampy. Ma jakieś trzy metry, więc będą szli na górę całe wieki.

- A na dodatek - włączył się Torl - jak tylko zobaczą złoty piasek, rzucą się biegiem na Pustkowie. Tyle że jeśli będą się tam zjawiać parami, najwyżej trójkami, ludzie-wężę zjedzą ich nawet przez sen.

- I tutaj zaczyna się nasza rola - ocenił Sorgan. - Nasze rowy i wały obronne zatrzymają potwory, więc kościelne wojska na dół dotrą już większą grupą.

- Długa Strzała - odezwał się Dahlaine - czy rozpoznałeś głos, który przemawiał do ciebie we śnie?

- Jestem pewien, że gdzieś go już słyszałem, panie, ale nie potrafię powiązać go z wizerunkiem osoby.

- Podejrzewam, że celowo ukryła przed tobą swoją tożsamość - stwierdził Dahlaine zamyślony. - A co za tym idzie, można domnie mywać, że ją znamy. Pokazała ci coś? Jakiś znak czy symbol?

- Nie wiązała się z żadnym obrazem - odparł Długa Strzała.

- Była tylko głosem. - Zmarszczył brwi, zastanowił się przez chwilę.

- Mówiła dość archaicznym językiem.

- Może po to, by trudniej ci było rozwiązać zagadkę... Zresztą te raz to nieistotne. Udało jej się narzucić konkretny sposób myślenia pięciuset tysiącom Trogitów. Dzięki jej działaniu idą na północ, nio są nam pomoc. Będziemy się zastanawiać nad imieniem naszej do brodziejki, kiedy oddalimy niebezpieczeństwo. Teraz pomyślmy ra czej, jak ją wesprzeć. Jeżeli sprawy potoczą się tak, jak przewiduję, to w zasadzie już wygraliśmy tę wojnę.

*

Następnego dnia wcześniej rano Padan stał niedaleko grzmiącego wodospadu i patrzył, jak jego ludzie, pocąc się i przeklinając, zrzucają głazy ze zbocza.

- Niedługo nam tu zabraknie skał - mruknął pod nosem. Zerknął na rzekę u stóp

wodospadu, na pracujących bez większego prze konania ludzi w czerwonych mundurach. - Nie wyspali się czy co? Strasznie wolno im idzie. - Rozejrzył się dookoła. - Sierzancie Marpek! - krzyknął gromko. - Pozwólcie no na minutkę.

Marpek był człowiekiem postawnym, świetnie zbudowanym. Robił karierę jako jeden z najlepszych inżynierów w armii komandora Narasana.

- Tak jest! - zameldował się nieomal natychmiast.

- Czy mnie się wydaje, czy oni się ruszają jak muchy w smole? Marpek zerknął w dół.

- Robią, co mogą. Starają się z całych sił.

- Rampa wydłużyła się może o metr - zaprotestował Padan.

- I nic dziwnego.

- Bądź tak uprzejmy i wytłumacz mi w prostych żołnierskich słowach, najlepiej nie dłuższych niż dwie sylaby, o co tutaj chodzi. I pamiętaj, że nie jestem inżynierem, więc bez żargonu proszę.

Marpek uśmiechnął się lekko.

- Potrzebują coraz więcej budulca. Im wyżej podciągają rampę, tym więcej gładów muszą wykorzystywać na każdy metr bieżący. Gdyby była płaska, budowaliby ją z tą samą szybkością, jednak ona idzie lekko w górę. - Uniósł dłoń, rozsunął kciuk i palec wskazujący, spojrzał w dół przez powstałą szczelinę. - Zostało im jakieś sto metrów. - Zamyślił się, postukując palcem w zbroję. - Niestety, liczby są nieubłagane. Nie skończą szybko.

- Chętnie poznam te liczby.

- Kąt wznoszenia rampy wynosi trzydzieści stopni. Trzy metry szerokości i jakieś sześćdziesiąt metrów do góry... to będzie około sześćdziesięciu tysięcy metrów sześciennych gruzu.

- Sześćdziesiąt tysięcy?!!

- Gdyby budowali rampę bardziej stromo, poszłoby szybciej - stwierdził Marpek - ale teraz już pewnie za późno, żeby to zmieniać.

- Przecież to potrwa do jesieni! - wykrzyknął Padan.

- I mnie się tak wydaje.

Tuż po południu do Padana dołączyli Sorgan, Torl i Zajączek.

- Coś taki zniechęcony? - zapytał Sorgan.

- Liczby mnie przygniotły - odpowiedział Padan. - Dopiero co odebrałem brutalną lekcję tabliczki mnożenia. Czy mówi ci coś pojęcie „metr sześcienny”?

Sorgan wzruszył ramionami.

- Metr na metr na metr, o ile dobrze pamiętam.

- Tak... raczej dobrze pamiętasz. A co ci mówi sześćdziesiąt tysięcy metrów sześciennych?

- O czym ty mówisz? - zirytował się Torl.

- O ilości gruzu, jakiego potrzebują ci mądrale w czerwonych mundurach, żeby skończyć rampę.

- A skąd ci się wzięły takie wyliczenia?

- Prosto od armijnego inżyniera, sierżanta Marpeka. A to jest najlepszy inżynier w wojsku Narasana.

- Chyba lepiej by było, gdyby to przeliczył jeszcze ktoś inny. Przecież to niemożliwe.

- Obawiam się, że niestety bardzo możliwe - sprzeciwił się Torl.

- Im wyżej ciągną rampę, tym więcej potrzebują gruzu.

- A gdyby tak zaczęli ją stawiać na drewnianych słupach? - podpowiedział Zajączek.

- Skały, drewno, co za różnica?

- Pod drewnianymi słupami nie ma potrzeby usypywać drugiego stoku ze skał - odparł mały kowal. - W zasadzie nie będzie to rampa, ale raczej most, tak czy inaczej spełni ich oczekiwania.

*

- Widzę tylko jeden problem - powiedział sierżant Marpek. - Nie mamy pił ani siekier. Drzew na stoku dostatek, ludzi nam nie brakuje, ale narzędzi mamy stanowczo za mało.

Padan spojrział na Zajączka.

- I co? - zapytał.

- Nie wziąłem młota i kowadła - stwierdził kowal - więc nie będzie ze mnie pożytku. - Zamilkł na chwilę. - Żołnierze mogliby ciąć drzewa mieczami.

Padan zbladł, słysząc te słowa.

- Błźnierstwo!

- Mam przy sobie solidną osełkę, więc na pewno dadzą radę podszlifować ostrza. Ale skoro użycie mieczy do takiego celu stanowi dla nich obrazę, zawsze mogą wykorzystać swoje uzębienie.

- Co takiego?!

- No, jak bobry. - Zajączek uśmiechnął się szeroko. - I oczywiście nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

- A co w tym dobrego?

- Po całym dniu przeżuwania drewna szczęki tak ich rozboleją, że już raczej nie będą chcieli kolacji. Dzięki czemu można poczynić wcale niemałe oszczędności.

*

Oczywiście nie obeszło się bez protestów. Nie trwało to jednak długo, bo Padan wpadł na pewien pomysł.

- Kto nie chce rąbać drzew - powiedział - niech się zgłosi do ko mandora Narasana i siecze pająkożółwie. Przynajmniej nie będzie miał powodów do narzekania na nudę.

Ścięte drzewa podciągali na brzeg rzeki i spuszczały z wodospadu. Woda niosła pnie prosto do kościelnych żołdaków.

Kilka chwil potrwało, nim czerwone mundury doszły do wniosku, że lepiej budować most niż rampę. Ich pierwsze próby mocowania konstrukcji okazały się żałosne.

- Jeśli ci amatorzy będą tylko łączyli pnie ze sobą, to cały most runie do rzeki, kiedy na niego wejdą - przewidywał sierżant Marpek.

- Ach, co za szkoda! - wykrzyknął Sorgan.

Sierżant, człowiek niezwykle poważny, tym razem nie wytrzymał i ryknął gromkim śmiechem.

W ciągu kilku następnych dni zdarzyło się jeszcze parę mniejszych katastrof, gdy kościelni żołnierze wypróbowywali różne nowatorskie koncepcje, które miały im pozwolić budować most szybciej niż metodą klasyczną. Padan miał z tego niezłą uciechę, ale przeszywające krzyki ludzi spadających z wysoka na ostre skały zaczęły mu wkrótce szarpać nerwy.

Sorgan pilnował swoich ludzi, którzy kopali głębokie i na dziesięć metrów szerokie rowy oraz wznosili wały obronne. Pojawił się przy wodospadzie, akurat gdy zawalił się kolejny most, grzebiąc pod gruzami następny zespół budowniczych.

- Często im się to zdarza? - zapytał Padana.

- Często. Już straciłem rachubę. - Spojrzał na Zajączka. - Szósty raz czy siódmy?

- Moim zdaniem siódmy.

- To strata czasu! - zdenerwował się Sorgan. - Może przestańmy im podsyłać drewno i po prostu zbudujemy ten most. Łatwiej będzie opuścić do rampy południowy koniec niż podnosić północny na krawędź klifu. Zawsze łatwiej opuszczać niż podnosić.

- Kto wie, kto wie... - zastanowił się Padan. - A jak wam idzie kopanie rowów?

- Trzy ukończone. I trzy barykady. Została jeszcze tylko dekoracja.

- Jaka dekoracja?

- Wół wpadł na niezły pomysł.

- Jaki?

- Znowu wykorzystamy zatrute kołki. W końcu chodzi nam o to, żeby zwolnili. Jeżeli

kilkudziesięciu padnie trupem, pozostali zaczną uważać, gdzie stawiają nogi. Potem następni wyjdą na górę, zobaczą błysk fałszywego złota i rzucą się po nie biegiem, ale jak trafią na rowy pełne martwych przyjaciół, pewnie zwolnią. A im wolniej będą się posuwali do przodu, tym więcej następnych do nich dołączy. Jeśli jeszcze trochę pomęczą się z budową mostu, my wykopimy dwa kolejne rowy. W sumie przeszkody powinny zatrzymać ich na tyle długo, żeby wszyscy znaleźli się na górze, zanim którykolwiek dotrze do złota. Wtedy ostrzeżemy Narasana, że już nadciągają, i umkniemy na zachód.

- Sprytnie pomyślane - przyznał Padan. - Zaraz, zaraz - przyjrzał się Sorganowi uważnie. - Chciałeś chyba powiedzieć: na wschód? Tam jest parów, który wskazał nam Nanton.

- To prawda, ale po wschodniej stronie rowów i barykad płynie rzeka. Chociaż jestem doskonałym pływakiem, wcale nie wiem, czy wygrałbym z jej rwącym prądem. A z pewnością nie chciałbym spłynąć z wodospadem. Ty chciałbyś?

- Raczej nie. Nie.

*

Następnego dnia wczesnym rankiem w obozie Padana na zachodnim brzegu Rzeki Vasha pojawił się komandor Narasan. Padan dopiero co wstał, właśnie spryskiwał twarz lodowatą wodą, by pozbyć się otępienia umysłu, jak to zwykle tuż po obudzeniu.

- Sądziłem, że już dawno porzuciłeś ten zwyczaj - powiedział Narasan.

- Jak widzisz - nie. Muszę oprzytomnieć.

- Przytomni mają lepiej na tym świecie - zgodził się Narasan. - Jak tam kościelne armie? Radzą sobie z mostem?

- Wreszcie idzie im trochę sprawniej i szybciej - stwierdził Padan. - Tak się śpieszą do złotej ziemi obiecanej, że pierwsze osiem czy dziewięć mostów stawiali bez żadnego planu, wiązali trzy pnie, przyczepiali do nich dwa i mieli nadzieję, że to się utrzyma. Sporo czerwonych mundurów, duchownych i regulatorów wykonało jedyny i niepowtarzalny skok z chwiejnej konstrukcji w odmęty rzeki. Wreszcie poszli po rozum do głowy. Jak człowiek zleci z pięćdziesięciu metrów do wartkiej wody, a potem przepłynie z kilometr, zanim się wydostanie na suchy ląd, to zaczyna myśleć.

Narasan tylko się skrzywił.

- Najnowsze przeszło mostu - podjął Padan - jeszcze niedokończone, wygląda dość solidnie. Jest nadzieja, że wytrzyma, nawet jeśli na most wejdzie około tysiąca ludzi. Przyczepili go klamrami do skały chyba co parę centymetrów.

- Kiedy skończą?

- Za jakieś dwa dni. A potem rzuca się na północ, wrzeszcząc: „złoto! złoto!”, aż dotrą do rowów, barykad i zatrutych kołków.

- Sorgan mi opowiedział o tym pomysle. Przyznaję, niezgorszy.

- Całkiem, całkiem - uznał Padan z szerokim uśmiechem. - Zaostrzone kołki na dnie rowów na pewno pomogą nam osiągnąć cel. Kościelne armie podejną do muru Gundy wszystkie w tym samym czasie, tak jak chcemy, a nie małymi grupkami.

- Wydaje mi się, że powinniśmy jednak przemyśleć jeszcze raz mój poprzedni plan - oznajmił Narasan ponuro. - Gdybyśmy się każdej nocy cofali przed potworami z Pustkowiec o jeden mur obronny, dalibyśmy kościelnym armiom dość czasu na dotarcie na miejsce... choć co prawda w małych grupach. Tymczasem kołki powtykane przez Sorgana będą ich zabijać, niestety. Owszem, żołnierze dotrą na miejsce większą grupą, ale potrwa to dłużej. Chyba powiem ludziom, że mają każdy mur obronny przetrzymywać dwa dni...

- Rób, co uznasz za stosowne, przyjacielu. Narasan popatrzył na północ.

- Niezbyt zachęcający widok - westchnął.

- Bo mnie tam nie ma? - zażartował Padan.

- Złota nie widać. Parę skalnych szczytów o czubkach przysypanych lśniącym piaskiem to nie to samo co błyszczący na żółto ocean.

- Jeżeli Torl się nie pomylił, nie widok złota sprowadził tu kościelne armie. W takim wypadku te parę szczytów z błyszczącymi czubkami całkowicie wystarczy. Najważniejsze, co zobaczą czerwone mundury, jak znajdą się na murze Gundy. Bo właśnie wtedy powinni przestać myśleć do tego stopnia, że niezależnie, jakie potwory spotkają na drodze, pobiegną z boczem w dół. Wówczas chciwość powinna zapanować nad strachem.

- Oby tak się stało.

Głosy

Andar z Kaldacinu stał za ósmym wałem obronnym na zboczu biegnącym ku Pustkowiec od muru Gundy. Był niezadowolony. Na Dhrallu ciągle się spotykał z jakimiś niedorzecznościami. Walczył w armii komandora Narasana od lat, lecz do tej pory zawsze ich przeciwnikami byli ludzie.

Gunda i Padan mieli czas przywyknąć do dziwnego wroga podczas starcia w wąwozie nad Lattash, tymczasem on wówczas zajmował się ładowaniem armii na okręty w porcie Castano. Owszem, schlebiała mu decyzja komandora, z dumą podjął się roli jego zastępcy na czele całej armii, ale także poniósł wszystkie konsekwencje tej decyzji, a to mu się podobało już znacznie mniej.

W pewnym sensie można by było stwierdzić, że Narasan ma zwyczaj odsuwać Andara

na bok, zapewne dlatego że w czasach dzieciństwa nie byli bliskimi sąsiadami, a co za tym idzie, Andar nie należał do paczki Narasana, jak Gunda i Padan. Tamci dwaj nieomal automatycznie zaskarbili sobie ufność dowódcy. Narasan polegał na nich jak na żadnym innym oficerze, ponieważ znał ich jak nikogo innego.

Andar z niechęcią przyznawał - wyłącznie przed samym sobą - że gdyby był dowódcą armii, tak samo wolałby polegać na przyjacielu z dzieciństwa, na Danalu.

Blade światło na wschodnim horyzoncie wspinało się coraz wyżej, zabarwiając nieliczne obłoczki pysznym różem.

- Dzieje się coś? - zapytał Danal, dołączywszy do przyjaciela.

- Jeszcze nic - odparł Andar przyciszonym głosem.

- Przynajmniej nie musimy się obawiać tych przeklętych norowników, którzy nam ciągle podchodzili na pozycje w wąwozie nad Lattash.

- Szczerze mówiąc, nigdy tego do końca nie pojąłem - przyznał Andar.

- Bo wojacy nie lubią o tym rozmawiać - stwierdził Danal ze wzruszeniem ramion. - Można chyba przyjąć, że ludzie-owady planowali atak od bardzo długiego czasu. Wryli dziury pod górami, wyloty znajdowały się wysoko na stokach wąwozu. Nie wiedzieliśmy o ich istnieniu, więc pomaszerowaliśmy do wylotu parowu, zbudowaliśmy tam przyzwoity fort i czekaliśmy na atak. Do ataku doszło, a gdy byliśmy zajęci jego odpieraniem, przyjaciele naszego wroga popęzli norami na tyły. Znaleźliśmy się w pułapce, nie mieliśmy dokąd uciec.

- Tego właśnie nie rozumiem. Jakim cudem robale mogą wykopać dziury w litej skale?

- One te dziury powygryzały. Z tego, co wiemy od tubylców, wynika, że owo stworzenie, które nazywają Vlagh, przygotowywało inwazję od wieków.

- Robale nie żyją przez wieki, Danalu.

- Skąd wiesz? Tą obcą ziemią rządzą inne prawa. Zdarzają się tu rzeczy, które byłyby niemożliwe gdziekolwiek indziej na świecie. Powódź i wybuch wulkanu wtrącają się do walki... takich zdarzeń nie uświadczysz w imperium.

Andar popatrzył na zbocze stopniowo rozjaśniane świtem.

- No proszę, jednak zmądrzały.

- Kto?

- Robale.

- Jak to?

- Zobacz. Nie wycofały się na pustynię, jak robiły dotąd. Rozłożyły się obozem pomiędzy dwoma zewnętrznymi murami obronnymi. Tylko Vlagh pewnie został na

Pustkowiu. Słyszałem głuchy ryk, kiedy jego żołnierze zajmowali te najniższe dwa wały obronne, dochodził z bardzo daleka.

- Ludzie-owady chronią go za wszelką cenę - stwierdził Danal. - I trudno im się dziwić. Skoro, jak mawia Zajączek, jest on mamuszką każdego stworzenia w tej krainie... Dzieci powinny dbać o rodzica.

- Ciekawe... Wychodzi mi na to, że będziemy walczyli z armią kobiety.

- To nie wszystko. Swego czasu, gdy czekaliśmy w Lattash na odwilż, tamtejszy szaman Uzdrowiciel zrobił nam parę wykładów na temat mieszkańców Pustkowi. Ten sam starzec uczył Długą Strzałę. Powiedział, że prawie cała armia tego stworzenia, które nazywają Ylaghiam, to samice, ale tylko ono składa jaja, z których wylęgają się nowe pokolenia. Każde następne jest inne, udoskonalone, wzbogacone o cechy zapożyczone od innych owadów, a nawet ssaków. Te nieduże stworzenia, z którymi walczyliśmy w pobliżu Lattash, miały kły jadowe jak u węży, ale skoro oberwali od nas tak, że im w pięty poszło, Vlagh zapewne uznał, że potrzebni mu służy nieco słuszniej szego wzrostu.

- Oberwali? - powtórzył Andar z rozbawieniem. - Aż im w pięty poszło? Co to za wyrażenie?

- Ulubiony zwrot sierżanta, który opowiada młodziakom o początkach armii. Teraz się komuś przypomniało i wróciło do łask. Młodszy oficerowie potrafią je nawet zawrzeć w groźbie... Najwyraźniej nowa moda, więc słyhać te słowa wszędzie, do znudzenia. Trzeba przeczekać.

Andar uśmiechnął się rozbawiony.

- To objawy dość powszechnej choroby zwanej młodością. Wszyscy z niej w końcu wyrastają.

- Jesteś cynikiem.

- Owszem. Co zapewne należy uznać za syndrom innej powszechnej choroby, zwanej starością. Z tego się, niestety, nie wyrasta.

*

Wczesnym popołudniem odziany w skóry Długa Strzała poprowadził większą grupę miejscowych łuczników w dół zbocza, do wojsk Narasana za wałami obronnymi. Sprawił tym komandorowi niemałą przyjemność, ponieważ mimo treningu, jaki Trogici przeszli pod okiem Rudobrodego, ciągle byli w sztuce łucznictwa raczej amatorami niż zawodowcami. Może pewną rolę odgrywały tutaj także zdolności.

- Czy kościelni żołdacy skończyli wreszcie budowę mostu? - spytał łucznika Narasan.

- Już niewiele im brakuje. Rowy i barykady gotowe, więc mogą ruszać. Dobrze

byłoby trzymać się poprzedniego planu. Nie wiemy, jak dużo czasu zajmie kościelnym armiom pokonanie umocnień postawionych przez ludzi Sorgana, więc pewnie lepiej byłoby nadal opóźniać podejście mieszkańców Pustkowie, aż zyskamy pewność, kiedy nasi niespodziewani przyjaciele w czerwonych mundurach dotrą do muru Gundy.

- W pewnym stopniu możemy się dostosować, komandorze - zapewnił Andar. - Na przykład przetrzymywać wroga za każdym murem obronnym przez dwa dni, jeśli to się okaże konieczne. Jeżeli jednak zaczniemy się spodziewać kościelnych armii wcześniej, zwolnimy kilka murów obronnych i wróg z Pustkowie posunie się szybciej do przodu.

- Słusznie - zgodził się Narasan.

- Najważniejsza jest koordynacja - dodał Andar. - Potwory Vlagha nie myślą z natury, a umysły kościelnych żołdaków zaćmiewa chciwość, więc ciężar zestrojenia działań spoczywa na naszych barkach.

- Podoba mi się ten sposób myślenia - uznał Długa Strzała z szerokim uśmiechem.

- Mnie także - poparł go Narasan.

*

O świcie, jak co dzień, Vlagh grzącym rykiem wydał komendę, a wówczas niezdarne, nieporadne nowe pokolenie jego sług podjęło bezmyślny marsz na kolejne umocnienia. Trogiccy łucznicy, niezbyt biegli w tym fachu, wycofali się nieco, ich miejsce zajęli znacznie bardziej wprawni mieszkańcy Krainy Zachodniej. Szyli z łuków z tak zdumiewającą skutecznością, że w krótkim czasie atakujący wspinali się po stertach martwych towarzyszy.

- Przecież to kompletny idiotyzm! - wyrwało się Andarowi.

- Jesteś dla nich bardzo wyrozumiały, przyjacielu - stwierdził Danal. - W świecie owadów idiota to geniusz.

- Nadciągają żółwie! - ostrzegł żołnierz stojący na szczycie wału obronnego.

- Dziwne... - zastanowił się Danal. - Tym razem nie stawialiśmy zatrutych kołków, a przecież głównym zadaniem żółwi jest ich łamanie.

- Niezupełnie - sprzeciwił się Andar. - Skorupy chronią je także przed strzałami. Jest bardzo prawdopodobne, że Vlagh ewoluował z idioty do krety. Idź, powiedz załogom przy katapultach, żeby były w gotowości. Najwyraźniej zbliża się czas, by przypomnieć sługom Vlagha, co to jest ogień.

- Taaa jest, panie kapitanie! Według rozkazu! - odmeldował się Danal.

- Coś mi się zdaje, że za dużo czasu spędzasz z Padanem - zauważył Andar.

Nad zachodnim horyzontem zebrały się chmury, toteż zachód słońca zapierał dech w

piersiach. Zdaniem Andara Dhrall nie był pozbawiony wad, ale jego uroda chwyciła za serce. Cywilizacja miała swoje ogromne zalety, jednak powodowała zanieczyszczenia powietrza tak intensywne, że niekiedy człowiek ledwo widział drugą stronę ulicy. Wszystko przez konie. Jak się taki najadł lucerny, jak go rozdeptało niczym balon, jak sobie potem ulżył, to zielonkawa cuchnąca chmura nie tylko zasłaniała widok, lecz także wykręcała nos. Uroki cywilizacji.

Niebo ciągle jeszcze rozsiewało purpurę, gdy na wały obronne zszedł młody Keselo.

- Dobry wieczór, komandorze - powitał Andara formalnie. - Komandor Narasan prosił, by rozważył pan możliwość opuszczenia dziś w nocy siódmego wału.

- Prosił, bym rozważył... - powtórzył Andar z lekkim uśmiechem.

- W zasadzie - poprawił się Keselo - komandor Narasan wydał taki właśnie rozkaz, ale ponieważ rozkazy z natury nie są grzeczne, modyfikuję je odrobinę.

- Nie dziw się, przyjacielu! - zawołał Danal ze śmiechem. - Ten chłopak przeprosza wroga, zanim go zabije.

- To nieprawda - zaprotestował Keselo. - Ale rzeczywiście staram się być uprzejmy w każdej sytuacji.

- Zdradzisz mi wobec tego, jak się uprzejmie zabija?

- Przed zadaniem ostatecznego ciosu należy uchylić kapelusza - poinformował Keselo Danalę bez śladu uśmiechu.

- Chciałeś, to masz! - zaśmiał się Andar. Przeniósł wzrok na młodego oficera. - Teraz odpowiedz mi na pytanie szczerze i otwarcie, nie zważając na grzeczność. Od jutra może się zacząć robić gorąco. Czy ludzie Omago są gotowi do walki? Czy będą wypełniać rozkazy, nawet jeśli ich nie rozumieją?

- Omago sam będzie doskonale wiedział, co robić - odpowiedział Keselo - a jego ludzie wypełniają każdy rozkaz bez najmniejszego sprzeciwu czy wahania.

- Czyli są lepsi od zawodowych żołnierzy - podsumował Danal.

- Jak on to osiągnął?

- Rolnicy wierzą... nie bez przyczyny, że Omago przemawia w imieniu pana Veltana.

- A Veltana się boją?

- Ani trochę - stwierdził Keselo kategorycznie. - Pana Veltana boją się jedynie nasi wrogowie. - Umilkł na chwilę. - Byłbym zapomniał, komandorze. Powiedziano mi, że oczywiście i tym razem pojawi się mgła. Taka sama jak przy opuszczaniu poprzednich wałów obronnych. To udział pani Zelany w aktualnych starciach.

- Może powinna oszczędzić trochę mgły na później? - zastanowił się Danal. - Nie wiem, jak ją wytwarza, ale byłoby lepiej, żeby jej zapas nie wyczerpał się akurat w chwili,

kiedy będziemy musieli brać nogi za pas, bo wtedy albo ludzie-owady, albo kościelni żołdacy mogą się zorientować, co robimy. A wówczas już tylko krok do poważnych kłopotów.

- Pani Zelanie z pewnością nie zabraknie mgły - zapewnił go Keselo. - Jeśli chce czegoś dokonać, dokona tego z pewnością, nawet niemożliwego.

- Skoro już zeszliśmy na temat rzeczy niemożliwych - podchwycił Andar - to kto otworzy mur Gundy?

- O ile mi wiadomo, zajmie się tym pan Veltan.

- Osobiście?! - wykrzyknął Andar z niedowierzaniem. - Sam?!

- Podejrzewam - odezwał się Danal - że z pomocą tej swojej oswojonej błyskawicy.

- Jak można oswoić błyskawicę...? - Andar z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Nie wiem, panie komandorze - stwierdził Keselo - ale wiadomo mi z najlepszych źródeł, że właśnie błyskawica pana Veltana otworzyła przejście w barierze lodowej. I nie zajęło jej to dużo czasu. Mur Gundy jest solidny, lecz z pewnością nie oprze się takiej sile.

- Nigdy się nie przyzwyczaję do tego świata - jęknął Andar.

- Nie przejmuj się, przyjacielu - pocieszył go Danal. - Cuda są mile widziane, dopóki działają na naszą korzyść. Dopiero gdyby okazały się przydatne naszym przeciwnikom, przyjdzie ewentualnie czas na złożenie petycji lub zorganizowanie protestu.

*

Tuż po zachodzie słońca, gdy słudzy Vlagha cofnęli się za dwa zewnętrzne wały obronne, pani Zelana przysłała mgłę, która skryła odwrót Trogitów i ich miejscowych sprzymierzeńców. W tym samym czasie komandor Narasan zjawił się na umocnieniach, chcąc porozmawiać z Andarem.

- Ogniste pociski z katapult okazały się wyjątkowo skuteczne - zaczął - ale też uniemożliwiły nam zbieranie jadu. Zaczyna go nam brakować. Nie wiemy dokładnie, kiedy armie Kościoła przedrą się przez rowy i barykady Sorgana, więc istnieje prawdopodobieństwo, że będziemy go potrzebowali, by powstrzymać ludzi-owady, aż czerwone mundury dotrą na miejsce.

- Nie widzę tu większego kłopotu - stwierdził Andar. - Jak sam powiedziałeś, miejscowi łucznicy skutecznie zatrzymują przeciwnika.

- Przystosowałeś się do Dhrallu znacznie szybciej niż ja - westchnął komandor. - Długi czas dręczyły mnie koszmary, nie mogłem wyrzucić z myśli obrazu wroga.

- Mam nad tobą pewną przewagę - odparł Andar. - Nie muszę podejmować decyzji. Wystarczy, jeśli założę, że ty wiesz, co robić, by pokonać przeciwnika. Każdy błąd spadnie na twoje barki.

- Wielkie dzięki za przypomnienie.

- Nie ma sprawy - zadeklarował Andar wielkodusznie. Potem spojrział na stok. - Zdaje się, że już nas nie widać. Biorę się do wycofywania ludzi. Robota czeka, a ty stoisz mi na drodze, jak jakaś zawalidroga.

- Racz mi wybaczyć - powiedział Narasan, cokolwiek urażony.

- Zastanowię się - rzucił za nim Andar. - Wpadnij innym razem, kiedy będę mniej zajęty.

Późnym wieczorem Danal, który nadzorował przemieszczanie katapult, stawiał się przed Andarem.

- Jesteśmy gotowi - zameldował. - Może byś się przespał? Ja będę trzymał rękę na pulsie.

- Nie bardzo mam czas - stwierdził Andar - ale zwolnij ludzi. Wątpię, czy jutro coś się nowego zdarzy, jednak tak naprawdę nigdy nic nie wiadomo, więc lepiej, by wojacy byli przytomni.

- Racja. - Danal zniknął w zamglonym półmroku.

Noc minęła spokojnie pod osłoną gęstej mgły roziskrzonej sztucznym słończkiem pana Dahlaine'a. Nad ranem białawy tuman zniknął. Andar zastanawiał się czas jakiś, czy mgła nie była zwykłą iluzją, ale szybko odsunął od siebie tę myśl. Życie na Dhrallu i tak okazywało się dość skomplikowane.

Wreszcie cienka linia światła zarysowała wschodni horyzont, a na wałach obronnych pojawił się Danal.

- Czas do roboty - powiedział cicho. - Ludzie-owady pewnie jeszcze śpią, ale miejmy się na baczności.

- Czy w wąwozie nad Lattash zdarzyło im się zaatakować nocą?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Nie dałbym w zakład własnej głowy, ale podejrzewam, że ten gatunek nie widzi dobrze w ciemnościach. Pewnie dlatego Vlagh postanowił eksperymentować z nietoperzami. Gdyby nie słońce pana Dahlaine'a, byłoby nietęgo. Cóż za wspaniały wynalazek! Oślepia nietoperze, nam rozjaśnia noc, ale nie daje światła ludziom-owodom!

Andarowi zdawało się, że upłynęły całe godziny, nim słońce wreszcie wzniosło się nad ziemię, choć w rzeczywistości podróżowało ono po nieboskłonie w tym samym tempie co zawsze. W chwili gdy dolna krawędź złocistego kręgu oderwała się od wschodniego krańca świata, rozległ się dobrze znany głuchy ryk z Pustkowie i przerośnięci ludzie-owady ruszyli do ataku.

- Wróg na froncie! - huknął jeden z doświadczonych sierżantów i wszyscy ludzie stanęli na wyznaczonych pozycjach.

- Powiedziałem łucznikom, żeby się nie śpieszyli - zawiadomił Danal przyjaciela. - Jestem przekonany, że napastnik nie od razu się zorientuje w sytuacji. Niech się zdziwi, gdy nas nie znajdzie na poprzednich miejscach.

- Czy owad może się zdziwić?

- Nie mam pewności - przyznał Danal ze wzruszeniem ramion. - Ale pewnie zaraz się dowiemy.

Niezdarne stwory dotarły do świeżo opuszczonych wałów obronnych i zaczęły dreptać w miejscu, najwyraźniej rozglądając się za kimś do ukąszenia.

- Popatrz, wyglądają na zdziwionych, nie? - odezwał się Danal z lekkim uśmiechem. - Gdyby byli normalnymi ludźmi, przynajmniej jednemu przyszyłoby do głowy, że nas tam już nie ma. A ponieważ są tylko robalami o ludzkich postaciach, może zaczną kąsać skały?

- Bzdury gadasz - zgasił go Andar.

- Nie byłbym taki pewien. Głos dobiegający z Pustkowiec rozkazuje im iść naprzód i kąsać, a skoro zabraliśmy z umocnień wszystkich ludzi, zostały tam tylko kamienie. - Przerwał na moment. - Wiesz co, przyjacielu, gdyby faktycznie zaczęły kąsać kamienie, połamałyby sobie zęby. A wtedy mielibyśmy wojnę z głowy.

- Nie zakładałbym się o taki bieg wypadków. Gdy tylko Vlagh zrozumie, że nas nie ma za tymi wałami, usłyszysz kolejny ryk, który będzie oznaczał, że mają iść dalej. A jak słyszałem, informacje docierają do Vlagha nieomal natychmiast.

I właśnie w tej samej chwili, jakby na potwierdzenie słów Andara, dobiegł ich z Pustkowiec znajomy głuchy ryk. Niezdarni napastnicy zwrócili się w jedną stronę i ruszyli otwartą przestrzenią między porzuconym wałem obronnym a następnym, za którym tkwili obrońcy.

- Łucznicy na pozycje! - rozkazał Danal.

Świeżo wytrenowani Trogici oraz doskonale wyszkoleni miejscowi strzelcy zajęli miejsca, przygotowali strzały, naciągnęli łuki.

- Ognia! - krzyknął Danal.

Smukłe pociski frunęły gęstą falą, szarża wroga padła pod ich gradem. Nieliczni ocalali brnęli dalej naprzód, wspinając się na sterty ciał martwych towarzyszy, wychodząc na spotkanie własnej śmierci.

Wreszcie rozległ się kolejny ryk, w którym pobrzmiwała wściekłość, a wtedy na wały obronne ruszyły pająki w żółtych skorupach. Szybko pokonywały przestrzeń zarzuconą

trupami.

- Katapulty! - rozkazał Danal.
- Pozwolisz? - spytał Andar.
- Uprzejmie proszę - zgodził się Danal z szerokim uśmiechem.
- Ognia! - rozkazał Andar.

Zza wałów obronnych podniosła się płonąca ściana. Łukiem popłynęła w górę, a potem spadła na wroga, zalewając go czerwoną pożogą.

*

Według Zajączka wojna w krainie pana Veltana była znacznie bardziej interesująca niż starcia na ziemiach jego siostry. Niespodziewane pojawienie się pięciu armii Kościoła dodało całej sprawie dreszczyku, a tajemniczy głos przemawiający do Długiej Strzały we śnie spowił pobyt w Krainie Południowej egzotyczną aurą tajemniczości. Rodzina pani Zelany nie potrafiła bez oporów zgodzić się z przekonaniem łuczника, że kościelni żołdacy zostali do tego stopnia omamieni, iż bezwiednie z wrogów przemienili się w sprzymierzeńców w wojnie z mieszkańcami Pustkowie. Zdaniem Zajączka ów opór miał źródło w urazie, oburzeniu i złości: otóż rodzina władców Dhrallu nie mogła się pogodzić z faktem, że osoba przemawiająca do Długiej Strzały we śnie potrafiła dokonać czegoś, co przekraczało ich możliwości. Co Zajączkowi wydawało się idiotyczne. Skoro ktoś oferował pomoc, należało ją przyjąć z radością, a nie boczyć się i obrażać.

Most, który kościelne armie wznosiły przy boku wąwozu, był na ukończeniu, więc Padan wycofał ludzi do lasu po zachodniej stronie trawiastej równiny.

- Nie muszą wiedzieć, że nadal tu jesteśmy - oznajmił. - Póki ro bią to, czego od nich oczekujemy, będziemy im schodzić z oczu.

Tymczasem Rudobrody był zdania, iż należałoby jednak obserwować tych przyjaznych wrogów. Niekiedy jego uwagi irytowały Zajączka, zwłaszcza nowo wymyślane określenia, choć w zasadzie „przyjazni wrogowie” pasowało do sytuacji.

Jakiś tydzień po tym, gdy wojska kościelne zaczęły stawiać most wzdłuż rzeki, późnym popołudniem Zajączek dołączył do Rudobrodego i Torla ukrytych w gęstych krzakach na zachodnim brzegu wodospadu. Zerkali w dół.

- Jak im idzie? - spytał cicho. Torl zdusił śmiech.
- Mają kłopoty z utrzymaniem równowagi.
- Jak to? - spytał Zajączek zdziwiony.
- Jeżeli człowiek usiłuje powiesić pięćdziesięciometrowy drewniany bal nad dziurą długości czterdziestu metrów, to po jakichś piętnastu metrach kłoda zaczyna się kołysać. A po

następnych dziesięciu już jest po sprawie, zwyczajnie nurkuje w dół. Już im się ześlizgnęły cztery bale, za chwilę pewnie zrzucą piąty.

- Żartujesz!

- Ani mi w głowie - oznajmił Rudobrody z promiennym uśmiechem. - Mówię zupełnie poważnie. Wszystko wskazuje na to, że może w przyszłym tygodniu któryś z tych mądrali wpadnie na pomysł, by obciążyć bliższy koniec pnia, dzięki czemu uda im się przesunąć go na miejsce, a nie zrzucić w przepaść.

- Zabawa przednia - zgodził się Zajączek - nam jednak nadal zależy, by ukończyli pracę.

- Ukończą, ukończą - stwierdził Torl ze wzruszeniem ramion.

- Kiedyś na pewno im się uda.

- O, chyba właśnie ktoś tam się obudził - zauważył Rudobrody.

- Pewnie zmarnują jeszcze parę pni, zanim dojdą do wniosku, że trzeba na końcu bala posadzić kilka setek ludzi, ale powiedziałbym, że są na dobrej drodze.

Dalej się przyglądali Trogitom harującym w pocie czoła.

- Wykorzystanie żołnierzy w roli przeciwwagi nie jest chyba najlepszym pomysłem - stwierdził Zajączek z powątpiewaniem.

- Mają mnóstwo ludzi - odparł Torl. - Wcześniej czy później osiągną cel.

Budownicowie w czerwonych mundurach wypychali bal coraz dalej, aż wreszcie oparli jego drugi koniec o krawędź klifu.

- Ile czasu im to zajęło? - spytał Zajączek.

- Zaczęli gdzieś około południa, prawda? - zastanowił się Torl.

- Chyba trochę wcześniej - uznał Rudobrody.

- Jeśli utrzymają tempo dwóch pni dziennie, to jeszcze trochę potrwa budowa tego mostu - ocenił Zajączek.

- Po pierwszym pniu powinno im pójść łatwiej i szybciej - westchnął Torl. - Ale z nich oferty! - Skrzywił się złośliwie. - Gdyby nie to, że ich potrzebujemy, moglibyśmy po północy leciutko popchnąć pień... Resztę wykonałaby za nas siła ciężenia. Wyobrażacie sobie, jaki wrzask by się podniósł?

Wkrótce zapadł zmierzch, Trogici w czerwonych mundurach rozpalili kilka ognisk, by przygotować wieczorną strawę.

- To by było tyle na dzisiaj - ocenił Torl. - Chodźcie, zobaczymy, co mamy na kolację.

- Jeszcze nie koniec - zatrzymał go Rudobrody. - Kilku ludzi przechodzi przez krawędź.

- A jak oni się tu dostali? - zapytał Torl.

- Pewnie po drabinach - domyślił się Zajączek. - To znacznie szybszy sposób niż budowanie mostu.

- Zobaczymy, co będzie dalej - powiedział Rudobrody. - Ci ludzie bardzo się starali, by ich nie zauważył żaden z towarzyszy.

- Mnie się wydaje, że żołnierze Kościoła powinni nosić czerwone mundury - zauważył Zajączek. - A ci są ubrani na czarno.

- Regulatorzy - stwierdził Torl. - Słyszałem o nich na południowym wybrzeżu. To rodzaj kościelnej policji, wszyscy się ich boją, nawet księza.

- Może właśnie postanowili wziąć sprawy w swoje ręce - myślał Zajączek głośno. - Jeżeli nabiorą odpowiedniego tempa, znajdą się przy oceanie fałszywego złota dużo wcześniej niż pozostali.

- To możliwe... - powiedział Torl, jednak w jego głosie słychać było powątpiewanie.

- Spójrzcie na ten pień, który położyli tuż przed zachodem słońca, a będziecie mieli odpowiedź - powiedział Rudobrody.

Zajączek wychylił się za krawędź klifu i wyciągając wzrok, dostrzegł w gęstniejących ciemnościach kilka niewyraźnych cieni pełzających po wielkim drewnianym balu. Gdy dotarli do brzegu urwiska, usłyszał stłumiony szept.

- Jeśli się pośpieszymy - tłumaczył ktoś w mroku - dotrzemy do złota, napełnimy sakwy i wrócimy do obozu, zanim ktokolwiek się zorientuje.

*

- Trzeba będzie gdzieś to złoto schować - zauważył ktoś drugi. - Jeżeli księza zwietrzą choćby pyłek cennego kruszcu, napuszczą na nas regulatorów.

- Może się wtedy pozbędziemy i jednych, i drugich!

- Nie wolno zabijać duchownych! - przeraził się trzeci.

- Nie musimy ich zabijać. Są tak święci, że zapewne umieją fruwać, więc urządzimy wielką próbę. Wystarczy zrzucić ich do wąwozu, no nie? Bezgrzeszni pofruną. Pozostali polecą w dół. I roztrzaskają się o skały. Taką poniosą karę za grzechy. My będziemy jedynie sprawdzali ich świętość. Jeżeli wszyscy zmienią się w krwawe plamy... cóż, trudno.

Pozostali roześmieli się chrypliwie.

Akurat w tej chwili z ciemności wynurzyli się regulatorzy i za pomocą pałek zyskali u dezertarów całkowite posłuszeństwo.

- Konag, co z nimi robimy? - spytał jeden w czarnym mundurze. Człowiek o ponurej twarzy, który prowadził regulatorów przez krawędź wąwozu, uśmiechnął się okrutnie.

- Może przeprowadzimy na nich sprawdzian świętości?

- Nie rozumiem - przyznał regulator.

- Widocznie byłeś za daleko, żeby słyszeć ich rozmowę. Sprawdzian świętości polega na zrzuconiu testowanego ze znacznej wysokości. Jeżeli pofrunie w górę, jest święty. Jeśli poleci w dół, to grzesznik.

- Zrzucić ich do wąwozu? - upewnił się regulator.

- Doskonały pomysł - przytaknął Konag ze złym uśmiechem.

*

Następnego ranka Zajączek postanowił zakończyć coś, z czym zwlekał od kilku tygodni. W tym celu odciął od wielkiego pnia zakrzywioną gałąź i przystąpił do strugania.

- Nudzisz się? - zapytał Torl.

- Nie, nie. Jakiś czas temu uświadomiłem sobie, że od zeszłej zimy robię strzały dla wszystkich łuczników w okolicy, a sam ani razu nie naciągnąłem cięciwy.

- I to ma być łuk! - domyślił się Torl. - Nie za krótki?

- Gdybym dla siebie zrobił taki, jakich używają mieszkańcy krainy pani Zelany, musiałbym stać na drabinie, żeby z niego strzelać.

- Będiesz wobec tego używał także krótszych strzał.

- Oczywiście.

Torl uśmiechnął się lekko.

- Jak Długa Strzała i Krótka Strzała staną ramię w ramię, wróg z pewnością weźmie nogi za pas.

Zajączek zmierzył go niezbyt przyjaznym spojrzeniem.

- Wiesz co - odezwał się po chwili. - Będzie mi potrzebny jakiś cel do ćwiczeń. Najlepiej ruchomy. Byłbyś skłonny przespacerować się po okolicy? Nie mam dużej wprawy, więc raczej nie zrobię ci poważniejszej krzywdy.

- Może innym razem. Dziś jestem potwornie zajęty.

- Gdybyś znalazł chwilkę, przyjacielu, chętnie skorzystam z twojej pomocy.

- Będę o tym pamiętał - obiecał Torl i odszedł, kręcąc głową. Zajączek dokończył struganie łuku i poszedł szukać Rudobrode go. Znalazł go niebawem, pokazał mu swoje dzieło.

- Z czego robicie cięciwę? - zapytał.

- Zwykle z suszonego jelita. Niektórzy łucznicy używają zwierzęcych ścięgien, ale ja wolę jelito. Mam parę zapasowych, dam ci jedno. - Wziął od Zajączka zakrzywiony konar, ujął za oba końce, nagiął. - Niezły - ocenił. - Giętki. Bardzo ci się nada.

- Najpierw muszę spróbować.

Wziął garść strzał i poszedł do lasu przy zachodnim stoku. Nigdy dotąd nie strzelał z łuku, więc nie życzył sobie publiczności oceniającej pierwsze próby.

Długa Strzała wspominał coś o „jedności” łączącej strzelca, łuk i cel. Zajączek myślał nad tym jakiś czas, idąc między drzewami.

Może to coś podobnego jak moja jedność z metalem, który rozgrzewam w kuźni, aż osiągnie idealną barwę?

Rozejrzawszy się, odszukał na jednym z pni zieloną ścieżkę mchu. Drzewo rosło może w odległości pięćdziesięciu kroków. Ze wzrokiem utkwionym w celu wsunął cięciwę w nacięcie strzały, uniósł łuk i naciągnął. Wypuścił pocisk..... który utkwiał dokładnie w środku celu.

No! Jestem w tym lepszy, niż przypuszczałem! - uznał i uśmiechnął się szeroko. Jeszcze nigdy w życiu nie chybiłem celu!

Z rosnącą ciekawością naciągnął łuk po raz wtóry, wypuścił drugą strzałę.

I po chwili dwa pierzaste pociski sterczały z podłużnej łąty mchu.

Wystrzeliwszy ostatni pocisk, podszedł do omszałego drzewa.

Wszystkie trafiły w pień tak blisko siebie, że mógł objąć groty jedną dłonią.

- To przecież niemożliwe! - wyrwało mu się.

Rozejrzał się podejrzliwie dookoła, wietrząc podstęp. Może pani Zelana postanowiła zabawić się jego kosztem? Zaraz jednak uświadomił sobie, że jeśli się nie myli, i tak jej nie zobaczy.

Z niemałym wysiłkiem powyciągał strzały z pnia, dwie mu się przy tym złamały. Schował łuk pod derką i ruszył z powrotem do obozu.

I tak mi nikt nie uwierzy, więc lepiej się nie afiszować, myślał. Mowa jest srebrem, a milczenie złotem.

Dwa dni później Padan, Zajączek i Torl znów siedzieli na krawędzi urwiska.

- Prawie skończyli - zauważył piracki kapitan. - Regulatorzy wzięli się na serio do naszej roboty. Przekonali wszystkich żołdaków w czerwonych mundurach do pozostania na stanowiskach, żaden nie biegnie na północ w poszukiwaniu złotka.

- Czego?!

- A, wyrażam się o nim pieszczotliwie, bo dzięki niemu mamy mniej zajęcia.

Padan potarł zarośnięty policzek.

- Wszystko wskazuje na to, że strach jest silniejszy niż chciwość - stwierdził. - I regulatorzy o tym wiedzą.

- Powinniśmy zawiadomić Sorgana - zastanowił się Torl. - I komandora Narasana też. Skoro regulatorzy potrafią utrzymać w ryzach kościelnych żołdaków i przypilnować, żeby nie biegali po to twoje „złotko” parami czy trójkami, może będzie potrzebna drobna zmiana planów.

- Co racja, to racja - zgodził się Padan. Przeniósł spojrzenie na Zajączka. - Jak tam twoje nogi, przyjacielu?

- Nadal szybko biegam - odparł zapytany. - Podejrzewam, że chcesz mnie prosić o zanieśenie wieści?

- Gdyby ci to nie sprawiło kłopotu...

- A dokładnie rzecz biorąc - wtrącił Torl - niezależnie od ewentualnych kłopotów.

*

- Coś mi się wydaje, że regulatorzy odwalili za nas całą robotę - stwierdził Skell, gdy Zajączek doniósł mu i Sorganowi o wydarzeniach na krawędzi wąwozu.

- Może tak... - Sorgan wyraźnie się wahał. - A może i nie. Chyba byłoby jednak lepiej, gdyby tu ruszyli biegiem, bo jeśli zwolnią, może im przyjść do głowy szukać innej drogi do złota.

- Raczej nie, kapitanie - sprzeciwił się Zajączek. - Kiedy wybraliśmy się z Długą Strzałą i Torlem po próbkę złotego piasku, mieliśmy okazję przyjrzeć się całej łasze i widzieliśmy wyraźnie, że ona się ciągnie zaledwie parę kilometrów na zachód. Długa Strzała twierdzi, że dama z jego snu umieściła przynętę dla kościelnych armii dokładnie tam, gdzie powinna się znaleźć.

- Chciałbym poznać tę damę - wtrącił Skell. - Jesteśmy jej winni ogromną wdzięczność.

- Zakładając, że wszystko potoczy się zgodnie z jej planem - podkreślił Sorgan. - Ale jeżeli coś pójdzie źle, będziemy tu mieli niezły kocioł.

*

Późnym wieczorem na trawiastej równinie w pobliżu gejzeru zgromadziło się czworo władców Dhrallu oraz czwórka Marzycieli. Kościelni żołdacy wreszcie ukończyli budowę mostu. Trenicia podejrzewała, że ten właśnie fakt był powodem owego spotkania, lecz z drugiej strony trudno jej było zrozumieć, dlaczego siedmioro zebranych wpatruje się w śpiącą Lillabeth. Jej zdaniem dziewczynce do snu nie była potrzebna publiczność.

Królowa Trenicia z wyspy Akalla od początku pobytu w tym zdominowanym przez mężczyzn świecie miała kłopoty ze znalezieniem sobie miejsca. Na wyspie ona rządziła, a mężczyźni traktowani byli niemal jak ulubione zwierzątka, większość czasu spędzali na

dbaniu o własny wygląd. Przy szczególnych okazjach potrafili nawet malować twarze.

Owszem, istniały dawne przekazy, najpewniej zmyślone, wedle których w zamierzchłej przeszłości wyspą rządili właśnie oni, partnerki traktując jak swoją własność, jak przedmioty. Ponoć któregoś dnia grupa kobiet wybrała się po drewno w okolicy południowej plaży i tam znalazła wrak łodzi z jakiejś dalekiej krainy, a na niej broń skonstruowaną z dziwnego materiału, z pewnością nie z kamienia. Gdyby odkrywczyńie były istotami uległymi, historia wyspy potoczyłaby się inaczej. Tymczasem akurat im do uległości było bardzo daleko. Po latach podłego traktowania, po wiekach upokarzania złość kazała im wziąć sprawy we własne ręce. Tego dnia wiele kobiet wróciło do domu z obcą bronią w dłoniach i stanowczo okazało partnerom swoje oburzenie.

Na silną płęć padł blady strach. Raptem kobiety okazały się nieposłuszne, zbuntowane, nie chciały wykonywać poleceń, a na najmniejszą oznakę niezadowolenia reagowały brutalnie. Cóż pozostało? Mężczyźni wzięli nogi za pas.

Niewiele to jednak dało, ponieważ ich ucieczka kobiet nie zadowoliła. One pragnęły krwi.

Opowieści z tamtych lat były zapewne mocno przesadzone, ale może tkwiło w nich ziarno prawdy stanowiące usprawiedliwienie zachowania niegdysiejszej słabej płci. Tak czy inaczej mężczyźni ginęli. Morderstwa stały się tak powszechne, że w końcu starsze, doświadczone kobiety powstrzymały młodsze i wytłumaczyły im, że jeśli wytępią wszystkich mężczyzn, nie będzie na wyspie dzieci. A skoro nie będzie dzieci, lud Akalli wyginie.

I tak nastął kres polowania na mężczyzn. Ci, którym udało się ocalić życie, zostali zapędzeni do zagród. Gdy już znaleźli się w nich wszyscy, wyprowadzano ich pojedynczo i kobiety dokonywały wyboru. Młodzi, przystojni, mili znajdowali dach nad głową, natomiast starzy, brzydcy, złośliwi czy wredni byli na miejscu zabijani.

Z czasem zwyczaj pozbawiania życia niechcianych mężczyzn zanikł, ale oni sami zrozumieli, że pociągający wygląd stanowi ich atut. Nic więc dziwnego, że najważniejsze stało się dla nich dbanie o urodę. Kobiety zajęły się uprawą ziemi, polowaniem, gotowaniem, zbiorami, rządzeniem - i walką.

Królowa Trenicia nie widziała nic złego w tym układzie. Bardzo dziwiły ją inne społeczności. Nie rozumiała także, dlaczego miejscowi bogowie oraz ich dzieci byli tak zainteresowani wychowanicą Aracii. Postanowiła to wyjaśnić, zwracając się do ślicznej Elerii, która siedziała w pewnej odległości od pozostałych.

- Dlaczego wszyscy obścapiłi Lillabeth?

- Ona śni - odparła Eleria. - Taka nasza rola. W marzeniach sennych dokonujemy

czynów wzbronionych naszym opiekunom.

- Przecież oni są bogami.

- W pewnym sensie.

- Bogowie mogą robić, co zechcą.

- O, niezupełnie - zaprzeczyła dziewczynka mrocznym głosem. - Nie mogą odbierać życia. Nikomu i niczemu.

- Nawet komuś, kto chce ich zniszczyć? - Trenicia nie mogła tego pojąć.

- Nawet. Dlatego właśnie jesteśmy tu my. Niszczymy wroga w marzeniach sennych.

W krainie najukochańszej pani wyśniłam sen o powodzi, i woda zabiła tysiące naszych wrogów. Nieco później Vash marzył we śnie o wybuchu wulkanu, więc lawa unicestwiła kolejne wraże zastępy.

Trenicia spojrzała na Lillabeth z respektem. Przyjrząwszy się bliżej, dojrzała coś w powietrzu, tuż nad śpiącym dzieckiem. Ten przedmiot mienił się kolorami, połyskując nieomal jak ogień.

- Co to jest? - zapytała.

Eleria zerknęła na śpiącą siostrę.

- Muszla - odparła. - Haliotis. Niebrzydka, ale moja perła jest ładniejsza. Talizmany otulają nas marzeniami sennymi. Są głosem Przewodniczki.

- Kto to taki?

- Nie mam całkowitej pewności - przyznała dziewczynka.

- Znam ją od początku czasu... - Zamilkła i na jej ustach pojawił się nostalgiczny uśmiech. - Niestety, nie pamiętam, kiedy to było. Wszyscy byliśmy wtedy bardzo zajęci.

- Czym?

- Tworzeniem. Starsi bogowie pracowali długi czas i zdążyli się zmęczyć, więc pozwoliliśmy im odpocząć i przejęliśmy ich obowiązki. Chyba niedługo będziemy musieli zrobić to ponownie. Najukochańsza pani zachowuje się coraz bardziej niezwykle. Widać po niej oznaki zmęczenia, powinna iść spać. Już wyręczam ją w tym i owym, dawniej też tak się to zaczynało... - Zerknęła na śpiące dziecko.

- Chyba Enalla niedługo się obudzi. Wprawiała w ruch marzenia senne, dzięki niej wygramy wojnę w tej krainie. - Wydeła usteczka.

- Dakas pewnie jej pomoże, tak jak Vash pomógł mi w krainie najukochańszej pani.

- Dlaczego używacie innych imion niż te, którymi określają was dorośli? - spytała królowa Trenicia. - Zdawało mi się, że ta dziewczynka od pani Aracii nazywa się Lillabeth.

- Naprawdę ma na imię Enalla.

- A jak wobec tego ty masz na imię?

- Balacenia. Wszystko przez to, że Dahlaine, przywołując nas zbyt wcześnie, postanowił ukryć nasze prawdziwe imiona. Na dodatek spowodował, byśmy się pojawili jako maleńkie dzieci, a wszystko po to, żeby starsi bogowie nas nie poznali.

- Pani Aracia nie wspomniała o tym słowem, gdy odwiedziła nas na wyspie Akalla - powiedziała królowa Trenicia nieco urażona.

- Cała ona! - zaśmiała się dziewczynka. - Dahlaine'a strasznie to irytuje. Wszyscy wiemy, że Aracia chce być najstarsza w następnym cyklu, a jemu się to wcale nie podoba.

- Dlaczego mi o tym wszystkim opowiadasz? Czy nie powinnaś raczej ukrywać przede mną tych wiadomości?

- Nie wszyscy jesteśmy tacy jak Aracia - odparła boska istotka.

- Ja zawsze wolałam otwartość i szczerłość od podstępów i przemilczenia. Jestem przekonana, że kiedyś twoja znajomość faktów okaże się istotna, dlatego zabrałam cię na krótki spacer ścieżką prawdy. Za jakiś czas, jeżeli tylko zechcesz, możemy posunąć się dalej.

- Przerwała i po chwili milczenia obdarzyła królową szczerym dziecięcym uśmiechem. - Będzie fantastycznie! - Klasnęła w ręce uradowana.

*

Sorgan Orli Nos, jego kuzyn Skell oraz pierwszy oficer, Wól, stali po północnej stronie pierwszego rowu, spoglądając w ciemność.

- Niepotrzebnie się martwisz, kuzynie - oznajmił Skell. - Z tego, co widziałem w czasie poprzedniej wojny, trogickie armie nie walczą zbyt dobrze po zmierzchu.

- Może to i prawda, jeśli mówisz o prawdziwej armii - sprzeciwił się Sorgan - ale jeśli opowieść Torla o wydarzeniach na południowym wybrzeżu jest zgodna z prawdą, mamy do czynienia nie z wojskiem, lecz z tłumem. A tłum, jak zobaczy złoty piasek, nie będzie myślał ani zachowywał się jak wojsko.

- Moim zdaniem wszystko zależy od tego, czy skończyli most, kapitanie - włączył się Wól. - A zdaje się, że jeszcze nie skończyli, więc wszyscy powinniśmy iść spać, zamiast czekać nie wiadomo na co.

- To nie do końca tak - stwierdził Sorgan. - Padan obiecał wysłać kogoś z wiadomością, że most został zbudowany, ale jeśli posłaniec nie zna właściwej drogi, nie przejdzie przez zatrute kolki. Prędzej straci życie, niż do nas dotrze.

- Ciii...! Ktoś idzie! - syknął w tym momencie Skell, wskazując na południe.

- Pewnie Zajączek - uznał Wól. - Albo ktoś podobnego wzrostu. Zajączek zna drogę przez rowy.

- Najwyższy czas - odetchnął Sorgan z ulgą.

- Czy to pan, kapitanie? - dobiegł z ciemności głos kowala.

- A kogo się spodziewasz? - zniecierpliwiał się Sorgan. - Co tam się u was dzieje?

- Żołnierze w czerwonych mundurach ukończyli wreszcie budowę mostu, ale wypadki potoczyły się nieco inaczej, niż przewidywaliśmy.

- Pojawiły się jakieś kłopoty? - zapytał Skell.

- Trudno powiedzieć z całą pewnością - przyznał Zajączek. - Do pewnego momentu wszystko szło zgodnie z planem. Czerwone mundury zdołały osadzić jeden pień na krawędzi wąwozu, a wtedy, zobaczywszy wierzchołki gór oproszone złotem, dostali białej gorączki. Po zachodzie słońca jakichś dziesięciu żołnierzy przekradło się po pniu, chcąc zapewne wyprzedzić towarzyszy.

- Przewidywaliśmy taki obrót spraw - przypomniał Wól.

- To prawda. Tym jednak się nie udało - podjął Zajączek. - Kilku ludzi w czarnych mundurach wspięło się na brzeg wąwozu, korzystając z drabin, i czekali na czerwonych ukryci w krzakach. Pochwycili dezertersów i zrzucili na dół. Z tego, co mówili Torl i Padan, wynika, że ci w czarnych mundurach mają pilnować tych w czerwonych, by robili, co do nich należy, a nieposłusznych zabijają.

Sorgan skrzywił się niemiłosiernie.

- Wysoki ten klif w miejscu, gdzie ich zrzucili?

- Co najmniej trzydzieści metrów, kapitanie. Raczej żaden z czerwonych mundurów nie wstał po tym locie. - Wzruszył ramionami i zmienił temat. - Padan kazał mi powtórzyć, że most jest skończony, a czerwone mundury nie będą się tu zjawiały parami czy trójkami. Przyjdą całymi setkami. - Zamilkł na moment. - Aha, jeszcze jedno, panie kapitanie. Padan ze swoimi ludźmi jest jakąś godzinę za mną. Powiedział, że byłby naprawdę bardzo wdzięczny, gdyby go ktoś przeprowadził przez zatrute kołki.

- Zajmiemy się tym - zapewnił go Sorgan. - Może byś skoczył na mur Gundy i zawiadomił o wszystkim Narasana?

- Tak jest, kapitanie. Jak tylko ktoś pokaże mi drogę przez następne zatrute kołki.

*

Padan i Torl dotarli do pierwszego rowu Sorgana jeszcze przed świtem, wyprzedziwszy swoich ludzi.

- Wiemy od Zajączka, że sytuacja się nieco zmieniła - zawiadomił ich Skell. - Mam nadzieję, że nie zmyślał. Czy ci faceci w czarnych mundurach faktycznie są tacy brutalni?

- Tak - odparł Torl stanowczo. - Padan opowiedział mi o tej bojowej organizacji

kościelnej. O ile dobrze zrozumiałem, trogicki Kościół wykorzystuje stosowanie siły do granic możliwości. Żołdacy w czarnych mundurach, zwani regulatorami, utrzymują w ryzach wojsko czerwonomundurowe, ale - co ciekawe - także samych duchownych. We wszelkich swoich działaniach kierują się maksymą „posłuszeństwo albo śmierć” i aby udowodnić niedowiarkom, że stosują ją w praktyce bez wahania, na początek zabijają kilka osób dla przykładu.

- Padanie, czy on mówi prawdę? - zapytał Sorgan z niedowierzaniem w głosie.

- Tak, panie kapitanie. Tacy właśnie są regulatorzy. Członkowie Kościoła, a zwłaszcza wysocy dostojnicy kościelni, mają na względzie wyłącznie bogactwo. Dawno zapomnieli o jakiegokolwiek przyzwoitości. - Przeszył wzrokiem ciemność po drugiej stronie rowu. - Mam jedno pytanie. Na wschodzie rowy kończą się na rzece, a jak zabezpieczyliście ich zachodni kraniec?

- Poszczyło nam się - stwierdził Sorgan. - Wzdłuż zachodniego grzbietu górskiego przez jakieś dwa kilometry biegnie skalny występ, dość stromy. Człowiek zapewne mógłby się na niego wspiąć, gdyby się uparł, ale musiałby poświęcić na to nieco czasu. Kościelni żołdacy, niecierpliwie dążąc do fałszywego złota, nie zechcą tracić cennych chwil na okreśną drogę. Wtedy kołki powleczone trucizną, powbijane na dnie rowów, wykonają swoje zadanie. Są niezbyt długie, ale ostre, a do tego zamaskowaliśmy je suchymi liśćmi.

- Czy można mieć pewność, że przebiją podeszwy żołnierskich butów?

- Wolałbym sam tego nie sprawdzać. Jak sądzisz, kiedy możemy się tutaj spodziewać kościelnych wojsk?

- Za jakieś dwa i pół dnia, kapitanie. Trudno powiedzieć, czy zaczekają na górze na wszystkich swoich ludzi, czy też zaczną marsz na przykład batalionami.

*

O brzasku następnego dnia Sorgan i Padan stanęli na szczycie południowej barykady. Kościelnych armii nie było widać.

- Żadnych gości - stwierdził Sorgan. - Czy masz pewność, że nie zwrócą uwagi na żółte wstążki, wasze oznaczenia przejścia?

- Mało prawdopodobne, żeby im poświęcili chwilę uwagi - odpowiedział Padan. - To całkiem niezłoty pomysł. Wpadliśmy na niego z Gundą, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi, i nie zdradziliśmy nikomu. My dwaj wiemy, co oznaczają żółte tasiemki, nikt inny nie podejrzewa ich znaczenia.

- Nawet Jalkan? O ile dobrze pamiętam, Narasan wspominał, że ten łotr dość długo służył w waszej armii, a teraz przystał do nieprzyjacielskich wojsk.

Padan pokręcił głową.

- O tej sztuczce nie wie nikt poza Gundą, Narasanem i mną. - Uśmiechnął się lekko. - W zasadzie była to straszna dziecinada. Sami wymyśliliśmy ten sposób oznaczania i zachowaliśmy go dla siebie. Nigdy nie używaliśmy wielkich płacht materiału, ot, w zasadzie żółte sznureczki. A właściwie... skąd pan o tym wie, kapitanie?

- Od Narasana właśnie. Nie miał innego wyjścia, musiał mi wyjaśnić, jak traficie na miejsce, kiedy cię wysłał ze zwiadem Skella. Ten pewnie uznał was za niespełna rozumu, kiedy zaczęliście przywiązywać żółte tasiemki do krzewów i drzew.

- O, idzie Długa Strzała - zauważył Padan, wskazując na północ. - Zdaje się, że Zajączek wskazuje mu drogę.

- To dobrze. Gdyby łucznikowi stało się coś złego, pani Zelana obdarłaby mnie żywcem ze skóry.

*

- Widać już naszych „zaprzyjaźnionych wrogów”? - spytał Długa Strzała.

- Jeszcze nie - odpowiedział Sorgan. - Ale jest bardzo wcześnie. Nawet słońce nie wstało. - Przeniósł spojrzenie na kowala. - Jak Narasan przyjął najnowsze wieści?

- Przyznał, że jest wbrew jego naturze godzenie się z poczynaniami kościelnego wojska, lecz działanie regulatorów, którzy przekonali żołnierzy w czerwonych mundurach, by nie wybierali się samotnie na wycieczki w stronę złota, jest mu bardzo na rękę. Teraz nie może się doczekać reakcji kościelnych armii na spotkanie twarzą w twarz z ludźmi-owadami.

Sorgan uśmiechnął się szeroko.

- Cały Narasan, cały on. Chociaż... szczerze mówiąc, sam się te go nie mogę doczekać.

- Wróg nadciąga - wtrącił Padan znudzonym tonem. Sorgan obrócił się na południe.

- No tak. To już jest armia. Świetnie. Nie byłem pewien, czy regulatorom uda się utrzymać tych ludzi w ryzach, ale proszę, najwyraźniej ich nie doceniałem.

Wojsko w czerwonych mundurach maszerowało żwawym krokiem, utrzymując bardzo przyzwoite tempo. Żołnierze w krótkim czasie dotarli na krawędź pierwszego rowu Sorgana i stanęli. Podejrzliwie oszacowali trzymetrowy spadek i zaczęli zawracać, mieszając się z następnymi nadciągającymi.

- Wyczuwam pewien brak entuzjazmu - zauważył Padan, wyraźnie uradowany.

- Sam bym się zastanawiał przed takim skokiem - przyznał Sorgan. - Można sobie połamać nogi.

Szczupły, brzydki mężczyzna w czarnym mundurze, po krótkiej naradzie z kilkoma

innymi, tak samo odzianymi, wydał swoim podwładnym rozkazy, a oni ruszyli wzdłuż rowu, za plecami niezdecydowanych w czerwonych mundurach, spychając ich ze stoku.

- Skuteczne działanie - zauważył Padan - nawet jeśli nieco przesadne. Jak blisko ściany rowu znajdują się zatrute kołki, kapitanie?

- Bardzo blisko.

- Jad wydaje się równie mocny jak poprzednio - stwierdził Padan chwilę później. - Chyba wszyscy, którzy znaleźli się na dnie, są martwi.

Sorgan uśmiechnął się do niego porozumiewawczo.

- I o to właśnie chodziło. Teraz, skoro się przekonali, co ich czeka, na pewno zwolnią i zaczną ostrożnie wykopywać kołki. Przypuszczam, że potrwa ze dwa dni, zanim oczyszczą dno rowu. Do tego czasu powinna nadciągnąć przynajmniej jeszcze jedna armia.

- Sprytne - uznał Padan. - Ze dwa rowy dalej będziemy mieli na miejscu wszystkie pięć kościelnych armii, przytupujących ze zniecierpliwienia, by jak najszybciej dotrzeć do fałszywego złota.

Tymczasem jednak życie zdecydowało inaczej. Odbyło się kolejne zebranie regulatorów, po czym ten, który sprawiał wrażenie dowódcy, podał kilka krótkich instrukcji. Oprawcy w czarnych mundurach na nowo zajęli się żołnierzami w czerwonych, ale tym razem nie spychali ich z krawędzi rowu, lecz rzucali nimi, starając się zaścielić dno. I rzeczywiście, ciała zatrutych jadem wkrótce utworzyły na dnie rowu gruby kobierzec.

- Dosyć tego! - wykrzyknął Zajączek z niezwykłym u niego zdecydowaniem. Podniósł krótki łuk, który zdaniem Sorgana przypominał raczej zabawkę, wyjął z kołczanu na plecach strzałę. - Gdzie jest ten, którego nazywają Konag? - spytał Torla.

- Hm... - Torl przecesał spojrzeniem drugi brzeg rowu. - Chyba tam, po prawej. Uważasz, że uda ci się go stąd dosięgnąć?

- Zamierzam spróbować - oznajmił kowal, naciągając łuk. Zwolniona cięciwa zaśpiewała krótko, strzała gładko pomknęła nad rowem.

Czarno ubrany mężczyzna, który rozkazał swoim podwładnym zrzucić żołnierzy do rowu, by z ich ciał utworzyć dywan na powleczonych jadem kołkach, śledził jej lot z pogardą. I taki wyraz pozostał mu na twarzy, gdy padł na wznak i niewidzące spojrzenie wbił w wysokie niebo. Pierzasty pocisk sterczał mu z czoła.

- Jak tyś to zrobił? - zapytał Sorgan, nie dowierając własnym oczom.

- Ta broń nazywa się łukiem, kapitanie - wyjaśnił Zajączek.

- A to, co wystaje Konagowi z czoła, to strzała. Jeśli się jedno z dru gim połączy w odpowiedni sposób, można wyrzucić dobry wpływ na niedobrych ludzi.

- Nie o to pytałem. - Sorgan w dalszym ciągu nie mógł wyjść z zadziwienia. Odwrócił się do Długiej Strzały. - Uczyleś go strzelać?

- Nie - odparł łucznik zgodnie z prawdą. - Ale mógł się nauczyć sam, przecież widział, jak strzelaliśmy do potworów z Pustkowiec w wąwozie nad Lattash.

- Tak właśnie było, kapitanie - przyznał Zajączek.

- Widać, że poświęciłeś na ćwiczenia długie godziny - stwierdził Torl.

- Nie takie znowu długie. - Zajączek wzruszył ramionami. - Nie trzeba dużo czasu, jeśli się trenuje tylko trafianie do celu. Nie zajmowałem się nauką chybiania. - Zmarszczył brwi. - Chociaż pewnie mógłbym się nauczyć i chybiać. Jeśli nad tym trochę popracuję...

- Zaśmiał się z dziecięcą radością.

*

Sorgan był całkowicie przekonany, że Długa Strzała, wbrew zapewnieniom, przyłożył jednak rękę do treningu Zajączka i wtajemniczył małego kowala w arkana sztuki strzelniczej.

- Wrócimy do tego przy innej okazji - mruknął.

- Do czego? - spytał go Padan.

- Nic, nic, wyrwało mi się. - Sorgan przyglądał się uważnie rozwojowi zdarzeń na drugim brzegu rowu. - Najwyraźniej jedna strzała wiele zmieniła.

- Słyszałem to i owo o tym Konagu - stwierdził Padan. - Podobno boją się go nawet najwyżsi członkowie duchowieństwa.

- Bali się - poprawił go Sorgan. - Teraz jest martwy, więc pewnie już nikt się nie boi.

- A, licho go wie - stwierdził Padan, ciągle patrząc na drugą stronę. - Wygląda na to, że ci w czerwonych mundurach biorą odwet. Właśnie jeden z regulatorów został przeбитo mieczem.

- Straszna szkoda - westchnął Sorgan szyderczo.

- O, następny! - zauważył Padan. - Trochę im się tam zakotłowało.

- Jeszcze nie świętujemy - przygasił go Sorgan. - Jeżeli zabiją wszystkich regulatorów, skończy się wszelka dyscyplina. Pognają na północ małymi grupkami i dadzą się zjeść ludziom-owadom.

- Pamiętajmy jeszcze o kołkach. Muszą je powyciągać. To im zajmie sporo czasu, zapewne dość, by dogoniła ich reszta wojska.

- Miejmy nadzieję - podsumował Sorgan tonem pełnym zwątpienia.

*

Niedługo po południu dzień rozdarł oślepiający blask, powietrzem wstrząsnął głośny huk.

- Czy to naprawdę konieczne, panie? - zirytował się Sorgan.

- Korzystam z błyskawicy, gdy się śpieszę - wyjaśnił pan Veltan.

- Postaraj się jej nie rozgniewać, jest mi teraz bardzo potrzebna.

- Co się stało, panie? - zapytał Padan.

- Marzycielka mojej starszej siostry właśnie rozwiązała wam kilka problemów, panowie. Jeśli spojrzycie na zachód, zobaczycie, o czym mówię.

Sorgan poderwał głowę. Nad zachodnim pasmem górskim kipiała żółta chmura.

- Co to takiego? - zapytał.

- Burza piaskowa. Na morzu pewnie się nie zdarzają.

- Raczej nie - potaknął Sorgan.

- Czy to aby na pewno dobry pomysł, panie? - spytał Padan.

- Przecież kościelne armie, ciągle jeszcze wchodzące po moście, na pewno się zatrzymają.

- Burza będzie tutaj - odparł Veltan z szerokim uśmiechem - i tylko tutaj. Żołnierze, którzy już tu dotarli, będą musieli się ukryć, ale tamci, którzy idą po moście, nawet jej nie zauważą. - Roześmiał się głośno. - A to jeszcze nie wszystko.

- Nie?

- Burza piaskowa zbliża się z południowego zachodu, więc kiedy minie mur Gundy, stoczy się na Pustkowie.

- I pokrzyżuje szyki sługom Vlagha - dokończył Padan z szerokim uśmiechem.

- Jak najbardziej. Oni także będą musieli szukać schronienia, lecz ich zadanie okaże się znacznie trudniejsze niż ludzi Kościoła. Innymi słowy, wszyscy oprócz kolejnych armii w czerwonych mundurach będą musieli pozostać w miejscu.

- My też - zauważył Sorgan.

- To prawda - przyznał pan Veltan. - Nad tym jeszcze pracuję.

*

Keselo był nieomal całkowicie wyczerpany. Oczywiście przemieszczanie się pod osłoną mgły zesłanej przez panią Zelanę oraz nocy, rozjaśnianej tylko sztucznym słońcem pana Dahlaine'a, miało swój głęboki sens, lecz nieprzespane noce coraz bardziej dawały mu się we znaki. Ledwo się trzymał na nogach. Stał obok Omega w pobliżu centralnej części szóstego wału. Wschodni horyzont właśnie się skąpał w pierwszym brzasku.

- Zdrzemnij się - poradził mu rolnik. - Ja będę miał oko na wszystko. Nie zaatakują, póki nie zrobi się całkiem jasno.

Keselo pokręcił głową.

- I tak bym nie zasnął. Wiem, że niedługo ruszą do ataku, więc nie potrafię zejść ze stanowiska.

Choć dzieliło ich niemal wszystko, obu połączyła serdeczna przyjaźń. Świetnie się rozumieli, młody Trogita był pod wrażeniem pomysłów rolnika z Dhrallu.

- Wymyśliłeś ostatnio coś nowego? - spytał.

- Nie. Też jestem zmęczony.

- I nic dziwnego - westchnął Keselo. - Andar jest świetnym dowódcą, ale sporo wymaga od ludzi. Przyszło mi do głowy, że powinniśmy mu zaśpiewać kołysankę. Gdyby zasnął choć na parę godzin, pozwoliłby odpocząć innym...

- A wtedy komandor Narasan zmyłby mu za to głowę - dokończył Omago.

- Pewnie tak. Nie upieram się, tylko rzuciłem myśl. Niezobowiązująco. Może byś mi opowiedział o panu Veltanie? Łatwiej mi będzie nie zasnąć. Właściwie nie miałem okazji go poznać.

Omago uśmiechnął się lekko.

- Mógłbym ci o nim opowiadać cały dzień. Kiedy byłem małym chłopcem, często wpadał do sadu mojego ojca.

- Kradł jabłka? - zażartował Keselo.

- Skądże! Najbardziej lubił tam zagłądać wiosną, gdy kwitły jabłonie. Wtedy sad jest piękniejszy niż najwspanialszy ogród, dlatego pan Veltan każdej wiosny spędzał tam kilka tygodni. Siadaliśmy pod drzewem i rozmawialiśmy... czy też raczej on mówił, a ja słuchałem. O pewnych sprawach pana Veltana wiedzą wyłącznie mieszkańcy jego krainy.

- O jakich na przykład?

- Obraził kiedyś Matkę Wodę i został zesłany na księżyc. Keselo, któremu powieki same opadły, wytrzeszczył oczy.

- Czy ja dobrze usłyszałem? - spytał zdumiony. - Powiedziałaś, że pan Veltan był na księżycu?

Omago roześmiał się serdecznie.

- Matka Woda rozzłościła się wtedy nie na żarty. Pan Veltan musiał zostać na księżycu na dziesięć tysięcy lat. Chociaż... w zasadzie był to pomysł Luny. Polubiła jego towarzystwo, więc okłamała go, powtarzając, że Matka Woda wciąż jest na niego zła za to, co o niej powiedział. Natomiast pan Veltan rozzłościł się nie na żarty, gdy dotarła do niego wiadomość, że mógł wracać do domu najdalej po miesiącu.

- Zmyślasz, przyjacielu - stwierdził Keselo stanowczo.

- Przekazuję ci to, czego się dowiedziałem od pana Veltana.

- Omago uśmiechnął się lekko. - Chyba cię trochę rozbudziłem - za uważył. Spojrzał na odległy horyzont. - Wschód słońca coraz bliżej. Jeżeli ludzie-owady nie zmienili obyczajów, powinni się w niedługo czasie pojawić na zboczu.

- Mam do ciebie pytanie... - odezwał się Keselo z wahaniem.

- Nie musisz odpowiadać, ale je zadam... Jak zdobyłeś swoją żonę? Niełatwo usidlić taką piękność.

- W ogóle się o nią nie starałem. To ona wybrała mnie. Kiedyś zjawiała się w moim sadzie, wczesnym latem, gdy akurat przerywałem jabłka. Zapytała, co robię. Wyjaśniłem jej sens swojego zajęcia i na tym się to spotkanie skończyło. Odeszła. A ja od tamtej chwili nie mogłem myśleć o niczym innym. Kilka tygodni później zjawiała się znowu i postawiła sprawę otwarcie.

- To znaczy? Co powiedziała? Pamiętasz?

- Pamiętam. Pamiętam doskonale. Powiedziała: „Jak wiesz, nazywam się Ara. Mam szesnaście lat i chcę żyć z tobą”.

- Nie owijała w bawełnę - przyznał Keselo. Zdumiała go opowieść Omaga, zapomniał o zmęczeniu.

- Jest coś jeszcze, co powinienem ci powiedzieć - podjął Omago. - Nie zrozum mnie źle, ale doszedłem do wniosku, że nie lubię wojaczki. Nie przepadam za wydawaniem poleceń, a sama myśl o zabijaniu stworzeń, które wyglądają jak ludzie, chociaż nimi nie są, przyprawia mnie o mdłości. - Wzruszył lekko jednym ramieniem. - Pewnie, ktoś musi to robić, pan Veltan obdarzył mnie zaufaniem... Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że nie popełnię zbyt wielu błędów.

- Radzisz sobie naprawdę dobrze - stwierdził Keselo z mocą. - Wymyśliłeś włóczęgę... Biorąc pod uwagę to, czego nauczyłem się na uniwersytecie, zaryzykowałbym stwierdzenie, że w ciągu zaledwie dwóch tygodni pchnąłeś swój lud o tysiąc lat do przodu na drodze rozwoju.

Omago wydawał się onieśmielony. Znowu spojrzął na wschód.

- Słońce wstaje - powiedział. - Niedługo ludzie-robaki ruszą do boju.

*

Z głębi Pustkowiec dobiegł znajomy ryk, który odbił się echem wśród stromych skał, a wówczas przerośnięte kreatury, bezmózgie, jak wierzył Keselo, owady w ludzkiej postaci, ruszyły lśniącym zboczem w stronę nieobsadzonych wałów obronnych, opuszczonych przez siły Narasana poprzedniej nocy. I tak samo jak już kilkakrotnie poprzednio, słudzy Veltana zostali kompletnie zaskoczeni brakiem oporu.

- Robale nie są zbyt mądre - zauważył Omago.

- Chyba kamienie mają więcej rozumu - mruknął Keselo, szukając pulsu na lewym nadgarstku.

- Jesteś ranny? - zaniepokoił się Omago. Młody Trogita pokręcił głową.

- Liczę. Jeśli się nie mylę, następny ryk usłyszymy za pięćdziesiąt siedem uderzeń serca.

- Twojego serca - skorygował Omago. - Moje bije szybciej. Czekali jakiś czas i rzeczywiście wkrótce usłyszeli następną ko mendę.

- Pięćdziesiąt trzy - powiedział Keselo. - Tym razem poszło szybciej.

- Skąd ci się wziął taki pomysł?

- Uczy się tego każdy żołnierz - wyjaśnił młody oficer. - Dokładne odmierzenie czasu może być w niektórych sytuacjach szalenie istotne. Metoda liczenia uderzeń serca nie jest bardzo precyzyjna, zwłaszcza kiedy człowiek biegnie, ale ja stoję w jednym miejscu od pierwszego brzasku. - Skinął głową w stronę umocnień zajmowanych powoli przez wroga. - Idą.

- Nie zajdą daleko - dorzucił Omago.

I rzeczywiście, akurat w tej chwili wrogowie natrafili na kołki o czubkach powleczonych jadem.

Keselo cieszył się, że komandor Narasan cofnął swoją poprzednią decyzję i pozwolił wrócić do ustawiania kołków, które miały spowolnić atak ludzi-owadów. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wkrótce pojawią się kościelne armie, które przejmą rolę trogickiego wojska. Młody oficer zgadzał się z opinią Gundy, że ważniejsze jest życie żołnierzy niż uzupełnianie zapasów jadu.

- Tym razem potrwa nieco dłużej, nim wieści dotrą do Vlagha - powiedział. - Zetknięcie ludzi-owadów z zatrutymi kołkami zawsze wytrącało go z równowagi. Na odpowiedź też trzeba będzie poczekać.

- Ale tak czy inaczej wkrótce pojawią się opancerzone pająki.

- Owszem. Gdy podejda dość blisko, łucznicy zaczną im strzelać w oczy i tak się skończy kolejny atak. - Keselo ziewnął szeroko.

- A wtedy będziemy mogli się zdrzemnąć.

- Nie spodziewasz się powtórnego natarcia?

- Nie. Nigdy dotąd tego nie robili. Nasz wróg nie zmienia taktyki zbyt szybko. Zajmuje mu to miesiące, a może i lata. Obudź mnie, jeśli się zdarzy coś interesującego.

Znalazł sobie względnie wygodny kąt na umocnieniach, ułożył się na gołej ziemi i

natychmiast zasnął.

Wczesnym popołudniem obudził go brygadier Danal.

- Andar chce wiedzieć, czy potraficie wytłumaczyć, co się dzieje - powiedział.

- A o co dokładnie chodzi? - spytał Keselo, starając się czym prędzej oprzytomnieć. -

Co się dzieje?

- Spójrz na mur Gundy.

Młody oficer zobaczył tam jedynie żółtą chmurę pyłu.

- To chyba burza piaskowa. Takie zjawisko jest dość częste na obszarach pustynnych.

- Trzeba powiedzieć Andarowi, że to normalne, bo się denerwuje. Na Dhrallu człowiek nigdy nie wie, czego się spodziewać.

We trzech z Omagiem poszli do Andara.

- Keselo twierdzi, że to burza piaskowa - raportował Danal. - Nie otworzyła się ziemia i niebo nie spada nam na głowę. Nic z tych rzeczy.

- Możesz mi dokładniej wyjaśnić, co się dzieje? - poprosił Andar Kesela.

- Prawdę mówiąc, widzę takie zjawisko po raz pierwszy w życiu - przyznał młody oficer - ale na uniwersytecie dowiedziałem się, że tam, gdzie ziemia jest wysuszona na wiór, gdzie nie ma drzew, krzewów ani trawy, silny wiatr podnosi kurz, pył i piasek nawet bardzo wysoko w powietrze i gna tę chmurę przed siebie. Gdy ucichnie, wszystko wróci do normy.

- A jak długo to trwa?

- Dopóki wieje wiatr.

- Mało precyzyjne określenie - skrzywił się Andar.

- Z naturą tak zawsze, panie komandorze - przypomniał mu Keselo. - Na pogodę wpływają najróżniejsze czynniki, wielu z nich jeszcze nie rozumiemy. Wiemy, że w zimie przychodzi mróz, a latem panuje skwar, ale w zasadzie niczego poza tym nie jesteśmy pewni. Można rozkazać ludziom zakryć nos i usta chustą. Oddychanie piaskiem jeszcze nikomu nie wyszło na zdrowie.

Stali jakiś czas, obserwując żółtą chmurę schodzącą ze stoku na Pustkowie.

- Coś mi się wydaje, że nie tylko my będziemy mieli kłopoty z oddychaniem - zauważył Danal. - Ludzie-owady uciekają z wałów obronnych wyraźnie przerażeni.

Keselo zmarszczył brwi, szukając w pamięci odpowiednich wiadomości zgromadzonych podczas nauki w kaldacińskiej akademii. Wreszcie znalazł właściwy strzępek informacji.

- To jest związane ze sposobem oddychania owadów, brygadierze - powiedział.

- Oddychanie to oddychanie, i już.

- Niezupełnie. Owady... robaki, obojętne, jak je nazwiemy, nie mają nosów, jak ludzie czy zwierzęta. Oddychają dzięki otworom umieszczonym wzdłuż boków. Zwykłemu małemu owadowi burza piaskowa nie zaszkodzi, ponieważ otwory w jego ciele są maleńkie. Natomiast te ogromne owady zostały wyposażone w znacznie większe. Wobec czego z każdym oddechem będą wciągały tyle piasku, że o prawidłowym funkcjonowaniu organizmu nie może być mowy. Najprawdopodobniej się uduszą.

- Aj, aj, aj! - cmoknął Danal z udawanym żalem. - Straszna szkoda.

- Czy istnieje możliwość, że burza piaskowa wybiję naszego wroga do nogi? - spytał Andar.

- Nie przypuszczam - odpowiedział Keselo. - Pustkowie jest w zasadzie pustynią, więc tego typu zjawiska nie należą tam zapewne do rzadkości. Podejrzewam, że ludzie-owady potrafią się jakoś obronić. Może zakopują się tuż pod powierzchnią, by przeczekać najgorsze, może ułożą sterty z ciał martwych towarzyszy i pod nimi się schronią? Uciekają, więc najprawdopodobniej wiedzą, jak groźny jest dla nich wiatr niosący piasek.

W tej chwili z głębi Pustkowie rozległ się przeszywający wrzask, zwielokrotniony echem.

- Czy to możliwe, żeby Vlagh osobiście robił tyle hałasu? - zastanowił się Omago.

- Chyba tak - uznał Keselo. - Ale też ma wiele sług, których jedyną rolą jest chronienie władczyni, królowej.

- Nigdy się nie przyzwyczaję do nazywania Vlagha samicą - stwierdził Andar. - Nie walczę z kobietami. To wbrew naturze.

- Ta akurat samica uważa nas za pożywienie - przypomniał Danal. - Dlatego też naturalna uprzejmość raczej nie powinna w tym wypadku mieć zastosowania. Chyba się ze mną zgodzisz. Spójrzmy prawdzie w oczy, przyjacielu, jeżeli Vlagh zaprasza cię na obiad, ty jesteś głównym daniem.

Śródładowe morze

Swego czasu pan Veltan także wątpił w zapewnienia Długiej Strzały, że kościelne armie bezwiednie pomogą w walce ze sługami Vlagha, lecz nagłe pojawienie się „morza złota”, które było jedynie morzem złotawego piasku, a także historyczna reakcja Trogitów ciągnących na północ za wszelką cenę przekonały go, że głos przemawiający do łucznika we śnie mówił prawdę.

Nie dawały panu Veltanowi spokoju istotniejsze pytania: Kim jest owa tajemnicza przyjaciółka? I jakim sposobem udało jej się wpłynąć na tak ogromną grupę ludzi? Nie ulegało wątpliwości, że dysponowała mocą znacznie większą niż bogowie Dhrallu.

Na razie jednak miał pilniejsze sprawy na głowie. Wysłał myśl do swojej ulubionej błyskawicy, wezwał ją do siebie. Co dziwne, tym razem nie skarżyła się ani nie utyskiwała, jak to miała w zwyczaju, lecz od razu zjawiała się u jego boku.

- Ślicznotko moja - powitał pupilkę. - Muszę skoczyć nad Wo dospad Vasha, zerknąć na ludzi. - Westchnął z głębi serca. - Nie chciałbym obrazić twoich uczuć, maleńka, ale czy mogłabyś zatrzy mać się nieco ciszej niż zwykle?

Błysnęła pytająco, wyraźnie niezadowolona.

- No cóż, to w sumie nie jest aż takie znowu ważne... Ostatnio pogoda wyprawia takie harce, że najemnicy nie będą może bardzo zaskoczeni... - Usadził się na niej. - Ruszajmy - powiedział, spoglądając na przycichającą burzę piaskową.

Ku jego zdumieniu wylądowali z lekkim pomrukiem zaledwie, zamiast ze spodziewanym głuchym grzotem.

- Kochana jesteś - pochwalił błyskawicę. - Właśnie o to mi cho dziło. Poczekaj na mnie, zaraz wrócę.

Zsiadł i spłynął powietrzem w stronę prymitywnego mostu łączącego trogicką rampę z krawędzią wąwozu. Ciągnęli nim żołnierze w czerwonych mundurach, niewielu zostało na dole.

- Nieźle, całkiem nieźle - mruknął pan Veltan pod nosem. - Nie długo przejdą wszyscy. Pół dnia powinno im wystarczyć.

Nagle dostrzegł w tłumie Trogitów znajomą twarz.

- Aha! Mam odpowiedź przynajmniej na jedno pytanie.

Po rampie włókł się, noga za nogą, były żołnierz armii Narasana, największy łajdak pod słońcem Dhrallu, Jalkan. Obok niego piął się pod górę tłusty duchowny, zadyszany i czerwony ze zmęczenia. Otaczał ich wianuszek czarno odzianych regulatorów.

Pan Veltan nadstawił ucho, na wypadek gdyby dwóch łotrów zdradzało jakieś przydatne informacje.

- Już niedaleko, adnari - powiedział Jalkan. Jego głos, nosowy i piskliwy, zawsze irytował Veltana.

- Muszę złapać oddech - odparł grubas, sapiąc donośnie. Zatrzymał się, otarł pot z twarzy.

- Nie - sprzeciwił się Jalkan. - Nie możemy blokować przejścia. Za nami ciągnie ostatnia brygada, nie będziemy opóźniać jej marszu.

- Nic mnie nie obchodzą żołnierze! - wybuchnął grubas. - Ich jedynym obowiązkiem i celem w życiu jest służba Kościołowi, a w tej części świata Kościołem jestem ja!

- Na wojnie sprawy mają się inaczej, adnari. Musimy iść, chyba że wolisz spaść i rozbić się o skały. Żołnierze wiedzą, że do złota już niedaleko, więc jeśli staniesz im na drodze, twój los zostanie przesądzony.

- Nie ośmieliliby się!

- Dałbyś w zakład swoje życie, adnari Estargu?

Tłuścioch obejrzał się przez ramię. Napotkał zniecierpliwione spojrzenia ludzi w czerwonych mundurach.

- Regulatorzy mnie obronią - stwierdził hardo.

- O to też bym się nie zakładał - uznał Jalkan. - Odkąd nie ma Konaga, nikomu już nie można ufać. Miał ciężką rękę, więc podwładni byli mu posłuszni do tego stopnia, że zdołali sobie podporządkować pięć armii. Teraz jednak nie mamy w ręku tego użytecznego narzędzia.

Pan Veltan w zamyśleniu podrapał się po policzku. Właśnie odkrył zupełnie nową możliwość. Czyżby ktoś pokierował maagsowskim kowalem i w taki sposób zabił przywódcę regulatorów? Było to działanie całkowicie nie w stylu Zajączka. Najpierw ni stąd, ni zowąd zrobił sobie łuk, choć nigdy nie interesował się strzelectwem. Potem stanowczo zareagował na brutalność Konaga, który z całą bezwzględnością karał kościelnych dezertersów w czerwonych mundurach. Aż wreszcie ten początkujący łucznik położył rosnącego chłopca z dużej odległości jedną strzałą.

Tak, tu się stanowczo działo coś dziwnego...

Od strony żołnierzy, którzy już przekroczyli krawędź wąwozu, dobiegły głośne krzyki. Rzucano się w uszy słowo „złoto”. Pan Veltan spojrzał na północ. Rzeczywiście, nawet stąd widać było wznoszące się za trawiastą równiną wysokie smukłe wierzchołki oproszone błyszczącym pyłem. Fałszywe morze złota leżało za północnym pasmem górskim oraz murem Gundy, toteż nie powinno być widoczne. Mimo to widać je było całkiem wyraźnie. Złoty blask przyciągał wzrok, kusił i mamił.

Istniało zapewne wiele mało prawdopodobnych wyjaśnień takiego stanu rzeczy, pan Veltan jednak uznał, że jest to rodzaj mirażu. Tyle że dotąd spotkał się ze zjawiskiem zwielokrotnionego odbicia dalekiego obrazu zaledwie kilka razy i zawsze w pobliżu wody.

Najwyraźniej przyjaciółka Długiej Strzały jest osobą bardzo pomysłową, uznał. I bardzo dobrze!

- Naprawdę wolałbym, panie, żebyś tego nie robił - poskarżył się Sorgan Orli Nos, gdy błyskawica posadziła boga dosłownie kilka metrów od pirata. - Mało nie padłem na serce.

- Wspomnę o tym mojej ślicznotce - obiecał pan Veltan - ale niewielką mam nadzieję,

że mnie posłucha. Uwielbia straszyć ludzi. - Spojrzał na trzeci rów. - Widzę, że nadal szpikujecie dno kołkami.

- Sprawdzają się - przyznał Sorgan. - Staramy się zwolnić tempo marszu kościelnych armii, a wykopywanie kołków zajmuje im sporo czasu. - Zaśmiał się głośno. - Muszę przyznać, że trochę oszukujemy.

- W jaki sposób?

- Nie marnujemy już jadu. Żołdacy przeszukują dno rowu na czworakach i z największą ostrożnością wydłubują z ziemi każdy znaleziony kołek, chociaż to tylko drewno. Dopóki wierzą, że czubki są nasączone jadem, posuwają się naprzód w żółtym tempie.

- Należałoby już zmienić reguły - zauważył pan Veltan. - Ostatnia kościelna armia wy dostała się z wąwozu. Wszyscy są na górze, więc najwyższy czas zejść im z drogi, żeby się mogli przywitać z ludźmi-owadami.

- Mam nadzieję, że Długa Strzała wie, co mówi - westchnął Sorgan z powątpiewaniem. - Czy mamy pewność, że amarici zrobią to, czego od nich oczekujemy?

Pan Veltan pokiwał głową.

- Przyjaciółka Długiej Strzały nie zasypia gruszek w popiele. Nad Pustkowiec sterczą wierzchołki oproszone złotem. Gdy tylko ostatnia kościelna armia wyszła na krawędź wąwozu, oczom żołnierzy w czerwonych mundurach ukazał się przepiękny widok. Ja także mogłem go podziwiać. Zobaczyli całe Pustkowiec, w dodatku przysypane lśniącym piaskiem. Zrobią wszystko, żeby tu dotrzeć jak najszybciej.

- Jak ona tego dokonała?

- Nie mam pojęcia, przyznaję. Potrafi znacznie więcej niż ja. Wszystko jedno, to teraz nieważne. Najważniejsze, żebyście się usunęli. Już czas.

- Chwilę to potrwa - stwierdził pirat. - Jeżeli Trogici mają posuwać się do przodu nieco szybciej, moi ludzie muszą powyciągać kołki z dna rowu.

- Ja się tym zajmę - zdecydował pan Veltan. - Mojej błyszczącej ślicznotce przyda się trochę urozmaicenia. Na pewno z przyjemnością porozbija kołki na drzazgi, nie odmawiamy jej tej rozrywki.

*

- Co tam się dzieje, panie Veltanie? - spytał komandor Narasan, gdy błyskawica wysadziła boga na środkowej wieży muru Gundy.

- Wszystko idzie zgodnie z planem. Burza piaskowa wymarzona przez Lillabeth bardzo nam ułatwiła sprawę. Piąta armia kościelna wreszcie dotarła na krawędź wąwozu, jest na równinie. Właśnie poradziłem Sorganowi, by wycofał ludzi i zrobił przejście chciwym

żołdakom.

- Padan wycofał swoich ludzi, gdy kościelne armie zaczęły budować most - powiedział Narasan. - Od wschodu rowy zablokowane są przez Rzekę Vasha, więc Sorgan będzie musiał wycofywać się na zachód.

Pan Veltan pokręcił głową.

- Plany są nieco inne. Sorgan ma zostawić niewielki oddział, który będzie opóźniał marsz kościelnych armii. Główne siły przejdą na północ, do gejzeru i potem na wschód.

- A co się stanie z ludźmi, których zostawi?

- Podobno są to najszybsi biegacze w całej armii - uśmiechnął się pan Veltan. - Sorgan uważa, że wyprzedzą żołnierzy w czerwonych mundurach bez najmniejszego trudu. - Zamilkł na moment. - Byłbym zapomniiał o pewnej sympatycznej wiadomości.

- Jakiej?

- Ten chudzielec Jalkan razem z tłuściochem, który ma na imię Estarg, idą z ostatnią armią. Szkoda, że nie będziemy mogli ich powitać.

- Czyżbyś myślał o drobnej zwłoce, panie? - spytał Narasan.

- Co masz na myśli, komandorze?

- Zgotowanie im powolnej i bolesnej śmierci.

- A może zostawimy to sługom Vlagha? - zaproponował pan Veltan. - Potrafią zadawać ból w sposób doskonały. - Zamyślił się na moment. - Dziwna ta wojna - powiedział cicho. - Robimy miejsce dwóm śmiertelnym wrogom, by się wzajemnie wytępiłi.

- Jestem skłonny twierdzić z całkowitym przekonaniem, że to najlepsza wojna, jaką może wymarzyć sobie armia - odparł Narasan.

*

Rudobrodemu podobał się obrót spraw w krainie brata pani Zelany. Bez dwóch zdań. Co prawda miał nadzieję, że wypadki potoczą się nieco wolniej, ale tak czy inaczej celem było zwycięstwo. Tempo stanowiło kwestię drugorzędną. Wkrótce zapewne wybuchnie kolejna wojna, w następnej krainie, a on oczywiście będzie musiał w niej wziąć udział. I na tym raczej nie należało się spodziewać końca wrogich działań władcy Pustkowie. Zanim nastanie trwały pokój, mieszkańcy wioski może dojdą do wniosku, że potrzebny im wódz, który rządzi na miejscu, a nie wojuje w odległych krainach. A Rudobrody o niczym innym nie marzył.

Gdy Padan wycofał swoich ludzi, ponieważ kościelne armie ukończyły budowę mostu wiodącego na krawędź wąwozu, Rudobrody postanowił się nie śpieszyć. Na trawiastej równinie ciągle działo się coś interesującego, w dodatku Długa Strzała mógł ewentualnie

potrzebować jego pomocy.

Dlatego też we dwóch zjawili się u boku Sorgana, gdy pirat z Maagsu odwoływał ludzi z umocnień na zachodnim brzegu Rzeki Vasha.

- Pan Veltan wydaje się zadowolony z naszych działań - powiedział Sorgan.

Szli w stronę gejzeru.

- Rzeczywiście, nie popełniliśmy zbyt wielu błędów - przyznał Długa Strzała.

- Wieczny optymista! - zaśmiał się pirat. Łucznik wzruszył ramionami.

- Taki już jestem. Jak się człowiek spodziewa najgorszego, każde powodzenie jest miłą niespodzianką.

- Już dawno chciałem cię o coś zapytać. O ile mi wiadomo, nie miałeś czasu uczyć Zajączka strzelania z łuku, prawda? Tymczasem mój kowal nagle wyrósł na wyjątkowego strzelca, prawie tak sprawnego jak ty. Jak tego dokonałeś?

- Nie ma w tym mojego udziału. Najwyraźniej sam nauczył się strzelać.

- Zajązek jest niegłupi, to prawda, ale przyzwoite strzelanie z łuku wymaga treningu, solidnej praktyki. Nie myślę się, prawda?

Długa Strzała zapatrzył się w horyzont.

- Sporo czasu spędził przy wykuwaniu grotów do strzał. Opowiadałem mu o jedności pocisku i celu... Możliwe, że to i owo zapamiętał.

- Ach, znowu ta jedność - wtrącił Rudobrody. - Ja tego nigdy nie rozumiałem.

- Sprawa wcale nie jest skomplikowana - powiedział Długa Strzała. - Myślałem o tym nieraz i doszedłem do wniosku, że zjednoczenie z celem powinno się pojawić w czasie, gdy łucznik wypuszcza swoją pierwszą strzałę. W takim wypadku zostaje na zawsze. W przeciwnym - nigdy się nie pojawi.

- Serdeczne dzięki, teraz już wszystko jasne - prychnął Rudobrody.

- Nie zamierzałem cię obrazić, przyjacielu. Przypuszczam, że miałem szczęście, wypuszczając pierwszą strzałę. Nasz szaman Uzdrawiciel często wspominał o jedności wiążącej łucznicę, strzałę i cel. Kiedy jako chłopcy przymierzaliśmy się do pierwszych wprawek, byliśmy ciekawi, czy jego słowa się sprawdzą. I okazało się, że miał rację. Mnie się udało, a inni chłopcy skończyli ćwiczenie z ponurymi minami, bo nie zdołali osiągnąć wymarzonej jedności przy wypuszczeniu pierwszej strzały. Jeżeli Zajązek przypadkiem podążył tym samym tokiem myślenia, jeśli miał tę ideę w głowie, strzelając po raz pierwszy, nigdy już nie chybi.

- Strasznie wydumana teoria - uznał Sorgan. - Ale mnie znacznie bardziej ciekawi, skąd się w Zajączku wzięło tyle nienawiści do Konaga. Jakby miał z nim osobiście na pieńku.

- Trudno mieć pewność - zastanowił się Długa Strzała - ale może decyzję podjęła za niego owa nieznajoma dama, która nam pomaga. Jeżeli Konag krzyżował jej plany, musiała się go pozbyć. A skoro znalazł się pod ręką Zajączek, wykorzystwała go do usunięcia przeszkody.

Gdy szli w stronę gejzeru, dobiegł ich uszu głuchy grzmot dochodzący gdzieś z dołu. Rudobrody z lękiem rozejrzał się dookoła. Ciągłe jeszcze miał świeżo w pamięci wybuch bliźniaczych wulkanów, który zniszczył Lattash i spowodował złożenie na jego ramiona ciężaru wodzostwa.

Rudobrody i Długa Strzała zostali nieco za ludźmi Sorgana wycofującymi się pośpiesznie wzdłuż zachodniego brzegu Rzeki Vasha w stronę gejzeru. Kościelni żołdacy posuwali się na północ z początku dość ostrożnie, ale gdy zdali sobie sprawę, że rowy nie są już naszpikowane zatrutymi kółkami, zwiększyli tempo, wdeptując w ziemię barykady.

- Jak daleko do gejzeru? - spytał Rudobrody przyjaciela.

- Nie więcej niż pięć kilometrów - odpowiedział Długa Strzała.

- Może niech ludzie Sorgana idą od razu tam? - zastanowił się Rudobrody. - W przeciwnym razie za chwilę będą mieli kościelne armie na plecach.

- Skręć na wschód zaraz po minięciu źródła. Zdążą zniknąć, są wystarczająco daleko. Nagle rozległ się kolejny głuchy grzmot, ziemia zadrżała im pod stopami.

- Zaczyna mnie to denerwować - przyznał Rudobrody. - Trzęsienie ziemi to zły znak.

- Zawsze możesz poprosić, żeby przestała się trząść. Nie przypuszczam, żeby posłuchała, ale spróbować nie zaszkodzi.

- Dowcip ci się wyostrzył.

Raptem oślepił ich błysk, ostry trzask grzmotu rozdarł uszy i przed nimi pojawił się siwobrody Dahlaine.

- Powiedźcie Maagsom, żeby się jak najszybciej zabierali z równiny - polecił. - Mój Marzyciel, Ashad, miał proroczy sen, tutaj się stanie coś strasznego.

- Znowu wybuch wulkanu? - spytał Rudobrody drżącym głosem.

- Nie mam pewności - przyznał Dahlaine. - Coś się dzieje pod powierzchnią ziemi, więcej nie wiemy. Przekażcie Sorganowi, żeby popędzał ludzi. Ja śpieszę ostrzec Narasana.

Sorgan, Torl i Zajączek stali wokół sporej dziury w ziemi, z której od dwóch i pół tysiąca lat tryskał w górę gejzer, źródło Rzeki Vasha. Wszyscy trzej mieli zdumienie wymalowane na twarzach, ponieważ gejzer właśnie zniknął.

- Nic nie rozumiem - powiedział maagsowski kapitan, wskazując otwór pod nogami.

- Lepiej nie stać tak blisko - poradził mu Długa Strzała z pewnej odległości. - Właśnie

rozmawialiśmy z panem Dahlaine'em, który przestrzegł nas, że na równinie stanie się niedługo coś strasznego.

- A co dokładnie? - chciał wiedzieć Zajacek. Akurat w tej chwili ponownie zadrżała ziemia.

- Czy to jest wystarczająca odpowiedź? - rzucił Rudobrody.

- Nauczyłem się, że w tej części świata, kiedy ziemia się trzęsie, nie należy zadawać zbyt wielu pytań, tylko brać nogi za pas.

- W którą stronę mamy uciekać? - zapytał Sorgan łucznika. W oczach miał desperację.

- Najbliżej mamy do wschodniego pasma - uznał Długa Strzała. - W tej sytuacji im bliżej, tym lepiej i lepiej biec niż iść.

- Może nasza tajemnicza przyjaciółka znowu steruje biegiem wypadków? - zastanowił się Torl.

- Biegnijmy! - zdecydował Długa Strzała. - Pytać będziemy później.

- Dorzucę jeszcze, że biec szybko jest lepiej niż biec wolno - odezwał się Rudobrody.

- Naprawdę szybko. Co sił w nogach.

- Przekaż ludziom rozkazy - polecił Sorgan Torlowi. - Niech biegną na wschód. Powiedz, że od tego zależy ich życie.

-/ Tamtej nocy na równinie nad Wodospadem Vasha mój Marzyciel, Ashad, wyśnił sen całkiem inny od tego, który nawiedził go w naszej grocie w Rekiniej Górze. Inny niż ten, od którego się wszystko zaczęło. W głosie Ashada brzmiało napięcie, jakiego dotąd u niego nie słyszałem. Nie podał mi wielu szczegółów, lecz zrozumiałem, że nadciągające zdarzenia napelniły go przerażeniem.

Nie był to czas na refleksje, lecz na działanie, więc poradziłem Veltanowi oraz siostrze, by razem ze swoimi Marzycielami czym prędzej opuścili równinę. Gdyby Ashad powiedział mi coś więcej, mógłbym sprecyzować, na czym polega niebezpieczeństwo, ale i tak po tym, gdy na skutek wybuchu bliźniaczych wulkanów, spowodowanego przez Yaltara, płonąca lava zalała wąwóz nad Lattash, nie miałem zamiaru zwlekać. Nauczyliśmy się schodzić z drogi katastrofom powodowanym przez Marzycieli.

Dosiadłem błyskawicy i ruszyłem ostrzec Sorgan, Długą Strzałę oraz Rudobrodego, a uczyniwszy to, pośpieszyłem z ostrzeżeniem do komandora Narasana.

- Czy czeka nas podobny kataklizm jak wybuch wulkanu, który przechylił szalę zwycięstwa na naszą stronę? - spytał Trogita z napięciem w głosie.

- Nie mam pewności, komandorze - przyznałem. - Jednak lepiej na zimne dmuchać. Powinieneś zabrać swoich ludzi z równiny. Czy Padan dołączył do ciebie po opuszczeniu

stanowiska przy Wodospadzie Vasha, czy sam podążył ku wschodniemu pasmu gór?

- Przyszedł tutaj. Rozkazał ludziom iść na zachód.

- Pchnij do niego posłańca - poradziłem mu. - Lepiej nie ryzykować. - Objąłem spojrzeniem wały obronne, które ludzie Narasana wznieśli, by powstrzymać inwazję sług Vlagha. - Czy ludzie-owady otrząsnęli się ze skutków burzy piaskowej spowodowanej przez Lillabeth?

- Jeszcze nie całkiem. Atak przypuszczony na trzeci wał obronny trudno nazwać zdecydowanym. Nie bardzo wiemy, ile potworów ma Vlagh do dyspozycji, ale jestem przekonany, że wiele udusiło się piaskiem. Na pewno trochę potrwa, nim uda się ich zastąpić nowymi.

- Nie przypuszczam, by Vlagh miał tyle czasu - powiedziałem. - Kościelne armie już nadciągają, dotrą do muru lada chwila. Wycofaj ludzi ze zbocza, niech idą na wschód. Czas usunąć wszystkich z zagrożonego obszaru.

- Racja - zgodził się komandor. - Gunda! - krzyknął przez ramię. - Do mnie! Galopem! Łysiejący przyjaciel Narasana zjawił się w mgnieniu oka.

- Kłopoty? - spytał jeszcze w biegu.

- Zdaje się, że „kłopoty”, to mało powiedziane. Pchnij posłańca na zachód, niech przekaze Padanowi mój rozkaz: „Opuścić pozycje i wracać tu jak najszybciej”. Drugiego, z identycznym rozkazem, pošlesz do Andara.

- Przed zachodem słońca zostaniemy otoczeni przez ludzi-owady! - zaprotestował Gunda.

- Przed zachodem słońca dawno nas tu nie będzie. Plany uległy zmianie. Bierzemy nogi za pas. Pan Dahlaine właśnie mi powiedział, że dzieci znowu włączyły się do gry, z pewnością nie należy im stać na drodze. - Narasan umilkł, zebrał myśli. - Panie - zwrócił się do mnie - twój brat powiedział nam, że otworzy przejście w murze Gundy, by kościelne armie mogły powitać ludzi-owady. Czy możesz przekazać mu wiadomość, że ta dziura będzie nam potrzebna już niedługo?

- Moja błyskawica jest równie skuteczna, komandorze - zapewniłem go z uśmiechem.

- Skoro Veltan jest zajęty, chętnie zapewnię jej nieco rozrywki. Kościelni żołdacy zastaną tu gładką drogę na Pustkowie.

*

Oficerowie armii Narasana uwielbiają termin „logistyka”, który w gruncie rzeczy oznacza, jak zrozumiałem, „mieć właściwych ludzi i ekwipunek we właściwym miejscu i o właściwym czasie”.

Największym problemem dla ludzi komandora okazał się fakt, że mur Gundy miał niecałe dziesięć metrów szerokości, a i to - u podstawy. Na górze był jeszcze węższy. Ponieważ trzeba było przemieścić za wschodnie pasmo około stu tysięcy żołnierzy, moim zdaniem nie mieli szans zdążyć znaleźć się w bezpiecznym miejscu.

Na szczęście pojawił się młody Trogita Keselo, oficer mający pod rozkazami wojsko broniące wałów na zboczu prowadzącym ku Pustkowiui. Akurat stało się całkiem jasne, że podkomendni Narasana nie dotrą do wschodniego grzbietu na czas. I otóż ten młodzik wpadł na pomysł genialny, a przy tym niewiarygodnie prosty. Aż się dziwiłem, że nie przyszedł on do głowy komandorowi Narasanowi ani żadnemu z bardziej doświadczonych oficerów. Rzeczywiście, wyglądali na nieco zmieszanych, gdy usłyszeli rozwiązanie z ust młodego człowieka.

- Wykorzystajmy drabiny - zaproponował Keselo. - Mamy ich dużo, a każdy człowiek, który zejdzie z muru po jego południowej stronie, to jeden człowiek mniej do biegu po szczycie umocnień.

- Powinieneś, Narasanie - odezwał się Padan - znowu zapisać punkt po stronie naszego przyjaciela. Łatwiej będzie żołnierzom biec po piaszczystej równinie niż po kamienistym szczycie muru.

- Dobrze, dobrze, uznaję jego wyższość - poddał się Narasan.

- Jak tylko dotrze do nas reszta ludzi Andara, niech przerzucą drabinki przez południową krawędź muru i schodzą. Ruszajmy, panowie. Nadciąga katastrofa, czas się stąd wynosić.

*

- Od południa zbliżają się armie Kościoła - odmeldował Gunda Narasanowi dwie godziny później.

- Nasi ludzie już bezpieczni?

- Większość. Zostało paru maruderów, ale i oni przyśpieszą kroku, kiedy pan Dahlaine otworzy przejście w murze. To dobry mur, solidny, pięknie postawiony, lecz już czas się z nim pożegnać.

Komandor Narasan spojrzał na mnie.

- Czy powinniśmy szukać schronienia? Na przykład przed wy rzuconymi w górę kamieniami?

Przyjrzałem się chropowatej czarnej ścianie i przeprowadziłem kilka pobieżnych obliczeń.

- Nie wydaje mi się, byście się znaleźli w niebezpieczeństwie, komandorze -

stwierdziłem. - Błyskawica zadziała od południa, nie z góry. Rozrzuci kamienie po stoku prowadzącym na Pustkowie. Grad skalnych odłamków zmusi sługi Vlagha do odwrotu, a w tym czasie podążą za nimi kościelne armie.

- Cóż, takie życie - uśmiechnął się Narasan.

- Natomiast powinniście zatkać uszy, panowie - przestrzegłem go jeszcze. - Huk mógłby wam uszkodzić słuch. Wiercie mi, będzie bardzo głośno.

Wezwałem błyskawicę i posłałem ją na południową ścianę muru Gundy.

Oczywiście przesadziła, jak zwykle, więc sporo kamiennego gruzu wystrzeliło na Pustkowie jak z procy, a spadając, wznieciło ogromne tumany lśniącego żółtego piasku, który dla żołnierzy Kościoła stanowi tak wielką atrakcję.

Hałas powstał przy tym rzeczywiście ogłuszający. Kiedy zaczął przycichać, odezwał się inny, potoczny głuchy dźwięk z głębi ziemi, która ponownie zadrżała.

Wówczas przyszła mi do głowy niespodziewana myśl. Czy to możliwe, by tajemnicza przyjaciółka Długiej Strzały wdała się z nami w szczególne współzawodnictwo? Właśnie spowodowałem huk, a jej był znacznie głośniejszy.

- Imponujące - mruknął Narasan. - Przez chwilę miałem wrażeń, że mur Gundy przeleci od razu do krainy pani Zelany.

- To byłoby nieuprzejme zachowanie, komandorze - stwierdziłem. - A ja zawsze staram się być grzeczny, zwłaszcza wobec pań. Moje siostry potrafią zatruć życie nieszczęśnikowi, który im uchybi.

- Coś mi się zdaje, że słudzy Kościoła razem z rozumem stracili i słuch - zauważył Gunda. - Nawet nie zwolnili, biegną co sił w nogach.

- Kochani chłopcy! - zachwycił się Padan.

Ze środkowej wieży muru Gundy roztaczał się wspaniały widok, więc bez przeszkód obserwowaliśmy, co się dzieje. Kościelni żołnierze w czerwonych mundurach wlewali się szerokim strumieniem w otwór uczyniony przez moją błyskawicę. Rzeczywiście, zwolnili nieco na widok ogromnej przestrzeni zasypanej złotym piaskiem, czułem ich chciwość. Wkrótce przyśpieszyli, pognali w dół zbocza, szybko pokonali pierwszy z wałów Narasana.

- A oto nadciągają ludzie-owady - obwieścił Padan. - Za kilka chwil się przekonamy, czy tajemnicza przyjaciółka Długiej Strzały wiedziała, co robi. Jeżeli kościelni żołdacy wezmą nogi za pas, zaczną się robić interesująco.

- Nie podejrzewam, żeby tak się stało - stwierdził Gunda. - W tej chwili chyba nawet ludzie-owady są bardziej rozumni od kościelnych armii. Trudno o większych głupców.

*

Przerośnięci ludzie-owady, stworzeni przez Vlagha specjalnie na tę wojnę, byli najwyraźniej kompletnie pozbawieni mózgow. Brnęli naprzód, na spotkanie doskonale uzbrojonych trogickich żołnierzy. Padali całymi zastępami. Mało który ocalał życie. W krótkim czasie z gardeł żołnierzy w czerwonych mundurach wyrwał się głośny okrzyk zwycięstwa.

- Proszę, proszę! - odezwał się Padan. - O! Chyba właśnie zoba czyłem znajomą twarz! O ile się nie mylę, Jalkan wrócił na Dhrall! Bez niego robiło się nudno!

Przysunął się do niego rolnik Omago.

- Gdzie on jest? - spytał głuchym głosem.

- Tam, przy zachodnim końcu barykady. - Padan wskazał ręką.

- Gdzie się podziewa Długa Strzała, kiedy go potrzebujemy?

- mruknął Narasan.

- Nie ma powodu do pośpiechu, komandorze - powiedziałem.

- Jeśli przyjrzy się pan uważniej, dostrzeże pan pajęczę nici po dru giej stronie wału. Jalkana i grubego klechę czeka przykra niespo dzianka.

- Rzeczywiście. Widzę połyskujące srebrne nici. Przyjmuję, że zaczął się tam jakiś pająk w żółtwej skorupie.

- To pewne - stwierdziłem. - Zbliża się kres kariery Jalkana. Zarówno kościelnej, jak i wojskowej.

- Co za szkoda - westchnął Padan drwiąco.

- Czy ktoś może wie, który dzisiaj? - spytał Gunda.

- A po co ci nagle data? - zdziwił się Padan.

- Kiedy jakiś czas temu, w Castano, rozmawiałem z Andarem, zgodziliśmy się, że dzień zmarlin Jalkana powinien zostać ogłoszony świętem narodowym imperium.

- A co to „zmarliny”?

- To co urodziny, tylko odwrotnie. W jego wypadku tego pierwszego nie ma powodu świętować.

- Nie będę się z tobą sprzeczał.

Jalkan pomógł swojemu grubemu towarzyszowi wdrapać się na szczyt wału obronnego, po czym zsunął się na drugą stronę. Daleko nie uszedł, najwyżej metr. Ugrzązł w pajęczych niciach. Usiłował się z nich oswobodzić, lecz bezskutecznie. Tłusty klecha, głuchy na błagalne krzyki, ze wzrokiem wbitym w złoty piasek u podnóża stoku, szedł po bogactwo. W następnej chwili sam wpadł w pułapkę z jedwabistej sieci.

- Pajęczyna jest taka mocna? - zdziwił się Gunda.

- Owszem - zapewniłem go z całkowitą powagą. - I elastyczna. Im mocniej się szamotać, tym ciaśniej przylega.

Z pobliskiej kryjówki wyrzął opancerzony ośmionogi potwór. Żwawo zbliżył się do swoich ofiar i zaczął je oplatać siecią dokładniej.

- Po co on sobie zadaje tyle trudu? - zdziwił się Gunda. - Przecież może ich zabić z łatwością.

- Prawda jest okrutna - powiedziałem.

- Mimo wszystko chciałbym ją poznać - uparł się Tcogita.

- Skoro sobie życzysz... Pająki oplatają swoją ofiarę siecią, żeby móc ją skonsumować. Ponieważ nie mają zuchwy, jak inne owady, zostały przez naturę wyposażone w inną cechę: ich jad zawiera bardzo mocny kwas trawienny, który rozpuszcza organy ofiary, dzięki czemu pająk może wypić wnętrze swojej zdobyczy.

- Ale przecież pajęczy jad ofiarę zabija!

- Tylko ją paraliżuje. Jest zupełnie inny niż trucizna jadowitego węża. Dla pająka jad oraz sieć to środki pozwalające zgromadzić zapasy żywności.

- Straszne... - zaszepił się Gunda.

- Ale też wyjątkowo praktyczne - powiedziałem. - Wystarczy, że pająk rozepnie sieć we właściwym miejscu, a zawsze ma pożywienia pod dostatkiem.

Jalkan i gruby duchowny, całkowicie owinięci pajęczą siecią, wyli i wrzeszczeli, wzywając pomocy, jednak żołnierze nie widzieli ich ani nie słyszeli, ogarnięci tylko jedną myślą, przyciągani widokiem błyszczącego na pustyni złotego piasku.

Nagle rozległ się zgłuszony huk i ziemia zadrżała.

- Uciekajcie! - ostrzegłem Narasana i jego ludzi. - Zaraz się za cznie!

Pobiegli w stronę wschodniego krańca muru Gundy, gdzie mieli nadzieję znaleźć bezpieczne schronienie.

Głuche odgłosy z głębi ziemi przybrały na sile, zatrzęsły się skały i mniej więcej pośrodku stoku opadającego ku Pustkowiu doszło do wybuchu. Nie była to lava ani rozgrzane do czerwoności kamienie. Tym razem był to potężny strumień wody, który wystrzelił w stronę pustyni wielką falą, zgarniając ze zbocza kościelnych żołnierzy i potwory Vlagha, wszystkich, bez różnicy.

Gdzieś z Pustkowiego dobiegł nas przeraźliwy wściekły wrzask, który szybko zaczął cichnąć.

Byłem wstrząśnięty do głębi skutkami działań tajemniczej przyjaciółki Długiej Strzały. Zrozumiałem, dlaczego nagle zniknął gejzer. Tajemnicza przyjaciółka przeniosła go

ze środka równiny na stok opadający ku Pustkowiu i w ten sposób straciła na pustynię sługów Vlagha oraz wszystkie pięć kościelnych armii. Obejrzałem się przez ramię. Pustynia była zalana wodą, która podnosiła się coraz wyżej. Ot, przyjaciółka Długiej Strzały przemieniła morze fałszywego złota w prawdziwe morze, które miało już na zawsze odgrodzić krainę mojego brata od Pustkowie i jego mieszkańców.

Nowy gejzer tworzył krystaliczną mgiełkę, więc w ciepłych promieniach słońca nad rosnącym morzem Pustkowie pojawiła się niespotykanej urody tęcza. Mogła, rzecz jasna, być zjawiskiem całkowicie naturalnym, jednak nie potrafiłem uwierzyć w taki zbieg okoliczności. Tajemnicza przyjaciółka miała powody do zadowolenia.

- Panowie - odezwałem się do najemników - wygląda na to, że tutaj nie mamy już nic do roboty. Możemy wracać na wybrzeże.

*

Mniej więcej dwa tygodnie później zebraliśmy się ponownie w pokoju odpraw mojego brata. Mapa była już stanowczo nieaktualna, więc nie widziałem powodu, dla którego mielibyśmy się spotkać akurat w tym miejscu, lecz wszyscy czuliśmy się tu najlepiej.

Z początku wymieniliśmy się wrażeniami. Nasi przyjaciele, pomocnicy w czasie tej ostatniej wojny - jeśli można te działania nazwać wojną - znaleźli się w różnych miejscach Dhrallu, na lądzie i na wodzie. Tym razem nasz wkład w pomyślne doprowadzenie sprawy do końca był nieduży. Większą część pracy wykonała tajemnicza przyjaciółka Długiej Strzały. Och, oczywiście powódź spowodował Ashad marzeniem sennym, ale im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem przekonany, że nieznajoma kierowała także jego snami. I to od samego początku. Druga inwazja okazała się w rzeczywistości potężną siłą zdolną powstrzymać sługi Vlagha, dopóki woda nie zabrała jednych i drugich.

- Coś ci powiem, przyjacielu - odezwał się Sorgan do Narasana. - Uciekliśmy z pola bitwy jak pies z podkulonym ogonem. Trzęsienie ziemi, spadające kamienne bloki... Nie wiem jak ty, ale mnie się przypomniały zdarzenia z wąwozu nad Lattash. Kiedy człowiek się boi, że zostanie ugotowany żywcem, pędzi jak do pożaru.

- I nic dziwnego - zgodził się Narasan. - Nikt nie wiedział, co się stanie, więc ustąpienie z drogi było najrozsądniejszym posunięciem.

- Ten kobiecy głos, który przemawiał do Długiej Strzały - odezwał się Zajęczek - do znużenia powtarzał mu, żeby się usunąć z drogi, ledwo zamknął oczy. Jego tajemnicza przyjaciółka dobrze wiedziała, o czym mówi. - Mały kowal opuścił wzrok. - A co się stało z tym łotrem, który sprowadził tu kościelne armie? Utopił się razem ze swoimi towarzyszami?

- Podejrzewam, że kiedy woda zalała pustynię, już go tu nie było.

- Jak to?

- Został zjedzony.

- Słucham?

- Został zjedzony - powtórzył Padan. - Razem z tym swoim tłustym klechę wpadł w pajęczą sieć rozpiętą za wałem obronnym. Pewnie obaj już dawno zostali strawieni.

Zajączek podrapał się po brodzie.

- Mnie się wydaje, że to jak najbardziej w porządku - ocenił. - Zasłużyli sobie na taki koniec. Na coś więcej niż strzała w czole albo miecz w brzuchu.

- Omago się z tobą zgadza - powiedział Keselo.

- Dobrze, panowie, dosyć już tego - odezwała się moja siostra Aracia. - Przestańmy roztrząsać przeszłość, zajmijmy się przyszłością. Przede wszystkim należy rozważyć, gdzie Vlagh uderzy następnym razem, i rozpocząć przygotowania do wojny.

- Nie powinniśmy raczej poczekać na sen któregoś z Marzycieli? - spytała Zelana. - Bez tej podpowiedzi nie sposób ocenić, gdzie Vlagh przypuści następny atak.

- Chyba o czymś zapomniałaś, siostrzyczko. Dwie krainy, twoja i Veltana, zostały na dobre odgródzone od Pustkowia. W związku z czym w grę wchodzi już tylko dwa cele: kraina Dahlaine'a na północy albo moja na wschodzie. Wystarczy, że przygotujemy się na obie możliwości.

W tym momencie wystąpiła najęta przez Aracię królowa Trenicia.

- Księżę Ekial i ja rozmawialiśmy na ten temat - powiedziała. - Doszliśmy do wniosku, że obecność komandora Narasana i kapitana Sorgana jest bardzo istotna niezależnie od tego, czy wróg zaatakuje na północy, czy na wschodzie. Obaj dowódcy mają ogromne doświadczenie i znają potwory z Pustkowia, więc będą mogli nas ustrzec przed popełnianiem błędów. Co więcej, jeżeli uda im się przekonać wojsko, by także zostało, pokonamy każdego wroga.

- Co ty na to, Narasanie? - spytał Sorgan.

- Dopóki otrzymuję żołd, nie widzę problemów.

- Z tym na pewno damy sobie radę - obiecała uśmiechnięta Zelana.

Wtedy otworzyły się drzwi i do pokoju weszła piękna żona Omaga.

- Kolacja gotowa - rozległ się jej dźwięczny głos.

Coś sobie wtedy uprzytomniłem. Oto właśnie pojawienie się tej kobiety spowodowało cały ciąg wypadków: grubiańskie zachowanie Jalkana, reakcję Narasana, wyrugowanie z wojska i uwięzienie byłego duchownego na trogickim statku. Jalkan uciekł, popłynął na południe i wrócił z pięcioma kościelnymi armiami, które starły się z potworami Vlagha.

Możliwość, że między tymi wszystkimi zdarzeniami a osobą Ary nie było żadnego powiązania, istniała, trudno zaprzeczyć, mimo wszystko...

Przyglądałem się pięknej kobiecie z podziwem. Czyżby to Ara była naszą tajemniczą przyjaciółką? Jeśli tak, to dysponowała mocą znacznie większą od mojej czy któregoś z mojego rodzeństwa. Nie podejmowałem się przewidzieć, do czego była zdolna.

Raptem jej głos odezwał się w ciszy mojego umysłu.

- Nie teraz, dziecko, nie teraz. Kiedy indziej o tym porozmawiamy.